

s. Maria Bogumiła Żukowska CR

O
takich,
jak wy



Wydawnictwo Apostolstwa Modlitwy • Kraków

BŁOGOSŁAWIONA KRÓLOWA JADWIGA

Była trzecią, ale najpiękniejszą i najbardziej inteligentną córką Ludwika Andegaweńskiego, króla Węgier i Polski, oraz Elżbiety, córki bana Bośni. I mimo, że nie urodziła się synem, na którego czekano, była kochana. Otrzymała imię Jadwigi, swej prababki, koronowanej żony Władysława Łokietka: niech Polska wie, że to dziecko jest ciałem z ich ciała i kością z ich kości! W ambitnych planach dynastycznych swego ojca liczyła się dopiero jako trzecia, ale liczyła się, i to — poważnie. Dlatego już jako czteroletnie dziecko została zaręczona z ośmioletnim Wilhelmem Habsburgiem, księciem rakuskim i przebywała w latach 1378—1379 na dworze jego ojca, ażeby oprócz wspaniałości Budy poznać też wspaniałość Wiednia.

Szanse najmłodszej córki Ludwika wzrosły po śmierci Katarzyny, przeznaczonej na tron węgierski. Jadwiga liczyła się odtąd jako *haeres* — dziedziczka tronu. Którego? Wszak polską koronę przeznaczył Ludwik dla średniej swej córki, Marii.

Tymczasem po śmierci Ludwika, Węgry obrały swoją królową właśnie Marię, Polacy zaś, nie chcąc dalszej unii personalnej z Węgrami, rozpoczęli starania o Jadwigę.

Po długotrwałych układach z królową-matką, Elżbietą, Jadwiga przybywa w 1384 roku do kraju, którego ma być królową. Jest witana przez wszystkich radośnie.

Ma jedenasty rok życia. Jest wysoka i tak piękna, że oczu nie można od niej oderwać. To „niebiosa użyczyły jej w darze tak cudną i wdzięczną postać, jakiej żadne nie wydały wieki”, powie Długosz.

Jest starannie wychowana. Posiada znajomość czy-

tania i pisania, łaciny, niemieckiego, nawet włoskiego. Mówi po polsku. Zna się na pracach niewieścich. Jest pobożna i przywiązana do Stolicy Piotrowej. Jest odważna, wyniosła, stanowcza i królewska w każdym calu, równocześnie skromna i dobra. Bardzo dobra. I bardzo hojna. Posiada wrodzoną orientację polityczną — wspaniałe zadatki na dyplomatę i włodarza. Jest po prostu urodzona na króla. I będzie królem. Nie królową. Sercami panów polskich, zwłaszcza z Małopolski, już włada. Pokochali ją, jak własną córkę. Nic dziwnego: jest pół-Półką, a w trzech czwartych jest Słowianką. Jest więc swoja, nasza.

Czy naprawdę jest tak młoda? Tak, naprawdę. Ale jest dojrzała wyjątkowo, nie ma co do tego wątpliwości. Mówi o tym jej życie i postępowanie — prawdziwie królewskie. Dlatego też „następczyni w Królestwie Polskim Pana Ludwika, wymienionego króla, prawdziwa i uprawniona, oraz dziedziczka Królestwa Polskiego”, będzie królem, nie królową.

Już w połowie października 1384 roku arcybiskup Bodzanta namaścił Jadwigę w Katedrze Wawelskiej krzyżmem świętym i ukoronował na króla Polski. Na króla. Nie na królowę. Powiadają, że zbyt ciężką koronę, którą włożono na jej dziewczęce skronie, i miecz, którym według ceremoniału musiała zakreślić trzykrotnie krzyż, podtrzymywali panowie polscy, ojcowie ojczyzny. I tak już pozostanie, nieraz bowiem trzeba będzie podtrzymywać młodego króla w trudnych chwilach.

Dobrogost i Radlica, Kurozwęccy, Melsztyńscy i Tęczyńscy, panowie z Goraja i z Szubina, ludzie, którym zależało na stabilizacji życia politycznego Polski, ujęli ster rządów w swoje dłonie, aż Jadwiga — Król dorosnie. Dorosła bardzo szybko. Wprowadzana w sprawę swego kraju zadziwiała mężów stanu bystrością umysłu i roztropnością. Zadziwiała tym, że zawsze — nawet gdy w grę wchodziły związki krwi — stała po stronie polskiej racji stanu. Od początku *Regina et Mater Poloniae* — Królowa i Matka Polski.

Pozostawała sprawa małżeństwa królowej. Dla Jadwigi zaręczyny habsburskie były sprawą osobistą, dla

andegawęńskiego i dla austriackiego dworu — sprawą polityczną, dynastyczną. Wszak od roku 1384 córka Ludwika Węgierskiego była nie tylko dziedzicem korony świętego Stefana, ale również królem Polski. To nieprzewidziane horyzonty polityczne, jakie naraz otwarły się dla obu dynastii, wprawiły w ruch iście diabelską machinę intryg ze strony zakonu krzyżackiego i Habsburgów. Urabiano wrogą Jadwidze opinię, apelowano do Stolicy Apostolskiej, Wilhelm przedsięwziął nawet osobistą akcję w Rzymie, byle tylko zdobyć rękę Jadwigi, a z nią tron piastowski.

Wszystko jednak zależało od Jadwigi. Przekonana o obowiązku dotrzymania słowa, świadoma godności osobistej, musiała młoda monarchini o sercu jak każde dziewczę, dokonać wyboru między szczęściem osobistym a dobrem kraju, którego była królem. Nie było to łatwe. Podobno doszło nawet do rąbania furty wawelskiej, którą zawarto przed nią, gdy usiłowała spotkać się z Wilhelmem w domu Gniewosza.

Przed „tkniętą do żywego” królową stanął wówczas Dymitr z Goraja, jeden z tych, którzy określali siebie, że są *gente Ruthenus, natione Polonus* — z rodu Rusin, narodowości polskiej. Zaczny podskarbi państwa i stróż insygniów królewskich padł przed młodzietką królową na kolana i prosił i błagał, by pozostała, by zrozumiała, że Bóg żąda od niej ofiary serca dla dobra kraju, którym włada i dla chwały Boga w Trójcy Jedynej. Chodzi przecież o chrzest Litwy i o wprowadzenie jej do owczarni Chrystusowej. Chrystus czeka, Chrystus prosi, aby była dla pogańskiej Litwy i Żmudzi chrestną matką. Chrystus chce, aby otrzymana przez nią na chrzcie świętym łaska królewskiego kapłaństwa w niej, królowej Polski, w pełni się urzeczywistniła: by Jadwiga była królem i pasterzem i kapłanem. Błagał długo, tak długo, aż królowa „zmiękczona jego prośbami” powróciła na zamek.

Uwierzyła w swoje powołanie. Dziejowe powołanie. Stała odważnie wobec tajemnicy tego powołania i wypowiedziała Ukrzyżowanemu Królowi wieków swoje królewskie „tak”. Dla polskiej racji stanu i dla Chrystusa, któremu oddała się całkowicie, stała się słu-

żebnicą kraju, którego była „prawdziwą i uprawnioną dziedziczką i królową. Odwołała dziecięce zaręczyny z Wilhelmem i zgodziła się na poślubienie Jagiełły.

Dlaczego panowie polscy ośmielili się zażądać rezygnacji z osobistych planów umiłowanej królowej? Co stanowiło ową polską rację stanu? W czym upatrywali dziejową misję Jadwigi?

Na pół roku przed „dramatem wawelskim” poseł litewski, Skirgiello, prosił o rękę Jadwigi dla swojego brata, wielkiego księcia litewskiego, Jagiełły. Przyrzekał w jego imieniu i w imieniu jego braci przyjęcie wraz z całym narodem chrztu świętego, wypuszczenie jeńców polskich oraz przyłączenie Litwy i jej ziem ruskich do Królestwa Polskiego. Zobowiązywał się również do odzyskania ziem utraconych przez to Królestwo.

Czy wtędy przed Jadwigą, wychowaną w duchu uniwersalizmu chrześcijańskiego, zarysowała się tylko wizja ochrzczonej Litwy, czy też może ożyła w niej Bolesławowo-Ottonowa koncepcja stworzenia środkowo-europejskiego mocarstwa chrześcijańskiego? Wszak i ojciec jej myślał o czymś podobnym.

Nie wiadomo. Wiadomo tylko, że podejmując decyzję dla dobra Polski, Litwy i Kościoła przerosła siebie. Nie tylko siebie. Przerosła Habsburgów, Krzyżaków, Piccolominich, Opolczyków, Gniewoszków i Witolców razem wziętych. Polska i litewska racja stanu, sprawa unii polsko-litewskiej, stała się racją stanu jej króla Polski. A wszystko — na większą chwałę Boga.

Katedra krakowska, katedra królów polskich i katedra, z której wyszedł papież — Polak, patrzyła jak 18 lutego 1386 roku, „Książę Władysław, czyli Jagiełło... połączył się uroczystym ślubem z dostojną i nadejbrną dziewicą, Jadwigą, królową Polski”, a 4 marca tego roku został ukoronowany na króla.

Od tego momentu rozpoczęła się dla Polski nowa epoka — złota era Jagiellonów, a dla Jadwigi — królewskie kapłaństwo ofiary i krzyża. Świadomej ofiary i zwycięskiego krzyża.

Dojrzała ponad swój wiek królowa urzekła wszyst-

kich urodą, budowała pobożnością, rozbrajała dobrocią, ujmowała taktem i elegancją oraz olśniewała inteligencją wprost charyzmatyczną. To łaska pomazańca Bożego w niej się pomnażała. Liczyła się z nią. I — liczyła się z jej Dawcą.

Jadwiga poznała się na zdolnościach politycznych swego męża, nie przestawała jednak być królem. Jej autorytet wzrastał z jej latami, świętością oraz działalnością na miarę geniuszu.

Rządy w krajach połączonych Unią to współrządy Jadwigi i Jagiełły. Królowa posiada nie tylko własny dwór, ale też niezależną kancelarię królewską oraz własne pieczęcie i tam, gdzie trzeba wystąpić w charakterze „prawdziwej i uprawnionej” dziedziczki państwa, królowa potwierdza dokumenty króla.

Jej pozycja jest wyjątkowa. Dlatego książęta litewsko-ruscy składają hołd nie tylko Jagielle, ale królowej Jadwidze i Koronie Polskiej, gdyż jedynie ona jest naturalną panią tej Korony.

Od miasta Krakowa Jadwiga żąda uznania Jagiełły królem tak za swego życia jak i po swojej śmierci, i to jako „naturalnego pana i dziedzica”, bo prawo to jest tylko jej wyłączną i niezbywalną własnością i jedynie przez nią może być rozciągnięte na małżonka.

Pokojowe zajęcie Rusi Halickiej dla Korony, którą kiedyś jej własny ojciec oderwał i przyłączył do Węgiei, oraz triumfalny wjazd do Lwowa, odbywa się również na tej podstawie, że Jadwiga jest uprawnioną dziedziczką tak korony węgierskiej jak i polskiej.

W aktach Unii Polski z Litwą Witold przyrzeka, że jedyną królową, której będzie służyć, to Jadwiga. Odgrywająca niepoślednią rolę w dziedzinie polityki żona Witolda, Anna, ręczy za najdroższego małżonka, że „ani on, ani jego potomstwo, nie poniecha nigdy królestwa i korony Królestwa Polskiego, ale z wymienioną królową panią Jadwigą będzie walczyć przeciw jej wrogom, ilekroć nadarzy się okazja i to po wszystkie czasy”.

Jadwiga jest świadoma swoich uzdolnień i uprawnień. Korzysta z nich, ale nie chełpi się nimi. Wie, że to są Boże dary. I wie, że odpowie za nie przed Bo-

giem i przed historią. Gospodarzy nimi roztropnie. Posługuje się nimi przede wszystkim dla dobra ludu, którym włada, oraz by nie utracić nic z dziedzictwa, które przejęła tak po Piastach jak i po Andegawenach. Dlatego używa stale tytułu „dziedzica Pomorza” przypominając zakonowi krzyżackiemu, do kogo ziemia pomorska należy, oraz „dziedzica państwa Węgierskiego”, aby utrzymać Zygmunta Luksemburskiego w odpowiedniej postawie.

Pokojowa — jakże genialna, bo oparta na prawie miłości Chrystusowej — polityka Królowej zjednała jej miłość narodów połączonych Unią oraz uznanie ówczesnego świata, z papieżem na czele. Dzięki tej polityce Jadwiga ma szczególne prawo, by i jej przypisać zwycięstwo pod Grunwaldem. Należała bowiem do tych władców, którzy szczerze dążą do zgody, umieją czekać, ale też potrafią zmierzyć się z wrogiem w najbardziej odpowiedniej chwili. Jadwiga długo czekała na opamiętanie się Zakonu i długo powstrzymywała rękę Jagiełły. Przepowiedziała nawet Krzyżakom klęskę, jeżeli nie powrócą na drogi Boże i zmuszą jej męża do zmierzenia się z ich butą. Dzień 15 lipca 1410 roku potwierdził słuszność taktyki i przewidywań królowej. Potwierdził również potęgę jej wstawiennictwa u Boga; modlono się bowiem o zwycięstwo wzywając pomocy Najjaśniejszej Pani Litwy i Korony.

Córka Piastów i Andegawenów jest w pełni królem. Włada sobą, mężem, radą, narodami. Włada z mocą i miłością. Jest kochana, poważana, uwielbiana coraz bardziej. Nieprzeciętna monarchini, przy tym najpiękniejsza z kobiet swoich czasów. I najbardziej świątobliwa. Chrystus z nią rozmawia. Chce, by cała była Jego. Lecz Jadwiga nie zstępuje z tronu, nie uchyla się od rządów i nie tęskni za klasztorną kratą albo pustelniczą wieżą, jak jej krewne i współczesne jej władczynie.

Ona jest świadoma, że jej droga, to jest droga króla. Trudna, pełna matni i zasadzek, czasem wąska, stroma, to znów tak szeroka, że się zgubić można, ale droga króla, który idzie pierwszy i prowadzi naród, ścieżki mu prostuje, uczy, karci, przyodziewa, zawsze uka-

zuje Boga, jedynego Króla. Chociaż naród czasem bywa zmienny i niewdzięczny, król iść musi swoją drogą. Cofnąć się nie może. Zbiec nie może. Bo się „owce” rozproszą i pogubią, gdy nie stanie im pasterza. Bo utonie naród, i narodem, który wyrósł z myśli Bożej, być przestanie.

Więc Jadwiga, król nad króle swoich czasów, idzie, dźwiga krzyż odpowiedzialności za zbawienie własne, męża, dworu, Litwy, Żmudzi, Rusi i Korony. Tak, jak Chrystus. Ona Jego częścią, członkiem Jego Ciała, więc dopełnia, co Mu nie dostawa. Jest świadoma tego, że się spełnia w niej ofiara, której Chrystus nie przestaje spełniać w swoim ludzie. W każdym z ludu, który wybrał sobie. Zatem idzie. I Krzyż dzierży mocno. Krzyż — najdroższy skarb, najwyższy tron, królewski tron Bożego Syna. Tak chce Bóg. A Jadwiga z Nim się liczy.

A Bóg — liczy się z Jadwigą? Tak. Na serio.

Królowa — polityk i dyplomata — była przede wszystkim matką swoich królestw. Wykształcona, towarzyska, miłująca wiedzę, księgi, śpiew i muzykę, miłosierna i przystępna, i zorientowana w stylu życia Europy, chciała, by jej państwo dorównało innym, owszem, aby przodowało. Szanowała więc spuściznę kulturalną Polski, Litwy oraz Rusi, pokochała rodzimą pobożność i rodzime zwyczaje tych narodów i nigdy nie narzucała tego, co obce mentalności słowiańskiej. Otaczała się ludźmi światłymi z zagranicy i z kraju, rozprawiała z nimi, popierała ich wysiłki, a wybitnym, świątobliwym, przeznaczała wysokie i odpowiedzialne stanowiska. Wreszcie zapaliła ich do dzieła, które ją opromieniło nieśmiertelną sławą, do wskrzeszenia chyłającej się ku upadkowi Akademii Krakowskiej.

Królowa zdawała sobie sprawę z tego, że założona przez nią bursa dla Litwinów i Polaków w Pradze nie wykształci wielu, że nie dosyć jest wysyłać co bogatszych do Padwy, to znów do Bolonii, że kolegium benedyktynów słowiańskich, sprowadzonych na Kleparz, też nie zaradzi potrzebom misyjnym. Wszystkim przecież trzeba światła wiary oraz wiedzy nie mniej jak kawałka chleba, bo nie samym chlebem człowiek żyje.

Wie Królowa o tym i dlatego aż do Rzymu, do Bonifacego IX, który ją podziwia i szanuje, śle poselstwo z prośbą, aby *Alma Mater Cracoviensis* miała własny wydział teologii.

Litwa, ta dopiero co ochrzczona, woła, aby przysłać księży, i to swoich, takich, którzy mówią tak jak oni, którzy znają i kochają kraj nad Dźwiną, Niemnem, także kraje, hen, nad Dnieprem, którzy jak królowa miłość będą mieli w ręku, a nie miecz i ogień, jak Krzyżacy. Gdy duchownych z Polski oraz z Litwy będzie wielu, nie ma miejsca już dla obcych, niepotrzebny będzie Zakon Panny Marii, co ma krzyż na płaszczu, a miecz w ręku i nienawiść w sercu, bo aż tak się sprzeniewierzył Bogu.

Monarchini Polski, Litwy, Rusi, wie, co robi. Król Jagiełło też rozumie, o co sprawa, a Namiestnik Chrystusowy błogosławi i przysyła 11 stycznia 1397 roku bullę erekcyjną.

Odtąd *Alma Mater Cracoviensis* równa jest uczelni w Padwie i Bolonii. Odtąd „meże dojrzałością rady znakomite, ozdobą cnót świetne i w różnych umiejętnościach biegle” z niej wychodzić będą. Sławić przy tym będą swoją dobrodziejkę, która całe wiano otrzymane od Jagiełły, ziemię kujawską i Ruś Czerwoną i dochody z solnych żup w Wieliczce oraz Bochni, także wszystkie kosztowności własne, dziecku swego serca i umysłu odda.

Nie byłoby zatem nic dziwnego, gdyby to jej dziecko *Jadwigianum* nazywano. Kosztowało ono swoją rodzicielkę wiele nieprzespanych nocy, ale właśnie w nim żyć ona będzie zawsze.

Może przeczuwała, że to właśnie w takim „dziecku” się przedłuży, że innego nie zostawi.

A jednak w dwudziestym czwartym roku życia, dwunastym od poślubienia Jagiełły, Jadwiga spodziewa się potomka.

„O, Królewskie dziecię, chwało Polaków, postrachu pogan, upragnienie wielu narodów, o darze niezrównany... Przyjdź pożądanym, którego oczekujemy wśród mroków tęsknoty, przyjdź... otrzymasz koronę... Przyjdź łagodnie, bez krzywdy dla ciała matczynego, z mocą —

ku trwodze nieprzyjaciół, i użytecznie — ku chwale i pomyślności Rzeczypospolitej” — wołał autor poematu *Dictamen ad prolem Hedvigis Reginae*.

Jego radość podzielali wszyscy: król Jagiełło, papież Bonifacy, wielki książę Litwy, Witold, i złączone unią kraje. Wszak kochali wszyscy swą królową, matką nazywali, albo — świętą Panią. Sława o tym, że jest dobra, miłosierna, że z Chrystusem wciąż rozmawia i że Chrystus przez nią cuda czyni, doszła wszędzie. Syn czy córka takiej matki dobrym będzie królem. Więc się tylko modlić trzeba tak za matkę, jak za dziecko. Szły do Boga modły szczere i gorące z chat wieśniaczych, które święta Pani odwiedzała, z domów miejskich, i z katedry na Wawelu i z Wiecznego Miasta, dokąd sława jej świętości doszła.

Królowa też się radowała, tak jak każda matka, i jak matka, która oczekuje długo na swe dziecko, i jak władca, który jest świadomy, że od niego się zaczyna ród, dynastia nowa. Radowała się tym także, że narzeczcie prawda zatryumfowała. Jednak gdy król, i rodzina, i poddani i sam papież nawet ślali tak dziecinnie jak i matce dary oraz gratulacje, mówiła z powagą i jakby proroczo:

„Wyrzekłam się od dawna przepychu i próżności tego świata, tym mniej mogłabym o niej myśleć w chwili śmierci, która często się przydarza w połogu. Nie blaskiem więc złota i pereł pragnę podobać się Ojcu Niebieskiemu, który, oszczędziwszy mi hańby bezpłodności, raczył ubłogosławić moje łono, lecz cichością duszy i pokorą”.

Radość królowej była radością wdzięczności. Za wszystko. Za wybranie na pomazańca, za chrzest Litwy oraz unię, za łaskę macierzyństwa i za to, co Pan zamierzał dla niej na przyszłość. Jadwiga zawsze i w dniach szczęścia także, żyła w Bogu. Była przekonana, że Bóg i ją i wszystko wypełnia sobą, że jest Panem każdego człowieka, króla też, bo król tylko z Jego łaski jest królem. Liczyła się z Bogiem i z Jego łaską i to na każdy dzień.

A Bóg — czy liczył się z Jadwigą, swoim pomazańcem?

Liczył się. Jak z kimś, z kim się liczyć warto. Liczył na to, że Jadwiga dotrzyma kroku Jego Synowi, że w Nim znajdzie na Golgotę, da się ukrzyżować i po-
grzebać, i że zmartwychwstanie tak, jak On. W glorii. W chwale. Liczył, że przeżyje i obmowy, i niesnaski i że zniesie bicz języków „najszlachetniej urodzonych”, że z godnością i pokorą nosić będzie cierniową koronę bezpłodności, że nie zamknie swego serca dla ubogich, chorych i wydziedziczonych, że się nie uniesie pychą w chwilach nawiedzenia. Owszem, że jak miłość — przetrwa wszystko.

I dlatego ją nawiedził łaską macierzyństwa. Chciał, by wszyscy uwielbiali Jego miłosierdzie, chciał zawstydić pysznych i kłamliwych, a wywyższyć ją, Jadwigę, za to, że Mu zaufała, za to, że troszczyła się o Jego sprawy, za to, że spełniła w sobie powołanie Marty oraz Marii z Ewangelii, za to, że gotowa jest na wszystko.

Wyniósł swą Jadwigę, ale tak jak swego Syna — aż na krzyż, który w znaku hańby stał się znakiem chluby i zwycięstwem. I tak, jak Maryi zabrał syna, tak Jadwidze zabrał jej potomka, małą, bo trzytygodniową tylko Elżbietę Bonifację, dziedziczkę aż trzech tronów.

W cztery dni później, 17 lipca 1399 roku w południe, zavezwał też do swego Królestwa „Najjaśniejszą Panią Jadwigę, królową Polski i dziedziczkę Węgier, niestrudzoną szerzycielkę chwały Bożej, obrończynię Kościoła, sługę sprawiedliwości, wzór wszelkich cnót, pokorną i łaskawą matkę sierot, której podobnego człowieka z rodu królewskiego nie widziano na całym obszarze świata” (z kazania mistrza Stanisława ze Skalbierza).

Odchodząc do niebieskiej ojczyzny królowa zatroszczyła się o trwałość Unii Polski z Litwą. Prosiła Jagiellę, by umocnił więzy między obu państwami pojmując za żonę Annę Cylejską, wnuczkę Piastów. Do końca *Mater et Regina* — Matka i Królowa Polski oraz Litwy.

Nad skromną — tak królowa chciała, bo oddała wszystko na Krakowską Akademię — trumną padały słowa:

„Widzieliśmy, że (królowa) była dobrodziejką duchowieństwa, pocieszycielką wdów, obroną biedaków i skrzywdzonych.

Ona wstawiała się do króla za tymi, których dotknęła jego niełaska, a jej wstawiennictwo nosło pociechę strwożonym królewską sprawiedliwością.

Widzieliśmy, jak była mądra w radzie, roztropna w postępowaniu, jak dbała o wszystko, co należało do Korony Polskiej.

Widzieliśmy, jak była piękna, znaleźliśmy szlachetność jej rodu oraz jeszcze większą doskonałość czynów i mimo wysokiej godności — jej pokorę.

Byliśmy świadkami, jak stawiała kościoły, ozdabiała ołtarze, szanowała duchowieństwo, z jaką pobożnością przyjmowała ubogich, jak łatwy do siebie dawała przystęp, jak nikomu nie ubliżyła, jak była łagodna i małomówna, jak nie potrafiła się gniewać.

Święta była jej dusza, dlatego odeszła do królestwa Bożego. Ponieważ uważała to życie za wygnanie, z doliny łez uleciała do nieba.

Czyniła pokój, więc jej mieszkaniem stanie się przybytek świętości na Syjonie. Starła się o chwałę Bożą, więc wesele wieczne spocznie na jej głowie. Kochała wojujący Kościół... więc odeszła do tryumfującego.

Żyjąc przetrwała niejedno w milczeniu i cierpliwości. Zło, które nie dało się wyplenić, znosiła spokojnie, a Bóg, chcąc wypróbować jej cierpliwość, doświadczał ją wieloma przeciwnościami, chorobami i pokusami, z czego wyszła jeszcze czystsza, jak kruszec z ognia”.

Wszyscy stali ze spuszczoneymi głowami, wszyscy ronili ciche łzy, wszyscy — jakby zamarli. Nie mieli siły płakać głośno, ból rozsadzał ich serca. Zdawali sobie sprawę z tego, kogo stracili. Wiedzieli, że ani Polska, ani Litwa drugiej takiej monarchini mieć nie będzie.

Mistrz ze Skalbmierza mówił dalej:

„To niech będzie dla nas gwiazdą, to pociechą..., że taką była i tak żyła, iż jej sława na ustach ludzkich nigdy nie zamrze, bo jest — jak w Bogu ufam — w niebie umieszczona... dostąpiła zbawienia, później zaś błogosławioną zostanie...

Niech Jego Królewska Mość nie poddaje się niepomiarowanemu żalowi, ale raczej raduje się, iż taką miał małżonkę, ninie świętą tego Królestwa i ludu obroicielkę”.

Mistrz zakończył. Dwie jego wielkie łzy spadły na najbliższych stojących. Za nimi popłynęły łzy króla, możnych tego świata i łzy prostego ludu. Wsiąkły w mury i posadzkę katedry Wawelskiej, by przez wieki wznosić się mgłą uwielbienia w nieba stropy, by połączyć się z *Te Deum* serca Jana Pawła II w dniu 8 czerwca 1979 roku.

*
* *

Spowity w polskie i węgierskie flagi sarkofag błogosławionej królowej Jadwigi na Wawelu promieniuje pokojem, powagą i dostojeństwem. Drobnny szczegół — pies u nóg królowej — mówi o tym, że wybitną cechą jej osobowości była wierność.

Wierność Bogu i Jego prawu, wierność Kościołowi, dziedzictwu Andegawenów i Piastów, idei unijnej i misyjnej, wierność w sprawach na skalę europejską i w sprawach codziennego życia czynią Jadwigę bohaterem, świętą.

Wierność królowej, tak niewymownie matczyzna, ale i męska zarazem, to przejaw miłości, o której Apostoł narodów mówi, że jest cierpliwa, łaskawa, że nie unosi się pychą, nie pamięta złego, wszystko przetrwa, nigdy nie ustaje.

Wierność, to cecha ludzi wielkich, geniuszów umysłu, serca i woli, przy tym — ludzi bardzo pokornych.

Czy dzisiaj można spotkać takich ludzi? Ludzi naprawdę wielkiego formatu?

*
* *

Cały świat podziwia Jana Pawła II, papieża-Polaka. Nazywa go papieżem pokoju, papieżem miłości, papieżem dobroci.

Dlaczego?

Bo każdego widzi, bo wychodzi na spotkanie każdego, bo każdemu otwiera swoje serce, dla każdego ma dobre słowo, uśmiech, a gdy trzeba — chleb i grosz.

Tak jak Chrystus i jak Jadwiga, najjaśniejsza pani katedry Wawelskiej, katedry, z której wyszedł ów papież pokoju, dobroci i miłości.

Jan Paweł II nie tylko w czerwcu 1979 roku, gdy zamykał synod krakowski i odprawił pierwszą mszę świętą o błogosławionej Jadwidze królowej, klęczał u grobu Pani Litwy i Korony. On modlił się tam często jako kleryk, jako kapłan, potem biskup, a najczęściej, gdy był metropolitą krakowskim.

Modlił się. Modlił się i zapewne uczył się u genialnej monarchini jak być pasterzem, ojcem i nauczycielem swojej archidiecezji, wiernym synem Polski i Kościoła.

Uczył się pokornie. I — nauczył się. Tak się nauczył, że oczy kardynałów świata zwrócił na siebie, że oni spośród wielu mądrych i dobrych wybrali właśnie jego na zastępcę Chrystusa na ziemi, uznając, że takiego dzisiejszemu światu trzeba: mądrego — mądrością Ducha z wysokości, mocnego — mocą Krzyża, i dobrego — jak Ojciec Niebieski.

Czy biskupie, a papieskie teraz, zawołanie *Totus Tuus* — Cały Twój to nie echo *Tota Tua* — Cała Twoja Jadwigi decydującej się u stóp Czarnego Krucyfiksu na ofiarę z siebie dla dobra Kościoła, Polski i Litwy?

Czy to, że Jan Paweł II zwrócił swoje serce ku Słowiańszczyźnie, nie jest łaską wyproszoną przez Jadwigę, królowę i matkę wielu słowiańskich narodów?

Czy to nie ona, patronka serc młodzieńczych i matczynych, uczyła naszego papieża subtelnej miłości i szacunku dla ludzkiego życia, dla dziecka, kobiety, mężczyzny, dla każdego bez wyjątku, nawet takiego, który nic już poza swoim człowieczeństwem nie posiada?

Skąd mu to, że woła, jak nie wołał dotąd nikt, o wolność, o sprawiedliwość, o miłość, że ujmuje się za ludźmi różnych ras, narodowości, że spieszy poszkodowanym z pomocą, modlitwą, łaską, a tym, którzy zawinili, rzuca obciążające ich pytanie: „Któż im lży powróci”?

To ona, Pani katedry Wawelskiej, śpiąca w białym

sarkofagu, tak ubogaciła i wciąż ubogaca swego sługę i czciciela.

Bo Pani katedry Wawelskiej nie śpi. Ona działa. Ona czuwa. Czuwa nad katedrą, nad Wawelem, nad królewskim miastem Krakowem, nad całą Polską i nad krajem swego ojca — Węgry i nad krajem swego męża — Litwą i nad całą Słowiańszczyzną.

Czuwa nad każdym, jak czuwała za swojego życia. Z miłością pochyła się nad matkami i nad tymi, którym Bóg nie pobłogosławił w dzieciach, wszak wie dobrze, czego im potrzeba, zna, co ból i lzy.

Czuwa też nad dziećmi i młodzieżą, tak jak kiedyś nad żakami krakowskimi. Pragnie, by z niej „mężę dojrzałością rady znakomite, ozdobą cnót świetne i w różnych umiejętnościach biegłe” nadal wyrastały.

Troszczy się o kleryków, kapłanów i biskupów, bo to są synowie *Almae Matris Cracoviensis*, która matką jest uczelni wszystkich w Polsce.

Czuwa nad prymasem, który wie, że naród Polski po dziejowej drodze.

Czuwa nad papieżem Janem Pawłem II. Może to o nim pisał Słowacki półtora wieku temu:

...oto idzie papież słowiański,

Ludowy brat;

Oto już leje balsamy świata

Do naszych łon,

.

On rozda miłość, jak dziś mocarze

Rozdają broń,

Sakramentalną moc on pokaże,

Świat wzięwszy w dłoń...

.

Zdrowie przyniesie, rozpali miłość

I zbawi świat...

Jadwiga nie śpi. Jadwiga czuwa. Jadwiga, król Polski, która przez wierność powołaniu życiowemu stała się uwielbieniem majestatu łaski Bożej i chlubą narodu polskiego, litewskiego, ruskiego i węgierskiego — żywa! Do wielkości! Do świętości!

JUTTA Z CHEŁMŻY

Czy to takie ważne, gdzie ktoś został pochowany i czy odnaleziono jego szczątki?

Oczywiście — ważne. Ważne, ale nie istotne. Bo np. sama jako szesnastoletnia dziewczyna grzebałam moją mamę na cmentarzu jednego z wojewódzkich miast na kresach wschodnich międzywojennej Rzeczypospolitej Polski, a przecież obecnie nie ma ani szczątków mamy, ani tego grobu, ani nawet cmentarza. Akta parafialne? Pochowałam moją mamę pod innym nazwiskiem. Czy wobec tego moja mama nie istniała? A może ucierpiała z tego powodu pamięć o niej?

Nie. Pamięć o mojej matce trwa. Mama żyje w naszej świadomości i świadomości młodszych pokoleń rodziny i znajomych. Żyje nie tylko w rodzinnych albumach, ale w sercach tych, którzy ją pamiętają i w sercach tych, którzy miłość z ich serc przejęli w swoje. Jest autorytetem dla wnuków i prawnuków, którzy ujrzeli światło dzienne już po jej śmierci.

Niedawno najmłodsza praprawnuczka, po otrzymaniu świadectwa dojrzałości, złożyła je najpierw pod rzeźbą wyobrażającą praprababcię i powiedziała: Uciesz się praprababciu swoją praprawnuczka, potem dopiero zwróciła się do żyjących: A teraz cieszcie się wy. I podała świadectwo ojcu.

Zatem dobra i zacna praprababcia żyje, mimo iż zidentyfikowanie miejsca, w którym złożono jej doczesne szczątki jest dziś niemożliwe. A to — zaledwie lat kilkadziesiąt.

Cóż zatem dziwnego, że nie da się zidentyfikować miejsca pochowania Jutty z Chełmży? Żyła przecież w latach 1220—1260!

Zasługującym jednak na uwagę jest fakt, że przez

blisko 400 lat nie chowano nikogo pod kaplicą błogosławionej Jutty, która znajduje się w południowym skrzydle katedry chełmżyńskiej, właśnie ze względu na ogromną cześć dla złożonych tam szczątków Jutty. Wyjątek uczyniono jedynie dla zmarłego w 1612 roku kanonika Jana Pisińskiego, który był propagatorem kultu Jutty i sam o to prosił, uważając to za wielki zaszczyt dla siebie, że będzie spoczywał w pobliżu jej zwłok.

To, że nie dokopano się do szczątków błogosławionej, nie stanowi dowodu, że ich tam nie ma. Trudno burzyć katedrę dla wydobycia kilku kostek. Zresztą, czy to możliwe, by się zachowały? Przecież złożono je 720 lat temu! I zapewne nie w szklanej, dębowej i metalowej trumnie.

Zamiast szukać tego, czego ze względu na szmat czasu być nie może, lepiej podziwiać bogato wyposażoną kaplicę w katedrze chełmżyńskiej, wzniesioną nad jej grobem na jej cześć. Znajdują się w niej liczne malowidła przedstawiające sceny z jej życia oraz wspinały ołtarz marmurowy z obrazem pędzla Szymona Czechowicza. Przedstawia on błóg. Juttę klęczącą przed Chrystusem, który pozwala jej przybliżyć się do rany swego Serca.

Czyżby budowano — i to aż w katedrze — kaplicę błogosławionej bez jakiegokolwiek uzasadnienia, że na tym właśnie miejscu była pochowana? Wątpliwe. Zresztą — wiek wiekowi przekazywał i przekazuje, że to właśnie tu, u szczytu południowej nawy katedry chełmżyńskiej, pochowano umiłowaną świętą ziemi chełmżyńskiej.

To też tu przez wieki odprawiano nabożeństwa, śpiewano pieśni, głoszone pochwały cnót błogosławionej. I do tego miejsca dążył lud nie tylko najbliższych okolic, ale całych Prus, a także Królestwa Polskiego. Odwiedzali to miejsce pielgrzymi zachodni, zwłaszcza ziomkowie Jutty. Czcili ją najbardziej Toruń i Chełmża, ale nie pozostawał w tyle Gdańsk, Poznań, a nawet Kraków ze sławnym dobroczyńcą Akademii Krakowskiej i wychowawcą synów królewskich Gabrielem Władysławowskim na czele. On to, podobnie jak Ra-

fał Walner i wspomniany Jan Pisiński, przyozdabiał kaplicę błogosławionej, dbał o obrazy i chorągwie z jej wizerunkami, przeszczepiając jej kult na dwór królewski. Zygmunt III darzył Juttę taką czcią, że dwukrotnie pielgrzymował do jej grobu.

Jutta bowiem od samego początku była wyjątkowo czynna i hojna: wypraszała swoim wstawiennictwem wiele łask i cudów u Boga, który zawsze jest przedziwny w swoich świętych. Spisywano owe nadzwyczajne wydarzenia i fakty, niestety, zawieruchy i pożogi wojen krzyżackich nie pozwoliły na ich przetrwanie. Pozostały tylko wzmianki z tamtych czasów w *Objawieniach* Mechtylidy z Magdeburga i późniejsze żywoty Błogosławionej z XVI i XVII wieku. To jednak, co pozostało, pozwala na odtworzenie jej życiorysu.

Jutta urodziła się w 1220 roku w Turyngii. Była piękna i dobrze wychowana. Już za młodu cieszyła się opinią świętobliwej. Słyszała z uczynności i z wielkiego miłosierdzia. Należała do stowarzyszenia beginek. Przejęta duchem tej organizacji „wyścigała się w świętości życia i pełnieniu dobrych uczynków” chcąc wynagrodzić Bogu za zbrodnie i krzywdy niespokojnych czasów walki cesarstwa z papieżem oraz najazdów Turków i Tatarów.

Zapatrzona w urzekającą postać współczesnej sobie Elżbiety Turyńskiej, królowny węgierskiej i pani na Wartburgu, a potem żebraczki, naśladowała ją wiernie posługując ubogim i chorym. Podobnie też jak Elżbieta rozmiłowała się w szczególny sposób w nabożeństwie do Serca Zbawiciela.

Mąż Jutty, rycerz z Sangerhausen, poległ w Ziemi Świętej w 1240 roku. Młoda wdowa rozdała cały majątek ubogim i o żebraczym kiju pielgrzymowała do różnych sanktuariów. Pielęgnowała przy okazji chorych, zwłaszcza trędowatych.

Do Prus przybyła z krewnym swego męża, Anno z Sangerhausen, który został wielkim mistrzem krzyżackim.

Poszła za głosem Pana, „który ją posłał do pogan, aby swoimi modlitwami ich wspierała, a dobrym przy-

kładem nawracała i budowała głosząc święte imię Jego” — zapisała o Jutcie Mechtylda z Magdeburga.

Przybywszy około roku 1256 do ziemi chełmińskiej zamieszkała za zgodą biskupa w lepiance w lesie bielczyńskim, w którym rozpoczęto budowę katedry... Rano biegła do kościoła w Chełmży, aby uczestniczyć w Najświętszej Ofierze i przyjmować Komunię świętą. Dzień spędzała na posługiwaniu chorym po domach, oraz w zakaźnym szpitalu poza bramą miejską. Działała z chorymi użebrany grosz i pożywienie, traktowała ich jak samego Chrystusa. Chorzy wyczuwali jej żywą wiarę, dlatego kochali ją jak matkę. Jutta modliła się wiele: za siebie, za chorych i ubogich, za tych, którzy łamali przykazania Boskie i o nawrócenie tych, którzy w imię Boże prowadzili mordercze walki. Ludzie przychodzili do niej po radę, pomoc, pociechę i prosili o modlitwę, wierząc — mieli zresztą na to wiele dowodów — że Bóg ją wysłucha. Sława świętości Jutty była tak powszechna, że kult jej rozpoczął się równocześnie z jej śmiercią.

Umarła w wigilię Wniebowstąpienia Pańskiego, dnia 12 maja 1260 roku. Biskup Heidenryk, opiekun i spowiednik Jutty, podzielał opinię o jej świętości i dlatego pozwolił na złożenie jej zwłok w budującej się katedrze.

Czterdzieści lat życia: dziewiczego, małżeńskiego i wdowieńskiego, życia bez reszty oddanego Bogu i człowiekowi, życia, które uwieńczyła świętość. Po takim życiu — nieprzerwany kult przez 720 lat!

Jakie są po temu racje? Czym się to tłumaczy? Chyba tym, że styl życia Jutty nadal jest pociągający i aktualny, tak jak zawsze jest pociągająca i nie starzeje się nigdy miłość. Ta prawdziwa. Ta, która przekształca w Umiłowanego, w Boga.

BYWA I TAK...

Jerzy Trapp obejmuje dowództwo pierwszej łodzi podwodnej, jaką dysponuje austriacka marynarka wojenna. Jest dumny. I jest przekonany o pożyteczności tego rodzaju broni. I — jest szczęśliwy. Spogląda wciąż w stronę pięknej panienki, która jako matka chrzestna bierze udział w wodowaniu okrętu, którego on jest kapitanem. Bajecznie bogata córka wynalazcy i właściciela wytwórni torped, Roberta Whitehead, zostanie wkrótce jego żoną. Ale nie to jest najważniejsze, że jest bogata i piękna, najważniejsze, a właściwie jedynie ważne jest to, że się naprawdę kochają.

Wspaniała willa nad brzegiem morza, w Pola, obok stoczni austriackiej marynarki wojennej, jest świadkiem szczęścia kochających się małżonków Trapp oraz ich powiększającej się rodziny: pięć córek oraz dwaj synowie są ozdobą domu i dumą rodziców.

Wybucha I wojna światowa. Kapitan von Trapp otrzymuje najwyższe odznaczenie wojskowe: krzyż cesarzowej Marii Teresy. Staje się bożyszczem dla swoich rodaków, czym prędzej jednak wraca do ukochanej żony i dzieci. Nie przeczuwa, że wkrótce epidemia szkarlatyny zabierze mu żonę. Baron von Trapp zostanie sam z siedmiorgiem dzieci.

Była i piękna, i młoda, i wykształcona. Była też dobra. Chciała przeżyć życie sensownie — tak, by zasłużyć na wieczność. Wybrała służbę Bogu w klasztorze. I czuła się dobrze jako postulantka w cichym ustroniu zakonnym w Nonnberg. Pokochała swoje uczennice i łatwo dostosowała się do obowiązującego trybu życia. Dokuczały jej tylko bóle głowy. Przywołana kiedyś do celi matki przeoryszy, usłyszała:

— Mario, wolą Bożą jest, abyś od nas odeszła na rok. Potrzebne ci jest powietrze, ruch, wędrówki po górskich stokach, jak dawniej. Wrócisz, gdy odzyskasz zdrowie. Jest właśnie okazja. Baron von Trapp prosi o nauczycielkę dla jednej ze swych córek. Pojedziesz tam jeszcze dzisiaj. Błogosławię cię i na drogę, i na pracę.

— Jestem nauczycielką przyslaną z Nonnberg. Na imię mi Maria.

— Jerzy Trapp — przedstawił się wysoki, elegancki mężczyzna. Cieszę się, że pani przyjechała. Przedstawię pani moje dzieci. Mam ich siedmioro. Zwołuję je gwizdkiem, bo czasem są w odległych zakątkach parku.

Siedem różnych gwizdków napełniło werandę junacką atmosferą i za chwilę przemaszerował przed nią rząd dzieci w marynarskich ubrankach. Wszystkie patrzyły z zaciekawieniem na nowo przybyłą osobę.

— Przedstawiam wam nową nauczycielkę, pannę Marię.

— *Grüss Gott*, panno Mario — odezwał się zgodny chór, wykonując piękny ukłon. Potem nastąpiła prezentacja dzieci: Agata, Rupert, Jadwiga, Martyna, Werner i Joanna.

— Która z dziewczynek ma być moją uczennicą?

— Zaprowadzę panią do niej. Dzieci, wróćcie do swoich zajęć. Widzi pani, ta córeczka, którą pani ma uczyć, przeszła szkarlatynę, ostatnio grypę, ma osłabione serce. Biedne dziecko. To tu, w tym pokoju.

Na piętrze, w dużym i słonecznym pokoju leżała blada dziewczynka. Uśmiechnęła się lekko, ale nie zdradzała ochoty, by się podnieść — była zbyt słaba.

— Mario, moja maleńka, przedstawiam ci twoją nauczycielkę. Nosi to samo imię, co ty. Mam nadzieję, że będzie wam dobrze razem.

— Tak, tatusiu, na pewno. Jesteś kochany. Cieszę się, że pani chciała przyjechać do nas, do mnie — chorej. *Grüss Gott*, panno Mario — mówiła słabym głosem dziewczynka.

Nauczycielka z Nonnberg jest urocza, ma piękny

głos i gra na gitarze. Dzieci barona von Trapp są wyjątkowo uzdolnione i mają również wspaniałe głosy. Chcą przy tym i grać, i śpiewać. Nie żałują ani czasu, ani trudu, by dobrze śpiewać i dobrze grać. W domu Trapp powstaje chór, któremu akompaniuje powracająca do zdrowia Maria. Kapitan jest zachwycony i włącza się w rozśpiewany zespół.

Wiosną, na łonie budzącej się przyrody, odbywa się walna narada dzieci. Przewodniczy Rupert. Poważnym głosem mówi:

— Sprawa jest ważna. Do czerwca jest niedaleko i musimy coś zdecydować. Pierwsza rzecz i pytanie: Czy każde z nas kocha pannę Marię i czy będzie jej wierny?

— Tak, odpowiadają dzieci.

— Sprawa druga: Czy każde z nas jest przekonane, że panna Maria nas kocha?

— Tak.

— Sprawa trzecia: Co zrobić, ażeby zatrzymać u nas pannę Marię?

— Niech nasz tatuś się z nią ożeni — powiedziała Maria.

— Czy wszyscy są tego zdania?

— Tak — odpowiedziało siedem głosów, w tym najgłośniej Rupert, i za chwilę cała siódemka przedstawia swój projekt ukochanemu ojcu.

— Dzieci, chętnie ożeniłbym się z panną Marią, widzę, że ona was pokochała, ale przecież nie wiem, czy ona wyszłaby za mnie, nie wiem, czy darzy mnie sympatią — odpowiedział ze spokojem kapitan. Zobaczymy, jak się sprawy ułożą — dodał i zabrał się z powrotem do swojej pracy.

Dzieci jednak nie przestawały działać. Wysłały trzy najmłodsze do panny Marii:

— Tatuś pyta, czy jest dla pani sympatyczny?

— Ależ tak, moje drogie, jest sympatyczny — odpowiedziała nie domyślając się niczego Maria i myśla nadal piękne kryształły. Dzieci odeszły z powagą i zameldowały ojcu:

— Tatusiu, panna Maria powiedziała, że tatuś jest dla niej sympatyczny.

— Z tego wniosek, że mogłaby tatusia poślubić — dokończył logiczny Rupert.

Wieczorem kapitan von Trapp zwrócił się do wychowawcy swoich dzieci:

— Panno Mario, dziękuję za to, że pani jest dla mnie tak dobra. Dla mnie i dla moich dzieci. To wielkie poświęcenie zgodzić się na poślubienie kogoś, kto ma taką gromadę dzieci — rzekł wzruszony kapitan von Trapp do układającej w wazonie kwiaty nauczycielki.

— Ja, pana, ...ja, pana poślubić? — wyjąkała Maria.

— Oświadczyły mi to w pani imieniu moje dzieci. Pani Mario, powtarzam: wiem, że to byłaby z pani strony ogromna ofiara..., ale...

— Ależ, kapitanie, za kilka tygodni wracam do mojego klasztoru, do Nonnberg, mam być zakonnicą, nie mogę wychodzić za mąż...

— Czy to ostatnie pani słowo?

— Jestem oszołomiona, nie, nie, zresztą, pojedę do Nonnberg i zapytam przełożoną. Tak, zapytam przełożoną i to, co ona mi powie, uznam za wolę Boga dla mnie.

W kilka miesięcy po tej rozmowie odbył się ślub kapitana Jerzego von Trapp z panną Marią z Nonnberg, a w rok potem przyszedł na świat Janek. Rupert i Werner szaleli ze szczęścia.

Spokój i szczęście rodziny von Trapp zakłóciła wiadomość o bankructwie banku Lammera. Rodzina Trapp znalazła się w bardzo trudnym położeniu. Część domu musiano zmienić na hotelik dla studentów; wybrano studentów uniwersytetu katolickiego. Przybyło pracy, zaczęto żyć skromniej. Chórek prosperował nadal. Nawet robił postępy, zwłaszcza, że znający się na śpiewie i muzyce ojciec Wasner, kapelan domu, udzielał zespołowi Trapp cennych wskazówek. W 1936 roku zespół Trapp zdobył pierwszą nagrodę w konkursie chórów w Salzburgu i został zaproszony ze swoimi występami do radia. Drugi festiwal w Salzburgu przyniósł niespodziewane powodzenie i zarzucił „śpiewaczą rodzinę Trapp” zaproszeniami i propozycjami już na światową skalę.

11 marca 1938 roku Hitler zajął Austrię. Śpiewacza rodzina Trapp, która odmówiła występów przed Hitlerem, musiała schronić się w Ameryce. Wybrała stan Vermont i rozpoczęła życie zwykłych gospodarzy. Nie zaniechała jednak pracy nad ulepszeniem swojego repertuaru śpiewaczego, tym bardziej, że zaproszenia sypały się ze wszystkich stron. Podróżowano chętnie, ale też chętnie powracano do własnego domu, by grabić siano, nosić cegły, karmić bydło, sadzić warzywa, jeździć i na koniu i na traktorze.

W 1947 roku kapitan von Trapp zachorował. Lekarz stwierdził raka płuc.

— Jerzy, koniec się zbliża — powiedziała zgodnie z dawną umową Maria.

Chory rozplakał się.

— Mario — rzekł — zawołaj dzieci. Chcę je błogosławić. I ciebie, moja dobra, kochana żono, matko naszych dzieci.

Przyszły dzieci. Uklękły. Kapitan uczynił napierw znak krzyża świętego na własnej piersi, a potem wyciągnął rękę i robiąc duży znak krzyża nad głową żony i skupionej przy nim gromadki powiedział:

— Błogosławię was i wasze rodziny. Niech Chrystus i Jego Matka będą zawsze z wami. Bądźcie wierni Bogu.

Gdy Maria pozostała sama z chorym, zapytała go, czy ochnie przyjmuje śmierć z ręki Boga. Odpowiedział:

— Mario, tak. Należę do Boga. Wszedłem od Niego i wracam do Niego. W Jego domu spotkamy się wszyscy.

— 30 maja 1947 roku kapitan Jerzy von Trapp przyjął jak codziennie Komunię świętą, a potem oddał duszę w ręce Ojca Niebieskiego. Meldował Mu, jak święty Paweł: „Stoczyłem dobry bój; bieg ukończyłem; wiarę zachowałem”.

A „śpiewacza rodzina von Trapp”, świadek wspańałego życia swego ojca, śpiewała nad jego trumną — bo tak sobie życzył — ulubione przez niego piosenki i przyrzekała, że będzie kroczyć jego śladami.

O FRANCISZKU XX WIEKU

Ci, którzy o nim mówili, nazywali jego i jego żonę „cudownymi ludźmi”, „Franciszkiem i Klarą XX wieku”, albo też określali ich jako zakochanych w Małej Teresie z Lisieux.

Kim byli? A właściwie, kim był Bronisław Dobrzański, bo jego żona, pani Stella, jeszcze żyje, za wcześnie więc o niej pisać. Chociaż — warto. Naprawdę warto.

Bronisław Dobrzański pochodził ze Lwowa. Był najmłodszym dzieckiem z czworga dzieci profesora greki i łaciny w gimnazjum im. Franciszka Józefa, później Stefana Batorego. Uczył się doskonale i — co ważniejsze — był wspaniałym kolegą. Razem z Tadeuszem Cyprianem i Wilhelmem Chingerem należał do uczniów, których żaden profesor nie ośmieliłby się zapytać z zadanej lekcji, to bowiem należało do „średniaków” i „trójkowych”, oni zaś byli tylko od „nowej lekcji”. Nie zawiedli nigdy.

W 1911 roku lwowskie szkoły średnie objął przywieziony z Anglii przez Andrzeja i Olgę Małkowskich ruch skautingu. Ideologia tego ruchu znalazła podatny grunt w młodzieży lwowskiej, która wyczekując wolności politycznej zdawała sobie sprawę, że musi dorosnąć do niej przez pracę nad sobą. Broniek utworzył się cały na to, co przynosił skauting. Słowa usłyszanego po raz pierwszy hymnu:

O, Panie Boże, Ojczy nasz,
W opiece swej nas miej,
Harcerskich serc Ty drgnienia znasz,
Nam pomoc zawsze chciej.

Wszak Ciebie i Ojczyznę
Miłując, chcemy żyć,
Harcerskim prawom życia, dnia,
Wiernymi zawsze być

zapadły głęboko w serce Bronka. Zastanowił się i wstał w szeregi harcerstwa. Nie wystąpił z nich nigdy. Ideałom skautingu pozostał wierny do grobowej deski. Pani Stella również.

Broniek uprawiał sport. Oczywiście „na dziko”, bo w owych czasach sport nie cieszył się aprobatą szkoły — rzekomo odciągał od nauki. Jednak plac powystawowy w parku Stryjskim, oraz boisko „Sokoła” na Łyczakowie chętnie gościło „dzikich”, ale kulturalnych sportowców, którzy z zapalem uprawiali grę w piłkę, tenis, lekkoatletykę, a w zimie saneczkarstwo. Bronka — jak zresztą wielu jego kolegów — pasjonowała piłka nożna i tenis.

„Raz — wspomina o tym jeden z zapaleńców sportu — była obowiązkowa egzorta w auli szkolnej. Nasz katecheta mówił dość długo, a tymczasem czekał nas przecież mecz piłki nożnej... Siedząc w tylnych ławkach pompowaliśmy we dwóch z Bronkiem piłkę nożną, która nagle z hukiem eksplodowała. Z trudem tylko udało nam się wówczas uniknąć wsypy”.

Broniek zdobywał większość rekordów klasowych w przeróżnych dziedzinach, wygrał też konkurs na „najpopularniejszego w klasie”, tak był lubiany i cenny przez kolegów.

Wysportowany, przejęty stylem życia skautowskiego, służył bliźniemu jak tylko mógł i potrafił. Do zdobywania sprawności harcerskich był przygotowany przez dom, przez rodziców i rodzeństwo. Kochał to swoje gniazdo rodzinne, bo władza w nim miłość, ta i łaskawa, i cierpliwa i ciesząca się ze wszystkiego, co dobre. Broniek umiał współżyć z najbliższymi, wczuwać się w ich przeżycia, pomagać, sprawiać niespodzianki, a gdy zaszła potrzeba — wziąć na siebie odpowiedzialność. Kochał wszystkich, ale najbardziej starszego o osiem lat, Staszka. Wiedział, że młody dowódca Stanisław Dobrzański był podczas I wojny światowej cięż-

ko ranny. Wiedział, że nie pozwolił sanitariuszom zaopatrzyć siebie, dopóki nie zaopatrzą jego żołnierzy. I wiedział, że umarł na polu walki z upływu krwi. Przeżył ten fakt bardzo głęboko. Wspominał Staszka zawsze jako człowieka, który za cenę własnego życia ocalił wielu i stawiał go sobie za wzór do naśladowania.

Wtedy też zrozumiał wartość życia doczesnego, jako jedynej szansy dla zdobycia życia wiecznego, szansy, której przeoczyć nie można. Zawsze żył pięknie, ale od śmierci brata imponowało mu tylko to, „co w górze jest, nie co na ziemi”, dlatego to, co czynił, było coraz bardziej przesiąknięte pragnieniem sprawiania innym radości, przy świadomym usuwaniu siebie w cień.

Imponowała mu przestrzeń, imponowały mu góry, szczyty. Mierzył daleko i wysoko. Zdobywał szczyty wiedzy, ale i te, które jeżyły się nagimi skałami — szczyty górskie. Wspinał się na nie najczęściej sam lub z kolegą, czasem w gronie dobranych towarzyszy. Czuł się doskonale z ciężkim plecakiem na ramionach, na twardej pryczy w namiocie, przy misce strawy ugotowanej na polowej kuchni, także, gdy wstawał rozspany na harcerski „alarm” o północy i gdy śpiewał przy ognisku. Miał czas na wszystko: na studiowanie języków obcych i literatury, na prowadzenie kroniczki, na wspólne modlitwy i na długie „sam — na sam” z Bogiem. Koledzy szanowali chwile samotności Bronka, często szli w jego ślady i ukierunkowywali swój program życiowy jak on na szczyty.

„Dziewczęta nie wchodziły wówczas w krąg naszych zainteresowań — stwierdzają koledzy Bronisława Dobrzańskiego — nie było dla nich miejsca wypełnionego szkołą, skautingiem, piłką nożną i rekordami w lekkoatletyce, nartami i rowerem”.

W 1915 roku, już po maturze, Dobrzański został przydzielony do artylerii konnej w Alpach. Po kapitulacji Austrii znalazł się w armii Józefa Hallera we Francji. Podczas kampanii kijowskiej był ciężko ranny. Powróciwszy w 1921 roku do Lwowa zapisał się na wydział prawa. Ze sportem nie zerwał, z harcerskimi wędrownkami również. Wędrował np. 400-kilometrowym szlakiem przez dzikie wówczas grzbieity gór

z Rabki do Skolego, rozkoszując się pięknem przyrody i niczym nie zmaconą ciszą. Nie zerwał też z kolegami. Spotykał się z nimi najczęściej podczas „czwartków” u Dudryków, u rodzonej siostry Cypriana, w Krakowie. Tam właśnie poznał druhnę Stellę Zawadowską, z którą zawarł związek małżeński.

Od tego momentu zaczęło się życie we dwoje, a raczej we troje, bo ten Trzeci nie tylko liczył się w ich małżeństwie, ale stanowił centrum ich życia. To właśnie On był właścicielem i gospodarzem „Dworku pod Matką Boską” w Puszczykówku pod Poznaniem, dworku, który przyciągał pod swój dach ludzi szukających sensu życia, albo też ludzi myślących podobnie jak oni. Do dworku, który w rzeczywistości był tylko skromnym domkiem, przyjeżdżały harcerki, tzw. „córeczki” druhnny Stelli i jej małżonka, ale trafiały do niego również dzieci sieroty i półsieroty, a także osoby, o których prawie nic nie wiadano. Ci ostatni byli najbardziej wdzięczni za to, że mogli wspólnie z innymi zakosztować „jak słodki jest Pan”.

Dobrzańscy żyli tak, jak inni ludzie, chociaż trochę inaczej. Regulamin dnia — niezależnie od pory roku i miejsca zamieszkania — przewidywał wstawanie o godzinie piątej, obecność na mszy świętej, pracę zawodową oraz służbę człowiekowi w jakiegokolwiek formie aż do późnego wieczoru. Potem w gronie domowników, często gości, spożywano wieczerzę i czytano teksty liturgiczne przypadające na następny dzień. Podczas letnich miesięcy organizowano w Puszczykówku dni skupienia, wykłady, konferencje, wycieczki i pielgrzymki piesze do sanktuariów z Górką Duchowną na czele.

Od 1937 roku Bronisław Dobrzański objął pracę w Sądzie Najwyższym w Warszawie i zamieszkał z „lepszą swoją połową” na Żoliborzu. Wynajął jeden tylko pokój, chociaż stać go było na większe mieszkanie. Zdziwionym tłumaczył, że chrześcijanin powinien być ubogi, tzn. powinien poprzestawać na tym, co jest konieczne do życia, resztę powinien rozdać tym, którzy żyją w biedzie.

Schludny, elegancki w sposobie bycia, czarująco do-

bry dla każdego, świadomie uwalniał się od wszystkiego, co mogłoby utrudnić mu zdobywania szczytów, czyli pracę nad upodobnianiem się do Jezusa Chrystusa.

Przestał grać w brydża, zrezygnował — on, mistrz Poznania — z gry w tenisa, uważał, że czekolada kupiona wyłącznie dla niego to luksus, bo Chrystus tego nie miał, bo Chrystus czeka w ubogich na chleb, na parę tenisówek, na książkę do nauki, albo na lekarstwo. Ileż to potrzeb ma Pan Jezus w ludziach! Jak często jest głodny! Łaknie chleba, ale także wiedzy, dobra, piękna, trzeba zatem uczyć, przygotowywać do egzaminów na wszystkich szczeblach i na rozmaitych kierunkach studiów, trzeba własnym przykładem ukazywać ludziom horyzonty życia i przyjaźni z Bogiem! Oni, Dobrzańscy, chociaż trochę dopomogą Panu Jezusowi. Tak: Panu Jezusowi w konkretnym człowieku. Będą urzeczywistniać w życiu program nakreślony przez Niego w ośmiu błogostawieństwach. Będą nie tylko czystego serca i ubodzy, ale również cisi, czyniący pokój i łaknący sprawiedliwości. I będą miłosierni, miłosierni bez granic. Będą też prosić o łaskę gotowości na to, by znosić prześladowania dla imienia Chrystusowego. Wszak całe życie Boga-Człowieka ma się powtórzyć w chrześcijaństwie. Całe.

We wrześniu 1939 roku kapitan Dobrzański bronił Warszawy od strony Bielan. Był dwukrotnie ranny, ale nie opuścił baterii. Przez cały czas okupacji dzielił los wielu oficerów polskich. Przebywał w oflagach w Itzeboe, w Sandbostel, w Lubece oraz w Waldenbergu.

O postawie Bronisława Dobrzańskiego z tych czasów mówią najlepiej jego koledzy z obozu:

— Kapitan Dobrzański swoją postawą oraz sposobem argumentacji wpływał uspokajająco na stan ducha wzburzonych i rozgorączczonych jeńców...

— Zadbał o utrzymywanie wojskowego zwyczaju wspólnych modlitw rannych i wieczornych...

— Dzięki jego staraniom organizowano w każdym obozie kaplicę.

— Chętnie zbliżał się do tych, którzy wyjątkowo

ciężko przeżywali doznane cierpienia. Dyskretnie im pomagał. Modlił się za nich i razem z nimi...

— On to sprawił, że po otrzymaniu strasznej wiadomości o rozstrzelaniu przez Niemców moich rodziców oraz żony spodziewającej się dziecka, nie tylko nie popełniłem samobójstwa, ale pogłębiłem swój światopogląd zawierając swoją przyszłość Bogu...

— Inicjatorem utworzenia biblioteki... był Dobrzański. Cierpiał głód, ale swoje kupony żywnościowe wysyłał do kraju nie po boczek i kaszę, ale po książki. Bo nie samym chlebem żyje człowiek, bo w obozie książka jest czasem bardziej potrzebna, aniżeli chleb...

— Kapitan Dobrzański mawiał często: Nam wprawdzie wytracono karabiny z rąk, ale nie wytracono innego oręża — modlitwy. Wierzył w jej moc... własnymi rękoma, jak prosty robotnik, przy boku księdza kapelana Postracha, buduje ołtarz..., domaga się u niemieckich władz obozowych umożliwienia praktyk religijnych... Mówił: W ołtarzu jest siła, co leczy, uspokaja i wzmacnia...

— Przy Dobrzańskim nie wolno było mówić o kimkolwiek źle, a jeśli już usłyszał, robił się poważny, jakby cierpiący i na twarzy występował mu rumieniec, usta zaciskał, milczał lub — jeśli czuł, że kogoś wyrażnie się krzywdzi — reagował spokojnie, ale natychmiast. Starał się takiego kolegę tłumaczyć i usprawiedliwiać. W każdym chciał widzieć jasne i czyste karty jego duszy. Często go nie rozumieliśmy, bo był taki inny...

— Pali się Lubeka w noc Niedzieli Palmowej 1942 roku. Mówię: Kapitanie, niech pan patrzy, jak giną Niemcy! Dobrzański nie ruszył się..., spokojnie odpowiedział: Tam giną cywilni ludzie, niewinne dzieci... Zostałem zaszokowany — jak to, my mamy żałować Niemców? Kapitanie, miałeś serce nawet dla wroga...

— Dobrzański był wyjątkowo troskliwy, miał ojcowskie serce...

— Znał kilka języków...

— Służył codziennie do mszy świętej... czasem klęczał długo, długo...

— Po wywiezieniu księdza walczył o pozostawienie kaplicy i sam prowadził nabożeństwa...

— Był wybitnym prelegentem, organizował odczyty, w tym jednaście o całunie turyńskim, prowadził wykłady, dyskusje, naukę języków obcych.

— Był duchowym opiekunem obozu, zjednywał sobie ludzi nawet o całkiem obcej ideologii i przekonaniach...

Powyższe fragmenty licznych wspomnień o Bronisławie Dobrzańskim mówią za siebie. Rozmowy o nim kończą się zwykle stwierdzeniem, że był to zwyczajny i zarazem nadzwyczajny człowiek, pełny człowiek.

Pani Stella, która pracowała w prowadzonej przez siostry zmartwychwstanki kuchni RGO, została wywieziona na roboty przymusowe do Niemiec. 24 kwietnia 1945 roku opuszczała szczęśliwie Berlin i już 29 kwietnia siedziała przed zamkniętymi drzwiami dworku w Puszczykówku czekając na swojego Broneczka.

Wrócił. Dworek był znowu otwarty dla wszystkich. „Księżę Pan” — tak harcerki nazywały męża pani Stelli — był straszliwie wyniszczony, wszak podczas ewakuacji obozu leżał pół martwy z twarzą w śniegu, gdyż wyczerpany głodem nie miał już siły, aby iść. Uratowali go koledzy, ci, którzy zdawali sobie sprawę z tego, komu zawdzięczają własne życie. Teraz w dworku przychodził powoli do zdrowia i na nowo rozpoczynał swą służbę Bogu i Ojczyźnie na wszystkie możliwe sposoby.

Wezwany do pracy w sądzie w Łodzi stawił się natychmiast i od pierwszej chwili dał się poznać jako człowiek niepospolitej inteligencji, sumienności i kultury. Poza pracą zawodową organizował odczyty i przewodniczył kościelnemu Caritasowi.

W 1951 roku powrócił do Warszawy na stanowisko prezesa Izby Cywilnej Sądu Najwyższego. Wówczas rozpoczęła się na nowo nasza — zgromadzenia sióstr zmartwychwstank — znajomość z panem sędzią i jego żoną, znajomość, której niewiele jest równych. Każda z nas w mniejszym lub większym stopniu — niektóre aż na stopniu przyjaźni — dotknęła *sacrum* w tych ludziach.

Dom, raczej skromne mieszkanie, Dobrzańskich na Nowolipiu był w stabilizującej się po okrutnej wojnie stolicy przystanią dla wielu osób szukających rady i pomocy, albo też chcących tylko wypowiedzieć się przed kimś oraz pobyć z ludźmi, ze strony których groziło im tylko dobro. Późno, nieraz bardzo późno, zamykano drzwi za ostatnim gościem. Nigdy jednak nie narzekano, nie uchylano się od służenia drugim w dniu następnym. A dzień następny — to praca prezesa Sądu Najwyższego: wydawanie decyzji, od których nie ma odwołania.

Mecenas Tadeusz Zaręba (pseudonim), który przez 13 lat korzystał z wiedzy i doświadczenia dr Dobrzańskiego, powiada, że wydawało mu się to wprost nie do wiary, by ktoś co miesiąc 3/4 swojej pensji rozdawał potrzebującym, a sam żył niewiarygodnie skromnie i dodaje: „Pierwszy raz w życiu zauważyłem stosowanie zasad katolickich na co dzień na taką skalę. A wszystko to robione było bez rozgłosu, dyskretnie, nieomal w tajemnicy”.

Sędzia Dobrzański nie posiadał nigdy dwóch służących jednemu celowi rzeczy, lepszą oddawał potrzebującemu. Córka Dobrzańskich, ofiarowując proboszczowi większą sumę pieniędzy na budowę kościoła, usłyszała: „Od pani, pani doktor, nie przyjmę ofiary. Proszę raczej pomóc rodzicom, chodzą tak skromnie ubrani”. A więc nawet ksiądz proboszcz, chociaż znał rodzinę Dobrzańskich, nie orientował się w tym, że oni podobnie jak św. Franciszek zakochali się w pani Biedzie. A kto wiedział np. o tym, że pan Bronisław w każdy piątek żywił się jedynie chlebem i gotowaną wodą, że tylko w niedzielę pozwalał sobie na kilka plasterków najtańszej wędliny oraz na tzw. lepszy obiad? Oprócz żony i córki — nikt. Nawet wnukowie nie wiedzieli o tym, bo od nich przyjmował czasem po czekoladce. Kochał ich bardzo, a oni przepadali za dziadkiem, który potrafi moknąć na deszczu, gdy grali w piłkę, by cieszyć się razem z nimi ich sukcesami i udzielać im fachowych rad.

O stylu życia Dobrzańskich mówi m. in. fakt jeszcze z czasów poznańskich. W salonie domu przy ulicy Po-

plińskich 5a wisiał cenny obraz cierpiącego Chrystusa. Pewnego dnia zniknął. Zainteresowanym wytłumaczono: „Nie, pieniądze nie nam były potrzebne, inni ludzie koniecznie potrzebowali wsparcia. A ten obraz? Prawda, że kiedyś mówił nam o Bogu, ułatwiał modlitwę, ale to jest tak: gdy Bóg pozwoli człowiekowi posunąć się nieco bliżej, to już pomoc sztuki jest niepotrzebna, odrzuca ją, jak uzdrowiony kaleka kule i o własnej już sile, czy raczej przy wsparciu Bożym, idzie naprzód”.

Jako prawnik Bronisław Dobrzański znany jest wszystkim, którzy zajmują się cywilistyką w Polsce. Był on autorem pierwszego po wojnie komentarza do *Prawa rodzinnego* oraz idących w setki glos i recenzji, współredaktorem i współautorem komentarzy do *Kodeksu rodzinnego i opiekuńczego*, *Kodeksu postępowania cywilnego* oraz członkiem Komisji Modyfikacyjnej.

W centrum jego zainteresowań prawniczych leżały sprawy rodziny: wzajemne obowiązki rodziców i dzieci, sprawy alimentacji, adopcji oraz sprawa zrównania w prawach dzieci pozamażeńskich.

Sędzia Dobrzański nigdy nie orzekał w sprawach niezgodnych z jego sumieniem i przekonaniem. Prawo ludzkie w jego interpretacji i orzecznictwie zawsze było odbiciem prawa Bożego.

Posiadał niebywały zasób wiedzy, wieloletnie doświadczenie, oraz tzw. „trzecie oko”, które pozwalało mu na błyskawiczne odkrywanie błędów i bezbłędne rozwiązywanie najbardziej zawiłych spraw. A jednak opracowując glosy do nie najcelniejszych wyroków Sądu Najwyższego czynił to w sposób tak taktowny, że niemal tłumaczył krytykowanego.

Odznaczał się wspaniałym poczuciem humoru. Rozmowa z nim sprawiała przyjemność, bogaciła rozmówcę, toteż ludzie lgnęli do niego i odpoczywali przy nim psychicznie, odchodzili odrodzeni, młodszy, pełni zapału do pracy nad ulepszaniem siebie.

Sędzia Dobrzański był człowiekiem wiary, był do prawdy „ubogi duchem”, toteż nie mędrkował, lecz stale pogłębiał swą wiedzę religijną przez lekturę Pisma

świętego, słuchanie kazań, konferencji i wykładów, przede wszystkim jednak przez kontemplację Boga w Jego Trzech Osobach. Szedł do Niego razem ze swą uroczą żoną tak cicho jak Maryja, jak Poverello, syn Piotra Bernardone, oraz kwiat ziemi umbryjskiej — Klara Sciffi. I — jak Mała Teresa z Lisieux.

Szedł radośnie i ciągle dziękował Bogu za wszystko, co go spotyka. Widać było, że żyje w przyjaźni z Bogiem, w coraz większej, bliższej z Nim zażyłości i zarazem wielkim uniżeniu przed Nim.

Opowiada pani Stella, że wybierając się kiedyś do spowiedzi powiedziała: „Broneczku, z czego ty się będziesz spowiadał? Żyjesz uczciwie, nie tylko nie grzeszysz, ale naprawdę żyjesz, jak święty, przecież wszyscy to widzą”. Odpowiedział serdecznie: „Z zarozumiałości, moja droga”.

Sędzia Dobrzański posiadał świadomość tego, że przerasta otoczenie pod wieloma względami. Obawiał się choćby cienia pychy, obawiał się, by nie sprawić Bogu przykrości przywłaszczeniem sobie jakiegokolwiek daru Bożego, bo wszystko uważał za dar, za łaskę. Czuwał nad tym, by nie zgrzeszyć *per omissionem* — „przez pominięcie” tego, co można uczynić. Wiedział, że potrzebna mu jest łaska szczególna do życia w takim stylu, wierzył w słowa Chrystusa „Beze mnie nic uczynić nie możecie” i wierzył w szczególną moc łaski sakramentu pojednania, sakramentu przemiany. Cała jego pobożność była wybitnie paschalna.

Przepiękny był stosunek Dobrzańskiego do władzy duchownej. Żywił dla niej głęboką cześć i okazywał jej pełne posłuszeństwo. Często, gdy ograńczone dyskutowano, mawiał: *Roma locuta — causa finita*, Rzym powiedział — sprawa skończona, i pierwszy podporządkowywał się temu, co sobór lub episkopat zarządził. W szczególniejszy sposób cenił i miłował kardynała Stefana Wyszyńskiego, prymasa Polski. Uważał go za człowieka opatrnościowego dla Kościoła w Polsce i dla Polski, i codziennie modlił się w jego intencji. Wspierał episkopat swoim doświadczeniem prawniczym, pomagał w pracy duszpasterskiej, był organizatorem pielgrzymek prawników na Jasną Górę.

Nic nie zapowiadało końca. Pan sędzia nadal, chociaż był na emeryturze, pracował zawodowo po 7—8 godzin dziennie. Oczywiście — za darmo. To za mało powiedzieć „za darmo”. On był wdzięczny i czuł się dłużnikiem tych, którzy chcieli, by im pomagał. Płacił im za to modlitwą i uśmiechem, który budził w człowieku to, co w nim najlepsze, uśmiechem, którego zapomnieć nie można.

Tylko pani Stella wiedziała, że serce jej męża daje znać o sobie, że przydałby się „Księżciu Panu” wypoczynek. On jednak nie skarżył się nigdy, nie wymagał i nie pozwalał sobie na żadne ulgi i przywileje, lecz służył, służył, służył. I — modlił się.

Rok 1975 był wyjątkowo trudny dla Dobrzańskiego, zwłaszcza jako prawnika. Powoli wyczerpywały się siły fizyczne, pozostawała, owszem potęgowała się, bezgraniczna ufność i miłość Boga, którego ukochał, któremu służył i do którego był coraz bardziej podobny.

W pierwszy piątek miesiąca lutego 1976 roku sam poprosił księdza Tadeusza Fedorowicza o udzielenie mu sakramentu chorych. 22 lutego wymadlał sobie przed cudownym krucyfiksem w katedrze warszawskiej łaski potrzebne na chwilę śmierci. Był świadomy, że odchodzi, był gotowy i spokojny. Pracował, jak zwykle i był uroczo dobry.

Odszedł cicho w nocy w piątek 27 lutego tegoż roku.

„DZIEWCZYŃKA”

Było ich szesciu. Nie mogli odżałować, że nie mają siostry. Znaleźli wyjście: co tydzień jeden był „dziewczynką”. Nazywał się wtedy Krzysią a nie Krzysiem, Stasią, a nie Stasiem, Janką, a nie Jankiem, Marysią, a nie Mańkiem, Cesią, a nie Cesiem, Kazią, a nie Kazikiem. Tygodniowa „dziewczynka” miała przywileje udzielnej księżnej. Należało być w stosunku do niej wyjątkowo uprzejmym i usłużnym, wypadało w jednym ją wyręczyć, koniecznie bronić w razie potrzeby i koniecznie zrobić jej jakąś niespodziankę. „Dziewczynka” obowiązana była grać swoją rolę naśladowując w czym się dało mamę. A mamę warto było naśladować.

Mama była cudowna. Nikt nie miał takiej mamy! Jeszcze dzisiaj, patrząc na jej portret, powtarzam: niezrównana! Była głową domu, chociaż podkreślała często, że jest nią ojciec, była sercem rodziny i sumieniem każdego z nas. Wciąż się słyszało: „Zapytaj mamę!”. „Nie rób tego, mama mówiła, że nie wolno!”. „Idź, przyznaj się mamie, na całe życie będziesz wiedział, jak należy postąpić w podobnym wypadku”, albo, „Jak możesz grać, skoro wiesz, że mamę boli głowa?” itp. Nawet ojciec (a może on pierwszy?), liczył się tak z mamą. A stara Kuszczakowa, niania ojca i nasza, mówiła często: „Takiej pani, jak nasza, to szukać z lampą w biały dzień, ale i pan jest mądry, synowie patrzą na niego, dlatego nie trzeba kija”.

Uczyliśmy się dobrze, choć mówiono, że moglibyśmy mieć same „piątki”, ale to było niemożliwe. Mieliśmy przecież 100 pomysłów na godzinę i to każdy. Nie znaleźliśmy ani kija, ani pasa, ani krzyku. Nawet wtedy, gdy poduszki z sofy i kanapy zamieniały się

w pociski, a jeżdżące na kółkach fotele w pojazdy armatnie i gdy siedząca na stole-twierdzy „dziewczynka” porywana przez szturmowców, wrzeszczała w niebogłosy, wystarczyło spojrzenie fiołkowych oczu mamy z uchylonych drzwi albo zawołanie taty: „Dalej z branką do ogrodu, bo wam ją odbiję”.

Pomagaliśmy także w domu, w zimie odmiataliśmy śnieg, w lecie pracowaliśmy w ogrodzie. Stale nosiliśmy z piwnicy drzewo, węgiel, kartofle, a ze sklepu chleb, cukier i mąkę.

Absorbowały nas także tzw. zajęcia awaryjne, a więc kiszenie ogórków, kapusty, zwózka węgla, gruntowne sprzątanie, czasem jakiś wyjazd lub wizyta.

Opiekowaliśmy się też staruszką, panią Izabellą, nazywaną przez nas ciocią. Straciła wszystkich i wszystko, chcieliśmy chociaż w części zastąpić jej tych, których opłakiwała.

Mieliśmy jeszcze pod opieką głuchoniemego żebraka, którego przezywano „Juppy” i siedmioro dzieci naszej praczki, pani Kwiatkowskiej.

Chodziliśmy z mamą do baraków na Hyclówce, pomagaliśmy przy urządzaniu festynów, oraz innych imprez na budowę kościoła. Najstarszy prowadził domową bibliotekę i był „dyrektorem” domowego teatru. Należeliśmy do harcerstwa, do koła krajoznawczego i do Sodalicji Mariańskiej, grywaliśmy na instrumentach muzycznych i nie obcy był nam sport.

Nie, naprawdę nie było czasu na wykuwanie „piątek”, tym bardziej, że książki z półek same wpadały w ręce i człowiek czytał, zwłaszcza że był „dziewczynką”.

Kiedys „Kazia” orzekła, że mogłaby do końca życia pozostać dziewczynką. „O! co to, to nie!” „Stworzył cię Pan Bóg mężczyzną i koniec” — zdecydowaliśmy wszyscy. Ale nie zrezygnowaliśmy z naszej rodzinnej zabawy — zwyczaju. Nawet gdy trzej najstarsi pojechali na studia, listy od nich adresowane były na „Dziewczynkę”.

Gdy najmłodszy skończył lat czternaście, mama zapytała, czy nadal będzie w domu „dziewczynka”, „Ma-

mo! jakżebym mógł przestać być córeczką?" — pośpieszyła z odpowiedzią „dziewczynka” z zarostem.

I tak już zostało.

Nie wiem, czy to było dobre, czy nie. Wiem tylko, że gratulowano rodzicom i zapytywano ich nieraz, co robią, że chłopcy są „i do tańca i do różańca” i że mają taki sposób bycia, jakby ukończyli szkołę królewską w Londynie.

Wiem też, że nasze żony na nas nie narzekają i że nasi rodzice mają obecnie nie pięć synowych, ale pięć ukochanych i kochających córek.

Pięć, nie sześć, bo ja jestem księdzem.

PAŃSTWO KOPYDŁOWSCY

Zanim wypowiedzieli przed ołtarzem: „Ślubuję ci miłość, wierność, uczciwość małżeńską oraz to, że cię nie opuszczę aż do śmierci”, byli parą narzeczonych, przedtem studentami, a jeszcze przedtem nieznanymi sobie dziećmi, które, jak inne, bawiły się w lecie w piasku, a w zimie lepiły bałwana.

Rozpoczęli życie we dwoje, potem było ich troje — i wtedy przyjechała mama — potem było ich pięcioro, a po latach dziesięciu dziewięcioro. Każde z sześciorga było oczekiwane, witane z radością, i było najpiękniejsze, najmądrzejsze, jedyne na świecie.

Pracowali oboje. Ona jako psycholog, on był specjalistą od mechaniki precyzyjnej. Ich doba miała tylko 24 godziny jak każda, mimo to wystarczała, by zająć się dziećmi, domem, pracą zawodową i sobą. Dbali o siebie, o swoją miłość. Wiedzieli, że kwiat nie podlewany więdnie, dlatego pamiętali o swoich imiennach i urodzinach, o imieninach i urodzinach swoich dzieci, a już najuroczyściej obchodzili wydarzenia związane z osobą nieocenionej mamy. Miłość ich wzrastała i jak róża rozwijała coraz to nowe płatki, urzekając swoją świeżością ich samych, kolegów, a nawet przechodniów na ulicy, którzy niejednokrotnie głośno się wypowiadali: „Ci kochają się prawdziwie”.

Było to prawdą. Z ich twarzy, sposobu odnoszenia się do siebie, do dzieci, do innych ludzi, biło szczęście oparte na harmonii serc. Czuli się, że stworzeni są dla siebie, że ich miłość mocna jest jak śmierć. Dlatego okręt ich życia płynął spokojnie, nawet gdy fale były wzburzone i groźne. We dwoje da się znieść niejedno, można wywalczyć wiele, i najważniejsze — z otwartym czołem stawać przed ludźmi, a także przed Bogiem. Właśnie poczucie spełnionego obowiązku na

linii przez Boga wytyczonych zadań życiowych daje pokój i szczęście.

A zadania życiowe państwa Kopydłowskich nie były łatwe. Nie tylko dlatego, że zaczynali swoje życie w powojennej Warszawie bez mieszkań, światła i wody, bez prosperujących dobrze instytucji, bez znajomych i bez najbliższych, bo pochłonęła ich wojna. I nie tylko dlatego, że zbolełą mamę trzeba było długo przekonywać, że warto żyć, i warto wrócić do zrujnowanej stolicy, by zacząć życie na nowo. Nie tylko dlatego, ale przede wszystkim dlatego, że wśród budzącego się życia pełzały po gruzach błędne teorie o miłości, o wartości uczciwego życia, prawdy i sprawiedliwości. Byli tacy, którzy jak za króla Sasa, chcieli tylko „jeść, pić i popuszczać pasa”. Inni byli przekonani, że stawianie przez nich na wszystko, czego nie było przed wojną, że *veto*, jak kopernikowska teoria wstrzyma bieg wydarzeń. Innym jeszcze wciąż się wydawało, że nie wyjdą z lat młodzieńczych, i nie robiąc nic, wołali głośno: „Do nas świat należy”. Ale — tylko wołali.

Tych, którzy spokojnie rozpalali na dymiących jeszcze zgliszczach swoje ogniska, by grzać się samemu i drugiemu użyczyć światła i ciepła, było niewiele. Ale z tych niewiele powstały tysiące i setki tysięcy. O nich historia napisze, że byli prawdziwymi Polakami.

Do tych niewiele należeli państwo Kopydłowscy. Codziennie szli do pracy, codziennie przychodzili obładowani prowiantem, sprząтали, stawali przy balii do prania bielizny, rozmawiali i bawili się ze swoimi pociechami, a gdy już ucichło w domu, klękali do modlitwy. Wtedy dziękowali Bogu za to, że są młodzi, że mają mamę, która ich rozumie, że dzieci są zdrowe, za to, że córka sąsiadki otrzymała awans, i za to, że im już wkrótce obiecano większe mieszkanie.

I tak upływały lata. W szufladzie biurka rosła gromadka świadectw szkolnych, a na głowie pani Danusi i pana Mietka wyrastały siwe włosy.

A teraz? Teraz jest ich znowu tylko troje. Mama odeszła do nieba po nagrodę. Stefan leczy dzieci w zakładzie pod Warszawą. Agnieszka po studiach psychologii zamknęła za sobą furkę klasztorną. Krysia i Ja-

gusia mieszkają we Wrocławiu. Czasem telefonują albo krótko zawiadamiają o tym, co się u nich dzieje w domu, np. że w tym dniu, w którym przyszedł na świat Włódzio, jego tato zrobił doktorat, albo że Marysia po raz pierwszy występowała na scenie dziecięcego teatryku. Jagusia wyjedzie prawdopodobnie z mężem na placówkę dyplomatyczną. Niech jedzie — jest mądra i dzielna, poradzi sobie. Przedtem oczywiście przyjedzie do domu.

Dom państwa Kopydłowskich bowiem nie przestał być domem dla dzieci, które z niego wyfrunęły, owszem, stał się domem dla ich domów, dlatego Wojtek tak chętnie przyjeżdża ze Szkoły Morskiej w Gdyni do swojego domu i dlatego Hania nie spieszy się, by ten dom opuścić. „Gdzie mi tak dobrze będzie, jak u mamy i tatusia” — mówi, gdy Łukasz pokazuje na zaręczynowe pierścionki i przynagła, by zacząć życie we dwoje w przygotowanym przez niego mieszkaniu.

Pani Danusia uśmiecha się, rada by zatrzymać Hanię przy sobie, ale przecież wie, że byłby to egoizm, bo młodzi mają prawo odejść. Zresztą, małżeński start rozpoczyna się najlepiej we dwoje i na „własnych śmieciach”. Dobrze, że nie będą mieszkać tak daleko, że w tym samym mieście.

Czy się państwu Kopydłowskim nudzi? Nie! On jest opiekunem społecznym dzielnicy, ona prowadzi akcję charytatywną w parafii. Mają nadal wiele pracy, problemów, trudności, najważniejsze jednak jest to, że czują się potrzebni, że mogą pomagać ludziom, dzieląc się z nimi swoim doświadczeniem i — sercem.

Mieszkańcy bloku stojącego naprzeciwko widzą w dalszym ciągu, że oboje państwo Kopydłowscy każdego wieczoru klękają przy łóżku, by się modlić. Jak się modlą, tego nie wiedzą. Na pewno dziękują Bogu za wspólnie przeżyty szmat życia, za zdrowie, za dzieci i wnuki, za kwiaty na ziemi i gwiazdy na niebie i za to, że jest tyle dobrych ludzi na świecie.

A poza tym? Ufnie patrzą w przyszłość, która zwie się starością, wszak we dwoje i ją się przeżyje.

We dwoje?

Nie, bo przecież jest zawsze jeszcze On, Bóg.

BABCIA

To właściwie takie proste i zwyczajne, że nie widzę potrzeby, by o tym pisać. Może jednak...

Była bardzo przystojna i dobrze wychowana. Wyszła szczęśliwie za mąż, cieszyła się córeczką. Po pięciu latach małżeństwa została wdową. Zdawało się, że nie przeżyje tego ciosu. Przeżyła. Drugi raz za mąż nie wyszła. Doksztalciła się na kursach — a nie była to sprawa tak łatwa jak dzisiaj — i zaczęła pracować na własne i dziecka utrzymanie. Twarde życie wyręło bruzdę na jej czole, ale nie zgasiło blasku pięknych oczu i delikatnego uśmiechu na twarzy.

Z radości, które niesie życie, największą była ta, gdy córka uzyskała dyplom maturalny i gdy w dwa lata potem stanęła na ślubnym kobiercu z młodym właścicielem sklepu w jednym z kresowych miast. Nie mogła oderwać oczu od tych swoich dzieci. Wyglądali tak pięknie! Ona — sobowtór matki, on — wysoki brunet o twarzy anioła pędzla Wyspiańskiego. A przy tym był tak dobry! Mogła spokojnie powierzyć mu swoją jedyną, najdroższą Jagusię.

Wojna 1939 roku pozbawiła młodych majątku, ale nie szczęścia. Nawet, gdy musieli uciekać i ukrywać się z malutką Małgosią i nawet wówczas, gdy dowiedzieli się, że oboje są chorzy na gruźlicę płuc, byli szczęśliwi.

Małgosię zabrała babcia do siebie, a oni — lecząc się wciąż intensywnie — startowali na nowo otwierając sklep na Ziemiach Odzyskanych. Małgosia rosła, a gdy skończyła lat siedem, przyszedł na świat upragniony syn. Cóż? nie miał nawet dwóch lat, gdy razem z siostrzyczką został oddany na stałe pod opiekę babci, gdyż stan zdrowia rodziców nie pozwalał na przebywanie dzieci w domu.

Jak pani Z. radziła sobie w tej sytuacji? Wszak było to zaledwie w kilka lat po wojnie, w mieście leżącym w gruzach.

Poznałam panią Z. dopiero wówczas, gdy Małgosia zdała do liceum, choć Małgosię widywałam często w szkole podstawowej. Miała zawsze bardzo starannie uprasowany fartuszek, śnieżno biały kołnierzyk i piękne wstążki w kruczych warkoczach.

W liceum było podobnie, tylko, że Małgosia sama dbała o swój wygląd, gdyż babcia musiała zająć się wnukiem, pierwszoklasistą. Widać było jednak, że czuwa troskliwie nad każdym szczegółem życia wnuczki i że ma nie tylko ciepłą, ale i mocną rękę. Małgosia, nie mając nigdy niższej oceny od „piątki” i „czwórki”, uczęszczała równocześnie do szkoły muzycznej i uczyła się pilnie obcego języka. Jaś był dobrym i zdyscyplinowanym uczniem, a przy tym niezłe kopał piłkę w klubie sportowym.

Pani Z. pracowała, awansowała i odbywała co dwa tygodnie podróże, by odwiedzić córkę i zięcia w szpitalu, bądź też w jakimś sanatorium. Podczas wakacji, jeżeli chorzy przebywali w domu i gdy lekarze pozwalali na to, babcia zawoziła wnuki, by chociaż trochę byli przy rodzicach. Sprzedawała, co tylko mogła z „niepotrzebnych” rzeczy, zadłużyła się, robiła wszystko, by ratować swoją jedynaczkę i jej męża. Niestety nic nie pomogło.

Gdy Małgosia uczęszczała do IX klasy, stałam z nią nad trumną jej ojca. W niespełna dwa lata spuszczone do tego samego grobu trumnę jej matki. To Babcia sprowadziła śmiertelne szczątki swoich dzieci do rodzinnego grobu, by ich dzieci mogły się przy nim modlić.

Pani Z. zajmowała kierownicze stanowisko w jednej z bibliotek i zdobyła tak wspaniałą opinię, że gdy w późnym wieku miała przejść na emeryturę, proszono, by zechciała służyć nadal swoim doświadczeniem młodszemu pracownikom. Pożegnała bibliotekę na stałe, gdy miała lat 72.

I wtedy stało się coś, o czym pani Z. nigdy nie pomyślała. Jej ukochana wnuczka, po ukończeniu medy-

cyny i po kilkuletniej pracy w szpitalu, oznajmiła Babci, że wstępuje do klasztoru.

Nie, tego pani Z. nie przewidziała. Poruszyła wszystkie instancje kościelne i państwowe. Co prawda zdawała sobie sprawę z tego, że pełnoletnia osoba ma prawo decydować o swojej przyszłości, zwłaszcza, gdy osoba, co do której ma się pewne zobowiązania, jest zabezpieczona materialnie i moralnie. A tak przecież było. Pani Z. otrzymała wysoką emeryturę, cieszyła się dobrym zdrowiem i mieszkała razem z świetnie zapowiadającym się wnukiem. Mimo to postanowiła nie dopuścić do przekroczenia furty klasztornej przez Małgosię. Moja wnuczka należy do mnie, a nie do Boga — mówiła w gniewie.

A przecież Bóg pomagał jej przez całe życie, przecież Jemu zawdzięczała to, że wnuczka się nie zaraziła gruźlicą i wyrosła na porządnego człowieka.

Zadne perswazje nie pomagały, toteż dr Małgorzata opuściła pewnego dnia bez pożegnania dom swojej babci, by zamieszkać odtąd w domu Pańskim — w klasztorze.

Babcia walczyła niestrudzenie, ale bezskutecznie, gdyż Małgorzata trwała niewzruszenie w przekonaniu, że Bóg pragnie mieć ją w klasztorze, a nie na świecie. Walka trwała lat osiem, mimo, że Małgosia, korzystając z dyspensy, bywała codziennie w domu babci i pomagała jej w czym tylko mogła.

Aż przyszedł dzień, w którym siostra Małgorzata powiedziała ukochanej babci, że wyjeżdża do domu nowicjatu, by przygotować się do złożenia ślubów wieczystych. Uklękła i poprosiła o błogosławieństwo. Pani Z. zwarła się w sobie, przez chwilę jakby zaniemówiła, ale potem podniosła rękę i uczyniła wielki krzyż nad głową wnuczki w habcie, wymawiając uroczystym głosem: „Błogosławię Cię w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Bądź dobrą zakonnicą”. I przytuliła swoją Małgosię tak, jak dawniej.

Siostra Małgorzata płakała ze szczęścia, Jaś też nie ukrywał łez, a babcia uśmiechała się dobrotliwie i zaczęła krzątać się około dobrej kawy, chcąc ukryć błyszczące łzami oczy. Przy pożegnaniu powiedziała z mo-

ca: „Uklęknijmy. Teraz ja i ty, Jasiu, oddajmy naszą Małgosię Matce Bożej”. I zaczęła wolno: „Pod Twoją obronę...”.

Jaś, kończąc opis tej sceny w jednym z listów do mnie, stwierdził z zachwytem:

„Nasza babcia nigdy nie była tak piękna, jak wtedy. To była piękność Abrahama i matki synów Machabejskich. Wydawało mi się przy tym, że w całym pokoju igrają jakieś blaski i że coś gra. Pomyślałem sobie, że to Pan Bóg zlewa na nas swoje «uśmiechy». Zaprosiłem Małgosię do pianina i zaczęliśmy grać na cztery ręce coś, czego nikt nigdy nie słyszał, ale co się bardzo podobało babuni”.

Małgosia ofiarowała na wieczność siebie nade wszystko umiłowanemu Zbawicielowi i Jego Niepokalanej Matce. Pracuje w swoim zawodzie i jest szczęśliwa.

A Jaś? Jaś ożenił się i obdarzył panią Z. trojgiem rozświetlonych prawnucząt. Jest też szczęśliwy.

Pani Z. ukończyła 81 lat. Napisała do mnie, że właściwie nie wie, czy zdoła podziękować Bogu za tak piękne życie.

Zapomniała na chwilę, że właśnie na to jest cała wieczność.

W NASZYM DOMU

Na zbiegu dwóch ruchliwych ulic wielkiego miasta zobaczyłam coś niesamowitego. W gronie rozkrzyczanych kolegów człowiek liczący może lat siedemnaście, może dwadzieścia, zdejmował ostatnią część bielizny ze siebie i prezentował swoją nagość. Zawróciłam, zrobili to samo inni ludzie, uważając, że z podpitymi lepiej nie zaczynać.

Szłam do domu z torbą pełną zakupionych prowiantów, by wziąć się do gotowania obiadu, bo Magda wróciła już ze szkoły, a mąż i chłopcy przyjdą za godzinę.

Magdusia skończyła obieranie ziemniaków, wzięła się do płukania sałaty i pyta, czy zrobimy obiecane kotlety.

— Nie, Madziu. Ugotujemy jajka. Damy po dwa, a nawet po trzy, bo teraz są najtańsze. Nie mam siły dzisiaj na skomplikowany obiad. Dobrze, że zupa jest gotowa. Na trzecie zrobimy budyń. Wstawimy do zimnej wody, będzie dobry.

— Czy mama jest chora? Proszę się położyć na chwilę. Ja sama zrobię, co potrzeba. Zresztą wciągnę do pomocy tego, kto przyjdzie pierwszy. Mama wie, że potrafię.

Posłuchałam i położyłam się. Głupie łzy zaczęły spływać mi po twarzy. Nie mogłam otrząsnąć się z przeżycia. Myślałam. Przecież ten chłopak jest w wieku moich synów. Przecież on też ma ojca, matkę... Gdybym podeszła bliżej, możebym go poznała... ale dobrze, że nie wiem, kto to, dobrze... Biedny chłopak. Nie ma nic innego do zaprezentowania i — jeżeli nie przestanie nadużywać alkoholu — nie zdobędzie się na nic wartościowego, zmarnuje się...

Mąż i Darek weszli razem do mieszkania.

— Gdzie mama? — pytają równocześnie.

— Poleciałam mamie położyć się. Złe się czuje. Darek mi pomoże, a tatuś, proszę, niech nakryje cichutko do stołu. Tatuś wie, że jak mamy nie ma, to ja rządę, nawet tatusiem — i pocałowała ojca w policzek, zanim zdołał coś powiedzieć.

— Madziu, ile mam wlać wody do tego budyniu?

— Ciężko myślisz dzisiaj. Masz wlać wodę nie do budyniu, tylko do zlewozmywaka i wstawić salaterkę z budyniem, by ostygł.

— Czekał, zapiszę. Albo na drugi raz postaram się o magnetofon i nagram rozkazy jaśnie panienki. No i co mam jeszcze zrobić?

— Pokroić chleb do koszyczka. Tylko kromki, nie pajdy. Podaj tatusiowi sól, pieprz, cukier i serwetki. Z mojego stolika przestaw kwiaty na stół.

— A co to, czy święto dzisiaj?

— Nie, ale chcę, ażeby było ładnie, by mama się cieszyła.

— Madziu, ten nasz Kazik mądry, zawsze przyjdzie na gotowe. Gdzie on siedzi tak długo?

— Właśnie idzie. Tylko on tak starannie wyciera obuwie. Dzwoni, otwórz mu. Mówcie cicho.

— Madziu, zobacz, czy dobrze stół ubrany — pyta szeptem ojciec.

— Ach, tatusiu! Mógłby tatuś być ochmistrem na dworze króla Ludwika XIV. Tylko, tatusiu, stół się nakrywa, a nie „ubiera”. Proszę jeszcze przygotować talerzyki na budyń, dzem porzeczkowy w dwóch kompotierkach oraz szklanki do herbaty. Zrobię świeżą. Taką, jak tatuś lubi. A może kawę? Zgoda? Niech dziś będzie kawa. Mamusi też się przyda na ból głowy. Kawa, proszę państwa! Zresztą, dzisiaj ja tu rządę!

— A kiedy będzie obiad? Myślałem, że już na stole — pyta Kazik i dodaje: Co to, jajka? To żadna robota, też potrafię!

— Przekonamy się. Na drugi raz przygotujesz taki obiad. I pamiętaj, że gdy będziesz dyrektorem Hollywood to nakręcisz kilka filmów z prawdziwego zdarzenia, takich, wiesz, z kuchnią, gotowaniem obiadu itp.

— Już kręcę. Uwaga! Zaczynamy! Scena pierwsza: Magda w uroczym fartuszkun leje śmietanę na saiatkę. Druga: Tatusz wnosi zupę do pokoju. Trzecia: Ty nie umiesz sobie poradzić z budyniem. Potem — rodzinka przy stole, zjadamy z apetytem, ty oblizujesz łyżeczkę, mama mówi, że nie wolno... jest nam dobrze, śmiejemy się... Potem...

— Potem, ty zmywasz naczynia. Ale nie na filmie, tylko w rzeczywistości — skonkretyzowała Magda.

— Ja?

— A kto? Królewicz? Krasnoludki? — zacierziewia się Darek.

— No właśnie, królewicz Kazimierz — rozładowuje sytuację Magda.

— Ale wycierać nie muszę?

— Darujemy ci, niech obeschną na drabince.

— Ja pozmywam, odpoczęłam — odezwała się niespodziewanie mama wchodząc do pokoju.

— O, co to, to nie, mamusiu. Właśnie dzisiaj mamusia nie otrzyma żadnego przydziału pracy. Kazio zmywa! Przecież ja tu rządę do 10 wieczór!

Proszę wszyscy krokiem poloneza do stołu. Obiad pierwszej klasy: zupa z makaronem, sałata z witaminami, nawet jajka bez skorupki, by się państwo nie męczyli. No i potem budyń, a na zakończenie — kawa!

Zobaczę, czy ziemniaki gotowe. Nie zapomnijcie się przegnać. Zresztą — baczność!

— W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Pobłogosław, Panie Boże, nas i te dary, które z Twojej dobroci spożywać mamy...

— I tych, którzy je przygotowali — wtrącił ojciec...

Przez Chrystusa, Pana naszego. Amen — dokończyła Magda i poszła do kuchni.

Jedząc zupę tatusz zaczął głośno myśleć:

— Co to z tej dziewczyny będzie? Ma trzynaście lat, a rządzi, rozkazuje i w domu i w szkole, każdego zatrudni. I ma zawsze dobry humor.

— Zaraz tatusiowi powiem, co to ze mnie będzie. Oczywiście królowna. Najpierw będzie koronacja, potem intronizacja, potem hołdy i — Kazik, jak to się

nazywa? już wiem — obediencji, potem wspaniały bal, podróż poślubna, potem...

— Gotowanie zupy grzybowej, obieranie ziemniaków, studzenie budyniu... — dodał Darek.

— I picie dobrej kawy, którą zaparzy dobra córka — ciągnął ojciec.

— I zmywanie naczyń przez dobrego syna. A mama, wtedy „królowa-matka”, będzie naprawdę bez przydziału pracy. A tatuś, „król-ojciec”, zrobi wreszcie doktorat z pinezkologii (pracował w fabryce, gdzie wyrabiano pinezki) i udowodni, że żaden klej tak nie trzyma — paplała Magda,

— Jak miłość — dokończył ojciec i poprosił o „pół czarnej”.

Roześmialiśmy się głośno. Darek zbierał naczynia, Kazik brał się do zmywania.

A ja? Nie powiedziałam nic. Pomyślałam tylko, że moi chłopcy nie zrobiliby czegoś podobnego, jak ten na rogu ulicy. I zaczęłam się w duszy modlić, by nigdy żadna matka nie musiała się wstydzić za swoje dzieci. I jeszcze jedno: mój mąż wydał mi się dzisiaj wyjątkowo ładny.

LUSIA

Był taki dzień, w którym poczta przyniosła mi list następującej treści:

„Ukochana!

Jeżeli ty jesteś Marysią Szukowską i mieszkałaś w P. przy ul. Sapieżyńskiej razem z bratem i siostrami Zosią i Kamilą, napisz do mnie. Jestem Lusią Kapreckiewicz. Mój adres: Koszyce, ulica Szkolna 5, Czechosłowacja. Przyjadę. Ty jedna mi pozostałaś.

Twoja Lusią”.

Nadałam telegram:

„Lusiu najdroższa, przyjedź, oczekuję Ciebie z radością

Twoja Marysia Sz.”.

Przyjechała z starszym panem i dwuletnią dziewczynką. Wnuczka — pomyślałam.

— To mój mąż, a to nasza córeczka, Jagódka — rozpłakała się i nie mogła już mówić.

Dałam jej lekarstwo i położyłam w drugim pokoju. Jagódka wypila mleko i też usnęła na łóżeczku moich wnucząt. Mąż powiedział mi grzecznie, że będzie załatwiał sprawy w mieście i wróci wieczorem. Lusią za godzinę powinna być już w formie, a Jagoda potrafi spać od trzech do czterech godzin.

Wobec takiej sytuacji wzięłam się do wykończenia obiadu. Po półtorej godzinie zajrzałam do Lusi. Otworzyła oczy, uśmiechnęła się.

— Marysiu, czy to ty? Naprawdę ty? Straciłam nadzieję, że cię odszukam. I patrz, wracałam z pracy bar-

dzo zmęczona i smutna. Czekaając na zielone światło spostrzegłam obok siebie kobietę jeszcze bardziej smutną i spontanicznie zapytałam ją po czesku — czy nie potrzebuje pomocy. Owszem, odpowiedziała po polsku, gdyż nie ma gdzie przemocować jednej nocy. Zaprosiłam ją do siebie. Chciała się odwdziaczyć. Powiedziała jej o tobie. Odnalazła twój adres, przysłała. I jesteśmy razem... Już nikt nie żyje. Ojca wykończyli na miejscu, to wiesz. A mamę i Henryka wywieźli. Ślad po nich zaginął...

Przymknęła oczy i dopiero po chwili zaczęła:

— Ja nie posłuchałam ciebie, ani twojej mamy i pojechałam z nim na koniec świata. Zabrał wszystko. Trzy pełne wagony. Ale to nie ważne.

— Tak. Ostatni raz widziałam ciebie w pustym już mieszkaniu.

— I wtedy powiedziałaś straszne słowa. Widzę cię. Widzę twoje zasze łzami oczy, które utkwiłaś we mnie, jak sztylety. Powiedziałaś: „Bodajbym cię nigdy nie spotkała. Zdradzasz krew ojca, matki i brata. I zdradzasz mnie, moją przyjaźń. Jesteś wyrodną Polką. I przy tym jesteś głupia, naiwna. Jak można dać się otumanić, tak zakochać się w człowieku, którego nie znasz, który jest wrogiem. To nie jest miłość. To jest szal. Ale pamiętaj, gdyby ci było źle, wróć do nas. Pamiętaj, wróć”.

Wróciłam, ale już nie było ani ciebie, ani twojej rodziny, ani domu. Wszystko zrównano z ziemią.

Wróciłam. 3000 kilometrów pieszo. Spuchnięta z głodu, u kresu sił. Zabrali mnie z litości jacyś ludzie na wieś. Kurowali ziołami, dzielili się czym mogli. Powróciły siły. Przecież miałam dopiero 19 lat.

— A on?

— On? Wprowadził mnie do mieszkania umeblowanego już tym, co zabrał z domu, najspokojniej przedstawił mi swoją żonę i troje małych dzieci i dodał: „Pogodzicie się. Kocham was obie. Moja żona to dobra kobieta”.

Popatrzyłam na nią. Widzę jej przerażenie. Zaniemówiła. Jednym ruchem ręki zagarnęła dzieci i skierowała się do wyjścia. Uprzedziłam ją. Trzasnęłam

drzwiami i pędziłam ulicami nieznanego mi miasta jak szalona. Obudziłam się w łopianach niedaleko jakiejś drogi. Był ranek następnego dnia. Nakręciłam zegarek i ukryłam go na piersi. Postanowiłam za wszelką cenę wrócić. Do ciebie. Do twojego domu. Bez ubrania, bez pieniędzy, w obcym, wrogim kraju.

Przeszłam gehennę, nie można tego opowiedzieć... I ten straszny wstyd, zawód, zdrada... Jak mogłam, jak mogłam aż tak zakochać się, być nieczułą na wszystkie perswazje, stracić rozum. Jak mogłam mu tak zaufać? I jak on mógł mnie tak oszukać! Mnie i swoją żonę, swoje dzieci. Czy to jest człowiek? A może — nieraz tak myślę — może ja spotkałam diabła w ludzkim ciele?

Gdy stanęłam tam, gdzie był wasz dom, gdy zastałam tylko zgliszcza, straciłam wszelką nadzieję.

Na wsi powoli otrząsałam ze siebie koszmarnie przeżycia. Rana serca goiła się, choć blizna została do końca życia. Zdecydowałam się odszukać — wszak minęło już kilka lat i wojna już się skończyła — dalekich krewnych w Czechosłowacji. Na twój ślad nie mogłam trafić.

— Tak, to było niemożliwe. Byłam tam, skąd się nie wraca.

— Zaczęłam pracować w Bratysławie. Mogłam wyjść za mąż, wszak z tamtym nie miałam kościelnego ślubu, ale nie chciałam. Nie miałam sił. Dopiero przed trzema laty zdecydowałam się na małżeństwo z Robertem. To inwalida wojenny. Nie ma jednego oka i lewej dłoni. Nie zauważyłaś, bo ma bardzo dobre protezy i okulary, zresztą zaraz wyszedł. Dobry człowiek. I popatrz zjawiała się Jagódka. Czy mogłam pomyśleć o większym szczęściu? Przecież jestem starsza od ciebie, jutro kończę 48 lat, a Jadzia akurat 2 lata. Postanowiłam na te urodziny być u ciebie.

Wieczorem wrócił Robert. W obecności mojej rodziny wyjął z teczki przygotowany akt notarialny, w którym na wypadek swojej albo Lusi śmierci czynią nas prawnymi i faktycznymi opiekunami Jagódki.

Zgodziliśmy się.

MAMA BARTUSIA

Od szeregu miesięcy przychodzi do naszego kościoła albo rano, albo wieczorem, razem ze starszą panią i młodym mężczyzną i przywozi ze sobą małego Bartusia. Przedtem Bartuś spał w wózekku na korytarzu, teraz siedzi na kolanach babci — i wtedy jest mniej grzeczny — albo tuli się cichutko do mamusi.

Mama jest młoda, elegancka i tak ładna, że trudno jest nie patrzeć na nią. Lekki uśmiech na jej twarzy, smutek w oczach, zamodlenie, potwierdzają starą prawdę, że kobieta nie jest najpiękniejszą wtedy, gdy się śmieje albo tańczy, ale wtedy, gdy się modli. Cóż dopiero, gdy codziennie składa siebie na patenie, by przemieniać się w Chrystusa? Gdy się karmi Jego Ciałem?

Kiedyś zwróciła się do mnie z prośbą o zarezerwowanie terminu odprawienia mszy świętej i powiedziała: „Bo to już rok od śmierci tatusia i męża”.

— Męża? To ten pan, który pani towarzyszy, nie jest pani mężem — zapytałam spontanicznie.

— Nie. To mój brat. Przychodzimy wszyscy. Czasem ktoś z nas musi zostać z dzieckiem w domu. Stara się wtedy być gdzie indziej na mszy świętej. Można, naprawdę można, gdy człowiek chce. Mój mąż i mój tatuś to ofiary strasznego wypadku. Bartuś miał wówczas dwa miesiące. Nie będzie pamiętał ojca. Proszę zaśpiewać po mszy świętej: „Jam jest zmartwychwstanie i życie, kto we mnie wierzy, choćby i umarł — żyć będzie”. Jakież to cudowne!

Uśmiechnęła się i poszła z największym skarbem w duszy z wiarą w zmartwychwstanie, w przeciwnym kierunku, aniżeli babcia z Bartusiem w wózekku.

Dowiedziałam się potem, że spieszy zawsze do pra-

cy, że jest nauczycielką. Po tragicznym wypadku zlikwidowała mieszkanie w bloku i powróciła do domu swojej matki. Postanowiła zająć się swoim synem oraz poświęcić się wychowaniu dzieci, które są pozbawione rodzinnego domu. Dlatego po wakacjach obejmuje pracę w domu dziecka. Podobno zastanawia się nad tym, czy nie poświęcić się pracy nad dziećmi upośledzonymi, nad takimi, które nie wiadomo dlaczego cierpią.

A czy mama Bartusia wie, dlaczego cierpi i dlaczego cierpi jej synek, chociaż nie jest jeszcze tego świadomy?

Myślę, że nie. Że tak, jak większość ludzi czeka na odsłonięcie tej tajemnicy w wieczności. Myślę jednak, że z szacunkiem odnosi się do niej, skoro oprócz własnego krzyża pragnie nieść krzyże innych.

Modłę się za nią i razem z nią, choć o tym nie wie, a czasami jakby do niej, bo mi przypomina pietę. Tak, tę z bazyliki św. Piotra w Rzymie, bolesną i radosną zarazem, bo oczekującą spokojnie na zmartwychwstanie.

JEDYNACZKA

— Powiedzcie mi, ale tak szczerze, dlaczego jestem jedynaczką — pytała mając lat czternaście.

— Chcieliśmy, ażebyś miała wszystko, chcieliśmy na tobie skoncentrować całą swoją miłość...

— Wolałabym mieć jedną połataną sukienkę i buty raz na trzy lata kupowane, a mieć siostrę i brata — odpowiedziała krótko.

Gdy była na studiach usłyszała:

— Jesteś okropna, dajesz się nam we znaki, co ty sobie myślisz?

— W tej chwili to, że gdybyście mieli pięcioro dzieci, na mnie przypadłaby 1/5, a tak — mogę pozwolić sobie za pięcioro.

*
* *
*

Hanka otrzymała kiedyś list od swojej siostry. Wyłała przed nią duszę. Napisała wreszcie prawdę o swojej („ósmu cud”) jedynaczce:

„I co nam z tego, pisała, że ma stopień magisterski, że zabiera się do studiów doktoranckich, skoro dla nas jest zimna, uważa ojca za «kasę», a mnie za «robota». Nie ma serca, ciepła, a przecież była tak pieśczone, tak kochana, wszystko poświęciliśmy dla niej, świata poza nią nie widzieliśmy. A co to będzie gdy się zakocha, gdy wyjdzie za mąż? Zejdziemy wtedy do pozycji «zero»”.

Hanka współczuła siostrze, nie wiedziała jednak, czy wskazać jej na przyczynę rozczarowania.

Janeczka jest przecież o czternaście lat starsza. Miała dziewiętnaście lat, gdy po skończeniu seminarium

nauczycielskiego poniosła „kaganek oświaty” do kresowych wsi. W przededniu wojny założyła własną rodzinę. Nie widziały się przez szereg lat. Hanka obawiała się napisać to, co myśli. W końcu odważyła się i napisała:

„Ukochana Janeczko!

Dziękuję ci za list i podzielenie się ze mną swoją troską. Współczuję Ci i chciałabym być w tej chwili przy Tobie, ale sama przyznasz, że to nie jest możliwe. Nasze bliźniaki zaczynają chodzić, a Kinga, chociaż to już czteroletnia panna, też wymaga opieki. Nie pracuję zawodowo, ale ręce mam pełne roboty. Dziękuję tylko Bogu za to, że Michał jest nie tylko dobry, ale że naprawdę dojrzał do obowiązków męża i ojca.

Poza tym, wiesz, mam zawsze uboczne sprawy. W takim małym mieście wiedzą, że jestem farmaceutą, pamiętają, że mama była z zamiłowania zielarką, więc nie ma dnia, ażeby ktoś nie prosił o poradę i pomoc. I to często nie tylko w dziedzinie zdrowia fizycznego. Są to przeważnie osoby, którym trzeba okazać wiele dobrego serca. Michał mówi, że źle na tym wyjdę, bo tych «kundli Bożych» będzie coraz więcej. Jestem przekonana, że Bóg, gdy bierze, to w dwójnasób daje.

Muszę kończyć, bo obudziło się jedno, więc obudzi się też drugie. Kinga jest już przy nich, uśmiecha się i pieszczotliwie pyta, który z nich jest Piotruś, a który Pawełek. Ona «maluje» teraz album na imieniny Michała, a ponieważ nazbierała trochę słodyczy, dopomina się, by odwiedzić starą babcię z szóstej klatki. Zaprowadzę ją tam, bo bliźniaki na nowo usypiają, a po drodze wrzucę list do skrzynki. W niedzielę napiszę drugi, może wspólnie poszukamy przyczyny tego, że Mariola jest mało ciepła i czuła dla was. Trzeba by jej pomóc. Bądź dobrej myśli. Niech wychodzi za mąż, niech zakłada rodzinę z prawdziwego zdarzenia. Nic tak nie rozwija osobowości ludzkiej, jak otwarta postawa na potrzeby drugiego człowieka i na dary Boże, z których największe to dzieci. Rozumiesz to przecież.

A więc — pa! Do niedzieli

Twoja Hanka

PS. Przepraszam. Pomięłam to, co najważniejsze, wszak nie zapytałam o Wasze zdrowie. Zadbajcie o siebie. Zadbajcie! Rośniemy przecież w latach, trzeba być roztropnym.

Mariolę całujemy serdecznie —

Jeszcze raz

Twoja Hanka”.

Nie było odpowiedzi listownej. Janeczka nie wytrzymała i zatelefonowała. A potem — przyjechała. Uwierzyła, że może sobie na to pozwolić, że świat się nie kończy na jej jedynaczce, że to nawet dobrze, gdy taka dorosła pieśczocho będzie przez kilka dni musiała pomyśleć o sobie i ojcu.

— Nie mogę odżałować, że wówczas, gdy Mariola mając lat czternaście stwierdziła, że czuje się pokrzywdzona będąc jedynaczką, nie zdecydowaliśmy się na drugie dziecko... Przecież, Haniu, to byłaby taka różnica wieku, jak między nami — stwierdziła jakby olśniona i zaczęła snuć wspomnienia.

— A potem zaczęła się jakby spowiedź. Janka nie przerywała. — To prawda, to moja wina, może nasza, ale głównie — moja. Nie nauczyliśmy jej widzieć innych ludzi, izolowaliśmy ją od dzieci, potem od koleżanek i kolegów, hodowaliśmy w niej ambicję, że jest „z lepszej gliny ulepiona”. Nie robiła głupstw, bo nie miała okazji... Nie pootwieraliśmy w niej „szufladek” z uczuciem. Nie przyjaźniła się z nikim, nie korespondowała, nie opiekowała się ani zwierzątkiem, ani człowiekiem, bo szkoda czasu, bo musi mieć „piątki”... Prezenty? Dla mnie brała pieniądze od ojca, dla niego — ode mnie. Nie wkładała w to wysiłku, ofiary...

— Tak. Pamiętam, jak nasz tatuś powiedział na swoje imieniny, że wszystkie wnuczeta o nim pamiętają, tylko Mariola zapomniała. Mimo to kochał Mariolę bardzo, przecież to najstarsza wnuczka — wtrącałam.

— Albo, czy to nie dziwne, Haniu, że zawsze się wymówiła, gdy prosiłaś, by była chrzestną matką twoich dzieci?

— Czekaj, ukochana, powiem ci coś w sekrecie.

Nawet Michał o tym jeszcze nie wie. Dowie się za tydzień, na swoje imieniny: spodziewam się czwartego dziecka. Tym razem nie daruję Marioli, musi być chrzestną.

Janeczka przytuliła Hanię do siebie tak serdecznie, jak nigdy. Po chwili Hanka uczuła na swojej twarzy jej ciepłe łzy.

U MOJEJ BRATOWEJ

Tadzik, wiadomo, wykapana mama, a to — mówiono w rodzinie przyglądając się Aśce — do kogo podobne? I odpowiadano sobie, że do wujka Staszka i że wobec tego nie będzie piękna.

I rzeczywiście, nie jest piękna. Ale posiada tyle świeżości w sobie, jest taka „kolorowa”, przy tym elegancka i zawsze uśmiechnięta, że wszyscy za nią przepadają i cenią nie tylko jej pracę, ale ją samą.

Skończyła liceum medyczne, zdobyła magisterium z psychologii i — wyszła za mąż. Ma już dwudziestomiesięczną Agatkę, a za pół roku znowu powiększy się rodzina. Na razie młodzi mieszkają razem z rodzicami. Zresztą Jaś powiedział szczerze: „Ciociu, przecież nam dobrze jest u mamy, gdybyśmy już otrzymali własne mieszkanie, dzieci musiałyby być w żłobku, na co nigdy się nie zgodzimy, a więc Asia nie mogłaby pracować. A nam jeszcze potrzeba trochę grosza”.

Zrozumiałam. Z drugiej strony żal mi mojej bratowej, która się zamęcza. Oprócz pracy zawodowej ma męża i syna, i tych troje na głowie. Bo to niby każdy dorosły, ale wiadomo jak to jest. Bez mamy trudno, chociaż czasami z mamą też trudno.

Wyraziłam kiedyś jej współczucie. Roześmiała się i powiedziała zdecydowanie:

— Czy uwierzysz, że jestem tak szczęśliwa, jak wtedy, gdyśmy zaczynali swoje życie z Witkiem? Dobrze zorganizowaliśmy dom. Młodzi mają pokój. Tadzio ma najmniejszy, a my największy, bo w nim się jada i przyjmuje gości. Każdy mieszka naprawdę w swoim pokoju, każdy mówi przyciszonym głosem, każdy jest za coś odpowiedzialny i — każdy czuwa nad całością.

— A dziecko?

— Dziecko należy do rodziców. My tylko pomagamy. Ja i Witek zamieniliśmy pracę na popołudniową. Tadzik również włączył się chętnie i to mimo, że właśnie rozpoczął studia zaoczne. Agatka ma dobrą opiekę, nigdy nie jest sama i codziennie jest na spacerze.

— A gdy będzie drugie?

— Nie boję się, mogą być nawet bliźniaki. Poradzimy sobie. Najważniejsze to chcieć sobie pomagać. I jeszcze to, żeby wszyscy, żeby każdy członek rodziny pomagał i był tym, który daje, a nie tylko bierze. Tyle ułatwień teraz w życiu: i gaz, i pralka, i lodówka, i suszarka, i froterka, i tyle produktów gotowych... Nasze mamy tego nie miały i nie narzekały. Właśnie, jedno z praw naszego domu brzmi: „Nie wolno narzekać!”. Miną dwa, trzy lata, młodzi pójdą na swoje...

— Wtedy Tadzio się ożeni...

— Naturalnie! Też mu pomożemy. On będzie miał swoje mieszkanie. Słuchaj, to prawda, że mamy wiele pracy, ale też mamy wiele zadowolenia. Nasze dzieci są uczciwe, dobre. Gdy patrzę na inne rodziny... ileż tam czasem bólu, bałaganu, zamieszania. A jeszcze w innych — ile tragedii! Czy ty sobie np. wyobrażasz życie — pomyśl — całe życie z mężem, który się upija? Przecież to jest koszmar! Jak uchronić potem dzieci od takiego stylu życia? Jak mówić im o obowiązkowości, o zachowaniu przysięgi, danego słowa, skoro patrzą na to, że ich ojciec nie tylko łamie dane przyrzeczenia, ale stacza się coraz bardziej w dół.

U nas ani wódki, ani wina, ani piwa, nikomu to nie jest potrzebne, każdy rozumie, że to trucizna i złodziej we własnym domu, to też z każdym można się porozumieć — można wspólnie popracować tak przy balii jak przy biurku, jest jakiś ład w rodzinie, po prostu widzimy się nawzajem i — jak już powiedziałam — chcemy sobie pomagać. Uważam to za szczególne błogosławieństwo Boże, za łaskę.

— Twoja rola?

— Czy ja wiem? Trochę głowy, trochę stacji odbiorczo-nadawczej (z cenzurą) i przede wszystkim — serca. Tak, serca. Serca, które nawet w nocy czuwa.

*

*

*

Do drzwi pukała piąstką Agatka. Moja bratowa po-
deszła, wprowadziła dziecko do pokoju i pyta:

— Co, Agatko?

— Mama lulu, lulu.

— Ach tak, mama usnęła, dobrze. Babcia zaraz
Agatkę ubierze, pójdziemy razem odprowadzić ciocię,
dobrze?

Mała zaczęła podskakiwać radośnie.

ŻYWY PŁOMIENŃ

— Danusiu, jakaś ty piękna! — powiedziała spontanicznie kierowniczką internatu, ujrzawszy leżącą w różowej pościeli maturzystkę.

— To się tak siostrze wydaje, choć wiem, że jestem ładna. Dzisiaj proszę siostry, jestem wyjątkowo szczęśliwa, a to czyni człowieka ładniejszym... Ach, proszę siostry, palić się jak świeca przy ołtarzu Częstochowskiej Pani! Palić się miłością Dziewicy i Matki! Oświecać, rozjaśniać, rozpalać i — samej się spalić cichutko na chwałę Bożą.

— To wszystko przed tobą, Danusiu. Możesz być świecą dobrego gatunku i w stosunku do tatusia, i w stosunku do tych, z którymi cię Bóg połączy na twojej drodze życia. Dobranoc, śpij spokojnie, płomyk czuwa.

— Nie pocałuje mnie siostra? Nie zrobi krzyżyka na czole?

— Zrobię Danusiu. I ucałuję tak serdecznie, jak nigdy, ty stara pieścotko.

Zakonnica zeszła o dwa piętra niżej, do kaplicy. Była już zamknięta. Uklękła przed drzwiami i przez dziurkę od klucza wpatrzyła się w migocący płomyczek wiecznej lampki, symbol obecności Boga wśród ludzi. Przysiadła na piętach, chciała się modlić, ale płomień wiecznej lampki zrobił się duży, i taki jasny, taki kolorowy, że zobaczyła naraz wszystko, jak na filmie.

Co widzi? Jak to było?

Zaczęło się od tego, że z Jasnej Góry powróciła siostra kierowniczką internatu razem z innymi siostrami zmartwychwstankami z czuwania przed obrazem cudownej Pani Częstochowskiej. W internacie zawrzało. Serca osiemdziesięciu kilku dziewcząt poczęły bić

mocniej, szybciej, goręcej. Serca biły, w głowach snuły się domysły, wreszcie ze wszystkich stron rozległo się naleganie: Niech siostra nam opowie..., tam musiało być cudownie..., to widać po siostrze... Zbierzmy się dzisiaj wieczór w sali gimnastycznej — dobrze?

Zakonnica mówiła zamyślona:

— Cóż ja wam opowiem? Dziewuszki, to nie łatwo odtworzyć taką noc..., jedyną noc... przed Jasnogóorską Panią... przed Matką, która wszystko wie, wszystko widzi, tak do szpiku kości... Ale niczemu się nie dziwi..., rozumie... i chce pomóc... Zresztą, nie byłam tam sama..., zabrałam każdą z was..., moje serce było bardzo ciężkie, gdy ofiarowywałam je Bożej Matce..., byliście w nim wszystkie..., wszystkie... Ona przyjęła to serce... Pamiętajcie, jesteście w dłoniach Matki Boga. A ja... przywożę wam dobroć Jej oczu... i chciałam, ale to niemożliwe, przywieźć wam żar Jej serca, płomień Jej serca, światło Jej serca... abyście były jasne, promienne... i gorące...

„Płomień”..., „zarzewie”... — wpadło wprost w serce Danusi. „Płomień”..., „światło”..., „żar”... — nurtowało w myślach, nie dawało spokoju. A gdyby tak naprawdę „prawdziwe” światło przywieźć wprost z Jasnej Góry? Żeby płonęło tu, w internacie, w szkole..., żeby każda się od niego zapaliła..., albo tylko przy nim ogrzała..., jest tyle zimnych, bo same nie zaznały ciepła... — myślała wciąż Danusia, uczennica XI klasy liceum sióstr zmartwychwstanek na Żoliborzu w Warszawie.

Danusia dowiedziała się, że z soboty na niedzielę wybiera się inna grupa zakonnicek na czuwanie. Maturzystki postanowiły pojechać i też czuwać przed Panią Jasnogóorską w intencjach wyznaczonych przez Episkopat Polski oraz w intencji matury. Danusia pojedzie również, by ogrzać się przy Sercu Bożej Matki, która przecież jest jej jedyną matką. Ofiaruje Jej także tatusia...

W sercu Danusi zapadło postanowienie: przywieźć żywy płomień z Jasnej Góry. Jak? Nie wiem. Ale przywiezę.

Nie wiedział o tym nikt. Danusia szperała jak tyl-

ko mogła po schowkach i zakamarkach klasztornego internatu, nawet na strychu. Olśnił ją dzbanek do kawy z białej emalii..., wprost wymarzony..., cudowny! Ma dziobek, więc płomień będzie miał powietrze. A wierzch to zakryć trzeba..., jakoś się to zrobi...

Gorące tajemne szepty z siostrą kierowniczką, uśmiechy porozumienia. Jest świeca. Eureka. Właściwie to ogarek grubej świecy ołtarzowej, do tego — paschalnej...

— Jeszcze poproszę o drugą świecę, siostró, a może nawet o dwie zwyczajne, cienkie...

Danusia jest przezorna. Dużą świecę trzeba będzie oczyszczać, a więc gasić i na nowo zapalać, a płomień przecież trwać musi...

Podróż zaczyna się makabrycznie.

Pod kołami zajeżdżającego pociągu ginie człowiek, który skoczył w bieg, aby zarezerwować sobie lepsze miejsce. Teraz, gdy zapewnił sobie już miejsce w zaświatach — modlą się za niego pielgrzymujące zakonnice i dziewczęta.

Pierwsza porażka. Nie udało się Danusi wcisnąć na nocną adorację do cudownej kaplicy. Siostry poszły, a dziewczynki muszą iść spać. Wstaną rano na odsłonięcie obrazu.

Danusia umówiła się na rano z jakimś bardzo dobrym Paulinem. Popatrzył na nią poważnie i — zrozumiał.

Nie mogła usnąć. Myślała wciąż o rozmowie swojej z Bożą Matką w cudownym obrazie, o tym, jak to dostać żywy płomień z ołtarza i o tym, że to przecież ona sama ma być płomieniem i światłem. Po krótkiej drzemce zerwała się na nogi i już o godzinie piątej była przy furcie.

Po mszy świętej — gorąco przemodlonej — gdy jeszcze adorowała Boga przyjętego do własnego serca, dobry ojciec paulin poprosił Danusię do prezbiterium, wziął od niej świecę, wyszedł na ołtarz i zapalił ją od świecy płonącej blisko Serca Matki Bożej. Drgnął płomień dużej świecy z radości, że może użyć swego światła, drgnęło serce wpatrzony w twarz Madonny Danusi.

Ojciec paulin pomógł umieścić świecę w imbryku, udzielił błogosławieństwa na drogę, a Maryja uśmiechała się dobrotliwie, z aprobatą.

Danusia ledwo zdążyła na dworzec. Wraciała zupełnie sama. Matura to nie żarty, a w poniedziałek są ważne lekcje... Musi się przygotować, na pewno będzie pytana...

Kasa nie sprzedaje biletów. Danusia w ostatniej chwili wsiada do wagonu. W rękę trzyma swój „skarb”. Właśnie ze względu na ten skarb wybiera przedział dla palących. Cieszy się, że jest już duszno w nim i mglisto od dymu. Tym lepiej...

Danusia ostrożnie zagląda do dzbanka. Oddycha z ulgą. Płomień żyje! Świeca ma się doskonale, tylko, że za chwilę kopcić zaczyna. Co robić? Pani paląca „giewonta”, z książką sensacyjną w rękę, zaczyna nosem kręcić... Pan zza „Trybuny Ludu” przebąkuje coś o dziwnych zwyczajach jeżdżenia ze świecą w biały dzień...

Danusia dzielnie udaje, że nie słyszy... Aby dojechać szczęśliwie... Aby ci ludzie byli dobrzy...

Teraz zbliża się konduktor. Lepiej będzie — myśli Danusia — na wszelki wypadek zsunąć dzbanek ze świecą na podłogę... Danusia śledzi uważnie twarze pasażerów: poskarżą czy nie poskarżą, że ona wiezie świecę w imbryku...

Nie poskarżyli. Tylko konduktor węszył podejrzliwie: „Ależ tu dymu!...”. I tak długo trwa to wypisywanie biletu..., że już za ciepło robi się od tej świecy tuż przy nogach płonącej...

Nareszcie konduktor idzie sobie.

Pasażerowie pomrukują — jedynie dla wprawy. Ostatecznie — śliczna jest ta dziewczyna ze świecą, no i każdy ma swoje dziwactwa.

Danusia nie mówi nic. Spojrzeniem swoich pięknych, czystych oczu zniewala i panią z „giewontem” i pana zza „Trybuny Ludu”. Modli się za nich. By zrozumieli. By sami się ogrzali. Zapalili. Świecili, i — zapalali innych...

Była dowieźć płomień do Warszawy. Była nie zgasić...

— Świeca kopci, ktoś zauważył.

— Tak, trzeba zrobić jej toaletę, knot oczyścić. Państwo pozwolą, prawda? — mówi z wdziękiem, ale i lękiem Danusia. Płomień z ołtarza przejmuje cienka zapasowa świeczka, a potem od niej z powrotem świeca paschalna z imbryka.

Współpasażerowie już zupełnie zrezygnowani palą dalej wonne „giewonty” i „nysy”.

Gorzej jest w Warszawie. Na ulicy wiatr, w tramwajach tłok. Jedzie Danusia na przednim pomoście. Całą sobą otula dzban z płomieniem. Ochronia od podmuchu wiatru, od oczu ciekawskich... Wszyscy odsuwają się od niej, patrzą podejrzliwie — „szkoda, że nienormalna — taka młoda, ładniutka...”.

Nareszcie Żolibórz!

Ostrożnie Danusiu! Na Stołecznej wiatr hula... Jeszcze tylko kilkadziesiąt kroków do furty klasztoru. Bogu dzięki. Dudnią schody, drewniana klatka ożyła, biegną po niej dziewczęta do furty, na spotkanie Danusi. Udało się? A może nie?

Udało się! Danusia przywiozła żywy płomień z Jasnej Góry! Wiwat, Danusiu! Wiwat!

Po korytarzu pierwszego piętra idzie rozradowana procesja, Danusia ją prowadzi. Trzyma wysoko zapaloną świecę. Procesja wchodzi cicho do kaplicy, w której zgromadzone są siostry na modlitwy południowe. Siostry nie wiedzą, co się dzieje. Danusia przykłęka przed Najświętszym Sakramentem, a potem mówi prosto: „Przywiozłam żywy płomień z Jasnej Góry”.

Kaplica samorzutnie rozśpiewała się dziękczynnym *Magnificat*, potem innymi maryjnymi pieśniami. Od płomienia z Jasnej Góry zapalono wieczną lampkę przy tabernakulum.

Siostry pozostały w kaplicy, a dziewczynki zaniósły procesjonalnie żywy płomień na trzecie piętro do internatu. By świecił w ich „domu”. By zapalił się przed figurą Matki Bożej. By płonął w ich młodych sercach.

Ksiądz Bogucki, proboszcz parafii św. Jana Kante-

go, zapalił od płomienia wiecznej lampki dużą świecę i umieścił ją w kaplicy na dole budynku żoliborskiego. Niech płonie przy wizerunku Matki Boskiej Częstochowskiej. Niech przynoszą wierni swoje świece i niech niosą żywy płomień do swoich domów...

Dorośli i maleńcy parafianie... niosą... ostrożnie..., by nie zgasić..., by donieść..., by samemu gorzeć miłością.

Płomień żywy ma dotrwać do 8 grudnia, do święta Niepokalanej, a miłość ma dotrwać do końca życia. Nie! Miłość mocniejsza jest od śmierci. Ona trwa wiecznie!

*
* *
*

Kim była Danusia?

Jest w Zakopanem przy ulicy Stary Kamieniec nieremontowana od lat willa „Lubicz”. W tym — wówczas pięknym siedmiopokojowym domu o ukwieconych werandach — przyszła na świat córka inżyniera Wł. Kr. i uroczej jego żony, Włoszki.

Mała wzięła po rodzicach to, co mieli najpiękniejszego — była wyjątkowo ładna. Była przy tym dobra. Nie pamiętała dnia, w którym jej mama powiedziała jej ojcu:

— Jesteś stary, poznałam młodego, kocham go.

— Mamy dziecko...

— Zostawię ci. Jest mi niepotrzebne. Zaczynam życie na nowo.

— Zastanów się, wróć!

— Nigdy!

I rzeczywiście nie wróciła nigdy. Wykreśliła ze swojego serca męża i swoje dziecko. By być szczęśliwą.

Czy była?

A Danusia została sama z tatusiem. Sama? Nie. Miała nianię. Była służącą. Miała zabawki. Rozświetlona biegała po całej willi, wyjeżdżała z tatusiem do Warszawy, nad morze, była obsypywana prezentami, miała wszystko, dosłownie — wszystko. Nie miała tyl-

ko mamy. Mamy, która da klapsa, przytuli, i — jest, po prostu jest. Bo gdy jest mama to jest dom. On jest także, gdy jest tato, zwłaszcza taki tato, jak pan Kr., ale coś temu domowi brakuje, ot tak, jakby nie miał dachu.

Danusia tęskniła do takiego domu z dachem, do zwyczajnej rodziny, gdzie wszystko byłoby zwyczajne ale i normalne.

Niejednokrotnie to śliczne i wypieszczone dziewczętko wymykało się z domu, by pomóc rówieśnicze w przyniesieniu wiadra wody, byleby tylko pobyc trochę w ich ubogim, ale normalnym domu.

— Dlaczego, Danusiu, uciekasz do sąsiadów? — pytał pan Kr.

— Tatusiu, tam wszystko pachnie mamą, nawet zupa kartoflana i chleb...

— Jadłaś u nich? Czy byłaś głodna?

— Nie, tatusiu, ale mama Hani zaprosiła mnie i powiedziała: „Córuś, siadaj razem z dziećmi!”. A tatuś wie, tam jest pięcioro dzieci. Gdy usiadłam, mama Hani się uśmiechnęła i powiedziała, że tak ładnie, bo wszystkie miejsca dookoła stołu są zajęte i że gdy ja siedzę, to wszystkim lepiej smakuje. Czy tatuś nie chce, ażeby tam chodziła?

— Nie, córeczko, możesz tam bywać, ale też zapros Hanię do nas.

— To, tatusiu trzeba także Wojtka i malutką Jasię, bo Hania opiekuje się nimi.

— Dobrze, Danusiu, i pamiętaj, że zawsze mogą jeść razem z tobą.

Wieczorem pan Kr. był u sąsiadów, rozmawiał z nimi i dziękował za to, że rozumieją jego dziecko, że Danusia może jeść zupę, która pachnie mamą.

W szkole Danusia była zwyczajną uczennicą. Nie wyróżniała się niczym. Ściągała na siebie uwagę nieprzeciętną urodą i delikatnością w stosunku do koleżanek i kolegów, ale nic ponad to. Pokrzywdzona milczała, łzy tylko spływały po jej policzkach, a w sercu mówiła: „Powiem tatusiowi, powiem tatusiowi”. Najczęściej jednak nie mówiła.

Gdy raz jedna z koleżanek dotknęła najczulszej

struny jej duszy, mówiąc bez zastanowienia: „Ciebie to nawet własna mama nie chciała” — Danusia zemdliała. Zapytana potem o przyczynę zemdlenia odpowiedziała z prostotą, że ma „głupie serce, które byle czym się przejmuje”.

Po ukończeniu szkoły podstawowej pan Kr. przywiózł swoją jedynaczkę do naszego liceum na Żoliborzu w Warszawie. Powiedział prosto: „Nie ma matki, niech siostry będą dla niej matkami”.

Przez pięć lat — bo jeden rok musiała powtórzyć, przebywała Danusia pod jednym dachem z nami. Tylko na wakacje i święta wyjeżdżała do ukochanego tatusia, za to on odwiedzał ją co miesiąc.

Przepiękny był jej stosunek do ojca. Czuli się za niego odpowiedzialni, troszczyli się o jego zdrowie, pomagała mu w rozwiązywaniu skomplikowanych interesów majątkowych, była oszczędna, gospodarna, niejednokrotnie hamowała ojca przyzwyczajonego do zbytnej hojności.

Cierpiała bardzo nad tym, że pan Kr. miał trudności w spełnianiu praktyk religijnych. Sama starała się niemal codziennie uczestniczyć w Najświętszej Ofierze Eucharystycznej, przede wszystkim w intencji ojca.

Przez cały maj nie wstawiała z klęczek podczas nabożeństwa. „Muszę, proszę siostry, muszę, siostra przecież wie, o kogo chodzi, za darmo i bez trudu nie wyproszę łaski dla tatusia” — mówiła.

Pewnego dnia weszła do mnie ubrana do podróży, z telegramem w ręku.

— Proszę siostry, tatuś ciężko zachorował, jadę, za godzinę mam pociąg.

— Dobrze, ale pamiętaj, że jesteś w maturalnej klasie.

— Pozostanę tak długo, jak długo to będzie potrzebne...

— Dobrze, Danusiu, napisz, rozumiem...

— Jeżeli to będzie konieczne, nawet za cenę matury nie zostawię tatusia samego — dokończyła.

Delikatna, ustępliwa i zarazem zdecydowana w sprawach ważnych, przekreślająca swoje ambicje, swoje sprawy dla racji wyższych.

Nie celowała w żadnym przedmiocie. Jedynie na lekcjach religii oraz godzinach wychowawczych ożywiała się, zapalała i występowała nieraz odważnie, wywołując błogosławioną w skutkach dyskusję.

Internat uważała za swój dom, kierowniczkę za matkę. Wśród osiemdziesięciu kilku dziewcząt była jedną z wielu i zarazem jedną z niewielu apostołujących własną postawą.

Liceum ukończyła również jako jedna z wielu. Nie wyróżniła się niczym, nie otrzymała nagrody. Świadectwem dojrzałości cieszyła się jak dziecko, bo „tatuś będzie teraz spokojniejszy o mnie”.

A tatuś?

Tatuś sam nie wiedział, jaką sprawić przyjemność swojej maturzystce, a kierowniczka internatu otrzymała jako wyraz wdzięczności 100 róż w pięknym wazonie i odkurzacz elektryczny, tak bardzo potrzebny w internacie.

*

*

*

— Danusiu, wybierasz się na studia?

— Nie. Nie mam szans. Zapisalam się na dwuletnie studium nauczycielskie, na rysunek i zajęcia praktyczne. Wykorzystam wrodzone zdolności, a poza tym to jest przedmiot, który stwarza wiele okazji do oddziaływania wychowawczego. Chcę być wychowawczynią. Może kiedyś kierowniczką internatu, jak siostra, do dała filuternie.

— Ale chyba nie w habicie?

— Nie. Mam zdecydowane powołanie do małżeństwa. Marzę o rodzinie z prawdziwego zdarzenia, takiej, w której będzie pięcioro dzieci. Jak u naszych sąsiadów w Zakopanem.

*

*

*

Przynajmniej dwa razy w tygodniu, przechodząc przez Kanonię na Jezuicką do budynku studium, wstę-

powąła Danusia do mnie na chwilę, by podzielić się tym, że jest jej dobrze, że martwi się tylko tatusiem, który zapada na zdrowiu, to znów, że jedzie do tatusia, albo że tatuś jest w Warszawie. Ceniła bardzo chwile, gdy mogłam razem z nią pobyc u stóp krucyfiksu w cudownej kaplicy w katedrze. Przytulała się i mówiła patrząc na umęczonego Zbawiciela:

„Ach, co za miłość, co za miłość!”. Czasem składała piękne kwiaty na stopniach ołtarza.

Pewnego dnia złożył mi wizytę pan Kr. z Danusią i przystojnym młodym człowiekiem, którego przedstawił mi jako narzeczonego swej córki. Byłam zaskoczona. Dowiedziałam się, że młodzi poznali się pół roku przedtem, że korespondowali ze sobą.

Rozmawiałam na osobności z panem Kr. Pytałam, czy niezbyt wczesnie wydaje córkę za mąż, odpowiedział mi, że uważa, że to dobre będzie małżeństwo, że się kochają, że ze swej strony pragnąłby zabezpieczyć jedynaczkę, bo jest stary i chory na serce.

Następnego dnia rozmawiałam z Danusią.

— Kocham go, proszę siostry. Wydaje mi się, że poważnie podchodzi do miłości, do obowiązków, które nas czekają. Ma zresztą 29 lat, jest inżynierem, chce mieć kilkoro dzieci, prawdziwy dom.

— Danusiu, ale czy on ciebie kocha?

— Mówi, że tak, że bardzo. Jest delikatny, gentlemani. Tatusia pokochał jak syn, sam od dawna nie ma ojca. Nie podobał się siostrze?

— Nie, nie podobał mi się. Ale przecież nie ja będę jego żoną. Zastanów się, Danusiu. Odlóż ślub, skończ najpierw studia.

— Tatuś naznaczył dzień ślubu na sierpień. Drugi rok studium rozpocznę już jako mężatka. Ja go naprawdę kocham. Tatuś będzie przez ten rok płacił za mieszkanie. Własne otrzymamy za dwa lub trzy lata. Wtedy tatuś kupi nam meble, zresztą siostra wie, jaki jest tatuś: da wszystko i jeszcze doda. Tatuś bardzo pokochał Benia, darzy go zaufaniem. Benio ma mamę, liczne rodzeństwo, bardzo porządni ludzie, mieszkają na wsi, są rolnikami.

*
* *

Ślub odbył się w naszej kaplicy na Żoliborzu. Błogosławiłam Danusię w zastępstwie matki. Prosiła o to, prosił także pan Kr. i jego przyszły zięć. Nie mogłam wymówić krótkich słów błogosławieństwa. Łzy zalewały mi oczy, dusiły gardło. Pan Kr. również płakał. Dlaczego?

Młodzi, szczęśliwi, radośni, Danusia podobna do anioła — zjawy, przeszli z orszakiem ślubnym przez korytarze szkoły oraz internatu. Wszyscy zatrzymali się dłużej przy figurze Niepokalanej w zakonnej kaplicy, Danusia szepnęła coś mężowi wskazując wieczną lampkę, a do mnie powiedziała: „Do własnego mieszkania przywieziemy też żywy płomień wprost z Jasnej Góry. Pojedziemy w następną niedzielę. Przyjdę po imbryk”.

*
* *

W małżeństwie doznała Danusia wiele rozczarowań. Znosiła je mężnie. Kochała naprawdę swego męża i rozumiała, że nie ma życia bez cierpienia i że miłość syci się ofiarą. Nie mówiła nikomu o tym, że nie jest jej lekko. Dla tatusia była zawsze najczulszą córką.

Zawsze skromnie, ale elegancko ubrana, zawsze uśmiechnięta, przygotowana do wykładów, robiła wrażenie najszcześniejszej w świecie. Studium ukończyła z wynikiem bardzo dobrym. Tatuś był uszczęśliwiony. W charakterze prezentu zobowiązał się płacić za mieszkanie młodych aż do przeprowadzenia się do pięknego „m 4”.

*
* *

Danusia zaczęła pracować. Droga do szkoły, w której objęła lekcje oraz wychowawstwo, nie biegła przez Kanonię, dlatego widywałyśmy się rzadko.

Kiedyś przyszła, by podzielić się radością spodziewanego macierzyństwa. I znów kiedyś, by mi oznajmić ze smutkiem, że nie donosiła maleństwa.

A następnego roku spotkałyśmy się, jak dawniej, u stóp Cudownego Pana Jezusa w Katedrze. Za trzy miesiące miało przyjść na świat oczekiwane dziecko.

I przyszło piątego maja, a dwunastego już nie żyło. Danusia walczyła ze śmiercią o własne życie. Chciała żyć, ale powtarzała wciąż: „Jak Pan Jezus chce... jeżeli Mu się przydam... jeżeli Mu potrzebny żywy płomień...”.

Był Mu potrzebny. Danusia wyzdrowiała. Ojciec zabrał ją na kilka tygodni do siebie. Wtedy zrozumiał tragedię swojej córki. Rozmawiał bardzo poważnie z jej mężem. Odebrał od niego przysięgę, że tak długo, jak lekarze zastrzegają nie tknie swojej żony.

W lipcu młodzi byli nad morzem. Otrzymałam kartkę od Danusi:

„Ukochana, Najdroższa Mamo!

Przesyłam moc pozdrowień, uśmiechów, słońca i całusów. Jest nam dobrze. Czuję się doskonale. Z Panem Jezusem spotykam się codziennie, kościół blisko. Benio też. To mu pomaga być gentelmenem. Tatusz nie choruje.

Tulę się do serca, proszę o modlitwę —
Danusia”.

Piątego sierpnia zachorowała. Lekarz stwierdził, że to grypa. Następnego dnia została przewieziona do szpitala zakaźnego na Wolskiej. Stwierdzono żółtaczkę zakaźną. Była nieprzytomna. Spała. Lekarze byli bezradni. Zarazek rozwijał się w ukryciu od transfuzji krwi podczas ciężkiego porodu. Mąż czuwał przy łóżku. Po dwóch dniach Danusia otworzyła cudne oczy, popatrzyła wokoło, utkwiała wzrok w oczach męża i po chwili opuściła powieki na zawsze.

Było to 8 sierpnia 1966 roku.

*
* *

Zgasł „żywy płomień”. Płomień, który spalał świecę równo, systematycznie, cicho, nie skwiercząc, nie pryskając i nie plamiąc nikogo, nawet tego, który był winny.

Zgasł? Nie! Żyje i świeci!

„Nie zapala się światła i nie stawia pod korcem, ale na świeczniku, aby świeciło wszystkim...” (Mt 5, 15).

Pan, Ciebie Danusiu, postawił na świeczniku. Po co?

— Abyś wskazywała drogę ofiary.

— Abyś przypominała, że nie wszystko jest złotem, co się świeci.

— Abyś budziła sumienia tych, którzy odpowiadają za życie drugiej osoby, zwłaszcza z tytułu sakramentu małżeństwa.

— Abyś ostrzegła matki, że dziecku nikt jej nie zastąpi, że zbrodnią jest porzucić je dla własnej wygody i szczęścia.

WALUŚ

Waluś był pierwszym synem państwa Gogowskich, którzy pobrali się z wielkiej miłości, mając zaledwie lat 16 i 19. Miał młodszego brata, Januszka, i dwie siostrzyczki, bliźniaczki. Waluś był grzeczny, ale nie wyróżniał się niczym. Miał lat pięć, gdy ksiądz proboszcz powiedział do jego mamy:

— Proszę pani, przygotuję Walusia do pierwszej Komunii świętej. To dziecko jest wyjątkowo dojrzałe. To taki mały przyjaciel Chrystusa.

Matka zgodziła się. Za pół roku Waluś przyjął Boga do swego serca. Razem z nim przystąpiła do Stołu Eucharystycznego mamusia, ciocia z rodziną, babcia i prababcia. Tatusia nie było. Bo tatuś znalazł sobie „inną mamusię”. Oczywiście, tylko Waluś wie o tym, malcy — nie.

Waluś poszedł do szkoły. Cieszył się. Miał wybitne zdolności do rachunków i do muzyki. Był lubiany przez rówieśników.

Jako ministrant nie opuścił nigdy swojego dyżuru. Należał do scholi, „skowronków”, śpiewał jak słowik.

W domu pomagał ukochanej mamie i zajmował się Januszką oraz Anią i Manią.

Nie rozumiał, dlaczego mama płacze za tatusiem. Tatuś przecież nie był dobry dla mamusi, krzyczał, nawet kiedyś uderzył mamę. Jego też. Teraz mają spokój. Nikt się nie boi i nie ucieka, gdy tatuś wraca po pracy. Skoro jednak mama płacze za tatusiem i mówi, że tatuś powinien wrócić, to na pewno tak być powinno i on Waluś, zrobi wszystko, ażeby wrócił. Wszystko to znaczy — co?

A co zrobił Pan Jezus, gdy chciał, ażeby ludzie wrócili do najlepszego Boga?

Pan Jezus przyszedł na świat, bardzo cierpiał i oddał swoje życie za to, aby człowiek wrócił do Boga. On, Waluś, zrobi to samo.

Zrobił. Załatwił wszystko sam z Panem Jezusem. Napisał na kartce szkolnego zeszytu:

Jezu, dobry mój Jezu,
ofiaruję Ci moje życie,
aby tatuś wrócił do mamusi —
Twój Waluś.

Włożył kartkę do koperty, porządnie zakleił i przed mszą świętą, do której służył, wsunął ją pod obrus na ołtarzu. Po mszy świętej zatknął kartkę za drzewo olbrzymiego krucyfiks w bocznej nawie. Potem długo modlił się. Nie widział nikt tego, co zrobił. Tylko Pan Jezus patrzył na niego, na Walusia, tak łagodnie, tak słodko. Nawet się uśmiechał.

Waluś w podskokach powędrował do szkoły. Za trzy godziny przyniósł mamusi dwie „piątki”, buty od szewca i chleb ze sklepu. Potem woził dziewczynki przed oknami bloku i uśmiechał się to do nich, to do mamusi, która coś robiła przy oknie.

W dwa tygodnie potem karetka pogotowia powiozła Walusia z klasy do szpitala. Coś się dziecku stało. Co? Nie wiedzieli i do dzisiaj nie wiedzą lekarze. I ci z Dzierżoniowa, i ci z Wrocławia, i ci z Krakowa i nawet ci z Warszawy. Nie pomagało nic. Waluś gasł, jak świeczka na choince, a oni stali bezradni i smutni.

— Proszę pana doktora, mówiło dziecko, mnie te lekarstwa już nie pomogą. Proszę je dać innym dzieciom. Krwi też szkoda, przyda się dla innych dzieci.

Szpital pozwolił zabrać Walusia do domu. Leżał bładny, milczący ale uśmiechnięty.

— Mamusiu, mówił, proszę poprosić księdza proboszcza, ażeby został u mnie jutro dłużej. To będzie moja ostatnia spowiedź i ostatnia Komunia święta. Jutro będę już razem z Panem Jezusem i z Matką Boską. Mój Anioł Stróż będzie się bardzo cieszył. Podziękuję Mu za to, że dobrze mnie pilnował. Niech Januszek też się wypowiada i przyjmie Komunię świętą. I proszę ubrać ładnie dziewczynki, tak je kocham, mamusiu.

— Dobrze, syneczku. Ja też przyjmę Pana Jezusa. Wszyscy będziemy z tobą. Tatuś też przyjdzie.

— Tatuś przyjdzie... Tatuś przyjdzie... powtarzał Waluś.

Drugiego dnia wieczorem już nie żył.

W rocznicę śmierci Walusia umarła po urodzeniu synka pani Krystyna, dla której ojciec Walusia porzucił żonę i czworo dzieci.

Pan Gogowski, dzień przed tym faktem tak wesoły i pewny siebie, powlókł się na cmentarz. Pamiętał, że to było rok temu... Pamiętał oczy swego pierworodnego syna, oczy, które patrzyły tylko na niego... Patrzyły? One patrzą! Teraz — też! Patrzą. Wciąż patrzą. Drażą do szpiku kości. Nakazują. Żądają. Zmuszają.

— Proszę pana...

— A, ksiądz proboszcz, bardzo mi przyjemnie...

— Byłem u pana w domu, telefonowałem do biura. Mam bardzo ważną sprawę do pana, która musi być załatwiona dzisiaj, w rocznicę śmierci Walusia. Waluś odebrał ode mnie słowo honoru, że w rok po jego śmierci oddam panu tę zaklejoną przez niego kopertę. Poleciał mi ją wyjąć z za Krzyża w naszym kościele. Proszę.

— Dziękuję. Czy mogę rozpieczętować przy księdzu, tu, nad grobem mego dziecka?

— Proszę. Jak pan uważa, nie mam nic przeciwko temu.

Pan Gogowski rozdarł kopertę, wyjął kartkę i przeczytał głośno:

Jezu, dobry mój Jezu,
ofiaruję Ci moje życie,
aby tatuś wrócił do mamusi —

Twój Waluś.

Pan Gogowski ukląkł i nad grobem swego synka rozpoczął spowiedź. Trwała długo. Słyszał ją Bóg.

*

*

*

— Idź w pokoju, ale nie grzesz więcej — powiedział ksiądz i odszedł pozostawiając swego penitenta.

Po pogrzebie Krystyny pan Gogowski stanął przed swoją żoną.

— Ireno, Krystyna umarła. Jutro mam odebrać dziecko ze szpitala. Czy przyjmiesz mnie i to dziecko? Proszę cię, zrób to nie dla mnie, bo nie jestem ciebie wart, ale dla maleństwa, które nic nie zawiniło i dla naszych dzieci. Przeczytaj list, który wręczył mi ksiądz proboszcz nad grobem Walusia w rocznicę jego śmierci.

Irena przeczytała. Zrobiło się jej słabo. Trzeba było wezwać lekarza. Gdy powróciła do sił, uśmiechnęła się, zawołała dzieci i powiedziała:

— Tatuś wrócił. Nie będzie już pracował tak daleko. Mamusia pojedzie jutro z tatusem i przywiezie do domu małego braciszka. Potem wszyscy razem przeniesiemy się do innego miasta.



JAN DŁUGOSZ SYN JANA

Burgrabia królewski na zamku w Brzeźnicy koło Radomska, Jan Długosz, powracał w aureoli chwały z pola bitwy pod Grunwaldem. Wszak pojmał komtura Markwarda, mordercę dzieci Witolda! Otrzymał za to bogate starostwo w Nowym Mieście Korczynie, co wybitnie poprawiło stan materialny jego rodziny. A rodzina była liczna: dwunastu synów nie licząc córek. Wszystkim nadawał noszone przez siebie imię Jan i wszystkich wychowywał w duchu rycerskiej miłości dla Chrystusa i Ojczyzny.

Długoszowi Janowie słuchali chętnie opowieści ojcowych, które snuł zimowymi wieczorami. Któż zresztą opowie lepiej, któż lepiej wpoi w umysły i serca dzieci dzieje narodu, aniżeli własny rodzic, przy tym świadek naoczny i uczestnik tego, co się działo za jego życia? Słuchali więc chłopcy Długoszowi z otwartymi ustami o dobrych czasach za Kazimierza Wielkiego, o Ludwiku Węgierskim, który mało dbał o Polskę, o Krzyżakach, którzy pod pozorem nawracania na wiarę katolicką mordowali ludzi. Czasem któryś z nich zapytał:

— Czy tak wolno, panie ojcze?

— Czy Bóg nie pokarze takich?

— Trzeba się rozprawić z nimi, poradził najmądrzejszy.

— Zaraz wam odpowiem, mądrze pytacie. Znacie piąte przykazanie boskie: Nie zabijaj! Bóg dał życie i On sam jest panem życia. Więc zabijając, to rzecz szpetna, grzeszna. Chyba, że w obronie własnej lub ojczyzny, gdy wróg ją napada.

— A Krzyżacy mówią, że im wolno, bo chcą dobrze, chcą, by wszyscy w prawdziwego Boga uwierzyli.

— Tak nie wolno. Można mówić o prawdziwym Bogu, ale siłą, mieczem, ogniem, nigdy i nikomu zmuszać drugich nie przystoi i — nie wolno! Człek jest wolny, takim stworzył go sam Stwórca, sam więc człowiek decyduje o tym, komu cześć oddawać będzie. A Krzyżacy — straszni ludzie. Noszą białe płaszcze, na nich duże czarne krzyże, nazywają się sługami Bożej Matki, a w swym sercu mają diabła, chcą panować nad wszystkimi, chcą zagarnąć nasze ziemie, te, na której siedzą i Żmudzini, i Litwini, i Polacy. Nie na Bogu im zależy, znają przecież Ewangelię, ale żyją nie po Chrystusowemu.

— Czy to prawda, że tak strasznie męczą, że tym, których złapią, wypalają oczy, obcinają język, ręce...

— Tak, to prawda. Sam widziałem tak okaleczonych.

— A czy, panie ojcze, Bóg ich skarże?

— Już ich skarał. Najpierw to najmiłociwsza pani katedry Wawelskiej, błogosławionej pamięci Królowa Jadwiga, rozmawiała z nimi i nawoływała, by się nawrócili i opamiętali, bo nasz Bóg jest miłością i nikogo mieczem nie przymusza, ale oni nie słuchali... Wtedy Pani nasza im przepowiedziała, że gniew Boży na nich spadnie, że małżonek jej, Jagiełło, pomści krzywdy, że rozproszy ich na zawsze. Tak się stało. W jedenaście lat po śmierci świątobliwej Pani król Jagiełło stanął pod Grunwaldem i zwyciężył Zakon w imię Boga i Rodzicy Jego, Przenajświętszej Panny.

— Jak to było, panie ojcze, opowiedzcie.

— Dobrze, ale innym razem. Dzisiaj tylko wspomnę o tym, jak przed bitwą król się modlił na mszy...

— Sam ją odprawiałem pod namiotem, który był kaplicą, wtrącił Długoszowy brat, przewielebny ksiądz Bartłomiej Długosz. — ...Jutro wieczorem wam opowiem, jak to butny mistrz krzyżacki Ulryk von Jungingen, drwiąc z naszego króla i rycerzy, przysłał mu dwa olbrzymie miecze na wypadek, gdyby ich zabrakło sprzymierzonym wojskom Polski oraz Litwy... Także powiem o chłopakach, takich jak wy, starsze syny moje, no i o tym, jak to mądry król Jagiełło kazał tuż po bitwie porozbijać beczki wina krzyżackiego.

— A dlaczego, panie ojcze? Szkoda przecież wina.

— Szkoda wina, ale król sam nie pił nigdy i on dobrze wiedział, że pijany człowiek ni rozumu, ni też siły nie ma. Cóż dopiero żołnierz, i na polu walki! Mądry był, oj, mądry, król Jagiełło.

Ale, dosyć. Zaśpiewamy tylko to, co tam śpiewali wszyscy, gdy ruszali już do bitwy. Niechaj każdy stanie prosto i poczuje się tak, jakby miał na sobie zbroję i na ordynansach był u króla jegomości.

Długoszowi Janowie stanęli na baczność, ich siostrzyce razem z panią matką także, a grunwaldzki rycerz zaśpiewał głośno:

Bogu Rodzica, Dziewica,
Bogiem sławiena Maryja,
U twego Syna, Gospodzina,
Matko zwolena, Maryja,
Ziści nam, spuści nam,
Kyrie elejson.

Twego dzieła Chrzcziciela, Bożycze,
Usłysz głosy, napełń myśli człowiecze.
Słysz modlitwę, jaż nosimy;
A dać raczy, Jegoż prosimy:
A na świecie zbożny pobyt,
Po żywocie rajski przebyt:
Kyrie elejson.

Trzeci z kolei Długoszowy Jan ukończył szkołę parafialną w Nowym Mieście Korczynie i pan ojciec, widząc, że nie ma ochoty do bitki, przeznaczył go do stanu duchownego. Niespełna tedy trzynastoletni chłopak znalazł się pewnego dnia w nie znanym sobie Krakowie i zaciągnął się w szeregi Żaków. Był zdolny. Z ciekawością słuchał wykładanych nauk, zainteresował się lekturą mistrza Wincentego, a nawet pomyślał, że byłoby dobrze, gdyby tak ktoś wziął za pióro i napisał jeszcze więcej i jeszcze lepiej o tym, co się w Polsce działo od początku. Także o tym, co się teraz dzieje. Może on to zrobi? Ale nie, to żmudne, trzeba wyszukiwać to, co inni napisali, trzeba szperać, zbierać i stać przy pulpicie... Niech to zrobią inni. Tyle jest magi-

strów, bakałarzy, profesorów. On chce działać... I zarabiać musi. Pana ojca nie stać na to, by go utrzymać. W domu tyłu jeszcze Janów pozostało... Więc opuszcza akademię i już byłby wrócił do Korczyna, gdyby nie jegomość stryj, dobry ksiądz Bartłomiej, który go zaprotegował biskupowi krakowskiemu Zbigniewowi. Został więc pisarzem dworu biskupiego. Był inteligentny, dokładny, sumienny i odznaczał się talentami organizatorskimi. Wraz z godnościami kościelnymi otrzymywał majątki, w tym probostwo w Kłobucku po swym stryju oraz godność kanonika katedry krakowskiej. Co prawda nie miał jeszcze święceń kapłańskich: przyjął je dopiero w 1440 roku. Po nich awansował nadal. Został kanonikiem sandomierskim, gnieźnieńskim i kustoszem kieleckim. Dochodów miał wiele, coraz więcej, ale sam żył bardzo skromnie. Umiał swe dochody pomnażać i obracać na poważne cele: *ad maiorem Dei gloriam*, także na chwałę ojczyzny, umiłowanego Królestwa Polskiego.

Kierujący w latach 1423—1447 polityką polską biskup Oleśnicki, poznał się na zaletach Długosza i pokochał go szczerze. Zaufał mu i wprowadził w arkana ówczesnego życia politycznego, religijnego i kulturalnego. Podróże w służbie dyplomatycznej Oleśnickiego, podobnie jak i osobiste wojaże Długosza, były doskonałą okazją do nawiązywania stosunków z wybitnymi ludźmi epoki i nabywania coraz lepszej orientacji we współczesnym mu świecie. Widział wiele, słyszał wiele i potrafił załatwić wiele ważnych spraw. Poprzywoził także wiele. Nie dla siebie, ale dla nauki, dla opisania dziejów Polski, które mu się wciąż marzyło, a do którego tak mu trudno było usiąść, bo wciąż rosły nowe sprawy; ważne, ojczyźniane.

Biskup ufał coraz bardziej Długoszowi. Wysłał go na sobór w Bazylei, po tym do Włoch kilkakrotnie, kazał mu uczestniczyć w wyprawie Władysława po koronę na Węgry, brać udział w zabiegach o przyłączenie Śląska do Polski i posłować do papieża Eugeniusza IV. Ta ostatnia podróż zakończyła się wspaniale: Długosz przywiózł dla biskupa kapelusz kardynalski, a był to pierwszy kapelusz tej miary w Polsce.

Był też Długosz w Wiedniu i zadziwił tam słynnego humanistę Eneasza Sylwiusza Piccolominiego, późniejszego papieża Piusa II, piękną łaciną, którą się posługiwał. W 1450 roku pielgrzymował z Janem Elgotem do Ziemi Świętej. Przeżył ogromnie nawiedzenie ziemi uświęconej stopami Boga-Człowieka i zachęcał wszystkich, aby tam dążyli. Podróżując kupował i przywoził to, co uważał, że przyda się jemu, a później innym do studiów, zwłaszcza do napisania dziejów ojczystych.

Z poleconych sobie zadań wywiązywał się doskonale, był doprawdy utalentowanym dyplomata. Z osiągnięć jego na tym polu zasługuje na szczególną uwagę to, że w 1450 roku doprowadził do rozejmu między kondotierem habsburskim Janem Giskrą a regentem króla Węgier Janem Hunyadym, jak również to, że na mocy traktatu toruńskiego z Krzyżakami w roku 1466 wielka część Pomorza została przyłączona do Polski. Napisał wtedy, że serce jego wypełnia ogromna radość, ale że byłaby ona jeszcze większa, gdyby wróciły do Polski Ziemie Zachodnie ze Śląskiem. Nic, co polskie, nie było Długoszowi obojętne, ale sprawa Śląska była tak dla Oleśnickiego jak i dla niego sprawą najważniejszą. Zaslugą Długosza był też traktat wyszegradzki, dzięki któremu uniknięto sześciu wojen oraz doprowadzono do unżenia się i hołdu mistrza pruskiego Marcina Truchsesa na rynku krakowskim. Umiał Długosz przewidywać skutki swych pociągnięć dyplomatycznych. Umiał. A może posiadał charyzmat dyplomaty?

Utalentowany dyplomata o zamiłowaniach kronikarskich był równocześnie wspaniałym administratorem dóbr biskupich, całej jakże rozległej wówczas diecezji krakowskiej, oraz własnych, związanych z godnościami, które piastował. Lubił porządek i sprawiedliwość, wiedział, że dokumentacja jest rzeczą niezastąpioną — opracował więc księgę uposażeń diecezji krakowskiej, dzieło wspaniałe, które dla historyków stanowi bogaty obraz statystyczny Małopolski w drugiej połowie XV wieku.

Gospodarzył dobrze, więcej — wspaniale. We wsi

Chotel koło Buska postawił murowany kościół, w Wiślicy wspaniałą wieżę oraz dom, który do dziś służy jako plebania. W Sandomierzu wybudował dom dla kolegium misjonarskiego, obecnie mieści się w nim muzeum diecezjalne. W Odachowie koło Radomia wymurował kościół, w Nowym Sączu wyposażył kolegiatę, a w Kłobucku założył przy kościele klasztor kanoników regularnych laterańskich i sprawił dla nich jeden z najpiękniejszych ornatów ozdobiony precennymi haftami i mnóstwem pereł. Patronowi Polski, św. Stanisławowi Szczepanowskiemu, ufundował kościół w jego rodzinnej wsi, doprowadził także do skutku sprawę fundacji w miejscu męczeństwa biskupa na Skałce osadzając tam zakon Paulinów. W Raciborowicach jeszcze do dzisiaj stoi Długoszowy kościół pod wezwaniem św. Małgorzaty. W umiłowanym Krakowie u stóp Wawelu przy ulicy Kanoniczej stoją także wybudowane przez Długosza piękne budowle. Na samym wzgórzu wawelskim wznosił wspaniałą psalterię, która niestety, już dziś nie istnieje. Zabiegał także o to, aby na Biełanach powstała fundacja dla kartuzów, cenił bowiem ludzi oddanych życiu kontemplacyjnemu.

Dowodem miłości kanonika krakowskiego dla młodzieży kształcącej się w Akademii Krakowskiej była troska o bursy, w których mieszkali studenci. Wystawiał nowe i podnosił z ruin dawniej wybudowane domy dla żaków. Zadbał o bursę Artystów, bursę Grochową, bursę Kanonistów oraz o bursę Węgierską przy ulicy Brackiej. Nie same jednak mury i ich wnętrza korzystały z hojności kanonika krakowskiego, korzystali z niej przede wszystkim ludzie, którzy ze wszech stron garnęli się do wszechnicy krakowskiej. Dzięki jego zapobiegliwości znajdowali dostateczne warunki bytowania i mogli zetknąć się z rękopisami oraz innymi materiałami, które zapobiegliwy kanonik zakupywał i przywoził z zagranicy. I mogli uczyć się od niego pełnego miłości oddania się na służbę Kościoła i Ojczyzny.

A przecież to jeszcze nie wszystko, bo równocześnie Długosz pracował nad dziełem pt. *Banderia Prutenorum*, czyli nad opisem i skatalogowaniem chorągwi

krzyżackich, nad zestawieniem herbów polskich w dziele *Insignia seu clenodia Regni Poloniae*, a także nad *Lites ac res gestae inter Polonos Ordinemque Cruciferorum*, czyli nad zbiorem dokumentów dotyczących stosunków polsko-krzyżackich z lat 1339—1432. Sporządzone oprócz tego wykazy-życiorysy biskupów wrocławskich i poznańskich, arcybiskupów gnieźnieńskich, płockich i krakowskich, oraz napisanie żywotu św. Stanisława i błogosławionej Kingi, a także opis pierwszej i drugiej fundacji klasztoru jasnogórskiego, też nie kończą dorobku pracy piśmienniczej Długosza.

Rozpoczął — przynaglany przez kardynała Oleśnickiego — w 1455 roku pracę nad historią Polski. Zatytułował ją: *Roczniki, czyli kroniki sławnego Królestwa Polskiego*. Ujął dzieje Polski od początków historii Słowian aż do ostatnich królów Władysława i Kazimierza. Usiłował je wpleść w ogólne wydarzenia, zwłaszcza w historię krajów sąsiednich. Dokonał ogromnego wysiłku zgromadziwszy niespotykaną dotąd ilość przekazów i źródeł. Studiował je, starał się powiązać pragmatycznie i przedstawić możliwie obiektywnie, a z pewnością — sumiennie. Poprzedził swe dzieło geografią historyczną ziem polskich i charakterystyką jej mieszkańców. Po przedstawieniu dziejów politycznych kraju wyciągał wnioski i podawał wskazówki dla tych, którzy rządzą współcześnie Królestwem Polskim.

Praca Długosza jest unikatem nie tylko w polskiej nauce, ale nie posiada również odpowiednika w historiografii europejskiej XV wieku. Mimo braków, których przy pisaniu dzieła tej miary nie dało się uniknąć, Długoszowa historia posiada ogromną wartość i w wielu wypadkach jest jedynym źródłem informującym o przeszłości.

A poza tym, a raczej przede wszystkim, uczy miłości i szacunku dla korzeni, z których wyrastamy. I to jest najważniejsze. I nie co innego miał na myśli schodzący do grobu autor historii Polski jak właśnie miłość owych korzeni, gdy pisał: „Błagam wszystkich duchownych tak zakonnych jak i świeckich, wielebnych i przezacnych mężów doktorów, profesorów, mistrzów,

uczniów i pisarzy każdego wydziału przesławnej akademii krakowskiej, aby po mojej śmierci ktokolwiek z ich grona, według sił i możliwości swojej, te księgi dziejów w dalszym ciągu pisał, żeby nigdy przerwy w nich lub zaniechania nie dopuszczał”.

Dzieło swego życia zadedykował kanonik krakowski „Najprzewielebniejszemu w Chrystusie Panu Zbigniewowi z Oleśnicy, z miłosierdzia Bożego kardynałowi prezbiterowi św. rzymskiego Kościoła tytułu św. Pryska oraz biskupowi krakowskiemu, Panu memu Najczcigodniejszemu i Najdostojniejszemu”.

Dlaczego? Wszak Oleśnicki zmarł w roku, w którym Długosz zaledwie rozpoczynał kreślić pierwsze słowo swojej *Kroniki*. Wszak dlatego, że stał przy kardynale, zwłaszcza w sprawie obsadzenia biskupstwa po nim, popadł w niełaskę króla, który nie tylko skonfiskował jego majątności, ale też skazał go na wygnanie z umiłowanego miasta. Odpowiedź jest jedna: Długosz kochał swego protektora bezinteresownie i niezależnie od tego, czy się to komuś podoba.

Król przekonał się szybko, iż tacy ludzie jak Długosz „nie rodzą się na kamieniu” i przywrócił go nie tylko do swojej łaski, ale okazał mu wyjątkowe zaufanie, powołując na wychowawcę swoich synów. Wiedział, że jest to człowiek, który potrafi przekazać przyszłym władcom nie tylko znajomość, ale miłość dziejów Królestwa Polskiego. Nie omylił się. Żaden z królewskich wychowanków Długosza nie przyniósł wstydu ani ojczyźnie, ani Kościołowi, a jeden z nich, Kazimierz Jagiellończyk, został wyniesiony na ołtarze.

Długosz doczekał się w 1480 roku nominacji na arcybiskupa lwowskiego. Zrezygnował wówczas z piastowanych dotąd godności. Rokował najlepsze nadzieje na stanowisku rządcy kresowej diecezji, ale 19 maja tegoż roku został odwołany przez Boga do Królestwa niebieskiego i włączony do orszaku tych, którzy otrzymują nagrodę za to, że ponad wszystko umiłowali Boga i Ojczyznę.

Pochowano go na Skałce.

KAJSIEWICZ

Wychodził często nad brzeg Niemna, tam gdzie kończyły się posiadłości dzierzawione przez jego ojca, by patrzeć w bezkres, by jak wody tej przepięknej rzeki biec myślą i pragnieniem hen, nie wiadomo dokąd.

Czy źle mu było w Giełgudyszkach Niższych lub też w innych folwarkach powiatu mariampolskiego? Skądże! Był przez 11 lat jedynym synem — królewiczem pośród czterech córek Anny i Dominika Kajsiewiczów, ludzi ze wszech miar godnych szacunku. A nawet, gdy przyszedł na świat Kazio, nie został zde-tronizowany, przeciwnie, bo i najmłodszy z rodu uwielbiał swego jedynego brata. Zresztą — zasługiwał na to. Był ładny, dobry, posiadał niezwykły wdzięk i potrafił szczerze współczuć drugim. Był bardzo zdolny i uczył się pilnie. W dziedzinie muzyki i literatury robił zadziwiające postępy. Żywy, łatwo wypowiadający swoje myśli, prawil często ukochanym siostrom improwizowane kazania, organizował zabawy i przedstawienia i — uciekał, by zażywać samotności. Ukryty w gąszczu krzaków myślał. O czym? Nad czym? Nie wiadomo. Może nad tym, co wyczytał zbyt wcześnie u filozofów starożytnych? Może nad tym, co słyszał od rodziców i domowych nauczycieli o niedoli Polaków pod zaborami? Może już wtedy chciał pomóc, walczyć o wolność ojczyzny? Odnajdywany po takich chwilach nieobecności, ćwiczył zapamiętane gamy na fortepianie, albo brał do rąk umiłowane skrzypce, albo pisał wiersze.

Co z niego wyrośnie — pytali wszyscy. Nadaje się bardziej do salonów, aniżeli do pługa i spraw administracyjno-gospodarczych litewskiego dworu. A przecież z dziada pradziada Kajsiewiczze, chociaż kształcili się

w miastach, wracali, aby żyć tu, na umiłowanej ziemi wśród Litwinów, Rusinów i Polaków. Za Niemen, za Niemen..., ale tylko po to, by wrócić nad Niemen, by trwać w ojczystym gnieździe, mimo że zaborca systematycznie podcina korzenie drzewa, na którym gniazdo się umocowało.

Co z niego wyrośnie, gdy opuści gniazdo rodzinne?

Przyszedł czas, że domowi wychowawcy i nauczyciele nie byli w stanie zaspokoić pragnienia wiedzy Hieronima. Poszedł do szkół. Najpierw do pijarów w Rosieniach, potem do klas wyższych w Sejnach i tam zdał maturę z wyróżnieniem. Mając zaledwie 16 lat znalazł się na Uniwersytecie Warszawskim na wydziale prawa i administracji. Widziano go też często na wykładach innych dyscyplin, zwłaszcza literatury u Osińskiego i Brodzińskiego. Był inteligentny, miał czas i pieniądze, bo czegoż by nie dały ukochanemu Hieroniusiowi jego siostry — anioły! Mógł zatem bywać w towarzystwie, należeć do stowarzyszeń młodzieżowych i mógł bawić się w warszawskich salonach. Lubił je. Znajdował w nich ciekawych ludzi. A one szeroko otwierały swe podwoje przed wspaniałe zapowiadającym się młodzieńcem, który improwizował wiersze, grał na instrumentach i tańczył, jak nikt.

Hieronim bawił się często. Może zbyt często. Bawił się również w nocy z 29 na 30 listopada 1830 roku. I właśnie, gdy pełen balowych nastrojów wracał nad ranem do domu, usłyszał galop konia i wołanie: „Kto w Boga wierzy, niech biegnie do arsenału po broń, bo Moskale naszych mordują!”.

Pobiegł. Chwycił za broń. Frak zamienił na żołnierski mundur, rękawiczkami czyścił karabin Chłopickiego, a melonik zawiesił na przydrożnym drzewie.

Zaciągnąwszy się potem do III pułku ułanów Dwer-nickiego, poszedł walczyć o Polskę, bić się o wolność dla niej, dla Litwy i Żmudzi, dla każdego, kto jęczał pod butem zaborcy.

Trzynastego lutego był pod Stoczkiem, 19 już pod Nową Wsią. Zapędziwszy się za uciekającymi puszkarzami konnymi został 4 razy cięty w głowę. „Walilem ja i mnie walono — pisał potem do rodziców —

krw się broczyła, siły uciekały i upadłem. Konie po mnie tratowały, w oczach się zaćmiło — nie wiem, co się ze mną działo. Ale Bóg mnie chciał.. i jeszcze błysła mi iskierka pamięci. Sąd Boży stanął przede mną. Zacząłem się modlić w duchu i ślubowałem Bogu, że jeżeli mi życie zachowa, poświęcę je całe na służbę Jego.

Po odejściu wojsk polskich, dwaj kozacy obdzierali trupów, dwoma pchnięciami lancy dopytawszy się, że żyję, obiwszy mnie prowadzili do obozu, upadającemu od upływu krwi każąc się ogona końskiego trzymać. Gdy jednak omdlałe ręce trzymać się czegokolwiek nie umiały, gdy jeden groził znów drzewcem lancy, drugi, zgromiwszy go, zsiadł z konia, wsadził mnie rannego na swoje miejsce i podtrzymując do obozu przez godzinę prowadził. Ale niestety! Za czyn ten ludzki w obozie od swoich o ducha polskiego posądzony, źle wynagrodzonym został, podczas gdy rannych, na ziemi leżących Polaków, oficerowie nogami kopali, niektórzy z nich po niemiecku mówili” — opisuje swe dalsze dzieje Kajsiewicz.

Odbity z obozu kozackiego przez Polaków został zawieszony do lazaretu w Radomiu. Po dwumiesięcznej kuracji, z zabandażowaną głową przedarł się do Łowicza, by z powrotem stanąć w powstańczych szeregach. Rany były nie zagojone, musiał więc nadal leczyć się w szpitalu. Po wzięciu Warszawy wyemigrował razem z innymi do Francji, do Besançon.

Na emigracji był wolnomularzem, węglarzem, nawiązywał różne kontakty, przeszedł — i to bez znieczulenia — trzy ciężkie operacje twarzy, chodził z zabandażowanym okiem, zwracając na siebie uwagę policji, pisał artykuły, wiersze, uczył się odlewania armat, wreszcie wpadł w objęcia Mickiewicza. Wieszczy pokochał go szczerze. Chwalił jego poezję i zachęcał do pisania, czasem wspierał materialnie, zawsze duchowo, szczególnie wtedy, gdy Kajsiewicz wraz z Retlem musiał na rozkaz policji przenieść się z Paryża do Angers bez prawa opuszczania miasta. Gdy po dwóch latach udało mu się wydostać z tego zamknięcia, wszedł od razu w szeroki świat emigracji polskiej.

Jest niedziela. Kajsiewicz idzie do poety. Puka. Otwiera mu odzwierna i ze zdziwieniem mówi: „Pan Mickiewicz o tej godzinie jest zawsze na mszy świętej”. Hieronim rozmyśla: „Jeśli Mickiewicz chodzi do kościoła, to religia musi być czymś przecie poważnym” i sam zaczyna myśleć poważnie o swoim stosunku do Boga.

Po pięciu przeszło latach przerwy odbywa w benedyktyńskim monasterze w Solesmes spowiedź, nawiązuje bliski kontakt z Bogdanem Jańskim i Piotrem Semenenką i postanawia poświęcić się na wyłączną służbę Bogu. Myśli o wstąpieniu do trapistów lub do benedyktynów, ale myśl Jańskiego i Mickiewicza, że „Polsce potrzeba nowego zakonu”, zaciąga go w szeregi przyszłych zmartwychwstańców, najpierw jako członka „Domku Jańskiego”, potem — jako współzałożyciela tego „nowego zakonu”.

Odtąd razem z Semenenką wypracowuje zręby duchowości i organizacji nowej rodziny zakonnej w Kościele Chrystusowym. Zafascynowany prawdą tajemnicy paschalnej, prawdą o przekształcaniu się dzięki Duchowi Świętemu w nowego człowieka, żyje jednym pragnieniem: chce głosić wszystkim, ale szczególnie Polakom na emigracji i w kraju, radosną wieść o Bogu żywym, który jest Miłością.

Podróżuje wiele. Chce ten ogień, który Chrystus przyniósł na ziemię, zapalić i w Rzymie, i w Paryżu, i w Polsce, i w Ameryce i w Bułgarii. Znają go ambony największych katedr i bazylik i znają go ciche kaplice klasztorne. Za odwagę, siłę przekonań, bogactwo i piękno języka i przede wszystkim za ducha Bożego, z jakim głosi kazania, nazywają go współczesnym Skargą. Konfesjonał jego jest obleżony o każdej porze, a z rady jego korzystają tak potentaci tego świata, jak i ludzie prości.

Myśląc o pracy nad polską dziewczyną i kobietą zakłada z Józefą Karską, a po jej śmierci z Marceliną Darowską zgromadzenie sióstr niepokalanek. W dzieło to — podobnie jak Piotr Semenenko — wkłada całe serce.

Bóg i ojczyzna, to dwie rzeczywistości, które wy-

pełniają bez reszty jego życie, zainteresowania, aspiracje. Jako powstaniec — emigrant jest stale obserwowany przez agentów carskich. Nie może swobodnie przekraczać granicy pomiędzy zaborami i nie może zatrzymywać się w niektórych regionach Polski. I — jak to bywa — przez jednych jest lubiany, nawet podziwiany, przez drugich jest nierozumiany i źle widziany. Do tych ostatnich należą ci, którzy przestają wierzyć, że jeszcze Polska nie zginęła i myślą raczej o własnej korzyści i karierze, aniżeli o ratowaniu Ojczyzny.

Kajsiewicz jest przekonany, że naród polski może i musi walczyć i wywalczyć sobie wolność, oraz miejsce na mapie Europy. Wie, że nie obejdzie się bez oręża, bez przelania krwi, chce jednak, by nie wylało się jej za wiele i na darmo. Pamięta również, że jest kapłanem, że dany mu jest do ręki inny oręż — krzyż, inna tarcza — Bogurodzica Dziewica, Najświętsza Maryja Panna, Królowa Polski.

Widząc jak zaborcy, zwłaszcza car, okłamują Stolicę Apostolską w sprawach dotyczących Polski, podejmuje się nieoficjalnie misji jak gdyby ambasadora Polski przy Watykanie. Naraża przez to siebie i swoich współbraci na oszczerstwa, szykany, prześladowania i długotrwałe podejrzenia. Pragnie otworzyć oczy Stolicy świętej na eksterminacyjną politykę Rosji w stosunku do narodu polskiego i na okrucieństwa, które bezkarnie stosuje. Pragnie zjednać przychylność i błogosławieństwo Głowy Kościoła dla Polski, oraz poważanie narodów świata dla uciskanego Narodu polskiego. Pracuje słowem i piórem, modlitwą i umartwieniem. Nawołuje do moralnego i religijnego odrodzenia jednostki i społeczeństwa, tak na emigracji jak i w kraju, bo jest przekonany, że siła narodu płynie z jego ducha, z tego, kim on jest.

Jakże boleśnie przeżywa napisany przez siebie — a z perfidią zmieniony i okrojony przez rosyjską cenzurę — list otwarty do braci Polaków.

Niedostatecznie, zbyt późno, a czasem wręcz fałszywie informowany o tym, co się dzieje w kraju, chce przestrzec przed skutkami pochopnie przygotowanego

powstania. Wie dobrze, że jeszcze nie czas, by liczyć na to, że chłopci, mieszczenie i szlachta wspólnie chwycą za oręż w obronie ojczyzny. Nie wie o „brance”, nie wie, że powstanie już się rozpoczęło, nie wie, że jego list dotrze za późno.

On, powstaniec z 1831 roku, on, noszący na własnym ciele blizny moskiewskiej szabli, pragnie uchronić naród od nowego wykrwawienia się, od więzień, katowania i zsyłki, od ruiny, od prześladowania za polską mowę i za wiarę ojców. Okiem doświadczonego powstańca ogarnia trudną sytuację kraju, nie łudzi się, że można liczyć na pomoc z zewnątrz i uważa — podobnie zresztą jak wielu innych — że jeszcze nie czas, a przynajmniej, że nie powinni chwycić za broń ci, którym namaszczone dłonie, by przemieniały chleb w Ciało Pańskie. Któż bowiem, gdy ich zabraknie, nakarmi głodnych Boga? Kto rozniecać będzie płomień wiary z uporem gaszony przez wroga? Kto będzie wciąż na nowo ukazywał, że najwyższą wartością, to Bóg i ojczyzna? Napisał więc list. Zasadniczy i prawdziwy jak on sam, on, Polak, powstaniec, emigrant polityczny, kapłan Chrystusowy.

Czy miał rację? Do dzisiaj rozstrzygnąć tego nie można. Można tylko — i należy w imię prawdy — zgodzić się na jedno: pragnął dobra ojczyzny i był gotów oddać za nią życie.

Czy się pomylił? Być może. Mylić się, nawet błędzić, to rzecz ludzka, powstawać to rzecz boska — mówili starożytni.

Kajsiewicz, gdy został poinformowany właściwie, gdy dowiedział się, że powstanie z powodu „branki” wybuchło wcześniej, nie tylko odwołał to, co napisał, ale sam chciał zaciągnąć się w szeregi walczących. I — napisał drugi list otwarty. Odzegnując się w nim od złośliwych insynuacji, że potępił powstanie jako grzeszne, pisze:

„Jam nigdy tego nie mówił przed powstaniem, tym mniej mówię po powstaniu... Przestrzec było obowiązkiem kapłana, dobrze życzącego swojemu narodowi... Mam nadzieję, o, mój narodzie, że znasz mój głos, który już od lat trzydziestu nie jest ci obcy... jedno ci

tylko powiem i o tym zapewniam: że nie potępiam, jak tamci mówią, powstania tego, a tym mniej prawa, jakie masz do samodzielnego bytu.

Mogłem uważać powstanie za przedwczesne... ale potępić, kiedy raz wybuchło, nigdy! Narodzie mój, kiedy się to stało, ja się za ciebie tym więcej modłę i polecam wszelkiej sprawiedliwości i miłosierdziu... Jakkolwiek skończy się... ten krok rozpaczliwy dziś uczyniony, zawsze pozostanie po nim uroczyście świadectwo na ziemi, ale zarazem jakby głos wciąż potem wołający do nieba zostanie, że naród polski jest wierny tym świętościom, które jedne są święte i jedne dają życie; zostanie, że w jego łonie żyją — Bóg, Kościół i wiara, więc i to zostanie, że się nie ma czego obawiać, że przyjdzie dla niego chwila miłosierdzia i podniesienia, bo nosi on w sobie samą zasadę życia i rękomię nieśmiertelności”.

Napisał drugi list. Ale tego drugiego listu nie zamieściły gazety, a niektóre z nich nadal przedrukowywały sfałszowany i obcięty przez cenzurę carską list pierwszy.

Bolał nad tym Kajsiewicz, bolał strasznie, ale rąk nie opuszczał. Modlił się sam, werbował „pospolite ruszenie” modłów i zaczął prosić natarczywie Ojca świętego, by poparł sprawę polską. I rzeczywiście Pius IX dnia 22 kwietnia 1863 roku wystosował pismo do cara, w którym piętnuje terror w Polsce.

Udało się Kajsiewiczowi i zmartwychwstańcom otworzyć oczy Stolicy świętej na sprawy Polskie. Zapłacili za to drogo i w pewnym sensie płacą do dzisiaj. Trudno. Ludzi, którzy nieświadomie, półświadomie, a nawet świadomie mijają się z prawdą, nigdy nie brakuje.

Niestrudzony był żywot Kajsiewicza. Sprawy Polski przy Watykanie pochłaniały wiele czasu i zdrowia. Sprawy Kolegium Polskiego w Rzymie wymagały wciąż nowych funduszków, jeździł zatem za ocean, aby głoszeniem kazań zdobyć grosz na ten ośrodek, w którym formowała się brać kapłańska dla Polski, emigracji, oraz pracy misyjnej. Rozwijające się w Ameryce oraz Bułgarii placówki zgromadzenia wołały również

o obecność głównego przełożonego, był więc zmuszony jeździć i przeprowadzać wizytacje. Nie były to sprawy łatwe, nie mniej troską, która spędzała mu sen z oczu, była niemożność osiedlenia się w Polsce. Próby podejmowane przez Kajsiwicza były natychmiast udaremniane przez zaborców: Nie chciano, by zakon, który „przez polską szybę Polakom w niebo patrzeć kazał”, zapuścił swe korzenie na rodzimym gruncie. Obawiano się tego polskiego „nowego zakonu”.

A „nowy zakon” rozrastał się jak ewangeliczne drzewo gorczyczne i czekał na moment, w którym zapuści korzenie w polską glebę, glebę przeoraną kazaniem Kajsiwicza, kaznodziei z Bożej łaski, jak mówiono. Głosił je wszędzie, gdzie choć przez chwilę pozwolono stanąć jego stopie.

Kilka lat temu stałam przy fontannie Trevi w Wiecznym Mieście. Z zachwytu wyrwało mnie pytanie:

— Czy jesteś siostrą zmartwychwstanką?

— Tak.

— Znam zgromadzenie zmartwychwstańców i zmartwychwstankę. Ale, czy siostra wie, że właśnie tu, o dosłownie tu, umarł wasz ojciec Kajsiwicz Hieronim?

— Nie, o tym nie wiem.

— A ja wiem. Mówili mi o tym nasi starzy księża. Był zdrowy, wygłosił tego dnia konferencję do współbraci na temat śmierci, potem udał się do klasztoru Przenajświętszej Krwi na spowiedź. Prosił jedną z zakonnicek o modlitwę, „by stał się zupełnie Pana Jezusowym i wyzuł zupełnie z siebie przez te krótkie chwile, które mu zostają”, a potem poszedł do Kolegium Polskiego do ojca Semenienki. Rozmawiał z nim, długo spowiadał się u niego, a wracając do domu osunął się tu, o właśnie tu, na ziemię i zakończył życie. W tej aptece, tu na prawo, ratowano go. To bardzo stara apteka. Było to w Środę Popielcową 26 lutego 1872 roku, w czterdzieści lat od zawiązania się „Domku Jańskiego”. Jański, to założyciel zmartwychwstańców. To był święty Ojciec. Niech siostra stanie tu, na tym kamieniu i pomodli się za niego, albo lepiej — do niego. I niech siostra pokazuje innym to miejsce.

O tym, że pochowany jest w kościele Zmartwychwstańców na San Sebastianello to chyba siostra wie?

— Wiem. Dziękuję. Bardzo dziękuję za to, co mi ksiądz powiedział i — już się modłę:

Ojcze Hieronimie,
który tak dzielnie szedłeś
przez krzyż i śmierć
do zmartwychwstania i chwały,
wstaw się u Boga,
abym ja, aby cała Polska,
aby wszyscy ludzie na świecie
kochali Boga i służyli Mu tak wiernie,
jak Maryja,
i jak Ty, Ojcze.

Patrząc na kaskady wód fontanny Trevi, długo jeszcze myślałam o ojcu Hieronimie Kajsiewiczu, prawdziwym Polaku, kapłanie i zmartwychwstańcu.

MATKA CELINA

Chciała wstąpić do klasztoru, ale rodzice i spowiednik zdecydowali, że powinna wyjść za mąż. Wyszła. I pokochała tego, którego dla niej wybrano, szczerze. Była szczęśliwa. Mąż ją uwielbiał. Za urodę, za wdzięk, za mądrość i za dobroć. Zazdroszczono mu zamożnej i wykształconej żony. Chętnie też bywano w domu Borzęckich w Obrembszczyźnie i chętnie zapraszano ich do siebie. Celina jednak wolała nie wyjeżdżać z domu, nawet za granicę, chociaż i Wiedeń i Paryż podobał jej się bardzo. Uważała, że obowiązki pani domu, przy tym żony i matki wymagają stałej obecności w domu. Była matką czworga dzieci. Dwoje, niestety, zmarło wcześniej, a dwie dziewczynki, Celinka i Jadwinia, były zdrowe, zdolne i dobre. Jadwinia urodzona podczas powstania styczniowego, miała „zaszczyt” przebywać razem z matką w rosyjskim więzieniu za pomoc, którą jej rodzice udzielali powstańcom. Nie pamiętała tego, ale chyba wtedy wyssała z piersi matczynej miłość do wszystkiego, co Polskę stanowi.

Dobrze było Borzęckim w obrembskim dworze. Kłopotów jednak nie brakowało. Polska jęczała zakuta w kajdany rozbiorów i w każdej chwili można było spodziewać się niepożądanego wizyty rosyjskich „czynowników” lub żołnierzy, a nawet dekretu skazującego za niepopelnione winy. Wszak najcięższym przestępstwem był fakt, że jest się Polakiem.

Borzęccy usiłowali dobrze gospodarzyć. Nie uważali siebie za panów posiadanego majątku, ale za włodarzy. Liczyli się z odpowiedzialnością za to, że posiadali więcej, aniżeli inni. Pamiętali o tym, że „Komu więcej dano, od tego więcej żądać będą”.

Celina już z rodzinnego domu wyniosła przekona-

nie, że dwór istnieje nie tylko dla właścicieli, ale też dla ludu. Widziała, z jakim szacunkiem i troską odnosili się jej rodzice, Rozalia i Ignacy Chłudzińscy, do mieszkańców Antowila. Jako dziewczę pomagała przy domowej aptece, zaopatrującej wieś w lekarstwa i cieszyła się, gdy zakwiliło dziecko pod dachem dworu, bo nie miało się gdzie urodzić. Teraz, gdy jest już samodzielną gospodynią, postępuje podobnie, owszem, rozszerza zakres oddziaływania dworu na tych, którzy przynależą do niego. Nawiązuje kontakt z wieśniaczymi chatami, ażeby rozpoznać rzeczywiste potrzeby ludzi i mobilizuje do współpracy księdza, ekonoma oraz Żyda — karczmarza. Chce dać ludziom pracę, podnieść poziom higieny i zdrowotności, nauczyć czytać i pisać. Pragnie też związać lud z Bogiem, Kościołem rzymskokatolickim. U jednych musi ugruntować poczucie przynależności do narodu polskiego, u innych — budzić je, a jeszcze u innych wskrzeszać.

Często zwołuje ludzi do kaplicy domowej na modlitwę, uczy śpiewu, zaznajamia z Pismem świętym i nieraz długo rozmawia z tymi, którzy już tylko „Ojciec nasz” potrafią wymówić w ojczystym języku. Podczas jesiennych i zimowych wieczorów dom Borzęckich jest pełen ludzi. Kobiety uczą się gotowania. Mężczyźni radzą wspólnie z Józefem Borzęckim nad tym, co zrobić, ażeby chata Paczkosi przetrwała do wiosny. Dziewczęta szyją słuchając, co pani Celina mówi o roli oraz zadaniach kobiety i matki. Chłopcy „pod wąsem” dowiadują się, że mają zrobić dwa stołeczki dla starych dziadków u Praksedy Józkowej. Chętnie to zrobią, bo w Piśmie świętym powiedziano, że to tak, jakby dla samego Pana Jezusa robili.

Za chwilę każdy niesie łyżkę gorącej stawy do ust, zabiera do domu tyle upieczonych przez baby chlebów, ile osób zostawił w domu, śpiewa całym sercem: „Wszystkie nasze codzienne sprawy przyjm litośnie Boże prawy...” — i całując zgodnie ze zwyczajem w rękę tak panią jak i pana odchodzi do swojej chaty. Idąc myśli, że są dobrzy ludzie na świecie.

Borzęccy udają się teraz do swoich dzieci. Jadwinia

spi. Celinka czyta *Pana Tadeusza*. Czyta? Wszak kar-tek nie przewraca.

— Celinko, idź już spać.

— Dobrze, ale jeszcze raz powtórzę tę stronicę na pamięć. To się przyda na potem.

Rodzice popatrzyli ze zdziwieniem na siebie. Nie przypuszczali, że to się już niedługo przyda ich córce na wiedeńskim bruku.

Jak grom z jasnego nieba uderzyła Celinę wiadomość, że mąż jej został sparaliżowany. Ażeby go ratować, przeniosła się do Wiednia. Starszą córkę oddała do internatu sióstr Sacré Coeur, sześćioletnią Jadwinę zostawiła przy sobie. Raz w tygodniu uczyła swoje dzieci literatury i historii Polski. Prowadziła dom, pielęgnowała chorego, który nie opuszczał inwalidzkiego wózka, zarządzała majątkiem i — od czasu do czasu — wyjeżdżała strojnie ubrana na któryś z licznych balów w wiedeńskich pałacach, bo tak sobie życzył ukochany mąż.

Wracała uśmiechnięta, zadowolona i dziękowała mężowi za to, że troszczy się o nią, że pragnie sprawić jej przyjemność. Nie zdradziła nigdy tego, że czas przeznaczony na zabawę spędzała na modlitwie w licznych kościołach stolicy Austrii, oraz na przejażdżce dookoła miasta. Do zdziwionych znajomych mówiła: „Jakże mogłabym się bawić, gdy mój mąż jest przykuty do łóżka?”

Mimo wysiłków lekarzy Józef Borzęcki umarł w szóstym roku pobytu we Wiedniu.

Smutny to był dzień, kiedy do bram dworu obrembskiego wnoszono trumnę ze zwłokami właściciela. Szczere łzy towarzyszyły wdowie po nim i jego dorastającym córkom.

Celina rozpoczęła w imię Boże na nowo pracę na umiłowanej ziemi. Znowu odwiedzała chaty, pomagała najbiedniejszym, gromadziła wieśniaków u siebie i zaczęła razem z córkami systematyczną naukę wiejskich dzieci. Za prowadzenie takiej roboty zagrożono deportacją wszystkich w głąb Rosji.

Ostrzeżona w porę, wyjechała natychmiast do Warszawy, a stamtąd do Rzymu. Nie wiedziała, jaki los

spotka ją i jej córki, przeczuwała tylko, jak dawniej, że życia zwyczajnie nie skończy.

Nie zajmowała się sobą. Troszczyła się o córki i modliła się o dobre odczytanie woli Bożej dla siebie i dla nich. Roztropnie zajęła się dalszym ich kształceniem oraz wprowadzaniem w tak zwany świat. Obie, osiemnastoletnia Celinka i dwunastoletnia Jadwinia, zwracały uwagę otoczenia urodą, wykwintnym zachowaniem się i znajomością wielu dziedzin życia. Władzały kilkoma językami, znały się na muzyce i malarstwie, ale też nie obca była im dziedzina gotowania czy sprzą-tania. Wszechstronnie przygotowywała je matka do życia.

W duszy owdowiałej Celiny odezwało się z całą siłą pragnienie oddania się Bogu w życiu zakonnym. Zdając sobie sprawę z obowiązków wobec córek, wierzyła jednak, że Bóg nie daje pragnień, które by nie miały być w jakiś sposób zrealizowane. Trzeba Mu za-ufać. Zaufała.

Tak samo myślał Piotr Semenenko, ówczesny generał zgromadzenia Zmartwychwstańców, przed którym Celina otworzyła serce podczas pierwszej spowiedzi w Wiecznym Mieście. Zorientował się, że Bóg przysłała mu osobę, która ma być założycielką żeńskiego Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego. Nie naglił jednak, wszak obowiązki matki wobec dzieci stoją na pierwszym miejscu. Czekał, aż Bóg wyraźnie objawi swoją wolę. Od Celinki dowiedział się, że pragnie wyjść za mąż i założyć rodzinę, od Jadwini, że pragnie służyć Bogu w klasztorze. W jakim? Może u klauzury-rowych Reparatek w Boussu lub u Pocieszycielek Serca Jezusowego? Może w Karmelu?

W 1879 r. Celinka oddała swą rękę Józefowi Halle-rowi i zamieszkała w ziemi kieleckiej.

Jadwiga kończyła edukację i coraz konkretniej my-słała o klasztorze.

Celina dziękowała Bogu za łaskę dobrego wycho-wania córek i ze spokojem czekała na to, co Bóg zamierzył dla niej. Zbliżała się do lat pięćdziesiątych, czasem załamywało się jej zdrowie, ufnie jednak pa-

trzyła w przyszłość swoją i Jadwigi. Zawsze też była najczulszą mamą dla młodych Hallerów.

Jej przyszłość naszkicował w głównych zarysach ojciec Piotr Semenenko. Ma być założycielką Zgromadzenia Sióstr Zmartwychwstania Pańskiego, które głosić będzie radosną wieść o Bogu-Miłości. Taka jest dla niej wola Boża. Celina uwierzyła generałowi zmartwychwstańców. Czasem co prawda ogarniał ją lęk. Mówiła wtedy:

— Ojcze, nie nadaję się do takich zadań.

— Bóg poradzi sobie z najbardziej nieudolnym narzędziem. Nie przeszkadzaj Bogu.

— Ojcze, jestem stara i słaba.

— Bóg jest zawsze młody i wszechmocny. Twoje doświadczenie życiowe bardzo się przyda.

— Ojcze, nie ma odpowiednich funduszków. Ośmieszymy się tylko. Czyż nie lepiej ażebym, gdy Jadwiga ustali swoją przyszłość, ukryła się za klauzurą?

— Bóg ma więcej, aniżeli rozdał. Sam rozpoczynał od skrajnego ubóstwa, od stajni. Ośmieszymy się? Dla Niego warto. O jedno chodzi, aby być wiernym temu, co On chce. Ukochaj tę wolę Bożą, którą ci komunikuję. Ukochaj ją wiarą, dziecięcym zdaniem się na Opatrzność. On ciebie kocha. On sam będzie ciebie prowadził. A że przez krzyż, to przecież nic dziwnego. Syna swojego też prowadził taką drogą do zmartwychwstania. Trzymaj się mocno Maryi. Zobacysz, że Bóg, jak dobry Ojciec, lubi sprawiać niespodzianki tym, którzy Mu zaufali.

Rzeczywiście. W dniu Zwiastowania Pańskiego 1881 roku stała się rzecz niespodziewana. Jadwiga zdecydowała się stanąć przy matce, by wspólnie z nią organizować nową rodzinę zakonną. Stanowczego *fiat* — „tak”, które wówczas wypowiedziała Bogu, nie odwołała nigdy. Oddała Mu wszystko: młodość, urodę, zdolności, wykształcenie, aspiracje naukowo-artystyczne i przede wszystkim siebie, na zawsze, na wieczność.

*

*

*

Bóg jest Miłością. Jest Ojcem. Kocha nas. Syna swojego dał, aby nas zbawić. Bóg czeka na nas w swoim domu, w niebie. Ażeby tam trafić, trzeba poddać się działaniu Ducha Świętego, który w nas realizuje życie Boże. Trzeba naśladować Chrystusa, to znaczy, tak żyć jak On, w Nim zmartwychwstać do życia w łasce, cierpieć tak jak On i z Nim umrzeć, aby też z Nim zmartwychwstać kiedyś w chwale. A więc życie Chrystusa — naszym życiem! Jego Pascha — naszą paschą! On naszym wzorem, mistrzem, miłością, wszystkim. On i tylko On. A Jego Matka — tą, która nas uczy i prowadzi.

Oto zręby duchowości zmartwychwstańskiej. Czyż może być coś wspanialszego?

Zafascynowane tą duchowością, radosne, mimo wielu trudności, a nawet prześladowań, budowały Matki Borzęckie wspólnotę ludzi, których Bóg powołał pod sztandar Chrystusa zmartwychwstałego. Powstawały domy i placówki w Rzymie, w Bułgarii, w Kętach koło Oświęcimia, w Warszawie, Częstochowie i Poznaniu i w Ameryce, by ratować tam Polaków od wynarodowienia i przypominać im, że nie samym chlebem człowiek żyje.

Pracy było wiele, bardzo wiele, a siostr ciągle mało, chociaż tzw. powołania licznie garnęły się do pracy w szeregach zmartwychwstańczych.

Matka Celina patrzyła z radością na rozwijającą się rodzinę, dbała o należyłą formację kandydatek, o wierność regule i o delikatną miłość w stosunkach wzajemnych. Miłość Boga i miłość człowieka stawiała zawsze na pierwszym miejscu. Znana była z dobroczynności, z tego, że odda ostatni grosz potrzebującemu, że chętnie dopomoże w każdej trudnej sytuacji. Ceniła pracę, dbała o jej rzetelność, uważała, że praca przyczynia się do rozwoju człowieka i że człowiek przez pracę oddaje Bogu cześć i uwielbienie. Specjalne miejsce wyznaczyła dla modlitwy uważając ją za najwyższy przejaw tego, co człowiek — oprócz cierpienia — może dać Bogu. Modliła się często, wszystkie sprawy rozwiązywała najpierw przed tabernakulum, zachęcała, by całe życie siostr było modlitwą i hołdem na cześć

Boga. O zgromadzenie była spokojna. Wiedziała, że może liczyć na córkę. Cieszyła się sercem matki i sercem przełożonej, że Jadwiga jest roztropna, pokorna, rozmodlona, że jedynym pragnieniem jej — to świętość. Nie oszczędzała swojej córki, wymagała od niej więcej, aniżeli od innych siostr. Matka Jadwiga również się nie oszczędzała. Brała na siebie najtrudniejsze sprawy, chcąc uchronić przed nimi starzejącą się już matkę. Dzielny Izaak — tak nazywała Jadwigę matka Celina — zawsze był gotowy do złożenia z siebie ofiary.

Nikt nie spodziewał się, że Bóg wkrótce uzna, iż matka Jadwiga przeżyła w „krótkim czasie czasów wiele” i zawoła ją do swego królestwa. Wszak była w pełni sił. I była tak bardzo potrzebna zgromadzeniu. Niestety. Dnia 27 września 1906 roku, w nocy, odeszła nagle 43 lata licząca matka Jadwiga, a pozostała ponad siedemdziesięcioletnia matka Celina.

— Bóg odebrał mi wszystko, na co po ludzku liczyć mogłam, chce, by oprzeć się tylko na Nim. Nie ma rzeczy, nie ma sytuacji, której by nie można było przeżyć z miłości dla Boga. Ukochajmy i tę Wolę Bożą — powiedziała przy stygnących zwłokach córki bohaterka matka, zabierając się ze zdwojoną energią do pracy. Czasem tylko mówiła do najbliższych:

— Powinnam przeproszać zgromadzenie za to, że ja żyję, a nie matka Jadwiga... I szła do kaplicy, by pokazać Panu, że rana serca wciąż krwawi, ale że ona, Celina, nie chce ani rozczulać się, ani narzekać, prosi tylko, by Pan przyjął krew jej serca i zmieszał ze swoją Krwią Najświętszą i żywił nią swoje zmartwychwstanki... by dał jej łaskę zgadzania się z Jego wolą na każdą chwilę, gdyż chce stanowić jedno z Jego wolą, z Nim.

Wstawiała z klęczek zasilona łaską krzyża i szła, by nadal pokonywać krzyże codziennego dnia, umierać sobie i wzrastać w miłości. Wzrastała tak, że siostry były przekonane, iż mają pośród siebie świętą. Patrzyły na nią z miłością i podziwem, starały się zapamiętywać jej słowa i naśladować jej styl życia — prosty, pełen wyrzeczenia i pełen dobroci, która przyciąga i przynagla do czynienia dobra.

Matka, jak każda założycielka rodziny zakonnej w Kościele, czuwała nad tym, by zgromadzenie było wierne charyzmatowi, który otrzymała od Boga, by każda z sióstr rozwijała się zgodnie z myślą Bożą i Bożymi zamysłami, dlatego starała się odwiedzać często domy i placówki zgromadzenia na obu kontynentach. Ileż to razy widziano ją to w Polsce, to w Rzymie, to w Ameryce, i znowu w Polsce i znowu w Rzymie, gdyż wszędzie potrzeba było serca matki, rady matki, zachęty i przykładu matki.

I właśnie raz, gdy znowu wołano o pomoc, biegła, by ją nieść, ale nie dobiegła. W Krakowie, przez który przejeżdżała, zabrakło jej tchu. Padła na obcy tapczan w obcym pokoju przy ulicy Batorego 8 i oczekiwała, w nieustannej kontemplacji Boga, na moment, w którym znajdzie się w krainie wiecznego szczęścia i radości. Gorączka trawiła jej ciało, lekarze nie byli w stanie jej uratować, siostry płakały, ona sama była spokojna i na wszystko przygotowana. Dziękowała Bogu za życie, za wiarę, za sakramenty święte, za to, że umiera wśród swoich córek, za to, że otaczają ją modlitwy ojców zmartwychwstańców, za wszystko, wszystko, bo — jak mawiała — wszystko jest łaską.

Bóg przeciął długą nić jej życia w momencie, gdy z trudem już wypowiadała ostatnie słowa: „w Bogu na zawsze szczęście!”.

Jaki testament zostawiła zgromadzeniu?

Krótki. Chrystusowy. Ten z Wieczernika: „Aby było jedno”. Bo tak, jak Chrystusowi, tak i matce Celinie Borzęckiej, chodziło tylko o miłość, a miłość jest tylko tam, gdzie panuje jedność.

Spoczywa w Kętach, w domu nowicjatu, w krypcie pod kaplicą, razem z córką Jadwigą. I razem z nią czuwa, aby zmartwychwstanki były zmartwychwstankami:

- aby odpłacały Bogu miłością za Jego miłość,
- aby przeobrażały siebie i świat przez życie zgodne z zasadami ośmiu błogosławieństw,
- aby promieniowały radością, wszak Chrystus powiedział: „Ufajcie, jam zwyciężył świat!”,
- aby pochylając się nad ludźmi, pamiętały, że

Chrystus czeka przede wszystkim w ubogim, głodnym, chorym.

— aby na zgliszczach ludzkiej nadziei rozpałały wiarę i nadzieję opartą na słowach Pisma świętego, że Chrystus zmartwychwstał, abysmy i my razem z Nim zmartwychwstali w chwale,

— aby trzymając się Maryi doszły przez krzyż i śmierć do domu najlepszego Ojca w niebie.

Matka Celina czuwa nad swoimi córkami, czuwa też nad „Apostołkami Zmartwychwstania”, które nie będąc zakonnicami przynależą jednak do zmartwychwstańskiej rodziny.

Czuwa nad każdym, kto prosi ją o pośrednictwo w otrzymywaniu łask, a są tacy i to nie tylko w Polsce.

Może do niej przyjść każdy. Dziecko — gdyż była dzieckiem i była mamą, która dzieci rozumie. Dziewczyna czy chłopak — bo pięknie przeżyła lata młodości i zna trud szukania drogi powołania życiowego. Mężatka i matka, gdyż była wzorową żoną oraz matką. Wdowa, gdyż wie, co to ból po stracie kochanego męża oraz trud wychowywania dzieci. Zakonnik i zakonnica, bo heroicznie postępowała za dziewiczym, ubogim i posłusznym Chrystusem.

Może do niej przyjść każdy. Spróbuj i ty pomodlić się za wstawiennictwem matki Celiny, np. takimi słowami:

O Jezu Zmartwychwstały, który przeprowadziłeś sługę Twą, Celinę, przez różne stany życia chrześcijańskiego, aby stała się wzorem cnót dla dziewcząt, matek, wdów i zakonnicek, racz ją uwielbić na ziemi przez wyniesienie na ołtarze dla większej chwały Twojej i dla rozszerzenia Królestwa Twego na świecie. Udziel mi też za Jej przyczyną tej łaski, o którą Cię proszę... (wymienić prośbę)..., jak również takiej wytrwałości i męstwa, jakim Ona się odznaczała w dążeniu do doskonałej miłości. Który żyjesz i królujesz na wieki wieków. Amen.

KRAKOWSKA SŁUŻĄCA

— Anielciu, odłóż łyżkę. Małe dzieci nie pracują ciężko, nie muszą dużo jeść, powiedział spokojnie Bartłomiej Salawa do najmłodszej córki i z głębokim smutkiem spojrzął na żonę. Jakżesz bołał nad tym, że nie może zarobić na dostateczne wyżywienie rodziny.

Za chwilę zwrócił się z tym samym do starszego brata Anielki, potem do jeszcze starszego, tak że przy misce nędznie okraszonych ziemniaków pozostała tylko trójka najstarszych z jedenaściorga dzieci.

Nikt nie oponował. W izbie było cicho, bo małżonka Bartłomieja, Ewa, czytała urywek życiorysu z *Żywotów świętych* Piotra Skargi.

Po wieczerzy wszyscy uklękli do pacierza. Odma-wiano spokojnie: Ojcze nasz, Zdrowaś Maryjo, Wierzę, Dziesięcioro przykazań Boskich, Pięć przykazań kościelnych, Sześć prawd wiary oraz akty wiary, nadziei i miłości, a potem i ojciec, i matka podsuwali pytania swoim pociechom:

— Czy nie klóciłem się, może nawet biłem się z kimś z rodzeństwa, albo kolegów?

— Czy zrobiłem to, co do mnie należało i to — dobrze?

— Kto zabrał Anielci cukierki?

— Czy chcę naprawdę być dobrym i porządnym człowiekiem?

— Wreszcie podsumowanie: Pan Jezus wszystko widzi, wszystko słyszy i wszystko wie. Niech każdy przeprosi Go za to, że nie wszystko było dzisiaj dobre, a ten, kto skrzywdził Anielcię, umyje ją i położy spać.

Potem Bartłomiej dodał cicho do żony, którą pojął z dobrze mającego się domu młynarza Bochenka z Bułkovic:

— Ewuniu, nie zapomnij dać najmłodszym mleka.

— Nie zapomnę, Bartku, przecież to nasze skarby. I dobre. Patrz, jak Józik opowiada bajki Anielci.

Anielka podrosła. Pasła gęsi i marzyła o tym, by mieć skrzydła i latać. Oczywiście — wyżej aniżeli gęsi. Potem przez dwa lata uczęszczała do szkoły. Pasła wtedy krowy. Krowy skrzydeł nie miały, ale Anielka coraz częściej myślała o skrzydłach, które by ją wznosiły wysoko, aż pod niebo, aż do Boga. Zorientowała się, że to jest możliwe, że trzeba tylko skupić się w sobie i o niczym nie myśleć, tylko o Bogu i już „jest się zagarniętym przez Niego”.

Z tej samorzutnej kontemplacji Boga, rozpoczętej na pastwisku, czerpać będzie siłę do życia pełnego trudów i cierpień.

Starsze rodzeństwo Anielki opuszczało skromną zagrodę kowalską w Sieprawiu szukając lepszego zarobku w mieście. Tereska poszła na służbę do Krakowa, Anielka zaś sprzedawała robione przez siebie koronki i serwetki, by dopomóc rodzicom. Nie miała siły do pracy przy gospodarstwie wiejskim, poszła więc w ślady Tereski i przyjęła służbę w domu urzędnika kolejowego. Była pracowita i oszczędna. Zarobione pieniądze dzieliła między dom i siebie. Zaczęła jednak wydawać zbyt wiele pieniędzy na stroje. Imponowało jej to, że niejeden przechodzień zwracał na nią uwagę i nawet rad byłby nawiązać z nią kontakt. Była wysoka, szczupła i ładna, przy tym wyjątkowo elegancka.

Koleżanki i Tereska niejednokrotnie zwracały na to uwagę, że opanowuje ją próżność, że stygnie w gorliwości religijnej, Anielka jednak, obserwując życie swoich pracodawców i znajomych, nie uważała ażeby było z nią źle. Była przecież porządną dziewczyną i dobrą katoliczką. Przynajmniej — co do litery.

— Anielko, Tereska zachorowała!

— Niemożliwe! Co jej jest?

— Niewiadomo: wysoka temperatura, kaszle, może to oskrzela, żeby tylko nie gruźlica.

— Pójdę do niej wieczorem.

Wchodząc do mieszkania swojej siostry, Anielka zapytała wprost!

— Teresko, ty naprawdę chcesz odejść?

— Tak. Chcę — nie chcę, ale to jasne, że suchoty mnie wykańczają. Anielko, gruźlica to tylko powód taki sobie, bo przecież ciało musi kiedyś uwolnić duszę, w rzeczywistości — to Pan Jezus chce mnie już mieć u siebie. Co prawda, ja Go też o to prosiłam i proszę. Tesknę do Niego. Chcę być z Nim. Dzisiaj po Komunii świętej odczułam, że to będzie już...

— I ty, Tereniu, tak spokojnie o tym mówisz?

— Dlaczego się dziwisz? Idę na wieczne zaślubiny. Wieczne. Czy ty możesz pojąć, co to znaczy? Już teraz, gdy pomyślę o tym, że wiecznie będę z Panem Jezusem, szaleję ze szczęścia. A od jutra... może od dzisiaj... nie będę tylko myśleć o tym, ale będę naprawdę posiadać to, czego oko nie widziało, czego ucho nie słyszało i co w serce człowieka nie wstąpiło, a co Bóg przygotował tym, którzy Go miłują. Ciesz się ze mną, Anielko. Ciesz się, zresztą zobaczymy się wkrótce.

— Ja chcę żyć Tereniu! Jestem zdrowa, zaczyna mi się coraz lepiej powodzić...

— To dobrze. Tylko żyj tak, byśmy się spotkały i przez całą wieczność były razem. Pamiętaj..., ach... już idzie po mnie..., jaki cudowny...

— Kto, Tereniu?

Na próżno czekała odpowiedzi. Krew chlusnęła z ust Tereski. Przestała żyć. Miała lat 25.

— Przysięgam ci, Tereniu, że będę żyła tak, aby być wiecznie z tobą. Ty żyłaś jak święta, ja też będę żyć święcie. Zobacysz, będę świętą! Świętą służącą, jak nasza patronka, święta Zyta. Pomóż mi, Tereniu — modliła się przy stygnących zwłokach ukochanej siostry osiemnastoletnia Aniela.

— Dlaczego Aniela chce zmienić służbę, odejść od nas? Podniesiemy płacę... Może Anieli coś kupić?

— Dlatego, że tu nikt nie liczy się z Panem Bogiem i dlatego, że tu jest osoba, która nie szanuje siebie, a więc i drugiego szanować nie potrafi.

— To... co mamy robić? — pytała bezradnie wykształcona chlebobawczyni Anielki.

— Zachowywać przykazania. I pamiętać, że wszystkie obowiązują jednakowo: szóste tak samo jak siódme, czy czwarte.

— Zostań Anielciu, dzieci bardzo cię polubiły.

I Anielcia została. Ale tylko do momentu, w którym zorientowała się, że jej chlebobawcę nie stać, by być na wysokości zadania. Z panią domu pozostała do końca w przyjaźni.

Najdłużej pozostawała w domu adwokata Fischera. Poznano się na niej, ceniono dobroć, zdolności i poświęcenie w stosunku do chorej adwokatowej. Chora traktowała Anielę jak córkę i przyjaciela. Do dzisiaj w tej zacnej rodzinie żyje pamięć o Anieli jako świętej; przechowuje się też z pieczołowitością kwiaty, które ostatni raz ułożyła w wazonie.

Aniela, godząc się z konieczności na los służącej, odkryła w nim swoje życiowe powołanie. Miała okazję, by podjąć innego rodzaju pracę — szła jednak drogą pełnego przekreślenia sobie, by jak najwierniej upodobnić się do sługi Jahwe, wyniszczonego i wzgardzonego Jezusa Chrystusa. Żyła ustawicznie w jego obecności, cieszyła się Jego przyjaźnią, rozmawiała z Nim „mową duszy” i kosztowała w części już za życia to, co Bóg zgotował tym, którzy Go miłują.

Otoczenie nazywało ją wprost świętą lub aniołem. Kierownik duchowny polecił jej zapisać to, co Duch Święty dokonywał w jej duszy. Była posłuszna — stąd powstał *Dziennik* odzwierciedlający bogactwo jej osobowości.

Anielka czuła się coraz bardziej „zagarniana przez Boga”. Została tercjarką zakonu św. Franciszka i była członkiem Stowarzyszenia św. Zyty. Skupiała przy sobie towarzyski pracy, czytała im — wszak nie wszystkie posiadały sztukę czytania — żywoty świętych oraz inne książki zalecane przez kapłanów. Kochała je, pomagała im radą, młodsze strzegła od złych wpływów, bezrobotnym, których było wiele, dopomagała materialnie. Wyszukiwała dla nich pracę i dach nad głową.

Z czasem stała się dla nich wprost nieodzowną i zastępowała niejednej starszą siostrę czy nawet matkę.

Sama przechodziła ciężkie doświadczenia wewnętrzne. Spotykała się też z nieufnością ze strony spowiednika oraz z podejrzeniami ze strony ludzi zazdrosnych. Trzymała się bohatercko. Wiodła życie pełne wyrzeczeń i dobrowolnych umartwień.

Oprócz obowiązków służącej pielęgnowała chorych w szpitalach, a podczas pierwszej wojny światowej niosła pomoc jeńcom i najuboższym. Znana była jako dzielna i inteligentna pracownica, ceniona za prawość i dobroć, kochana za miłosierne serce oraz pogodne usposobienie.

Kilkakrotnie proponowano jej małżeństwo, ale Anielka oddała się niepodzielnie Bogu, składając ślub czystości. Chrystus był jej Oblubieńcem. Zakochana była w dziewiczym, ubogim i posłusznym Zbawicielu. Zatapiała się w tajemnicach Jego życia, zwłaszcza w Jego krwawej męce i śmierci na krzyżu. Pan Jezus miłował Anielę, ale był dla niej bardzo wymagający. Aniela, aczkolwiek bardzo cierpiała, pozwalała Bożemu Synowi na przeżywanie w niej Jego Paschy i umierając z Nim na co dzień, z Nim też codziennie zmartwychwstawała do nowego życia.

Pracowała stale ponad siły. Niejednokrotnie na kartkach dzienniczka można spotkać żarliwą prośbę: Panie, pomóż, Jezu, daj siły, upadam, tyle potrzeb, tyle można by zrobić dla Ciebie, a ja mam tylko dwie ręce, nie podołam... Mobilizowała się jednak na nowo i na nowo stawała w pierwszym szeregu tych, którzy myśleli podobnie jak ona. Była konsekwentną. Należała do ludzi, którzy się nie cofają i nie oglądają, ale idą bez zwracania uwagi na siebie, za raz przyjętym programem życia.

Słabła coraz bardziej, bo gruźlica płuc i żołądka, którą później wykryto, od dawna rujnowała jej organizm. Nie mając zupełnie już sił do pracy, usunęła się do suteryny przy ulicy Radziwiłłowskiej 20 i tam przez kilka lat dogorywała wśród strasznych cierpień fizycznych i duchowych. Ofiarowywała wszystko w intencji nawrócenia grzeszników, uważając się też za jed-

nego z nich, w intencji kapłanów oraz tych, którzy, jak ona, jedli gorzki chleb sługi czy służącej. Szczególne miejsce, w jej sercu zajmowała sprawa umiłowania ojczyzny, Polski, która dźwigała się z ponad wiekowej niewoli.

Koleżanki, rodzina i znajomi kapłani orientowali, się, że Bóg ma szczególne upodobanie w Anieli, że to, co się w niej i z nią dzieje, to Jego sprawa, skłaniali więc głowę przed tajemnicą, która się dokonywała na ich oczach. Podziwiali Anielę, która usiłowała do końca — i to bez skargi — pić kielich przygotowany dla niej przez Zbawiciela.

A kielich był duży i pełen goryczy. Jak ten — z Getsemani. Ostatnią kroplę z tego kielicha wypija Aniela 12 marca 1922 roku. Podążyła wtedy na niekończące się gody swego Oblubieńca. I tam spotkała się ze swoją siostrą, Tereską.

Kult Anieli rozpoczął się natychmiast po jej śmierci i trwa do dzisiaj.

Chcesz sprawdzić? Idź do kaplicy Męki Pańskiej w kościele Ojców Franciszkanów Konwentalnych w Krakowie — a przekonasz się.

I poproś Anielę, by ci dopomogła być dobrym sługą Boga, niezależnie od tego, czy jesteś gospożą domową, czy też dyrektorem lub ministrem, bo u Boga „nie ma względu na osobę”, czyli na godności, stanowiska, pozycję materialną. Liczy się człowiek. I to, czy służy drugiemu człowiekowi w miłości. Tak jak służyła Aniela Salawa, krakowska służąca.

MÓGL.... ALE...

W roku 1871, gdy kończył lat 21, mógł rozpocząć studia inżynieryjne lub agrarne, mógł zrobić karierę wojskową lub osiąść w rodzinnych Beyzmach Wielkich na Wołyniu i założyć rodzinę. Miał wielkie dane ku temu. Wywodził się z Druckich-Horskich, po matce ze Stadnickich i Potockich. Był zdolny i przywiązany serdecznie do wołyńskiego i podolskiego ludu.

Ale wstąpił do nowicjatu w Starej Wsi pod Brzozowem, by zostać jezuitą.

Pracował w Tarnopolu, Chyrowie, Krakowie, wreszcie zgłosił się do pracy nad trędowatymi.

To, z czym spotkał się na Madagaskarze, przerosło jego wyobraźnię. W Ambahiwuraka znajdowało się wtedy 150 chorych. Zaniedbani, opuszczeni, żyli w wielkiej nędzy materialnej i moralnej. Mieszkali w barakach bez okien, sufitu, podłogi i najpotrzebniejszych sprzętów. W porze deszczowej mokli, a wielu leżało wprost w błocie. Byli głodni. Oprócz trądu szerzyły się wśród nich inne choroby zakaźne i najbardziej zaraźliwa — rozpacz. Nie opatrywane rany jątrzyły się, pokrywając coraz większe połacie ciała i odstraszały nawet najbardziej odpornych i najbardziej litościwych. Obchodzono się z nimi nieludzko, przepędzano kamieniami i wyzywano.

Ojciec Jan Beyzym zamieszkał na stałe z trędowatymi w Tananariwie. Zbierał jałmużnę, by ratować ich od śmierci głodowej; ubranie, by uchronić przed zimnem; sam im usługiwał i opatrywał rany. Każdego obdarzał dobrym słowem i obejmował takim wzrokiem, że w sercu budziła się nadzieja lepszej przyszłości. A wtedy i rany mniej bolały.

Patrząc na swego białego ojca, nie trudno było tym

biedakom uwierzyć w Boga, który żyjąc na ziemi, pochylał się nad trędowatymi. Szybko Chrystus stał się dla nich ich Bogiem, Bratem i Przyjacielem. A potem powoli zaczęli rozumieć, że Chrystus to właśnie ten trędowaty z sąsiedniego łóżka, ta kobieta, którą trąd oszpecił i to dziecko, które wyrwano z ramion matki dlatego tylko, że zostało tknięte chorobą, na którą jeszcze nie ma lekarstwa.

Zzerani nadal przez trąd, ale już coraz mniej przez kiłę, afrykańskie pchły i wszy, traktowani przez ojca Beyzyna po ludzku, starali się ci, nikomu niepotrzebni chorzy, budować swoją przyszłość tak jak mogli. Zasiali ryż, ale wyjadła go szarańcza, ulepili kościółek, aby się wspólnie modlić, ale go burza zwała, nie opuszczali jednak rąk, widząc, jak ich ojciec bez słowa zaczyna pracę na nowo. Ci, którzy dożyli, cieszyli się bardzo, gdy dzięki wytrwałości ojca powstał nowoczesny szpital, ambulatorium, zabudowania gospodarcze, mieszkania dla misjonarzy i zakonnic-pielegniarek oraz kaplica. Ofiary, które napływały głównie z Polski, Litwy oraz Rusi, zmieniły obraz Tananariwy i odmieniły los trędowatych.

Czy tylko tyle? Nie. Dzieło ojca Beyzyna, Polaka, przyczyniło się do innego spojrzenia na trąd jako chorobę oraz na problem ludzi, którzy mieli nieszczęście zachorować na tę straszną chorobę. Zrozumiano, że odpowiednie żywienie, higiena i leczenie łagodzą jej przebieg oraz, że w początkowym stadium jest ona uleczalna. I to jest największa zasługa ojca Jana Beyzyna, gdy się rozważa jego życie i działalność od strony czysto humanitarnej.

Oceniając życie i pracę ojca Beyzyna jako kapłana, można ze spokojem pochylić przed nim głowę i wołać z przepelnionego wdzięcznością serca: „O, Panie, jak przedziwny jesteś w świętych swoich”. Wszak to dzięki jego modlitwie i umartwieniu i żywej wierze w to, że każdy trędowaty, to żywy Chrystus, praca nad uchrześcijanieniem życia nowo rodzącej się społeczności w Tananariwie dawała trwałe rezultaty. Stałe duszpasterstwo, katechizacja dzieci i dorosłych, rekolekcje, okazja do godziwych rozrywek i zabaw,

a przede wszystkim łaska sakramentów świętych, dokonywały prawdziwej przemiany. Trędowaci zaczęli się czuć takimi samymi dziećmi Bożymi, jak inni.

Drogo płacił ojciec Beyzym za to. Płacił nieutuloną tęsknotą za Polską, płacił ciężką pracą murarza, kucharza, stolarza, pielęgniarza i lekarza, płacił usługą kapłańską, czuwaniem nocnym, postami i spokojnym znośnięciem niezrozumienia ze strony władz świeckich, a także — niestety — najbliższych współbraci.

W momentach ciężkich, gdy np. oznajmiono mu, że rząd francuski zamierza zlikwidować schronisko, mówił: „Co mi tam wszystkie rządy! Mój rząd, to sama Najświętsza Pani. Jak Ona rozrządzi, tak będzie...” (list z 2 X 1907 r.).

O miłości ojca Beyzyma do trędowatych piskląt świadczy jeden z wyjątków jego licznej korespondencji. Wspomina w nim, że początkowo mdlał na widok „obrzydliwych ran”, ale „obecnie nie robią już wrażenia. Łaskocze wprowadzie koło serca, kiedy robię coś koło tych ran, ale tylko dlatego, że wolałbym mieć te wszystkie rany na sobie, niż widzieć je na tych biedakach” (list z 28 VII 1900 r.).

Skąd brał siły ten samotnik na wyspie trędowatych? Czerpał je z Eucharystii. Bóg żywy był jego mocą. Był świadomy tego, że bez Bożej pomocy nie wytrzymałby tak długo i sam na tej wyspie.

Raz napisał: „Proszę, Matkę Najświętszą, aby mi dała porządną, ostry trąd, żebym przez to mógł lepiej uprosić polepszenie losu moich chorych i za swoje grzechy przy tym choć trochę odpokutować...” (list z 13 V 1900 r.).

Bezgranicznie był oddany Matce Bożej. Nie rozstał się z Jej częstochowskim wizerunkiem. Oddawał jej wszystko. Zabiegał o to, aby jego afrykańscy bracia odnosili się do Niej, jak do rodzonej Matki. Był przekonany, że skoro miłość i ufność do Matki Najświętszej zakorzeni się w tych biednych sercach, to wszystko będzie w porządku i będzie mógł odejść. Był pewny, że Maryja zawsze im pomoże, że opieką ich otoczy.

Odejść? Tak, bo inni poprowadzą jego dzieło. Prze-

konali się, że warto, że trzeba, że to najświętszy obowiązek, bo trędowaty, to taki sam człowiek, jak każdy.

A on? Ojciec trędowatych? On, chociaż zapewniał w 1903 roku, że powołania do trędowatych nie stracił i że nawet w nim nie osłabło, poczuł w sobie naraz, „jakąś wewnętrzną siłę pchającą go na Sachalin”. Pragnął pracować wśród tamtejszych katorżników, uważał ich bowiem za bardziej nieszczęśliwych od trędowatych, których los już był zabezpieczony. Był przekonany, że „Wszechmoc błagająca” nie opuści tych, do których prorok Izajasz porównał Jej Syna (por. Iz 53, 3). Został jednak pośród trędowatych. — Zmarł 2 października 1912.

Umierając jako ofiara trądu i uporczywej febry był spokojny. Zostawiał swoje trędowate „pisklęta” pod skrzydłami najczulszej z Matek. Sam szedł, by wstawić się za nimi u Tego, który „przywróci nasze śmiertelne ciało do życia mocą mieszkającego w nas swego Ducha” (por. Rz. 8, 11), i uczyni je podobnymi do swego uwielbionego ciała.

Mógł być inżynierem, oficerem, dziedzicem rozległych dóbr, mężem i ojcem własnej rodziny w ojczystym kraju — wolał być „ojcem trędowatych” na Madagaskarze.

TO NIE JEJ WINA

To nie jej wina, że urodziła się w 1863, a nie w 1975 roku. I nie jej wina, że rodzice byli właścicielami wielkiego majątku, a nie chłopami, czy też górnikami. Jak dotąd, człowiek nie wybiera rodziny, ani daty swego urodzenia. Jest tylko dzieckiem swej epoki i swego środowiska.

Czy była nadzwyczajna? Chyba nie. Oprócz dociekliwych pytań (Kim byłam, zanim zaczęłam być? A potem: Czy lepiej być uczoną, czy też wszystko poświęcić Bogu) — nie zanotowano żadnych cudowności z okresu jej dzieciństwa. Nawet przebywając w więzieniu na ręku matki, którą aresztowano za pomoc powstańcom, płakała jak każde dziecko. I była uparta i samowolna, jak wiele dzieci.

W szóstym roku życia zdała doskonale egzamin z odwagi oraz umiejętności opiekuńczych, gdy przez przypadek pozostała przez dobę w pociągu, sama ze sparaliżowanym ojcem. Ukończyła rozpoczętą wtedy praktykę po pięciu latach pobytu w Wiedniu, gdzie pomagała matce pielęgnować nieuleczalnie chorego ojca.

Powracając z matką, siostrą i zwłokami ojca w strony rodzinnego Grodna, знаła nie tylko języki obce i grę na fortepianie oraz historię literatury, ale też trud życia domowego oraz cierpienie. W jej dużych, czarnych oczach malował się często smutek. Usiłowała zasłonić je wtedy firankami długich rzęs, a szyję okręcała bezwiednie hebanowym warkoczem, jak gdyby chciała stłumić łkanie serca. Zapytana przez matkę o powód smutku, odpowiadała szczerze: „Mamo! tyle cierpienia, tyle bólu, ci ludzie to Polska, a ja nic pomóc nie mogę”.

Czy naprawdę nie robiła nic? Ani ona, ani jej matka, ani siostra? Wszak nowe życie zapanowało we dworze i na wsi, odkąd powróciły z Wiednia na stałe. Ekonom zaczął inaczej gospodarzyć, służba lepiej pracować, ochędożono zagrody, umyto chorych, o starszych i dzieci trochę zadbano. Bo pani Celina z córkami wszędzie zajrzały. Tu były z koszykiem prowiantów, tam z lekarstwami, a tam z odzieżą. Głupią Prakcę wzięły do pomocy we dworze, i głupiego Kostkę przytuliły także. Ubrane to teraz, nakarmione i nawet nie takie głupie.

Dzieciom kazały przychodzić na zabawy, a dziewczętom i chłopakom na śpiewy, by chwalić Boga jak należy. Aby śpiewać, trzeba umieć czytać, więc uczą się alfabetu, nawet pisać już potrafią. A jak wiele wiedzą! I o Mieszku i Dąbrowce, o Jagielle i Jadwidze, o Batorym i Sobieskim, o tych, co walczyli lat 40 i lat 10 czy 12 temu, by im lepiej było, by po polsku mówić mogli i na swoim gospodarzyć. Wiedzą także jak wygląda Wiedeń, Paryż i Warszawa, Kraków, Wilno, jakie rzeki płyną w polskim kraju, kto Kościołem rządzi w Rzymie. Wiedzą jeszcze, że wychodząc za mąż, to nie można ot tak sobie, że się trzeba nad tym dobrze zastanowić, kto do czego jest przez Boga zawezwany. Ważne sprawy tu się dzieją w Obrembszczyźnie każdy śpiewa i rozumie o co prosi, gdy się modli, wie że z Bogiem to jest sprawa, gdy pracuje, to wie także, że w ten sposób również Boga chwali.

A w pokoju u panny Jadwigi słychać często „Budujemy mosty dla pana starosty”, potem „Płynie Wisła, płynie, po polskiej krainie”, a potem panna Jadwinia opowiada o Bogu, o Matce Najświętszej, o Aniele Stróżu i o ludziach, którzy idą do nieba. Kiedyś dała wszystkim kolorowe obrazki ze świętymi, którzy tak mają na imię, jak one, dzieci z Obrembszczyzny. Jedne obrazki były ze sklepu z Wiednia, inne — malowane przez panienkę. Bo panna Jadwiga pięknie malowała. A jak grała! Jak śpiewała! A z nią dzieci, młodzież starsi. Cały kościół śpiewał — każda cegła, wszyscy święci na ołtarzach, nawet biedne babcie w kruchcie. Ksiądz się cieszył, starsi odmłodnieli, mło-

dym żyć się chciało. Żyd się tylko trochę martwił, szarpał brodę, mówił: „Oni teraz nie do karczmy, lecz do domu idą”. Przyszedł raz do dworu, myślał, że coś kupi, ale nic nie kupił tylko długo z panią coś rozmawiał. Mądry to był człowiek, dobry Polak, nie bogaty i nie biedny, dzieci miał siedmioro. A za miesiąc zmienił napis ponad drzwiami karczmy na „Towary mieszane i bławatne”. Wszyscy się cieszyli. Żyd najwięcej. I tak mówił: „Teraz nikt na moje dzieci nic nie będzie mówił, bo ja robię tylko dobrze, a nie źle. Po co oni mają pić? Pijak to niemądry człowiek, to jest złodziej i dla siebie, i dla swojej żony, i dla dzieci, a nam trzeba mądrych chłopów. A już najmądrzejsza to jest nasza pani. Niech nam ona długo żyje”.

Pewnego dnia — o! pamiętny to był dzień — Celina ze spokojem oświadczyła córkom:

— Wyjeżdżamy za trzy dni. Najpierw do Warszawy. Potem — nie wiem. Musimy kraj opuścić. Jesteśmy przeznaczone na zsyłkę, na Sybir. Rzeczy pojedą jutro. Herszko je zawiezie. Jutro dzień targowy, nikt nie zwróci uwagi. Na rano wszystko ma być gotowe i to tak, by nikt się nie domyślił.

— Za co, mamó? — zapytują córki.

— Za polskość. Za szkółkę. Ktoś doniósł — odpowiedziała krótko matka.

— Co wziąć trzeba? — pyta Jadwiga.

— Co najpotrzebniejsze.

— Ja zabiorę wszystkie dzieci, mamó, bo co one zrobią bez nas?

I matka i córka rozplakały się serdecznie. Starsza, Celina, usiadła do fortepianu i zaczęła grać „W mogile ciemnej” Chopina.

*

*

*

To nie jej zasługa, ale matki, że wybrała Rzym, a nie znany dobrze Wiedeń albo rozbawiony Paryż. Jej zasługa, że wchłonęła w siebie wszystko, co najlepsze z tego, co dawało Wieczne Miasto. Że nie zagubiła ani wiary, ani cnoty, ani umiłowania biednej Ojczyzny. Że umiała wybierać przedmioty, które studiowała, muzy-

kę na koncertach, sztuki w teatrach, obrazy i rzeźby w galeriach, towarzyszy podróży i salonów, i to zawsze z wdziękiem, cicho.

Głośno było tylko wtedy, gdy nie chciała przyjąć ręki młodych ludzi, by przez życie iść we dwoje. Miała swoje plany. Swoje? Skądże! Boże. Boże plany już pieściła w duszy. Bogu już oddała rękę, serce, siebie. Zrozumiała już od dawna, że być można mądrą i uczoną i poświęcić wszystko Bogu. Owszem, że to wielka mądrość tak postąpić. Nie wiedziała tylko, jaką formę życia obrać. Zamknąć się w klasztorze za kratami, czy do ludzi pójść i głosić Boga, który kocha wszystkich? Dzieci w Obrembszczyźnie znają tego Boga i za Jego miłość płacą już miłością, ale tyle dzieci jest na świecie, kto im o tym powie?...

*

*

*

To nie jej zasługa, że Bóg tak powiedział do jej matki: „Będiesz założycielką żeńskiego Zgromadzenia Zmartwychwstania Pana Naszego Jezusa Chrystusa”, ale jej, że stanęła obok matki, by dopomóc jej wypełnić to zadanie.

Gdy wypowiedziała swoje „*Fiat* — niech się stanie, jak Bóg żąda” w dniu Zwiastowania Pańskiego 1881 roku, miała 18 lat, niezwykłą urodę, wykształcenie na skalę europejską, licznych wielbicieli i serce spragnione szczęścia, jak każde serce dziewczęce.

Rzuciła wszystko. Dla Boga i dla Polski. Wszak — na Obrembszczyźnie urodziły się już nowe dzieci, a daleko, poza Obrembszczyzną, są też inne dzieci, w innych krajach, i na innych kontynentach. Wszędzie, wszędzie ludzie są spragnieni Boga. Ktoś pójść musi do nich. Ale — kto tam pójdzie?

Tylko ten, na kogo Bóg popatrzył. Kogo Bóg zawezwał łaską swego słowa: „Sprzedaj, co posiadasz! Pójdź, naśladowaj mnie”.

*

*

*

Po dziesięciu latach ciężkiej pracy przy stawianiu Panu domu, w którym chciał mieć swoje zmartwychwstanki ślubowała razem z matką Bogu czystość, posłuszeństwo i ubóstwo według Konstytucji Zgromadzenia Sióstr Zmartwychwstania Pana Naszego Jezusa Chrystusa.

Jako córka i podwładna swojej Matki, a zarazem współzałożycielka i też matka zgromadzenia, była zawsze, gdzie najtrudniej. Uważała, że jest na to, aby ją, a nie jej Matkę, oczerniano, wyśmiewano, na to, aby ona, a nie siostry, pracowała jak najciężej, chociaż żyła w świadomości, że — i tu i tam — bez niej doskonale zaradzonoby niejednej sprawie.

Zapatrzona w Mistrza o pokornym i łagodnym Sercu chciała upodobnić się do Niego, więc trzymając się Maryi raźnie szła za Nim. Potem już nie ona żyła, ale On żył w niej i przez nią działał, siejąc ziarno swej nauki w ziemi włoskiej, polskiej, amerykańskiej i bułgarskiej. Działała, to w habicie, to po świecku, byle ziarno rosło, kwitło i owocowało.

Ukochała polskie Kęty tuż nad Sołą. Zbudowała z matką klasztor, w nim nowicjat, szkołę i przedszkole.

Pracowała w Częstochowie i w Chicago, w Rzymie i w Warszawie, a w Bułgarii chciała zostać już na zawsze. Ale matka wezwała ją do Kęt, potem znów do Rzymu, do Krakowa i Stolicy, i tak wciąż, bez tchu, bo Bóg czeka w ludziach młodych, starych, biednych i bogatych, w każdym, w każdym dziecku swoim.

A więc szła i biegła, aż dobiegła kresu życia właśnie w Kętach, nagle, w nocy. Miała lat czterdzieści trzy.

Wyprzedziła siwą matkę.

Teraz czeka na wielki dzień z m a r t w y c h w s t a n i a, w cichej krypcie pod kaplicą. Modłą się tam do niej różni ludzie. Zabierają czasem kartki z jej słowami. Bo są piękne i głębokie. Ot, na przykład takie:

„Życiem moim jest udzielanie się i sprawianie innym przyjemności...” (Kęty, 3 stycznia 1902).

„...Wszystko jedno, gdzie się wolę Bożą spełnia, bo i tu, i tam obeszliby się beze mnie, i tak upada zu-

pełnie w oczach własnych dogmat o niezbędności naszej” (do S. N., Kęty 7 grudnia 1905).

„Chciałabym za łaską Bożą wyrobić w sobie taką wdzięczność za dobroć Bożą i takie ukochanie Woli Jego Świętej, by najostrzejsze kolce i najgęstsze chmury nie pozbawiały promienistego uczucia wdzięczności, to jest, aby ono wszystko przewyższało” (do G. R., Rzym, 28 grudnia 1902).

Gdybyś chciał, czy chciała, możesz również tam napisać i poprosić o modlitwę w ważnej sprawie, za przyczyną Jadwigi Borzęckiej. Siostry chętnie spełnią Twe życzenie *.

* Siostry Zmartwychwstanki, ul. Rajska 4, 32-650 Kęty k. Oświęcimia.

TATUSIOWA CÓRECZKA

— Przepraszam, na dole czekają goście, rodzina ze Słupska.

— Ze Słupska? Nie mam rodziny w Słupsku.

Zeszłam z trzeciego piętra do rozmównicy. Wita mnie pani w moim wieku, przedstawia swojego męża, wreszcie orientuje się, że nie wiem, z kim mam przyjemność i wyjaśnia:

— Jestem Ela Rzeczykowska, chodziłyśmy razem do szkoły podstawowej. Pamiętasz, miałam siostrę, bliźniaczkę, nazywała się Malwinka.

— Tak. Pamiętam. Ale to było 40 lat temu. Zmieniłyśmy się.

— Słuchaj przyjechaliśmy do ciebie w bardzo ważnej sprawie. Musisz ratować naszą córkę. Posłuchaj.

I zaczęła się opowieść. Mówił mąż, nie Elżbieta.

— Proszę siostry, mamy troje dzieci: Basię, Jolę i Zbyszka. Jola ma piękne córeczki, Zbyszek kończy studia, a Basia? Basia była najbardziej umiłowana, taka moja, tatusiowa córeczka...

— Odziedziczyła zdolności muzyczne po ojcu, ma jego oczy, uśmiech, nawet kolor włosów taki — wtrąca Ela.

— Tak. Utalentowana, przy tym ładna i dobra. Sam zawsze za rączkę prowadziłem ją do szkoły, nosiłem skrzypce... Ma nieprzeciętny głos... Ukończyła organy i skrzypce, zdobyła pierwszą nagrodę na konkursie we Francji, i nie, nie mogę tego nawet opowiedzieć... Ja, proszę siostry, posiwiąłem z tego wszystkiego... Bo gdyby to było złe dziecko, ale to była idealna córka!

— Tak, Marysiu, on ma rację, to było nasze słoneczko — potwierdziła ze łzami w oczach Ela.

— I co, co się stało?

— Pewnego dnia wyszła z domu, a wieczorem ktoś wsunął pod drzwi list. Nie przeczuwając nic złego otwieram, czytam, wypadł mi z ręki. Żona podniosła, ale też nie miała siły, by doczytać do końca. Dopiero Zbyszek odczytał głośno tę straszną wiadomość.

Mam ten list, przeczytam. Albo nie, niech siostra będzie łaskawa sama go przeczytać.

Zaczęłam czytać w milczeniu:

„Ukochani, Najdrożsi Rodzice!

Ponieważ wiem, że robilibyście mi wielkie trudności, a ja muszę spełnić to, czego Bóg ode mnie żąda, dlatego w ten sposób załatwiam tę najważniejszą w moim życiu sprawę. Nie myślcie, że nie cierpię. Kocham was tak, jak nikogo na świecie. Ale, zakochałam się i tę jedną jedyną Osobę oraz jej miłość stawiam wyżej od Waszej miłości. Dla Niego, i tylko dla Niego, pozostawiam Was i wstępuję do klasztoru. Nie szukajcie mnie. Za pół roku podam Wam sama adres...

Dziękuję Wam za miłość, za serce, za trud, za wychowanie i wykształcenie, za wszystko, za wszystko, za Jolę i za Zbyszka, za atmosferę domu. Sam Bóg to wszystko Wam wynagrodzi. Będę się starała służyć Mu wiernie. Cieszę się, że będę Jego i tylko Jego. Nie smućcie się, raczej cieszyć się trzeba, że Bóg wybrał Waszą córkę sobie, naprawdę, Mamusiu i Tatusiu.

Całuję Wasze ręce i Wasze oczy, tulę się do Was jak zwykle i całuję Jolę i Zbyszka —

zawsze ta sama
Basia”.

Dalej opowiadała Ela.

— Szukaliśmy jej, ale nadaremnie. Basia miała 25 lat, pełnoletnia. Wreszcie po pół roku przyszedł list. Podała adres. Pojechaliśmy natychmiast.

Wyobraź sobie: mury, kościół, klasztor sprzed kilku wieków, czarna kratka, podwójna, a za nią Basia już w habicie i w welonie. Dostałam szoku. Szlochałam tak strasznie, że nie mogłam słowa przemówić.

— A ona?

— Ona też się rozplakała, ale promiennie. Przepraszała słodko, ciepło. Zapewniała, że nas kocha jeszcze bardziej, że jest szczęśliwa i że nigdy stamtąd nie odejdzie.

— Perswadowałam, mówiłam, groziłam, rozmawiałam z przeoryszą, nic, nic nie pomogło. Jak głaz

— -A jaka piękna w tym habicie! Jak z obrazka? Ale bez serca. Wróciliśmy z niczym.

— I, co?

— Właśnie teraz nasza sprawa do ciebie. Ty musisz ją uratować!

— A skąd dowiedzieliście się, że jestem zakonnica, skąd macie mój adres?

— Bratanica koleżanki Malwiny jest u was. Była u rodziców, rozmawiałyśmy, padło twoje imię używane tylko w domu, a przyznasz, że rzadko spotykane, zapytałam o nazwisko i — olśnienie. Ta siostra powiedziała, że owszem, że to byłoby możliwe. Więc pociąg i jesteśmy u ciebie.

— Cieszę się, ale w czym mam pomóc?

— Masz władzę...

— Tylko w swoim zgromadzeniu.

— Tak, widzisz, my się już godzimy na to, aby Basia była w klasztorze, ale nie za kratą, nie za murami, niech służy Bogu tak, jak ty, wśród ludzi i dla ludzi.

Pójdź do niej, porozmawiaj, powiedz, że ją przyjmiesz do swojego klasztoru. Niech będzie między ludźmi, niech przyjedzie czasem do nas... Przecież my ją kochamy, chcemy ją mieć dla siebie...

A tam? Nawet na nasz pogrzeb jej nie puszcza. Nawet ucałować jej nie mogliśmy przez tę kratę.

— To prawda. Ale, skoro Bóg chce ją mieć właśnie tam, to jak można stawiać w poprzek Jego woli?

— Ona tam straci zdrowie, siły... Marysiu miałybyście gotową organistkę — muzyka i nauczycielkę, dzieci ją bardzo lubią.

— To prawda. Ale ja się tego nie podejmę. Niech służy Bogu tam gdzie Bóg chce, a nie my.

— Ale my jej o tobie powiemy.

— Jak chcecie. Lepiej nie, zostawcie to Panu Bogu.

Nie miała lat szesnastu, gdy decydowała o swojej przyszłości. Jeżeli zechce może odejść, ale niech to zrobi na własną odpowiedzialność.

*

*

*

Jestem od dwóch lat w mieście, w którym Basia służy Bogu w klasztorze, za murami jednego z licznych tu zakonów. Wstępuję czasem do kościoła, w którym wygrywa melodie swej duszy. Nie odwiedziłam jej. Zrobię to po pierwszej profesji zakonnej. Modłę się tylko za nią. Serdecznie i spokojnie.

Każdy przecież ma swoją drogę życia. I tylko na swojej drodze spotyka Chrystusa.

Basia spotyka Go za kratą i murami. Ja — wśród ludzi.

PANI STASIA

Ściągnął uzdę konia i znieruchomiał. Zjawa, czy ktoś żywy? Wśród klombów wspaniałych kwiatów stała — również jak wryta w ziemię — smukła dziewczyna w długiej kolorowej sukni, w kapeluszu ocieniającym twarz, spod którego spływały dwa jasne warkocze. W jednej ręce miała koszyk z różami, w drugiej rozwarte nożyczki, bo właśnie chciała ściąć pąsową, gdy ujrzała zjawę — królewicza z bajki na białym koniu. Przetarła oczy ręką i wtedy końcami nożyc zawadziła bezwiednie o kryzę kapelusza, co pozwoliło „zjawie” z naprzeciwka lepiej ujrzeć jej twarz.

Królewicz z bajki, w czarno-żółtym mundurze Jego Cesarskiej Mości Franciszka Józefa, zdjął — z gracją — imponującej wysokości czapkę, zawrócił konia i kazał się zameldować gospodarzowi plebanii, księdzu Błażejowi Janorowi, gdyż zorientował się, że ogród, w którym ujrzał piękną dziewczynę, do niego należy. Przedstawił się i dopiero wtedy uświadomił sobie, że nie może, bo nie wypada, wyjawić powodu swojej niezapowiedzianej wizyty. Zmieszany tłumaczył się, że poznaje okolicę, którą powierzono jego pieczy, że pragnie poznać znaczniejszych obywateli i że cieszy się, że pierwszym z nich jest ksiądz proboszcz. Gospodarz zaprosił gościa do stołu, bo właśnie podawano kolację. Przy stole znalazła się i piękna panna z kobierca kwiatów. Zdażyła zmienić suknię i upiąć włosy w koronę.

— To moja siostrzenica, Stanisława ma na imię, sierota, kończy pensję Sacré Coeur w Wiedniu. Pięknie gra, pięknie rysuje i śpiewa. Ach, i — cudownie tańczy. To słonko i słowik naszego domu. Nawet ludzie mówią, że im się lepiej modli, gdy panienka jest w kościele. Oprócz niej jest jeszcze Iza, już mężatka, za

Tarczyńskim, i dwóch braci, którzy kończą nauki inżynieryjne. I to wszystko na mej siwej głowie!

— Ależ, wuju, gdzie tam siwa! Wuj jest młody, najpiękniejszy, i najlepszy, i kochany, a srebrne nitki we włosach — to ozdoba,

— Ty mała pieśczołko...

— Mała! Księżę kanoniku, dziś mierzyłam suknię, nasza panna znów urosła, ma metr siedemdziesiąt wysokości, a lat wciąż piętnaście...

— I dziewięć miesięcy, proszę ciotuni...

— Czyli za mąż pora.

— Nie tak prędko, pensję skończyć musi, zakończył wuj — opiekun...

*

*

*

Gdy skończyła pensję Panien Sacré Coeur, oficer Jego Cesarskiej Mości poprowadził do ołtarza „zjawę” z klombu róż. Wuj sam pobłogosławił ślub, potem odwiózł swoje słońce i słowika aż pod stopy góry, gdzie Czeremosz Biały z Czarnym wiodą najpierw groźny spór, potem w zgodnej już harmonii płyną po klawiszach skał.

W pięknym domu wśród winnicy, orzechowych i śliwkowych drzew, pośród klombów kwiatów, życie snuło się, jak kolorowa bajka. Dwoje młodych, zakochanych w sobie coraz bardziej ludzi, czasem wyjazd do Wiednia, to do Lwowa lub Krakowa, owszem i do Rzymu i Paryża, odwiedziny wuja i u wuja, a poza tym książki, gra na fortepianie i na skrzypcach, to część pierwsza pięknej bajki. Druga też cudownie się zaczęła, bo po latach pięciu urodziła się córeczka, zdrowa, piękna, jednak pięciu latek nie dożyła, gdy śmierć straszna ją zabrała. I część trzecia „bajki”, to okrutna wojna, oblężenie twierdzy Przemyśl i ewakuacja, wreszcie powrót i choroba straszna męża, który broniąc twierdzy został ranny w głowę.

A ciąg dalszy życia, które zaczęło się tak jak bajka, był zupełnie nie bajkowy, tylko szaro-czarny, prozaicz-

ny, choć ciekawy i nie pozbawiony światła oraz barw, co cieszą ludzkie serce.

Po pogrzebie męża, pani Stasia zamieszkała u swej siostry Izy, bo i wuja już nie było i ciotuni, która kiedyś suknię szyła. Bracia też polegli za ojczyznę, jeden w legionach Piłsudskiego, drugi Hallera.

Piękna pani Stasia miała lat trzydzieści i kosztowną biżuterię, i procenty z majątku po rodzicach, dom w Przemyślu i nie zagojoną w sercu ranę, choć to już minęło kilka lat. Miała jednak wiarę w Boga, który kocha ludzi, zwłaszcza biednych, chorych, więc pytała wciąż na klęczkach: „Co mam zrobić z sobą, Boże? Tak pozostać? Wstąpić do klasztoru? Być szarytką?

— Tak, szarytką. Tak, szarytką. Siostrą miłosierdzia, nawet więcej — matką miłosierdzia — odpowiadało coś w sercu. A więc pani Stasia zapukała do klasztoru.

— Za dwa lata, proszę pani, aż ból minie, pani siebie lepiej wypróbuj — powiedziano szczerze.

— Dobrze, przyjdę za dwa lata.

— I gdy szła do domu, zobaczyła dzieci, które znała już z widzenia.

— Skąd wracacie?

— Byliśmy u mamy, wszyscy razem, by nam dała nową mamę, bo nam bardzo źle bez mamy. Tatuś nam powiedział, że to być powinna taka pani, która wpierw pokocha dzieci, a nie jego, prawda Ninko — wypaplała poważnie najmłodsza i z wyczekującą miną popatrzyła na najstarszą.

— Prawda, Halinko, tatuś ma rację. Kocha nas. Ale, któż się zgodzi być mamusią dla pięciorga obcych dzieci? Gdybym była zdrowa, nie potrzeba by nikogo. Mam lat siedemnaście, kończę za rok szkołę, byłabym wam mamą i nie wyszłabym już za męża. Ale cóż? Lekarz kiwa głową, nic nie mówi... Józiu, widzę, że tyś najbardziej z nas zmęczony, zjesz kolację i pierwszy pójdziesz do łóżka. Żegnamy panią. Ukłońcie się ładnie. Do widzenia.

— Do widzenia.

Pani Stasia nie spała tej nocy. Wstała, wyjęła z zakurzonego futerału skrzypce i zaczęła grać melodie

swojej udreżonej duszy. Grała długo, tak jak nigdy. Iza zastała ją w półzemdlącą na dywanie. Nie mówiła nic. Potem pojechała do cudownej Bożej Matki w Kochawinie.

— Powiedz, powiedz, co byś Ty zrobiła, Boża Matko, przecież także byłaś wdową... Jestem młoda, zdrowa, chcę coś robić, ale co? Do klasztoru nie przyjęta, nie potrzebna już nikomu... Za męża? Nie chcę, choć ich tylu pragnie mojej ręki... Nie, nie...

Boża Matka nic nie powiedziała. Mocniej tylko przytuliła swoje Dziecię, a cisnącą się do Jej stóp gromadkę dzieci otuliła ciepłem swego płaszcza.

Pani Stasia najwyraźniej to widziała.

*
* *
*

Wracając z pielgrzymki Pani Stasia spotkała na dworcu znaną sobie gromadkę dzieci z wysokim, przystojnym mężczyzną.

— Dzień dobry pani.

— Dzień dobry.

— A skąd pani wraca — pośpieszyła z pytaniem Halinka.

— Z Kochawiny.

— My też jedziemy do Kochawiny!

— Halinko, bądź grzeczna — upomniała małą Nina.

— Proszę pani, przepraszam, ale może pani pozwoli, przedstawimy pani naszego tatusia.

— Bukowski Michał, Józef, Mieczysław — wyrecytował kłaniając się nisko ojciec podekscytowanej podróżą dzieciarni i ucałował podaną sobie dłoń. Znam panią z opowiadania moich dzieci.

— Tak, znamy się ze spotkań na ulicy. Jeżeli pan nie ma nic przeciwko temu, proszę, niech dzieci odwiedzą mnie czasem. Panna Nina wie, gdzie mieszkam.

— Będę bardzo zobowiązany.

— Proszę pani, my jedziemy do Kochawiny, bo tatuś powiedział, że tylko ta Matka Boska wyszuka nam dobrą mamusię — wyrecytowała niepoprawna Halinka.

— Będę się modliła, ażeby wasza prośba została wysłuchana. Żegnam pana. Do widzenia, dzieci. Panno Ninko, oczekuję.

— Na pewno przyjdziemy — odezwał się poważnie blady Józio.

*

*

*

— Zabrałaś mi dzieci, patrz, i Nineczka i Józio adresują tylko do ciebie, o mnie zapomniały — mówił pan Bukowski, pokazując listy od najstarszych dzieci, które przebywały w sanatorium. Oddając je żonie, objął delikatnie jej postać i wtedy po raz pierwszy zobaczyła, że płacze.

— Stasiu, czym sobie zasłużyłem, że mam ciebie, że dzieci tak bardzo cię kochają? To naprawdę cud.

— Tak, z pewnością wymodlony przez matkę dzieci, bo matka odchodząc w zaświaty opiekuje się sierotami.

— A to, że pokochałaś mnie?

— To, to naprawdę cud — odparła filuternie. Prze czytamy listy, najpierw od Ninki.

„Ukochana Mamo i Kochany Tatusiu!

Nie myślcie, że mi się pogorszyło, ale doktor M. chce się z Wami zobaczyć. Słyszałam co prawda, jak mówił do kolegi po francusku, że «jedno to już zero», a drugie «niewiele więcej warte». Domyśliłam się, że mówił o moich płucach. Ale to nic, chociaż żal mi umierać teraz, gdy znowu mamy dom i mamę. Chciałabym dożyć tej chwili, gdy się urodzi dziecko mamy. Ja tak bardzo kocham dzieci...

Mamo, tak bardzo tęsknię do Mamy, do dzieci. Czy Józiowi lepiej? Czy Marysia uczy się dobrze i czy Zygmus nie sprawia kłopotu? Proszę ucałować ten drobiazg ode mnie, a ja całuję mamę 100 razy i to maleństwo, które mama nosi pod sercem także 100 razy. Mama jest cudowna. Nie żyłabym już dawno, gdyby nie mama.

Wasza, zawsze kochająca,
Ninka”.

— A teraz list od Józia:

„Ukochani Rodzice!

Lekarz mówi, że jest mi lepiej, że będę mógł za miesiąc lub dwa powrócić do domu. Jest mi tu dobrze, ale wolałbym być w domu. To zupełnie co innego, jak lekarstwo podaje pielęgniarka, albo człowiek sam zażywa, a jak podaje mama. Mama się uśmiecha. Przyznaje, że niedobre, pożałuje, przytuli — i lekarstwo lepiej pomaga, nawet ten wstrętny mikrocid nie jest wtedy taki wstrętny.

Już dwa tygodnie nie widziałem mamusi, ale ja wiem, że teraz mama nie może tak często podróżować, więc się trzymam dzielnie.

Całuję Mamę w obie ręce, Tatusia też!

Dziękuję i jeszcze raz całuję cały nasz dom.

Józio”.

*

*

*

Ninka odeszła nagle, w nocy. Przy łóżku jej czuwała pani Stasia modląc się przed wizerunkiem Kochawińskiej Pani.

— Mamo, żegnaj, jesteś taka, jak Matka Boska Kochawińska obiecała. Dziękuję mamie. Będę pomagała z nieba...

— Obudzę tatusia i dzieci.

— Nie trzeba. Zresztą...

— Kochajcie mamę, idę wprost do nieba... Tam czeka na mnie Boża Matka — mówiła z trudem Ninka do zebranych przy łóżku.

— I mamusia, Ninko — dodała pani Stasia.

Odpowiedzi nie było. Twarz ślicznej smagłej dziewczyny opromienił uśmiech, jakim wita się coś, co przechodzi wszelkie oczekiwanie.

*

*

*

Za dwa tygodnie urodził się syn, dziecko wątłe, wymagające specjalnej opieki.

Niedługo potem zachorował Józio. Miał już siedem-

naście lat. Lekarze stwierdzili gruźlicę kości, zalecili leczenie w Zakopanem. Przebywał przez dwa lata, to w szpitalu, to w pensjonacie.

Gdy się dowiedział, że urodziła się siostrzyczka nie wytrzymał, zażądał odwiezienia do domu. Przywiózł mamie kwiaty i dla małej strój góralski.

Prosił, by mu pozwolono już pozostać w domu.

— Niech zostanie, to jest jego dom. Dziecko ma prawo, by chorować i umierać w swoim domu — argumentowała pani Stasia.

— Ale ty nie masz prawa narażać maleństwo, zwłaszcza, że i twój stan budzi poważne obawy, a mała to wcześniak — mówił zatroskany pan Bukowski.

— Nie, nie pozbawimy Józia domu oraz matczynej i ojcowskiej opieki, nie! Zrobię wszystko, ażeby nie dopuścić do zarażenia dziecka, ale Józio pozostanie w domu.

Józio chorował ciężko przez dwa lata. Ostatnie miesiące leżał i cierpiał tak bardzo, że nie każdy miał odwagę pozostawać przy nim. Czuwała przy biedaku, a potem sama zmieniała opatrunki, bo nikt tego robić nie chciał, jego druga mama.

Józio całował jej ręce, a ona ocierała mu czoło i czule składała na nim pocałunek matki.

Po śmierci, ksiądz, który zaopatrywał Józia na ostatni etap jego drogi, oddał panu Bukowskiemu list następującej treści:

„Ukochani,

żegnaj Was, idę wprost do nieba, bo jestem — powiedział mi ksiądz — bardzo podobny do Pana Jezusa na Krzyżu. Żal mi bardzo mamy, was, małego Pawełka i malutkiej Joasi. Mamo, mama jest lepsza od wszystkich mam na świecie. I mama jest bohaterką, przecież podjęła mama większe ryzyko, aniżeli ojciec Beyzym u trędowatych.

Całuję Was wszystkich i czekam na Was, przecież będziemy wszyscy razem przez całą wieczność.

Całuję ręce Tatusia i najlepszej Mamy, całuję nasze dzieci

wasz Józio”.

*
* *

Po śmierci Józia cała rodzina Bukowskich stanęła przed Kochawińską Panią, by się oddać Jej w szczególny sposób i błagać o ochronę dzieci przed gruźlicą, która panoszyła się w domu.

— Gdy się modliłam i przedstawiałam Matce Bożej potrzeby naszych dzieci, złożyłam Jej w ofierze naszą Joasię. Powiedziałam Jej, że wyrzekam się jakichkolwiek praw do Joasi, że może postępować z nią tak, jak się Jej podoba — mówiła pani Stasia.

— Czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, co zrobiłaś, i czy to jest ważne, skoro ja tego nie uczyniłem?

— Dlatego mówię o tym. Pójdziemy dzisiaj do Matki Bożej Łaskawej w kościele ormiańskim i ponowimy to oddanie.

— Nie, nie dzisiaj. Muszę się zastanowić, to zobowiązuje.

— A więc zrobimy to w najbliższe święto maryjne.

— To znaczy pojutrze, 15 września, w święto Matki Boskiej Bolesnej. Dobrze. Co mam zresztą z tobą zrobić, Stasiu? Oczarowałaś mnie, dzieci, dom, nawet sąsiadów. Poddaję się.

— Biedny niewolniku! Żle ci w tej niewoli?

— Nie! Chcę pozostać w niej na zawsze!

— Powtórzysz to przed Matką Bożą, gdy będziemy wspólnie oddawać Jej naszą Joasię.

*
* *

Już nie żyje ani pan Bukowski, ani pani Stasia. Odeszła pierwsza, gdy Joasia miała lat szesnaście i gdy wojna skończyć się nie chciała. Przeszła wiele, bo we wrześniu aresztowano męża, bo Marysię z jej synkami wyrzucono spod Poznania, bo Zygmusia wywieziono zostawiając jego młodą żonę, bo Halinka z mężem i córeczką wciąż musiała zmieniać miejsce zamieszkania, bo Pawełek poszedł w lasy. Panią Stasię i Joasię też zabrano, potem rozdzielono, wywieziono tak, że nie

wiedziały nic o sobie. Gdy wróciły cudem Bożym, pani Stasia w obcym domu umierała na gruźlicę, mając lat czterdzieści dziewięć. Na klepsydrze napisano, że ma lat 57 i nazywa się Rutyńska Małgorzata, a za trumną szła Joasia w wiejskiej chustce i w kożuchu, aby nikt nie poznał, że to ona. Z grobu wzięła grudę ziemi do chuściny.

*
* *

Dzisiaj jest ich tylko troje. Po Zygmysiu ślad zaginał. Marysienka śpi spokojnie obok kości swego ojca, który wrócił i żył w wolnej Polsce przez lat osiem. Pamięć po niej pozostała jak o świętej. Mąż jej jeszcze żyje, i synowie i wnuki.

Halineczka ma już siwe włosy i emeryturę, męża też siwego, który stracił zdrowie podczas wojny, i córeczkę lat 37, która za mąż wyjść nie chciała. Siedzi w ksiązkach, wygrzebuje coś w archiwach, zamarzyła jej się profesorska toga.

Paweł bawi już Oleńkę, pierwszą wnuczkę, chce ożenić syna, ale żona wciąż uważa, że za wcześnie, choć „chłopaczek” ma już lat dwadzieścia siedem.

A Joasia? Jest w klasztorze. Miała lat 24, gdy wstała. Kiedy składała śluby już na wieczność Bogu, powiedziała jej Maryla i Halinka, że oddana była kiedyś Matce Bożej, która teraz rezyduje w Gdańsku, więc jej śluby to ciąg dalszy tego, co się wtedy już poza nią dokonało.

Prawda? Owszem, ale... Człowiek to nie biżuteria z opalami. Sam się musi oddać, sam zdecydować dobrowolnie, czyją pragnie być własnością i — co najważniejsze — sam musi nieść ciężar odpowiedzialności za to.

*
* *

Gdy na srebrny jubileusz życia zakonnego Joasi, przyjechała do klasztoru trójka z rodzinami i gdy

ksiądz zapytał, co podkreślić w okolicznościowym przemówieniu, Halineczka zdecydowała:

— Proszę księdza mieliśmy najlepszą mamę, świętą mamę, mamę dla której istnieliśmy tylko my, tatuś i dzieci. Mama mądrze nas wychowywała. Modlimy się do niej. Nasza mama oddała za nas swoje życie, bo od najstarszych dwojga dzieci zaraziła się gruźlicą. Poświęciła wszystko: i umiłowane skrzypce, i podróże, i znajomych z dawnych lat dla pięciorga obcych dzieci i stworzyła jeden święty dom, jakieś sanktuarium do którego zawsze się powraca. Teraz także. To, co w nas dobrego, zawdzięczamy naszej mamie.

— Tak, proszę księdza. Nasza mama to prawdziwa święta. Portret mamy wisi tuż pod krzyżem w moim domu, bo wytrzymała aż do końca na bolesnej drodze życia — dodał małomówny Paweł, a siostra Maria Joanna zakończyła stwierdzeniem:

— Nasza mama to najwspanialszy człowiek, bo urzeczywistniła zamysł Boży w sobie. Zawierzyła Bogu i była Mu wierna we wszystkim. Wyczuwała bicie Serca Bożego w człowieku. To wspaniała kobieta.

— Gdzie spoczywa? — spytał ksiądz.

— Nawet śladu nie ma po grobie. Cmentarz przekopano.

Wtedy siostra Maria Joanna otworzyła małe pudełeczko i serdecznie powiedziała:

— Weźcie, to jest ziemia z grobu naszej mamy.

AGNIESZKA

— A co pani powie o Agnieszce?

— Ja? Proszę szanownego grona, słucham tego wszystkiego, co tu powiedziano na jej temat, jak bajki. Państwo stawiają jej „piątki” i „czwórki”, a ja nie mam dla niej stopnia. Nie mogę postawić jej nawet „dwójki”. Iglę trzyma jak miotłę, szczotkę jak igłę lub smyczek do skrzypiec, na uwagi nie reaguje, zawsze jest uśmiechnięta, nawet rozkoszna. Powiedziała mi kiedyś, że to nie jej wina, że Pan Bóg nie dał jej zdolności do rysunków i robót ręcznych, tylko do filozofowania. Zrobiła to grzecznie, była uśmiechnięta, przeurocza, coś jest w tej dziewczynie, że człowiek choć wie, że powinien się na nią gniewać, to jednak nie może. Ale, proszę siostry wychowawczynie, niech mi ona przynajmniej połowę rysunków wykończy, abym miała podstawę do jakiejś oceny, to dam jej spokój. Może jeszcze z niej coś wyrośnie.

— Dobrze, proszę pani, dopilnuję. Ja też wierzę, że z niej wyrośnie Ktoś. I to przez duże „K”.

Minęło kilka lat. Pewnego dnia przychodzi Agnieszka i mówi prosto:

— Proszę siostry, kończę trzeci rok psychologii i chcę wstąpić do zgromadzenia, w którym ukończyłam szkołę.

— Dobrze, ale po ukończeniu studiów, z dyplomem magisterskim.

Po ukończeniu studiów Agnieszka odprowadzała 13 lipca swoją wychowawczynię do pociągu, prosząc, ażeby była obecna na jej ślubie, który ma odbyć się 15 sierpnia u wizytek. Robiła wrażenie zakochanej „po uszy”. Opowiadała o swoim Janku, o egzaminie przed-

ślubnym, o sukni i mieszkaniu, w którym ma zamieszkać. Tuż przed odjazdem pociągu zapytała zniecka:

— Proszę siostry, czy ja miałam powołanie do klasztoru?

— Tak. Miałaś. Ale teraz wychodź za męż. Bądź odpowiedzialna za tego, którego rozkochałaś w sobie.

Pociąg ruszył. Zakonnica usiadła zamyślona i niespokojna. Czy należało powiedzieć jej to, co powiedziała.

Wychowawczyni Agnieszki nie miała spokojnych wakacji. Rozpoczęła nowennę do Matki Bożej Dobrej Rady w jej intencji. Dnia 29 lipca otrzymała wiadomość na odwrocie zaproszenia ślubnego:

„Jestem za furta klauzurowego zakonu. Janek zrozumiał mnie. Modłę się za niego. Jestem szczęśliwa, że należę do Tego, który przed wiekami mnie przeznaczył dla siebie. Dziękuję siostrze za prawdę. Niech Bóg wynagrodzi. Proszę, by mnie siostra kiedyś odwiedziła”.

Na srebrnym jubileuszu ślubów zakonnych siostry Agnieszki podziwiano zaprojektowane przez nią witraże do kaplicy. Dowiedziano się też, że stoi na czele pracowni szycia i haftowania ornatów.

Jak to się stało, droga, już nie żyjąca dziś, pani Wando?

„NIEWIERNI OBOWIĄZKOM PODDANYCH”

„Wśród niewiast oddanych akcji powstania, wśród gorliwych pracownic na polu wychowania i kierowania młodzieżą, jak również w pracy poświęconej rannym partyzantom naszym, było wiele zakonnic. Modląc się o wybawienie ojczyzny, nie zapominały o tym, że Chrystus nakazał nie tylko głodnego nakarmić, ubogiego w dom przyjąć, ale i chorego po samarytańsku leczyć i rannego opatrzyć. Tu i ówdzie w pamiętnikach z tych czasów przemknęło imię zakonnej siostry. I nic dziwnego, wszakże nie zabrakło ich po szpitalach, a nawet na polu bitwy... A że ich tak mało wyliczają, to jedynie dlatego, że one wśród cichych bohaterek najcichsze. Ukrywały czyny wielkiego poświęcenia za tajemnicą klauzury. Spoza przybranych imion zakonnych, trudno dobyć imiona, szczególnie rodowe nazwiska, ofiarniczek. Podajemy zatem małą tylko garstkę, jaką udało się odszukać, by je przekazać pamięci i miłości idących pokoleń kobiet polskich”.

Car Aleksander ustanowił w Warszawie 8 listopada 1864 roku specjalną komisję „dla przywrócenia porządku w klasztorach rzymskich”, ponieważ część kleru katolickiego okazywała się podczas niepokojów „niewierną obowiązkom poddanych”.

Komisja postanowiła:

- 1) natychmiastowe sekularyzowanie tych klasztorów, które liczyły mniej niż 8 zakonników lub zakonnic,
- 2) zakaz przyjmowania świeżych sił do nowicjatu,
- 3) zakaz prowadzenia zakładów wychowawczych.

Wszystkie klasztory były skazane na likwidację. Zaczęto od zasłużonych klasztorów klauzurowych. Na-

padnięto je w nocy i wywieziono drogą na Petersburg i Wiedeń, gdyż „uprzejma” Austria też przygotowała odpowiednie obozy. Z żeńskich klasztorów pozostawiono tylko 10, w każdym zaledwie po 14 sióstr.

Felicjanki. Założone w 1854 roku Zgromadzenie Sióstr Felicjanek, pracujące w Warszawie oraz po wsiach, zostało wezwane, w chwili wybuchu powstania, do pielęgnowania rannych partyzantów. Szpital, w którym pracowały, nękany był częstymi rewizjami, gdyż siostry pomagały podleczoneym powstańcom w ucieczce. Po znalezieniu jednego z bardzo poszukiwanych partyzantów w beczce z cuchnącymi bandażami, wysiedlono kilka sióstr ze stolicy. Odebrano im pozwolenie na kwestę na rzecz ubogich, a miały właśnie na utrzymaniu 300 ubogich biedaków, toteż był dzień, w którym po odmówieniu modlitwy posiliły się tylko czystą wodą, gdyż resztę chleba rozdały ubogim. Wsparła je wtedy żona groźnego namiestnika Berga.

18 grudnia 1864 roku, wśród płaczu najbiedniejszych, wywieziono felicjanki do Łowicza. Te, którym pozwolono pozostać w Warszawie, były pod ścisłym nadzorem policji, inne odsyłało do miejscowości, z których pochodziły. Niektóre przedostały się do Krakowa, skąd bardzo szybko rozwinęły się w ówczesnej Galicji.

Szarytki. Była ich cała armia, bezimienna, anonimowa pochylająca się nad tymi, którzy z powodu swego zaangażowania się w sprawę powstania potrzebowali pomocy.

Siostra Leokadia Jezierska z Zakładu Świętego Ducha w Warszawie została zesłana do guberni niżogrodzkiej dnia 18 lipca 1864 roku. Ułaskawiona po wielu, wielu latach, zmarła w Kaliszu, gdyż nie wolno jej było powrócić do Warszawy. Pochowaną w obcym grobowcu policja wydobyła i zakopała w ziemi, którą potem zaorano, aby wszelki ślad zaginął po tej, którą Polacy czcili i kochali.

W Warszawie siostra Domicela Ostrowska, siostra Jezierska oraz siostra Michalina Lenczewska, były są-

dzone w sprawie Aleksandra Waszkowskiego. Ta ostatnia odbywała karę w twierdzy w Modlinie, potem była zamknięta w klasztorze, z zakazem wychodzenia na miasto.

Wileńskie siostry miłosierdzia, wśród których była Anna Dąbrowska, Tekla Szczukówna, Paulina Hrycewiczówna, Eleonora Grodecka oraz wizytatorka Henrieta Domaniewska, odmówiły podpisania dokumentu przysłanego przez gubernatora, który usiłował zmusić zgromadzenie do posłuszeństwa wobec „prikaza obzczestwiennego prizzienia”. Siostry pomagały powstańcom jak mogły, nie zważając na to, że coraz bardziej narażają się władzom. Anna Dąbrowska i Aniela Gajewska padły ofiarą zdrady i zostały zesłane na ciężkie roboty. Los ich podzieliły też i inne siostry. Przeszły one niewypowiedzianą poniewierkę. O wielu nic nie wiadomo, nie danym im było powrócić „na Ojczyzny łono”.

Może jednak?

Bo przecież duch nie zna granic.

W Białymstoku rozpędzono siostry Miłosierdzia nie pozwalając im zabrać ze sobą nawet rzeczy osobistych. W rozproszeniu również pracowały na rzecz powstańców.

„Siostry ubogie”. Założyła je w Wilnie wdowa, Zofia Róża Dąbrowska w 1856 roku dla opieki nad sierotami i podrzutkami. Niestety, władze wypędziły siostry, a dzieci przeznaczyły do swoich „przytułków”. W ciągu jednej doby społeczeństwo wileńskie rozebrało między siebie setkę dzieci, nie chcąc dopuścić, by je wychowano na obywateli rosyjskich. Posadzono o współdziałal w tak wspaniałomyślnej akcji Towarzystwo świętego Wicentego à Paulo, wskutek czego wiele członkiń zesłano na wygnanie do Rosji. Oprócz domu sióstr w Wilnie, skasowano ich placówki w Kownie, Słonimie, Dyneburgu, Szawlach, Rosieniach, Drohiczyńnie i Pińsku.

O siostrze Helenie napisała Barbara Matesuwiczowa, że „duchem mężna, powagą chrześcijańskiego sta-

nowiska zabezpieczona, patriotyzmem przejęta, dokonywała cudów”.

We wsi Wawery, należącej do majątków księcia Mirskiego, Siostry Ubogie żywiły przez długi okres powstańców ukrywających się w lasach. Wszystkie, a było ich osiem, zostały pognane do więzienia w Kownie, potem do robót katorżnych w kopalni rudy żelaza. Przykute do taczek pracowały ponad siły, traktowane były nieludzko. Pięć z nich zmarło na tyfus głodowy. Po czterech latach katorgi i po 20 latach zesłania w Krasnopolu w guberni saratowskiej trzy siostry wróciły do kraju.

Wizytki w Wilnie były nękane rewizjami. W końcu, 4 marca, w dniu patrona Litwy św. Kazimierza zostały wywiezione. Na ich miejscu założono monaster prawosławny i cerkiew Marii Magdaleny. Przewożonym na dworzec zakonnicom towarzyszył osobiście Murawiew, z szablą do płazowania w rękę i szyderczym grymasem na twarzy. Czterdzieści osiem sióstr dotarło do Francji. Zaopiekowały się tam młodzieżą polską i napływającymi wciąż rozbitkami z kraju. W 1890 roku musiały uchodzić przed prześladowaniem masonów. Przybyły do Galicji i osiadły w Jaśle, by na nowo rozpocząć pracę nad młodzieżą.

Wizytki lubelskie musiały również wyemigrować. Zatrzymały się w Anglii, gdzie podjęły pracę nad młodzieżą polską.

Spośród wielu innych zgromadzeń zakonnych należy jeszcze wspomnieć siostry katarzynki z Wilna i dominikanki z Różanego Stoku k. Grodna, gdzie urządzono krwawą rzeź sióstr, oraz karmelitanki wileńskie, którym zburzono klasztor.

To, co przeszły poszczególne siostry, stawia je w rzędzie bohaterów i męczennic za wiarę i ojczyznę.

Stanowisko władz w Galicji wobec zakonów było wrogie, prześladowano również poszczególne zakonnice.

W Krakowie zapisały się w tym okresie chlubnie Panny Prezentki oraz siostry Klaryski klauzuruowe, u których przechowywano cenne dokumenty, a nawet broń.

Nie tylko klasztory i zgromadzenia zakonne, ale również świeckie stowarzyszenia oraz bractwa były nękane, prześladowane i ostro karane za jakąkolwiek działalność na rzecz powstania, a nawet kasowane. Mają one — zwłaszcza Towarzystwo św. Wincentego à Paulo — wielkie zasługi na polu miłosierdzia i działalności na rzecz powstania.

Spełniły się i na zakonach słowa Chrystusowe: „Mnie prześladowali — i was prześladować będą”, niemniej męczeństwo i krew zakonnice stała się — podobnie jak za czasów prześladowań pierwszych chrześcijan — nasieniem nowych, oddanych na wyłączną służbę Bogu i Polsce, ludzi.

MILION

Jeżeli nie można w rzeczywistości, to na pewno w wyobraźni można odbyć upragnioną podróż za granicę. A więc — jedziemy! Samolotem. Wspaniałym, dużym odrzutowcem. I — oczywiście pierwszą klasą. Nie widzimy nic, bo oddzielają nas chmury od ziemi. Przeglądamy czasopisma, zjadamy posiłek, rozmawiamy i już dziękujemy Bogu za szczęśliwy lot oraz lądowanie. Jesteśmy na miejscu. Jesteśmy w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Załatwiamy formalności i wsiadamy do taksówki, by przejechać się po mieście i załatwić nocleg.

— O, znajomy ksiądz! (każdy przecież ksiądz, dlatego tylko, że jest księdzem, jest znajomy). Wsiada do samochodu. Jedźmy za nim.

— Dobrze, jedziemy!

Auto księdza zatrzymuje się przed olbrzymim gmachem. Ksiądz wysiada — my wysiadamy. Ksiądz wchodzi do dyrekcji radia — my wchodzimy. Ksiądz jedzie windą — my za nim. Ksiądz wchodzi do biura dyrektora — my za nim. Ksiądz zamyka drzwi pokoju dyrektorskiego — nam kazano czekać w poczekalni. Topimy się więc w klubowych fotelach i czekamy. Dolatują nas urywki rozmowy:

— Nie, proszę księdza, nie, to się nie da zrobić, mówi dyrektor dyrektorskim głosem.

Ksiądz mówi dość długo i żywo, niestety, nie słychać nic. Znowu mówi dyrektor:

— Tak ksiądz uważa? Nie przyszło mi na myśl, że można by w ten sposób to zrobić (dyrektor mówi już mniej dyrektorskim tonem).

Po chwili otwierają się drzwi. Dyrektor odprowadza księdza aż do windy, podaje mu rękę i mówi:

— Załatwione. Życzę księdzu wytrwałości w przeprowadzaniu tych zamierzeń. Ma ksiądz we mnie nie tylko sprzymierzeńca, ale przyjaciela. Gdy opowiem o tym żonie — podbijemy cały świat!

Chcemy wsiąść do windy, porozmawiać — oczywiście trochę na „migi” — z księdzem, ale za późno. Jedziemy następną windą. Pędzimy po schodach, ale ksiądz już zapuszcza motor. Wsiadamy do naszej taksówki i pędzimy za nim. Ksiądz wysiada — my wsiadamy. Przed nami wspaniały gmach dyrekcji teatrów. Ksiądz do hallu — my do hallu. Ksiądz do windy — my do windy. Ksiądz u dyrektora — my przed drzwiami dyrektorskiego pokoju, zadyszani i zmęczeni wyłapujemy, co się da wyłapać z rozmowy.

— Dziwi mnie, że takie pomysły może mieć osoba duchowna. Ośmieszymy się. To niemożliwe. Proszę zrozumieć, to jest nie do przyjęcia, mówi dyrektor.

Czego domaga się ten młody ksiądz? — myślimy. Dyrektor jest zdenerwowany, jeszcze powie coś nieprzyjemnego księdzu — myślimy. Za chwilę jednak słyhać o wiele łagodniejszy głos:

— Ach tak! Próbnny kontrakt — to co innego. No, no, co jeszcze mi ksiądz proponuje? Ma ksiądz głowę do załatwiania spraw.

— Chciałbym, aby wszystko było, jak to się mówi *super*, udało nam się raz dosłyszeć księdza.

— Oczywiście: najlepsi aktorzy i wszystko na jak najwyższym poziomie. Ja też kocham Chrystusa i Jego Matkę, proszę księdza. I — mam honor: Panu Bogu byle czego nie daję. Zgoda. Zrobi się.

Otwierają się drzwi. Rozpromieniony dyrektor potrząsa rękę księdza, odprowadza go do drzwi i zjeżdża z nim na parter kończąc jeszcze rozmowę.

My — za nimi. Ledwie zdążamy. Ksiądz już zapuszcza motor, jedziemy za nim. Ksiądz za miasto — my za miasto. Ksiądz w dyrekcji filmów w Hollywood — my również. Scena się powtarza: Najpierw nie ukrywane zdziwienie dyrektora, potem zainteresowanie, pertraktacje, zgoda i radość z powziętych decyzji w związku z propozycjami przedstawianymi przez księdza.

Kim jest ten ksiądz? Z jakimi propozycjami przychodzi do dyrektorów tak poważnych instytucji? Instytucji — zdawałoby się — mało związanych ze światem, do którego należy osoba duchowna? Co ksiądz pragnie osiągnąć?

W Carracastle, w małej wiosce irlandzkiej Mayo, w ubogiej rodzinie górnika liczącej dziewięcioro dzieci, wieczorem wszyscy odmawiają różaniec. Wiedzą, że rozważanie tajemnic różańcowych, tajemnic związanych z życiem Boga-Człowieka i Jego Niepokalanej Matki, kształtuje charaktery młodych i umacnia w dobrym starszych.

Jeden z synów, Patryk, chce być kapłanem. Okazuje się, że i drugi, Tomasz, również o tym myśli. Ze względów materialnych nie jest to jednak możliwe. Są zatem zmuszeni wyjechać do Scranton w Pensylwanii, do pracy.

Jest to rok 1928. Patryk ma lat 19 i myśli tylko o tym, by zarobić jak najprędzej milion dolarów, ożenić się i mieć liczną rodzinę. Postanawia, że synowie jego będą kapłanami, córki — zakonnice. Milion dolarów wystarczy na ich kształcenie.

Coraz mocniej jednak odzywa się w nim powołanie kapłańskie. Po krótkim okresie pracy w fabryce Patryk decyduje się zamknąć za sobą furkę klasztoru ojców Krzyża Świętego. Jest szczęśliwy. Przekonuje się, że kapłaństwo to naprawdę jego droga życiowa.

Nagle w katastrofie górniczej ginie jego ojciec. Patryk musi zająć jego miejsce w pracy, by dopomóc matce w wychowaniu młodszego rodzeństwa. Pracuje za dwóch. Odchodzi, gdy młodszy brat może stanąć na jego miejscu.

Z radością zasiada po dwóch latach przerwy na ławie seminaryjnej, z zainteresowaniem słucha wykładów, zdaje dobrze egzaminy, chętnie służy tak przy ołtarzu jak i w kuchni, i gorliwie odmawia brewiarz chodząc po alejkach zakonnego ogrodu. Jest szczęśliwy. Rokuje jak najlepsze nadzieje. Zna życie lepiej od innych, cieszy się zaufaniem współseminarzystów, dla młodszych jest autorytetem.

Pewnego dnia nie wstaje z łóżka. Lekarze stwierdzają niespotykane ciężki przypadek gruźlicy płuc. Jedynym wyjściem — i to bardzo ryzykownym — jest poddanie się trzem operacjom. W przeciwnym wypadku gruźlica wykończy organizm w przeciągu kilku tygodni. Co prawda, operacje przedłużają tylko życie, ale nie pozwolą młodemu klerykowi stanąć przy ołtarzu Pańskim.

Chory Patryk przechodzi przez ręce najlepszych lekarzy. Jest przedmiotem ogromnej troski swoich przełożonych, zarazem „okazem chirurgicznym” dla specjalistów. Zastosowano wszystkie możliwe badania i lekarstwa. Sprowadzono sławy medycyny nawet z Europy. Wyrok brzmi jednakowo: jedyne, kompromisowe co prawda, wyjście — to operacja.

Patryk leży w specjalnej sali. Jest przecież „okazem”. Częste odwiedziny, częste konsultacje. Zbyt częste. Naprawdę — zbyt częste. Trudno się skupić. Trzeba nie łąda umiejętności, by się odizolować od tego zainteresowania, by przenieść się w krainę modlitwy. Patryk całą siłą woli zakotwicza się o łaskę. Rozmawia z Bogiem. Rozważa tajemnice Jego Syna i Matki Jego Syna — odmawia różaniec. Myśli przy tym o tajemnicach swojego życia i swojej rodziny. Przed rokiem zmarła mu siostra. Pragnęła bardzo, aby został kapłanem. Jego ukochana mama także modli się o to. Wie, że on jest beznadziejnie chory, ale ufa, modli się.

Patryk nie wypuszcza różańca z ręki. Ufa bezgranicznie Bożej Matce. Ufa i — zaczyna z nią pertraktować. Mówi do Niej prosto:

— Matko moja, chcę być kapłanem Twojego Syna. On potrzebuje kapłanów, wiesz o tym. Jeżeli wyprosisz mi u Niego zdrowie i łaskę kapłaństwa, ślubuję Ci, że będę apostołem różańca. Nie spocznę, póki nie nauczę miliona ludzi odmawiania modlitwy różańcowej. Milion serc rzucę Ci do stóp, jeżeli zostanę księdzem. Uczynź to, jeżeli taka wola Boża, uczynź, proszę Cię o to, o łaskawa, o litościwa, o słodka Panno Maryjo, Królowo różańca świętego.

Gdy palce Patryka przesuwają ziarenka różańcowe, gdy jego umysł pogrąża się w rozpamiętywaniu

Bożych tajemnic, lekarze zakładają maski i tampony, myją ręce, przygotowują się do operacji. Jeden z nich, Japończyk, zadaje półgłosem pytanie stojącemu obok kołedze:

— Czy warto operować? Jakie są szanse?

— Nie ma innego wyjścia. Potem się okaże, czy warto było operować — pada odpowiedź.

Przed łóżkiem Patryka stają pielęgniarki, zajeżdża łóżko — wózek, chory ma być przewieziony na salę operacyjną. Nagle słychać, jak najbliżej stojąca siostra mówi:

— Nie, proszę pana, niech pan nie żartuje. Podpisał pan własnoręcznie zgodę na operację, a teraz chce się pan wycofać? Pan wie dobrze, jaka jest pana sytuacja. Wszystko gotowe. Zjechali się najślawniejsi lekarze. Będzie dobrze.

— Nie poddam się operacji, bo ona jest mi nie-po-trzeb-na.

— Proszę się zmobilizować, zaufać Bogu i tym, którzy szczerze chcą księdzu pomóc.

— Bogu zaufałem, dla ludzi jestem pełen uznania, a sam — operacji nie potrzebuję.

— Biedny. To jakiś rodzaj szoku przed tym, co go czeka. Niech przyjdzie dyrektor, może jego posłucha. Jaki wstyd: tylu specjalistów się zjechało.

Przyszedł dyrektor. Z życzliwym uśmiechem zagadnął:

— Słyszę, że pan nie ma ochoty na operację. My jej też nie mamy, ale nie ma innej rady na pana chorobę. Trzeba rozciąć, wyciąć i wyrzucić to, co chore, w przeciwnym wypadku gruźlica stoczy całe płuca, a pan wie, że człowiek nie ryba, oddycha płucami. Tak mi się ksiądz jako pacjent podobał... No, zabieramy księdza. Po operacji sam będę dyżurował przy księdzu. Wydawało mi się, że ksiądz mi ufa.

— Owszem. Teraz jednak proszę, by pan dyrektor zechciał mnie obdarzyć zaufaniem i przyjąć za prawdę to, co mówię: Operacja nie jest mi potrzebna. Jestem zdrowy. Proszę się przekonać.

Szpital stanął „na nogach”, właściwie „na głowie”. Powtórzono wszystkie badania. Porównano z poprzed-

nimi. Wyniki? Diametralna różnica między badaniami, które zdecydowały o operacji, a ostatnimi, które jednoznacznie wykazują, że Patryk Peyton jest zdrowy. Fakt w medycynie niespotykany — natychmiastowe i całkowite wyzdrowienie.

Przy podpisywaniu aktu stwierdzającego niewytłumaczalność faktu uzdrowienia Patryka Peytona, przewodniczący konsylium lekarskiego zwrócił się z pytaniem:

— Niech pan, panie Peyton, zdradzi tajemnicę swego wyzdrowienia. Sam pan widzi, że tyle tu obecnych głów i mózgów schyla czoła przed niezbitym faktem uzdrowienia pana. Prosimy, proszę księdza. Zresztą, zaprotokołujemy księdza oświadczenie. Prawda jest prawdą i zasługuje na szacunek, nawet... gdyby się komuś nie podobała.

— Dobrze, zdradzę tajemnicę swego uzdrowienia. Niech prawda triumfuje.

Kilkadziesiąt par oczu utkwilo swój wzrok w człowieku, który miał być przedmiotem zabiegów chirurgicznych. Co powie?

Patryk ciepłym spojrzeniem oczu skupia uwagę zebranych na swojej rozwierającej się dłoni, z której powoli zaczynają się wysypywać ziarenka różańca świętego, i mówi:

— Oto, panowie, tajemnica mojego uzdrowienia. Różaniec — to potęga! Zawierzyłem Bogu. Ślubowałem Matce Jego Syna, że jeżeli odzyskam zdrowie — całe życie poświęcę propagowaniu modlitwy różańcowej, tej „ewangelii maluczkich”. Przynależę, że nie spocznię, dopóki nie nauczę miliona ludzi odmawiania różańca. Odmawiania i umiłowania tej modlitwy.

Pozwólcie, panowie, że ten milion zaczę od was. Niech to będzie wspólne dziękczynienie dla Tego, który jest wszechmocnym lekarzem, który uzdrowił człowieka tak bardzo chorego, mnie, Patryka Peytona.

W sali posiedzeń lekarskich, z serc dojrzałych i szlachetnych ludzi popłynęła modlitwa różańcowa. Popłynęły też z niektórych oczu łzy. Nawet ci, którzy nie znali modlitwy, tym bardziej różańcowej, powtarzali z przejęciem wezwania do Ojca, który jest w nie-

bie i chwalili Tę, którą On wybrał na matkę dla swó-
jego Syna. Nikt z zebranych nie postawił weta, gdy
Ptryk Peyton ośmielił się powiedzieć, że to oni, sła-
wy chirurgiczne i ftyzjatryczne — stają się odtąd apo-
stołami różańca świętego. Wszak nie mogą i nie wolno
im nie mówić o wielkich sprawach bożych. Byłoby to
przeciwko prawdzie i — przeciwko sobie samemu.

W klasztorze ojców Krzyża Świętego wielka uro-
czystość: święcenia kapłańskie. Do Patryka Peytona
przyjechali bracia, siostry i dalsza rodzina. Przyjechali
też koledzy, zwłaszcza ci z pracy w kopalni. Widzi
ich przez łyzy szczęścia, które spadają na ołtarz, gdy
w gronie współwyświęconych kolegów sprawuje Naj-
świętszą Ofiarę. Nie widzi matki, swojej najdroższej,
umiłowanej mamy; z pewnością ukryła się, jest taka
skromna. A może mu się wydaje, że jej nie widzi? Bo
ona jest. Czuje jej obecność. Zaraz ją ujrzy, zaraz uca-
łuje jej dobre i spracowane ręce.

— Gdzie mama, pyta po skończonej ceremonii
święceń?

— Miała przyjechać z Antonim i jego żoną. Pewnie
jeszcze się modli.

— Może czeka przy furcie, zobaczę. Usiądźcie do
stołu, proszę.

Patryk biegnie, by odszukać mamę. Drogę zagrada
mu ojciec duchowny:

— Księżę Patryku, przepraszam, proszę wejść na
chwilę do pokoju, mam coś ważnego do powiedzenia.

— Dobrze. Szukam mamę. Może jest w rozmów-
nicy... Ojcie, co się stało, proszę mówić...

— Brat księdza, Antoni, nie przyjdzie... i nie przy-
wiezie mamy. Mama odeszła do Pana dzisiaj o godzi-
nie dwunastej, gdy odmawiała z pomocą zebranych
przy jej łożu modlitwę Anioł Pański. To, księżę Pa-
tryku, była godzina, w której biskup trzymał ręce na
twej głowie, godzina, w której stałeś się kapłanem
Chrystusowym na wieki.

Sam rozmawiałem z bratem przez telefon. Mama
zaszła nagle. Wezwano lekarzy, księdza. Przyjęła Ko-
munie świętą... Do zebranych powiedziała:

Dziękujcie ze mną za to, że Bóg przyjął ofiarę mego życia, złożoną za Patryka, za jego uzdrowienie i za łaskę kapłaństwa... Ucałujcie go. Prymicyjna jego msza święta będzie mszą żałobną za spokój mojej duszy. Będę pamiętała o was..., o nim... Dajcie mu ten różaniec... Modlił się na nim wasz ojciec, modliłam się na nim ja. Niech zawiesi go na szyi, niech się z nim nie rozstaje... Nie milion, ale miliony nauczy modlitwy różańcowej. Będę mu pomagać..., będę czuwać, by nie spoczął... Wy — też! Cała rodzina ma być rodziną różańcową... Potem inne rodziny...

— Złapaliśmy księdza! Dogoniliśmy! Jesteśmy z Polski. Wydawało nam się, że ksiądz to chyba Polak. Ma ksiądz taką polską, swojską twarz, słowiańskie rysy. Proszę nam powiedzieć, co ksiądz załatwiał u dyrektorów radia, teatru, filmu? Ogromnie nas to interesuje.

— Angażowałem te instytucje w apostołstwo różańca. Zależy mi na tym, by nauczyć milion ludzi — może nawet więcej — modlitwy, którą sama Boża Matka świata zaleca. Chcę, by świat pokochał tę modlitwę, by przez nią wyblągał pokój... Chcę, by modliły się rodziny wspólnie, chorzy na swych łóżkach, ludzie młodzi i starzy... Chcę opasać różańcem świat... Milion ludzi dla Maryi... Milion!

— Cały świat opasać różańcem?

— Tak. Sam tego nie zrobię. Dlatego prosiłem możliwych tego świata, żeby mi pomogli. Zgodzili się. Już wkrótce usłyszymy przez radio różaniec odmawiany przez Rodzinę Różańcową. Potem teatr i kino przygotują sztukę i film osnuty na Ewangelii, ukazujący sceny z życia Boga — Człowieka i Jego Niepokalanej Matki. To pomoże ludziom..., bo różaniec to nie jest łatwa modlitwa... Jest to połączenie modlitwy ustnej z myślą, z rozważaniem, z przeżywaniem tajemnic..., a myśl ludzka taka płocha, tak ucieka... Trzeba w tej modlitwie zaangażować wyobraźnię. To, co ludzie zobaczą na filmie i przeżyją w teatrze — pomoże im...

— Dla mnie modlitwa różańcowa jest tak trudna, że przestałem się wysilać.

— To źle. Trzeba się skoncentrować, trzeba ćwiczyć, po prostu trzeba się modlić. Nie dezerterować! Bóg daje łaskę, ceni wysiłek. Dokąd jedziecie?

— Do jakiegoś hotelu.

— To proponuję mój dom zamiast hotelu.

— Wspaniale! Co za przepiękna przygoda! A wszystko dlatego, że ma ksiądz polską fizjonomię.

O nie! Wszystko dlatego, że Boża Matka chce z was mieć swoich apostołów. Złapała was dla różańca. Należycie już do miliona...

— Zapraszamy do Polski, do naszego domu. Ksiądz jest wspaniały!

— Chętnie, gdy tylko nadarzy się okazja. Polska — to przecież kraj maryjny.

Jesteśmy już w Polsce.

Czy wiemy, że istnieje Rodzina Różańcowa? Rodzina Rodzin Różańcowych, rodzin, które codziennie wspólnie chwalą Boga tą modlitwą?

Czy sami jesteśmy wierni tej modlitwie? Może jesteśmy członkami Żywego Różańca?

A może trzeba przypomnieć sobie tę modlitwę lub na nowo się jej nauczyć?

Gdyby tak było — nie omieszkajmy skorzystać z podanych niżej wskazówek. Bóg czeka, Polska czeka, cała ludzkość czeka na naszą, na moją modlitwę różańcową.

ROZWAŻANIA RÓŻAŃCOWE

Dla młodzieży

Różaniec odmawia się w ten sposób, że rozważając 15 najważniejszych tajemnic z życia, męki i chwały Jezusa Chrystusa i Matki Jego, Maryi, odmawia równocześnie przy każdej tajemnicy: 1 *Ojcze nasz*, 10 *Zdrowaś Maryjo* i 1 *Chwała Ojcu i Synowi, i Duchowi Świętemu, jak była na początku, teraz i zawsze, i na wieki wieków. Amen.*

1. *Zwiastowanie Pańskie*

„Jakże się to stanie, skoro męża nie znam?” (Łk 1, 34). Bóg odkrywa przed Maryją swoje plany odkupienia ludzi. Pragnie, by została matką Jego Syna. W jaki sposób to się stanie? Przez działanie Ducha Świętego. Maryja zawiera Bogu i mówi: „Niech mi się stanie według Twego słowa” (Łk 1, 38).

Mnie również Bóg powołał przez chrzest i wiarę do życia chrześcijańskiego. Mnie także czeka posłannictwo życia małżeńskiego i rodzinnego. A może — kapłańskiego lub zakonnego?

Ciebie, święta Boża Rodzicielko, proszę o łaskę uczciwego przygotowania się do życia. Wszak jedno mam życie. Powtórzyć życia, jak roku nauki w szkole, nie można.

2. *Nawiedzenie św. Elżbiety*

„Raduje się duch mój w Bogu, moim Zbawcy” (Łk 1, 47) — śpiewa Maryja wchodząc do domu Zachariasza i Elżbiety, służąc jej pomocą przez trzy miesiące.

Bóg wezwał mnie do przyjaźni ze sobą. Udzielając mi na chrzcie świętym łaski uświęcającej, zamienił moją duszę na swoją świątynię. Czyż to nie powód do radości?

Matko Boga-Człowieka, proszę Cię, strzeż mnie od grzechu, dopomóż mi dochować przymierza z Bogiem, naucz pomagać ludziom.

3. *Narodzenie Pana Jezusa*

W skrajnym ubóstwie rodzi się Syn Boży, gdyż nie było dla Niego miejsca w gospodzie. Nie został przyjęty. I to — przez naród przez siebie wybrany, obsypywany szczególnymi łaskami...

Czy moje serce jest zawsze gotowe na przyjęcie Pana?

Maryjo, dobra moja Matko i Matko Chrystusa, czuwaj, by On był panem mojej osoby, by czuł się we mnie i ze mną, jak ktoś, kto wie, że jest dla mnie najwyższą wartością. Ucz przyjmować Chrystusa w każdym człowieku.

4. Ofiarowanie Pana Jezusa w świątyni

Maryja ofiarowuje swojego Syna za mnie, abym miał życie wieczne. Chrystus wzywa mnie do współuczestnictwa w swojej ofierze. Codziennie muszę łączyć się z Nim, muszę do Jego ofiary dorzucać swój trud, swój pot, swoje cierpienia fizyczne czy moralne, wszystko, co mnie spotyka, i — przede wszystkim siebie. Bo Chrystus siebie ofiarował za mnie.

Maryjo, której duszę przeszył miecz boleści, naucz mnie szlachetności w składaniu siebie Bogu w ofierze.

5. Odnalezienie Pana Jezusa

„Powiniennem być w tym, co należy do Ojca mego” (Łk 2, 49). Jezus stawia ponad wszystko sprawy swego Ojca. Będąc jednak nie tylko Bogiem, ale i Człowiekiem zachowuje przykazanie: „Czcij ojca swego i matkę”. On, który nauczał i zadziwiał doktorów i uczonych w Piśmie, był posłuszny Maryi i Józefowi.

Matko Boga-Człowieka naucz mnie należnego szacunku i miłości w stosunku do moich rodziców lub do przełożonych. Nawet — bo czasem i tak się zdarza — gdyby to byli rodzice przybrani albo też ludzie „nie na poziomie”.

TAJEMNICE BOLESNE

1. Konanie Jezusa w Ogroju

„Ojcze, nie moja, lecz Twoja wola niech się stanie” (Łk 22, 43). Rzeczy wielkich, wspaniałych nie dokonuje się bez trudu, bez poświęcenia. Cóż dopiero, gdy chodzi o zbawienie świata? Pełne poświęcenia życie Pana Jezusa, jego pot krwawy, lęk, modlitwa i konanie, a potem męka krzyżowa — to cena naszego zbawienia.

Przez chrzest święty zostałem zanurzony w śmierć Jezusa Chrystusa i w Jego Zmartwychwstanie. Czy wtedy, gdy konam pod ciężarem życia, pamiętam o tym, by łączyć się z Jezusem konającym w Ogroju?

Maryjo, przypominaj mi o tym.

2. *Biczowanie Pana Jezusa*

„Zostaliście wykupieni nie czymś przemijającym, srebrem lub złotem, ale drogocenną krwią Chrystusa, jako Baranka niepokalanego i bez zmazy” (1 P 1, 18—19). Drogo zapłacił Bóg-Człowiek za wolność ducha ludzkiego, aby nie tkwił w niewoli namiętności i grzechu.

Jestem wezwany do wolności dzieci Bożych, do panowania nad ciałem i jego namiętnościami.

Wyproś mi, o święta Boża Rodzicielko, łaskę częstego przyjmowania Komunii świętej, abym mógł zachować wolność ducha.

3. *Cierniem ukoronowanie*

Stwórcę, Króla wszystkich królów i Mesjasza, na którego czekali, ubrali w szkarłatny płaszcz i włożyli Mu koronę z ciernia na głowę. Szydzili z Niego i bili Go po twarzy. Człowiek podniósł — i niestety podnosi — rękę na Boga. A Bóg milczy. Jego Matka milczy. Chociaż cierpi.

Zachować godność osobistą można, i trzeba, nawet (a może — właśnie) wtedy, gdy biją, gdy pluja, gdy szydzą..., i to nie tylko wrogowie, ale ci, których uważało się za przyjaciół.

Matko wyszydzonego Syna Bożego proszę Cię o cierpliwość, wyrozumiałość i wspinałomyślność dla moich braci. Tak — braci w Chrystusie.

4. *Dźwiganie krzyża na Kalwarię*

„Kto chce iść za mną, niech się zaprze samego siebie, niech weźmie krzyż swój i niech mnie naśladuje”. I niech pamięta, że na pewno dojdzie, jeżeli trzymać się będzie — jak dziecko — ręki Matki Zbawiciela. I jeżeli pamiętać będzie, że miłość bliźniego kosztuje. Kosztowała Jezusa i kosztowała Maryję.

Matko krzyżowej drogi życia, naucz mnie dźwigać swój krzyż. Naucz mnie być Cyrenejczykiem i Weroniką dla moich najbliższych.

5. *Śmierć Pana Jezusa*

Pod krzyżem Syna Bożego i swojego Syna stała Matka Najświętsza. Matka skazańca.

Wierność jest cechą ludzi szlachetnych. Wierność temu, kto został skreślony przez osąd ludzki, kto się nie liczy, jest heroizmem.

Panno Wierna, naucz mnie przyznawać się do ludzi „skreślonych”, stać przy nich, bronić ich, narazić się dla nich. Bądź matką mojej godności ludzkiej, mojej wierności Bogu i człowiekowi.

TAJEMNICE CHWALEBNE

1. *Zmartwychwstanie Pana Jezusa*

Zmartwychwstał — jako pierwszy z nas. Codziennie muszę powstawać z martwych (z grzechu, z niedoskonałości) do lepszego życia, aby móc osiągnąć niebo.

Matko Zmartwychwstałego Pana, Matko chrześcijańskiego optymizmu, naucz mnie radości paschalnej, wlej w moją duszę wiarę w to, że Wielki Piątek mego życia skończy się Wielką Niedzielą, moim własnym zmartwychwstaniem.

2. *Wniebowstąpienie Chrystusa*

Chrystus zmartwychwstał, wstąpił do nieba, siedzi po prawicy Ojca, wstawia się za nami i — oczekuje nas. Oto podstawa mojej nadziei, mojej radości, bodziec do ustawicznego wysiłku w pracy nad sobą, w dążeniu do tego „co w górze jest, a nie co na ziemi”.

Matko świętej nadziei, ucz mnie wytrwałości w dążeniu do domu Ojca Niebieskiego.

3. *Zesłanie Ducha Świętego*

Duch Święty nappełnił Apostołów — i mnie napęłnia — miłością, odwagą i swymi siedmioma darami. To dzięki Niemu dokonuje się we mnie pascha Chrystusowa, owo przeobrażanie się człowieka starego w nowego, tego, który kieruje się duchem ośmiu błogosławieństw.

Maryjo, Oblubienico Ducha Świętego, naucz mnie Jego mądrości. Spraw, abym była wierna Jego natchnieniom, choćby to mnie wiele kosztowało.

4. *Wniebowzięcie Matki Bożej*

„Wielkie rzeczy uczynił mi Wszechmogący” (Łk 1, 40), stwierdza Maryja w *Magnificat*. Bóg uczynił Ją Niepokalaną Poczetą, czyli wolną od grzechu pierworodnego, dał Jej pełnię łaski i wybrał matką swojego Syna, wreszcie wziął Ją z duszą i ciałem do nieba. Wywyższenie Maryi jest również nagrodą za Jej bezgraniczne oddanie się Bogu.

I mnie Bóg uczynił wielkie rzeczy powołując do życia chrześcijańskiego, do życia w przyjaźni z Chrystusem, do świętości.

Królowo Wniebowzięta, proszę Cię, wstawiaj się za mną u tronu Twojego Syna i czuwaj nad tym, abym trafił do domu Jego i mojego Ojca. Ja, Twoje dziecko, chcę być z Tobą na wieki.

5. *Ukoronowanie Matki Bożej w niebie*

„Strąca władców z tronu, a wywyższa pokornych” (Łk 1, 52).

Pokorna i cicha służebnica Pańska została Królową Wszechświata. Jej urząd królewski polega na rozdawaniu łask Bożych ludziom oraz na wypraszeniu miłosierdzia Bożego.

I mnie czeka chwała w niebie, ale muszę na nią zasłużyć życiem podobnym do życia Chrystusa i jego Matki.

Proszę Cię, Maryjo, bądź Panią mego umysłu, mego serca i mojej woli. Dziękuję Ci za to, że chcesz być Królową moją i Królową mojej ojczyzny, Polski. Chcę być wiernym Twoim poddanym.

TRZEBA NOWEGO ZAKONU

— Nie płacz. Stało się. Nie mów nikomu i nie szukaj tego drania, który cię uwiódł. Dam nazwisko tobie i — jeżeli będzie trzeba — twojemu dziecku. Formalności załatwi mój kolega pełnomocnik.

— Kim ona jest dla ciebie? — pytali zdumieni koledzy, świadkowie spotkania i rozmowy. Zastanów się, przed tobą świat otwarty, kariera.

— Znałem ją, gdy byłem dzieckiem. Teraz jest dla mnie człowiekiem, którego trzeba ratować od zniesławienia. Nie cofnę tego, co powiedziałem. Ktoś musi się poświęcić.

23 października 1828 roku w Przewodowie Teodor Ignacy Bogdan Jański bierze ślub z Aleksandrą Zawadzka i bezpośrednio po tym udaje się jako stypendysta — nominat na profesora Politechniki Warszawskiej w trzyletnią podróż naukową za granicę kraju.

W latach 1828—1830 Jański pogłębia studia prawnoko-
nomiczne w Paryżu, przyłącza się do saintsimonistów, wchodzi w grono śmiałych reformatorów, pragnie wespół z Cooperem i Owenem przywrócić sprawiedliwość i dobrobyt na świecie.

O Bogu nie myśli. Pożegnał się z Nim już podczas studiów uniwersyteckich w Warszawie. Zresztą — jest mu niepotrzebny. Sam, razem z myślącymi tak jak on, pchnie „bryłę tego świata” na nowe tory.

A jednak?

Jański jest szlachetny. Szuka prawdy. Szuka uczciwie. A gdy ideały saintsimonistów nie są w stanie zaspokoić tęsknot jego serca, woła zdecydowanie:

„Opuszczam was akademie i buduary, salony, parlamenty, rozkosze filantropii — martwe kościoły ludz-

kości, już dla mnie za małe. Chcę żyć w świątyni wielkiego Boga, do niej mam wołać ludzkość całą”.

I Jański wraca do świątyni tego Boga, którego lekomyślnie porzucił. Wraca pokorny i „przypomniawszy sobie pacierz i przykład matki”, gwałtownie „pruje” swoją duszę i szyje ją z Bogiem na nowo. Ta Bożo-ludzka praca trwa trzy lata. Epilogiem jej — konfesjonał i działalność apostołska, „by drugich z kałuży wyciągnąć” i ukazać im Prawdę, Dobro i Piękno w Jezusie Chrystusie.

*

*

*

W 1834 roku Bogdan Jański i Adam Mickiewicz dają początek stowarzyszeniu „Braci Zjednoczonych”, później organizacji „Służba Narodowa”. Postanawiają razem z Zaleskim, Domeyką, Platerem, Góreckim, Witwickim i innymi „modlić się za siebie, ojczyznę i bliźnich, za przyjaciół i nieprzyjaciół, przykazania Pańskie słowy i uczynki wypełniać, przykładem swym rodaków do tego zachęcać”.

Wpatrzeni w Jańskiego, „męża od Boga”, chcą ratować zdezorientowanych emigrantów, którzy wyczekując na powrót do wolnej Ojczyzny, nie biorą się do pracy, politykują, kłócą się, zrzeszają się w coraz to nowe ugrupowania, zapominają o Bogu i o własnej godności.

Wysiłki ich jednak nie przynoszą spodziewanych rezultatów. Trudno jest utrzymać się na falach, które zalewają umysły braci emigrantów oraz braci pozostałych w kraju. Trzeba szukać innej deski ratunku.

*

*

*

„Nie ma dla nas inego ratunku: trzeba nowego zakonu. Ale, kto go założy? Trzeba na to świętego. Ja? — za pyszny. Ty? (do Platera) — zanadto arystokrata. Ty (do Zaleskiego) — zanadto demokrata. Jański założy”.

Myśl Jańskiego ucieleśniona w słowie Mickiewicza, została przyjęta z uznaniem przez — gotowych poświęcić wszystko dla Boga i Polski — braci.

Wzrok Jańskiego, który miał świadomość, że to jemu Bóg „porучzył urząd i trud utrzymania tego związku”, spoczął na Malińskim, Semenence, i Kajsiewiczu. Zrozumieli. Podeszli i podali Jańskiemu swoje młode dłonie.

*
* *
*

„Domek Jańskiego” przy ulicy Notre Dame des Champs 11 w Paryżu narodził się w pierwszą niedzielę Wielkiego Postu, roku Pańskiego 1836. Jański już go urządził. Każdy z mieszkańców ma łóżko, koc i krzesło, a na ścianie krucyfiks. Przydałyby się stoły i szafy, ale nie muszą być. Musi natomiast być obiad. Dzisiaj, co prawda, będzie tylko kasza, bo mleko się zważyło — melduje ten, na którego przypadł dyżur w kuchni. Ażeby kupić coś na jutro, Semenenko oddaje w zastaw swój płaszcz. Za kilka dni musi być wykupiony. Za co? Opatrzność o tym pomyśli — mówi spokojnie brat starszy, Bogdan Jański.

I rzeczywiście. Ktoś przysłał trochę franków.

O „Domku” zaczęły krążyć różne wieści. Wprost bajkowe. A jak było naprawdę?

Ksiądz Le Prevost pisze:

„Widziałem, jak żyją. Nic bardziej budującego: wszystko w miłości Bożej, w pokoju Bożym... To braterstwo pierwszych wieków. Jest ich tylko ośmiu... są bardzo ubodzy..., ale żyjąc w umartwieniu i oszczędnie, mogą jeszcze innym pomagać”.

„Domek” był otwarty dla wszystkich. Regularnie skupiał braci zewnętrznych, których zadaniem było apostołstwo we własnym środowisku rodzinnym i zawodowym. Bracia wewnętrzni rządzą się ułożoną przez siebie regułą, która im nakazywała:

- ćwiczyć się w cnotach chrześcijańskich,
- być wiernym rozkazom brata starszego,
- nigdy o sobie nie mówić,
- nie zaprzeczać „choćby najoczywistszemu błędowi, aż po upływie 24 godzin...”,
- zachowywać milczenie,

- uczestniczyć we wspólnych modlitwach i tzw. „ćwiczeniach”,
- z uchybień swoich publicznie się oskarżać,
- być gotowym „na wszelkie poświęcenie się” dla Boga i Ojczyzny.

Co mówili o Jańskim współcześni?

Mikulski, późniejszy franciszkanin, pisał do przyjaciela:

„Gdybyś wiedział, ilu on biednych karmi, okrywa i we wszelkich potrzebach zasila...! Mieszkając przez sześć miesięcy z nim, Bogiem się świadczę, że często koszuli nie miał przewdziać, bo ostatnią potrzebującemu oddał. Nieszczęśliwy zapomniał, że on najbardziej jest potrzebujący”.

Uzupełnia jego wypowiedzi Walery Wielogłowski:

„Byłem sam świadkiem, jak ten niepojęty człowiek, przestawszy już żyć dla siebie, dogorywał na ofiarnym stosie miłości Boga i bliźniego, a przecież ostatnim tchnieniem rozżarzał święty płomień wiary i narodowości. Jański... troił się w zabiegach, pracował nad siły, wytrwał — zwyciężył trudności, ale kosztem własnego zdrowia i życia. Wszystko i całego siebie dla Boga i dla prawdy Bożej poświęcając, był już w końcu jak pelikan, który nie mogąc żywić inaczej swych dzieci, pierś sobie rozdziera i własnymi płucami je karmi...”.

Hrabia Karol Montalembert stwierdził: „Życie Jańskiego odpowiadało zawsze zasadom”. A naczelną zasadą postępowania brata starszego była prawda o Bogu, który jest miłością oraz przekonanie, że „nie można, będąc półchrześcijaninem, chcieć zdobyć wieczność i Boga...”.

Jański apostołował sam i wciągał całą wspólnotę „Domku” „do wprowadzenia Ewangelii w praktykę, w obyczaje, w oświecenie umysłów, aż do zupełnego odrodzenia religijnego ludu, zwyczajów narodowych, do rozlania wśród ludzkości oświaty i dobrobytu...”. Domagał się reformy katolickiego szkolnictwa, uniwersytetów

katolickich, prasy i literatury katolickiej. Podkreślał konieczność osiągnięcia jedności międzynarodowej i powszechnego rozbrojenia, aby położyć kres niesprawiedliwościom i wojnom.

Jański miał dalekosiężne plany. Był przekonany, że tylko religia katolicka może sprostać zadaniom współczesnym, bo jej fundamentem jest miłość, że tylko Duch Święty jest w stanie odnowić oblicze ziemi, ale że do tego potrzebni są ludzie, którzy przekreślają osobiste ambicje na rzecz drugiego człowieka. Ludzie jego „Domku” byli tego samego zdania.

Przedziwny ten człowiek, obejmujący miłością serca i wzrokiem umysłu cały świat, Polakom „przez polską szybę w niebo patrzeć kazał”. Bo choć daleki był od myśli Mickiewicza, że „Polska — Chrystusem narodów”, to jednak wierzył, że każdy naród, podobnie jak jednostka, otrzymuje od Boga specjalne powołanie. Był przekonany, że nie może ono być sprzeczne z ogólnym powołaniem całej ludzkości, która ma się stać królestwem Bożym. Polak winien kochać Boga i służyć mu „po polsku”, to znaczy zgodnie ze swoją konstytucją psychofizyczną, zgodnie z powołaniem dziejowym narodu i zgodnie z polską tradycją narodową i religijną. Wszystko, co rodzime, co polskie, ma jednoczyć naród, by mógł coraz to lepiej „współdziałać z ogólnochrześcijańską akcją ziszczenia tu na ziemi Królestwa Bożego”.

Jański boleśnie przeżywał rozłam chrześcijaństwa i z ducha był ekumenistą na dzisiejszą miarę. Nie był utopistą. Zebranych wokół siebie entuzjastom wyznaczał konkretne zadania. Widział swoich współpracowników przede wszystkim w pracy parafialnej, toteż pisał: „Służba parafialna. Cel: restauracja (odnowa) jedności chrześcijaństwa i życia spirytualnego (duchowego) między świeckimi”.

Dzięki „Domkowi Jańskiego” powstał „Dom Przytulku i Pracy”, zorganizowano własną bibliotekę, czytelnię, biuro informacyjne, myślano też o wydawaniu własnego dziennika i o wielu innych pożytecznych akcjach. Największą jednak zasługą „Domku” jest fakt, że stał się on kuźnią, z której wychodzili ludzie

o niezłomnych charakterach, świadomi swojej misji życiowej, nie lękający się trudu, nawet krzyża. Do wybitnych jednostek, które zaprzyjaźniły się z Jańskim i jego braćmi, należał Krasieński, Norwid, Chopin, Koźmian, Królikowski, Orpiszewski, Rettel, Bukaty i wielu, wielu innych, i to nie tylko Polaków, ale też Francuzów, Anglików, nawet Rosjan. Słusznie zatem pisał Mickiewicz do Zalewskich, że „...Dom wielką przynosi korzyść przez to samo, że egzystuje, że daje przykład, że stoi solą w oku emigracji, że o nim gadają, a zatem i o religii gadać muszą... Dobrze tedy robicie, że ten Dom wspieracie ile można”.

Czy poszło za Jańskim wielu? Nie. Ale ci, którzy go zrozumieli, wołali jak on:

„Chcemy rządu miłości... Chcemy wolności, jako źródła rozwijania (w życiu) praw Bożych... Chcemy prawa Pana naszego Jezusa popierać w familiach, w społeczeństwie, w narodzie i jego instytucjach: cywilnych, wojskowych, duchowych, zawsze w zupełnej jedności i posłuszeństwie Kościołowi powszechnemu... Nie możemy Chrystusa jakimkolwiek stronnictwu ludzkiemu podporządkować... Nie odepchniemy nikogo, kto się podda Chrystusowi; i owszem... serce nasze otwarte będzie dla chłopów, mieszczan, panów i królów, którzy przyznają, że są sobie braćmi w Chrystusie...”.

Jański „niedługo niósł pochodnię w rękę, ale dosyć aby drogę pokazać”. Byli tacy, którzy go nie rozumieli, ale nie można się temu dziwić, wszak nie było jeszcze encykliki Leona XIII *Rerum novarum*, ani nawet Manifestu...

Umierał w dzień Nawiedzenia Matki Boskiej, w domu rzymskim. Otaczały go miłujące serca braci, którzy czuli jak on, myśleli jak on i chcieli żyć jak on. Uścisnęli sobie mocniej dłonie, mimo, że różnili się wiekiem, pochodzeniem, pozycją materialną i społeczną, mimo, że matka jednego była kalwiną, a ojciec prawosławnym (P. Semenenko), mimo, że jeden był z pochodzenia Litwinem (H. Kajsiewicz), drugi Ukraińcem (H. Terlecki), trzeci Białorusinem, pozostali Pola-

kami. Złączyła ich w jedno miłość Chrystusa. I miłość sprawy: Polski, jej wolności, jej dobra.

W rezurekcyjną Noc 1848 roku wyszli z katakumb Św. Sebastiana w Rzymie jako ukonstytuowane już Zgromadzenie Zmartwychwstania Pana Naszego Jezusa Chrystusa. Podnieśli wysoko sztandar Boga i Ojczyzny. I usiłują nadal nieść go wysoko. Tak w kraju, jak i poza jego granicami. Wszędzie, gdzie bije serce ludzkie. Nauczył ich tego Bogdan Jański, pierwszy pokutnik jawny i apostoł emigracji polskiej we Francji, o którym pisał Kajsiewicz:

„Wyraźnie w miłosierdziu swoim nam go tu Pan przysłał, aby nam wskazał drogę na przyszłość, a potem skutecznie modlił się w niebie, aby dzieło jego dla chwały Bożej, z Boga pomyślane, nie rozpadło się”

Jański spoczywa razem z Semenenką i Kajsiewiczem w Rzymie przy via San Sebastianello u stóp wzgórza Pincio. Patronuje nie tylko zmartwychwstańcom, wszak był prekursorem wielu idei i jednym z pierwszych, którzy w sposób zorganizowany dowartościowali ludzi świeckich w Kościele.

Żył tylko 33 lata, ale żył tak, że nie tylko nie umiera w pamięci potomnych, lecz wciąż odradza się w tych, którzy czują jak on, myślą jak on i usiłują żyć tak jak on.

*

A co stało się z żoną — przynajmniej z nazwiska — Jańskiego? Od momentu zawarcia ślubu nie widzieli się nigdy. A gdy Jański przedstawił jej wielką sprawę, dla której żyje, i gdy oświadczył jej, że wymaga ona kapłanów i że on czuje się powołanym do kapłaństwa — wstąpiła do marcinkanek na Pivnej w Warszawie.

„DOBRCZE ZROBILEŚ...”

Piotruś Semenenko nie wiedział, ale jego babcia wiedziała doskonale o tym, dlaczego jej wnuk wychowuje się nie u rodziców, lecz w jej domu. Był synem Polaka, który jako sierota został poddany rusyfikacji i przyłączony do prawosławia, ale matką Piotra była Polka, co prawda protestantka.

Wychowam go na Polaka i na protestanta — zdecydowała pani Zielińska i nie szczędziła zabiegów, żeby zrealizować swoje plany. I tak stała się przecież rzecz straszna, że ochrzczono dziecko w kościele katolickim, a teraz — z powodu braku innej szkoły — musi uczyć się do szkoły prowadzonej przez zakonników. Ona więc, babka, musi zdwoić swoją czujność i zrobić wszystko, naprawdę wszystko, aby Piotr rozumiał, że jedyna religia — to kalwinizm.

Piotr rozumiał wiele, ponad swój wiek, rozumiał więc i to, że Chrystusowa religia musi pochodzić od Chrystusa, i że Kościół Chrystusowy musi być założony przez Chrystusa, a nie przez kogoś, kto żył w XVI wieku. Zrozumiał również, że wyznawców Chrystusa, obowiązuje wszystko, czego On nauczał, a więc i nauka dotycząca sakramentów świętych.

Piotr wiedział, że jego koledzy przystępują do sakramentu pokuty i Eucharystii, że uczestniczą w sprawowaniu mszy świętej oraz w innych nabożeństwach, że czczą specjalnie Matkę Syna Bożego. Wiedział, ale nie praktykował. Nie było mu wolno. Był pilnowany przez babcie.

— Proszę ojca, proszę, ażeby mnie ojciec przygotował do spowiedzi i Komunii świętej. Chcę być katolikiem, wyrecytował dziesięcioletni Piotr, stojąc na baczność przed jednym z księży misjonarzy tykocińskiego klasztoru.

— Zastanów się. Znasz swoją babcię. Konsekwencje mogą być przykre. Przyjdź, jeśli nie zmienisz zdania, za miesiąc. Będę się modlił, odpowiedział zakonnik i odszedł, jak gdyby się obawiał, że słyszy go słynna ze swego fanatyzmu pani Zielińska.

Piotr powrócił za miesiąc i powtórzył swoją prośbę, dodając, że jest przygotowany na wszystko, że jednak nie może inaczej postąpić, bo tak mu nakazuje jego sumienie.

*

*

*

— Ach, proszę pani, gratuluje pani wnuka! Co za przyjemność, gdy się patrzy na to dziecko, jak przyjmuje Komunię świętą. Jak on się modli, jaki skupiony! Podobno nie tylko ma najlepsze stopnie w szkole, ale wyróżnia się też zachowaniem. Potrafi go pani wychowywać, niech go pani pilnuje, kto wie, co z niego wyrośnie? Może sławny człowiek?

— Dziękuję pani za to, że pani lubi Piotrusia i chwali go, dziękuję — odpowiedziała uprzejmie rozdrażniona do ostateczności pani Zielińska. Zawróciła do domu, padła na fotel i — myślała. Jedna myśl goniła drugą, nie mogła dojść do żadnego wniosku. Jedno było pewne: przegrała. Ale zacznij na nowo. Jak?

Otwierają się drzwi i wchodzi uśmiechnięty Piotruś z tornistrem na plecach. Pani Zielińska nie wytrzymała. Poderwała się z fotela, złapała wnuka i zaczęła bić ile miała sił. Krzyczała przy tym głośno: Spowiedź! Komunia! Święty! Ja ci to wszystko wybije z głowy! Albo — wynoś się z mojego domu!

Ambitny chłopak „wyniósł się”. Stał odważnie przed ojcem, który mieszkał w Pińsku i powiedział mu prosto o tym, co zaszło. Otrzymał spokojną odpowiedź: „Dobrze zrobiłeś”.

*

*

*

— Co z nim zrobić? Inteligentny, bystry, oddany sprawie, rzucił studia na uniwersytecie w Wilnie, ale nie chce być na zapleczu, chce walczyć, być w ogniu, a ma 16 lat, jest drobny, wątły, nie utrzyma karabinu — mówi oficer do pułkownika Giełguda.

— Jak się nazywa?

— Piotr Semenenko.

— Piotr Semenenko będzie w ogniu. Będzie nabił broń, będzie podawał naboje, zdecydował dowódca.

Piotr, młodzieńcy powstaniec 1830 roku, spisywał się doskonale. Był tam, gdzie było najbardziej niebezpiecznie, nie zważał na nic, byle tylko bić Moskali, byle Polska była dla Polaków.

*

*

*

Oddziały Chłapowskiego i Giełguda przekraczają granicę Prus. Piotr Semenenko idzie razem z nimi. Na początku 1832 roku staje we Francji. Zrywa z Kościołem. Rzuca się w wir fanatycznej pracy politycznej w Towarzystwie Demokratycznym Polskim w Besançon i Chateauroux, potem w Paryżu. Przez dwa lata jest ścigany przez policję za zbyt skrajne artykuły w „Postępie”, zostaje pozbawiony żołądka, jest głodny i rozczarowany bezowocnością zabiegów politycznych i walki z artystokracją.

— To Rosjanin, mówią ci, którzy znali jego ojca.

— To protestant, dodają inni, przypominając sobie jego matkę.

— Może to szpieg rosyjski, szepczą zazdrośni.

— To powstaniec! Bił się o wolność Polski! Ma dopiero 18 lat. Nie bardzo wie, gdzie racja, gdzie prawda, ale jej szuka, za nią tęskni. Dajcie mu spokój — odzywają się poważniejsi.

— Tęga głowa! Co za myśli! Co za wymowa! Gdy przemawia, gdy pisze artykuły, porywa wszystkich.

To geniusz! Takich nam trzeba. Podrzucę go Jańskiemu — zdecydował ktoś wreszcie rozsądnie.

Bogdan Jański, stypendysta uniwersytetu warszawskiego, idealista, saintsimonista, sam nie tak dawno nawrócony, poznał się na Semenence. Ukochał go i pomógł mu.

W styczniu 1835 roku Piotr spowiada się gruntownie, 15 lutego wydaje list otwarty „Do przyjaciół i nieprzyjaciół”, w którym przeprosza za zgorzenie i wzywa do powrotu do wiary i do zwrócenia wszystkich sił ku Bogu i Ojczyźnie. Podają mu bratnie dłonie i włączają w swój krąg: Mickiewicz, Zaleski, Witwicki, Domeyko, Górecki i Cezary Plater. Przyświeca im hasło: „Służcie Bogu Polacy, a Bóg zbawi Polskę”.

*

*

*

W „Domku Jańskiego” przy ulicy Notre Dâme des Champs 11 odbywa się walna narada.

— Skoro Polsce potrzeba nowego zakonu, to nowemu zakonowi potrzebni są kapłani. Kto z was, Bracia, oprócz powołania do życia we wspólnocie zakonnej, odkrył w sobie łaskę powołania do kapłaństwa? Kto decyduje się na to, by razem z Chrystusem i w Jego imieniu ponawiać Przenajświętszą Ofiarę na ołtarzu Pańskim? — pyta brat starszy, Bogdan Jański.

Cisza. Jeden po drugim osuwa się na kolana, zakrywa twarz rękami i rozmawia z Bogiem.

Po długiej chwili wstaje Piotr Semenenko i Hieronim Kajsiewicz. Meldują:

— Bóg umiłował nas pierwszy. On też wybrał nas na swoich kapłanów. Decydujemy się. Módlcie się za nas.

— Tak. Jesteśmy o tym przekonani. Rozpoczniecie studia w Rzymie, pada decyzja z ust brata starszego.

*

*

*

W rezurekcyjną Noc 1842 roku siedmiu Polaków składa w katakumbach Św. Sebastiana przy via Appia Antica w Rzymie, na ręce swego głównego przełożonego, Piotra Semeneni, ślub czystości, ubóstwa i posłuszeństwa. Postanawiają, że ich Wzorem, Mistrzem i Panem będzie Chrystus Zmartwychwstały i Niepokalana Dziewica Maryja.

Z domu Ojca Niebieskiego błogosławi ich przedwcześnie zmarły brat starszy, Bogdan Jański.

Wychodzą z katakumb i wieszczą wszystkim radosną nowinę: Chrystus zmartwychwstał, Alleluja! Bóg jest miłością, Alleluja! Chrystus zmartwychwstał, Alleluja! I my zmartwychwstanjemy, Alleluja!

*
* *

Co dalej?

Walka o Boga w duszy własnej i w duszy każdego, zwłaszcza Polaka. I tego na emigracji i tego w kraju. Bo Polska może być silna tylko Bogiem. Bez Boga — zginie.

Ciężka to walka, ciężki bój. Piotr Semenenko jest zawsze w ogniu, w pierwszych szeregach. Czy to jako zakonodawca i generał zmartwychwstańców, czy to jako konsultor świętej Kongregacji przy Stolicy Apostolskiej i nieoficjalny ambasador Polski, czy jako kaznodzieja, rekolekcjonista i spowiednik, czy też jako inspirator i ojciec nowych zgromadzeń zakonnych, przede wszystkim sióstr zmartwychwstanek. Walczy modlitwą, umartwieniem, słowem, piórem i cierpieniem. Podziwiają go, a on twierdzi, że jest niczym. Chwalą go, a on mówi, że jest pełen nędzy i zepsucia. Twierdzą, że tworzy nowy system filozoficzno-teologiczny, a on się dziwi, bo to takie proste — mówi — trzeba tylko kochać Boga, i już się to wszystko wie.

Jeździł, pracował, zabiegał o dobro Kościoła, Polski, zgromadzenia. Pozostawił cenny dorobek literacko-naukowy i cenniejszą jeszcze „woń świętości”, pociągającą do dnia dzisiejszego tych, którym przyświeca filareckie hasło: „Bóg i Ojczyzna”.

Ze śmiercią spotkał się w Paryżu. Spokojnie szedł do domu Ojca w niebie, trzymając się — jak przez całe życie — ręki swej Najmilszej Matki, Maryi. Ufał zawsze, że to Ona zaprowadzi go do wspólnej z sobą wieczności szczęścia i chwały. Nie omylił się.

Ciało jego spoczywa razem ze szczątkami Jańskiego i Kajsiewicza w kościele zmartwychwstańców w Rzymie, na zboczu Monte Pincio, przy via san Sebastiano, tuż przy placu Hiszpańskim.

Duch Piotra Semeneki żyje w zgromadzeniu księży i sióstr Zmartwychwstania Pańskiego, oraz w tych wspólnotach, dla których kreślił zręby reguły. Żyje także w wychowankach Polskiego Kolegium księży w Rzymie i tych wszystkich, którzy rozumieją, że tylko przez krzyż i śmierć idzie się do zmartwychwstania i chwały.

BYŁA JAK SŁOŃCE

Przy kiosku ruchu wielkiego miasta stanęła młoda zakonnica.

— Przepraszam, może pani wie, gdzie mieszka pani Helena Grabowska.

— Nie wiem. A kim jest ta osoba?

— Ja też niewiele wiem o niej. Przed wojną była nauczycielką.

— Może siostra uda się do biura meldunkowego — wtrącił się do rozmowy klient.

— Oczywiście, jeżeli to będzie konieczne.

— A dlaczego siostra pyta o tę osobę właśnie w tej dzielnicy miasta.

— Na wyczcucie, proszę pana. Przyjechałam z Warszawy, wsiadłam do trolejbusu i wysiadłam tu, bo i tak nie znam miasta. Zaryzykowałam.

— O kogo chodzi? — spytał ktoś następny.

— O panią Helenę Grabowską.

— Zaraz, zaraz, jest taka osoba. Niech siostra jeszcze popyta, może będzie siostra miała szczęście. Pamiętam to nazwisko.

— Szczęście? A co to? Co siostra pragnie znaleźć?

— Poszukuję pani Heleny Grabowskiej.

— Jest. Tu gdzieś mieszka. To dyrektorka szkoły, do której chodziłam. Kiedyś piękność naszego miasta. I dzisiaj jeszcze wiele osób ogląda się za nią. Radzę zapytać się w pierwszym domu każdej z ulic w tym rejonie. Na ogół ludzie się znają. Życzę szczęścia.

Zakonnica dopiero teraz uświadomiła sobie, że stoi na placu willowej dzielnicy miasta, że ulice rozchodzą się w różnych kierunkach i że musi wobec tego zdecydować się na którąkolwiek z nich. Skreśliła w ulicę, na rogu której budowano nowy dom. Mijając ogród,

w głębi którego stała piękna willa, zobaczyła na tarasie mężczyznę, czytającego gazetę. Weszła w alejkę i doszła do schodów tarasu.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Przepraszam, może pan wie, gdzie mieszka pani Helena Grabowska?

— A czy mogę wiedzieć, z kim mam zaszczyt rozmawiać?

— Przepraszam, ale wolałabym przedstawić się dopiero osobie, o którą pytam. Proszę mi wybaczyć.

— Poproszę żonę, proszę wejść do mieszkania.

Za chwilę weszła do pokoju piękna kobieta i zapytała uprzejmie:

— Poszukuje siostra Helenę Grabowską? To ja nią jestem. A siostra? Nie — mówiła, wpatrując się w zakonnice — to niemożliwe, czy ja mam przed sobą córkę Bukowskich? Siostra jest tak do nich podobna! Naprawdę, czy to ty, Bogusiu? Ty, moja córka chrzestna, Bogumiła — Helena, którą trzymałam do chrztu świętego przed dwudziestu laty?

— Tak. To ja, moja chrzestna mamó.

*

*

*

Minęło kilka lat. Pokochałam moją chrzestną tak, jak może pokochać ktoś, komu wojna w brutalny sposób zabrała rodziców. Korespondowałyśmy ze sobą. Nabierałam coraz większego szacunku dla poglądów mojej mamy, cieszyłam się osiągnięciami jej dzieci, potem jej wnuków. Nie odwiedzałyśmy się. Jej nie pozwalały na to obowiązki zawodowe i rodzinne, mnie — regulamin zakonny.

Pewnego dnia otrzymałam list, pisany — jak sądziłam — ręką dziecka.

„Ukochana moja Córuchno!

Nie pisałam do Ciebie z Anglii ani słowa. Nie mogłam. Nie mówiłam ci nigdy o tym, że mając zaledwie lat trzydzieści musiałam poddać się przykrej operacji.

Od tego czasu cierpię również bardzo na schorzenia natury dermatologicznej. Ale Pan Jezus dawał mi zawsze łaskę umiejętności ukrywania moich dolegliwości. Był zawsze we mnie promienny, nawet dowcipny. To nie mnie, ale Jego we mnie, młodzież nazywa «Słońcem». I dał mi jeszcze Bóg męża — anioła.

Bogusiu najdroższa! Dzieci zawiozły mnie do Anglii. Przeszłam znowu poważną operację. Odjęto mi prawą rękę do obojczyka: rak aż tak się rozpanoszył. Jestem nie byle jakim kaleką. Ale nie sztuka kochać Pana Jezusa, gdy nic nam nie dolega, gdy życie płynie po gładkim podłożu. Skosztowałam trochę cierpień Boga na krzyżu. Wiem, że nie mam prawa porównywać się z Nim. Mam tylko obowiązek dziękować Mu za to, że daje mi udział w swoich cierpieniach.

Proszę cię, moja ukochana, pomóż mi uwielbiać Boga za wszystko, za to, że gdy nie wytrzymuję, On dodaje mi cierpliwości i cichości, a nawet zaczyna wysyłać promienie swojego uśmiechu przeze mnie. To takie ważne, Bogusiu, by darzyć ludzi Jego radością. Nie będę już mogła powrócić do szkoły. Pozostaje mi tylko dom. Zaczynam się usamodzielniać. Już piszę lewą ręką. Będzie dobrze. Wszak są ludzie, którzy nie posiadają obu rąk.

Całuję cię, moja najdroższa, życzę sukcesów w pracy i zapewniam, że i na twoje konto wpisuję coś z tego, co zarabiam cierpieniem —

Twoja mama”.

*
* *

Kilka miesięcy potem zameldowała mi furtianka domu w Kętach, że czekają na mnie goście w rozmównicy.

Nie wierzyłam swoim oczom: stałam przed chrześną mamą. Elegancka, piękna, zdejmowała przy pomocy męża pelerynę, potem objęła mnie i przytuliła do siebie.

— Przyjechałam, by złożyć ci osobiście życzenia,

chciałam być na twoich imieninach. Ludwik wygrał „Syrenkę”, ale zamienił ją na „Skodę” i przywiózł mnie do ciebie. Pięćset kilometrów, to dla niego nie jest wiele.

— Mamo, mamo — powtarzałam przez łzy — to mama dla mnie aż tak się trudzi? Proszę spocząć, przygotuję tapczan, do obiadu dwie godziny.

— Dziękuję. Raczej pójdę do kaplicy.

— Za chwilę będzie jeszcze jedna msza św.

— I ja miałabym odpoczywać?

Przy obiedzie, na którym było wyjątkowo dużo gości, nie wszyscy zorientowali się, że uroczą, siwiejąca już pani, jest kaleką, wszyscy natomiast byli nią zachwyceni. Dzięki niej poczuli się tak, jak u siebie w domu, zorganizowali program imieninowy i przygotowali godzinę biblijną.

Wieczorem rozmawiałam z mamą „sam na sam”.

— Wiesz, Bogusiu, jestem taka szczęśliwa. Dopiero teraz jestem w pełni mamą, babcią, królową naszego domu. Królową, która służy. Robię wszystko. Nauczyłam się nawet lepić pierogi. Nie muszę tego robić, gdyż jest gosposia, ale chcę pokazać Panu Jezusowi, że ani jednej łaski Jego nie zmarnuję. Gdyby nie ta ostatnia operacja, nie wiedziałabym, że tak wiele jest we mnie zdolności, możliwości, że mogę być przydatna na tyle różnych sposobów. Wzbogaciłam się. Myślę, że i w niebie moje życie będzie bogatsze, bo pomyśl, nie każdy otrzymał tyle darów, tyle łask, ile ja. Oddam je Panu pomnożone. On będzie się nimi radował, a ja będę Mu za nie dziękować przez całą wieczność. Będę pamiętała o wszystkich, o kalekach specjalnie. Bo zgodzić się, wykorzystać i kochać kalectwo — to nie jest sprawa prosta i łatwa. Mnie dał Bóg szczególną łaskę. Wiesz, moja córuś, czasami myślę, nawet czuję jakby fizycznie, że to nie jest tylko Jego łaska, ale że On Sam we mnie jest Heleną Grabowską, która została tak szpetnie oskalpowana. Przedziwny i wspaniały jest Bóg. A jaki musi być w rzeczywistości...?

— Taki, jak Helena Grabowska, moja chrzestna mama — odpowiedziałam z przekonaniem.

*
* *

Po kilku latach, gdy wsiadałam do pociągu, który odchodził do Wiednia, potem do Wiecznego Miasta, doręczono mi depezę: „Mama umarła dzisiaj rano — cierpiała strasznie, krótko i pięknie. Pogrzeb w niedzielę”.

Otrzymałam potem od kilku osób sprawozdanie z uroczystości pogrzebowych. Jedna z nich napisała: „To nie był pogrzeb. To była manifestacja. Cmentarz nie mógł pomieścić uczestników, a wszystko dlatego, że — jak podkreślali koledzy i wychowankowie zmarłej — była matką, siostrą, przyjacielem; była jak słońce, które budzi życie i rozwija”.

CHIARA LUBICH

Jedna miała lat piętnaście, inne niewiele więcej. Idealem jednej były studia filozoficzne, drugiej — stworzenie wzorowej rodziny, trzeciej i czwartej — bogato wyposażony dom.

Ale to był rok 1943, rok okrutny i koszmarny, jak cała druga wojna światowa. Padały bomby, ginęli ludzie. I ci winni, i ci — nic nie winni. Wszystko waliło się w gruzy, gasły nadzieje młodych. Życie stawało się nie do zniesienia, traciło sens, było wręcz niezrozumiałe. Łatwiej tylko było zrozumieć słowa mędrca zapisane w Piśmie świętym, że wszystko jest marnością, bo wszystko przemija. Zrozumieć było łatwiej, ale przyłgnąć do nich, zgodzić się na nie — nigdy! Wszak jest, wszak musi być coś, jakiś ideał, który nie przemija, którego nawet wojna, żaden atom, nie obali! Musi być!

I — jest. To Bóg, który po prostu jest. Który nie przemija.

Pojęła to i ta piętnastoletnia, i te, które niewiele były od niej starsze. Bóg stał się ideałem kilku dziewcząt, które spod gruzów miasta i swoich nadziei patrzyły z trwogą, ale też ufnie, w przyszłość. Prawem ich życia na co dzień stała się Dobra Nowina o Bogu, który nie przestaje być miłością nawet wówczas, gdy nienawiść święci tryumfy. Wola Boża, wskazywana przez Kościół, własne sumienie oraz znaki czasu, stała się kompasem na drodze służby bliźniemu. A bliźnich było wielu. Nieomal wszyscy wołali o pomoc, wszak wojna obchodziła się bezlitośnie i z wielkim, i małym, bogatym i biednym, chorym i zdrowym. Widziały to. I chciały pomóc. Zaczęły więc spełniać to przykazanie, które Jezus nazwał nowym i swoim. Ewangelia, czy-

tana sercem, rozświetlała im coraz bardziej drogę ku Niemu, Eucharystia cementowała ich miłość ku braciom.

Zanim się spostrzegły — było ich już kilkadziesiąt i zaczęła się w nich i wokół nich dokonywać przedziwna ewolucja: przemiana starego człowieka w człowieka nowego. Nie było to łatwe, bo człowiek stary chciał żyć, nie chciał umierać i ustąpić miejsca nowemu. A nowy nie chciał mieć nic wspólnego ze starym; myślał inaczej, uzgadniał hierarchię wartości z Jezusowymi błogosławieństwami z Kazania na Górze, pożyczając chociaż mu nie oddawano, nadstawiał drugi policzek chociaż otrzymał już uderzenie w pierwszy... Był inny. Po prostu — inny. Zapatrzony w słowa Mistrza: „...aby wszyscy stanowili jedno, jak Ty, Ojczy, we mnie, a Ja w Tobie, aby i oni stanowili jedno w Nas, aby świat uwierzył, żeś Ty mnie posłał” (J 17, 21) — czyni wszystko, aby je urzeczywistnić, chce naprawę, aby świat poznał Boga na podstawie czynów, które świadczą o tym, że Bóg jest Miłością.

Piętnastoletnie więc, i te już nie piętnastoletnie; i te, które marzyły o karierze naukowej; i te, którym miał wystarczyć dostatni dom — usiłowały kochać się mimo różnicy wieku, charakteru, wykształcenia, aspiracji. Usiłowały stale iść naprzód, tam, gdzie Bóg wołał, gdzie Bóg przynaglał, gdzie Bóg czekał. Idąc tak po ulicach, podwórkach i domach Trydentu wyszły z niego, rozeszły się po całej Italii, trafiły do Francji, Belgii, Holandii, także do Hiszpanii, Anglii, zaszły nawet do Brazylii, Argentyny, Stanów Zjednoczonych, Kanady, Filipin, Japonii, ba — nawet do Australii i Afryki. Doszły też do Polski. Przynajmniej w sensie duchowej łączności. Obejmują swym ruchem cały świat. Nie tylko ludzi świeckich, rodziny, ale i osoby żyjące w kapłaństwie lub stanie zakonnym. Także ludzi należących do Kościołów niekatolickich, a nawet niechrześcijańskich. Przynajmniej w pewnym stopniu.

Co wnoszą nowego? Nic. Nowe jest staranie się o to, aby żyć Ewangelią na każdy dzień i kochać Boga nie inaczej, nie po swojemu, ale tak, jak nauczył tego Jego Syn, Jezus z Nazaretu, Zbawiciel świata.

Bóg — Miłość, Bóg — Ojciec, Bóg — Brat i Bóg — Przyjaciel, który umiłował nas pierwszy, umarł i zmartwychwstał, i żyje dla nas w Eucharystii oczekując wzajemności — oto doktryna i duchowość ruchu, który narodził się w sercach kilku młodych dziewcząt, ruchu, który nazywa się *Opus Mariae* — Dziełem Maryi albo Ruchem Fokolarinów.

Tą, która od początku wzięła na siebie odpowiedzialność za ruch, jest Chiara Lubich.

Czy to nie dziwne, że jakaś tam Chiara (Klara), mająca u początków ruchu zaledwie lat szesnaście czy siedemnaście, porusza świat, wskazując nowy sposób miłowania Boga? Że jeździ, zakłada domy i miasteczka swojego ruchu?

Dziwne, bo moi tego świata, chociaż posiadają tzw. bogate środki, nie dokonują tego, co ona. Nie potrafią tak wydatnie dopomóc człowiekowi do ulepszenia, do przemienienia siebie i do zrozumienia, że najwyższym awansem człowieka, to stać się przyjacielem Boga. Nie potrafią. A Klara potrafi. Jak?

Jest wieczór wigilijny. W małej kaplicy w Grottaferrata pod Rzymem jest Pasterka. Odprawia ją kilku księży z domu fokolarinów, który znajduje się opodal. Przyprowadził ich ksiądz, Polak, który pracuje w Liverpoolu. Stoi przy ołtarzu Włoch, Polak, Murzyn, Niemiec, Kanadyjczyk, Argentyńczyk i ksiądz z Australii. Sprawują liturgię w języku łacińskim. Dobrze czyta jedynie Włoch i Polak, pozostali, zwłaszcza Murzyn, mozolą się porządnie. Homilia — w języku włoskim i polskim i kilka słów po angielsku. A potem — kolędy: włoskie, polskie, francuskie i — *Stille Nacht, heilige Nacht* — Cicha Noc, święta Noc — *Holy Night...* Kaplica rozbrzmiewa śpiewem, jak potężna bazylika. Co się dzieje? Śpiewają wszyscy, ludzie różnych ras; wszyscy, ale każdy w swoim języku..., jak w Wieczerniku..., jak za czasów apostołskich. Oczy szklą się łzami, bo u każdego inne ta kolęda wywołuje wspomnienie. Ale poprzez łzy widać miłość zyczliwości, przeba-

czenia i nadzieję, że w Dzieciątku wszyscy będą sobie braćmi. Będą? Już są braćmi.

Zegar wybił już godzinę drugą, trzecią po północy, w której stał się cud Wcielenia, a tu Polak z Niemcem, Francuz z Włochem oraz inni nie przestają koleadować.

Naraz — dzwonek. Wszyscy są proszeni na śniadanie. Wchodzą w progi refektarza zakonnego ludzie świeccy (był ktoś nawet z Polski), siostry, księży, jeden zabrał Dzieciąteczko, wszyscy nuca „Lulajże, Jezuniu” i znowu *Stille Nacht, Heilige Nacht*. Zasiadają, rozmawiają i po włosku, i po polsku, po francusku i angielsku, jak kto umie i potrafi. Zresztą — mowa serca jest dla wszystkich zrozumiała. A w taką Noc serce ma pierwszeństwo.

Nastrój miły, każdy czuje się u siebie, opowiada, jak u niego, w kraju, obchodzi się Narodziny Boga. Murzyn mówi, że cudownie jest tu, w Grottaferrata, ale że mu brak jednego: tańca, tańca. Nic nie stoi na przeszkodzie, by zatańczył, proszę bardzo. Dobrze, ale to jest taniec religijny, dla Dzieciątka i dla Jego Matki, dla Madonny. Usunięto stoły, ustawiono żłobek, Karolinka od sąsiadów już ubrała się za Matkę Boską, siada i poprawia Dzieciąteczku pieluszkę, potem składa ręce, klęka, adoruje Boże Dziecię. A ksiądz-Murzyn trzyma w ręku jakieś tamburino, reszta biesiadników inne instrumenty i zaczyna się coś, czego nikt nie widział i nie słyszał poza szczepem, do którego przynależy kapłan — Murzyn tu obecny.

Kiedy się to stało, że zebrani włączyli się w taniec-adorację, nikt nie wiedział, każdy jednak miał świadomość, że się modli tak, jak nigdy dotąd, bo i po murzyńsku, i po chrześcijańsku, i po ludzku, bo serce w każdym jest człowieku ludzkie. A to serce i śpiewało, i tańczyło, i adorowało Boga, który także ludzkim sercem kocha ludzi i swojego Ojca, Boga.

Była ósma rano, gdy się jeszcze wszyscy „po murzyńsku” modlili. Może by i dłużej trwała ta „murzyńska” adoracja, ale ludzie szli już na „anielską” mszę do „Betlejem”, więc zaczęto śpiewać Dzieciąteczku, jak przystało w włoskim kraju, *Gloria in excelsis Deo*. I to

Gloria rozbrzmiewało już bez końca, do wieczornej mszy, „królewską” zwanej.

Właśnie wieczór, przy kolacji, ktoś zaproponował, by opowiedziano, jak wygląda życie u fokolarinów.

Nic nadzwyczajnego — mówi Włoch i Polak — ale wszystko jest zwyczajne i zarazem nadzwyczajne. Dómów takich, jak tu w Grotta, jest na świecie kilkanaście. Są to domy formacyjne, jakby nowicjaty dla tych, którzy chcą zapoznać się z fokolarinami. Każdy: zwykły ksiądz, kardynał czy opat, student czy profesor, traktowany jest na równi. Ot, na przykład — mówi dalej ksiądz Krzysztof Kozakiewicz — łóżka są piętrowe. Mnie wypadło spać na dole, prałatowi z brzuskiem tuż nade mną, a staremu opatowi aż na trzecim piętrze. Zamieniliśmy się oczywiście, ale to prywatna sprawa, bo z zasady nie ma przywilejów. Liczyć można tylko na wspaiałość, na tę miłość, która kocha wielkim sercem i z natury jest taktowna.

Rozkład zajęć jest odgórny. Można, oczywiście, poprosić o zamianę zajęć, ale raczej każdy „rekrut” chce wykonać rozkaz, być posłuszny, tak jak Jezus w Nazarecie. Cały tydzień prasowałem, nie wiedziałem, że to taka żmudna praca, potem myłem schody, potem zarabiałem pracą u ludzi w ogrodzie, teraz gotuję, dzięki czemu mogłem urządzić wieczerzę wigilijną po polsku. Smakowała wszystkim, zwłaszcza kutia. Od niedzieli obejmuje kucharzenie Brazylijczyk, po nim — Murzyn, a ja idę do pralni. I tak będzie przez trzy miesiące, bo tyle trwa pierwszy „nowicjat”.

Każdą pracę, choćby po raz pierwszy w życiu, podejmuje się bez „ale”, owszem — z radością dziecka, które chce spróbować, chce dołożyć wszelkich starań, aby dogodzić braciom, sprawić im radość i przez to dać dowód swojej miłości ku Bogu.

Porozumiewamy się, jak kto potrafi, i zwykle po kilku dniach wydaje się nam, że się znamy od dawna, a gdy trzeba już wyjeżdżać, żal nam rozstawać się ze sobą, wymieniamy adresy, umawiamy się na spotkania i na następny „nowicjat”, w innej jednak miejscowości, czasem aż na innym kontynencie.

Podobnie jest i w osiedlach fokolarinów, tam, gdzie

przeżywają swoją — inną od naszej — formację zespoły rodzin, młodzieży, dzieci. Tam jest jeszcze większe urozmaicenie, bardziej kolorowo.

Co was łączy?

Chrystus, Jego Matka, miłość w Duchu Świętym, Ewangelia, śpiew, modlitwa, praca... pragnienie przemiany własnej... drugi człowiek, któremu trzeba pomóc. Łączy nas Chrystus, który jest wśród nas i w nas, razem z nami cierpi, płacze, razem z nami się raduje, tryumfuje... Chrystus, który nas posyła, na nas liczy, pragnie, byśmy szli i owoc przynosili... i pokornie przyznawali, że to wszystko z Niego, że to Jego łaska... Czuwa i prowadzi nas Maryja, Dobrej Rady Matka..., więc trzymamy się Jej mocno i idziemy śmiało naprzód.

Czy to nie dziwne, że jakaś tam Klara porusza świat?

Dziwne, ale prawdziwe. A to dlatego, że u Boga nie ma nic niemożliwego, a Duch Święty tchnie, kędy Mu się podoba.

JA JESTEM POLKĄ!

Urodziła się w Wilnie 13 listopada 1806 roku, a wychowywała się w polskich Inflantach, w pobliżu Dyneburga, w domu krewnej, pani Sieberg. Była inteligentna, nad wiek poważna, posiadała bardzo żywą wyobraźnię, ale i zmysł praktyczny, była wielbicielką Joanny d'Arc. Przez kilka lat studiowała z zapałem nauki matematyczne, jeździła doskonale konno, sama utrzymywała i pielęgnowała konie, świetnie władała bronią, była zahartowana, odważna i energiczna, przy tym bardzo czuła i dobra, zwłaszcza dla ubogich wieśniaków. Wcześniej dorobiła się własnego sądu i własnych przekonań i wcześniej brała za nie na siebie odpowiedzialność.

Była urocza, zamożna, a nazwisko jej było dobrze znane ówczesnemu światu arystokracji. Nic dziwnego, że wielu ubiegało się o jej rękę. Oświadczył się jej również jeden z generałów rosyjskich, ale odpowiedziała mu z oburzeniem: „Ja jestem Polką!”.

Odszedł pełen podziwu i zadumy.

Po wybuchu powstania listopadowego w Warszawie, Litwa oczekiwała braci Koroniarzy, aby pośpieszyć w ich szeregi. Ona była jedną z tych, którzy czekać nie chcieli i postanowili powstać jak najprędzej.

Sama powzięła plan zdobycia Dyneburga, by zatknąć sztandar powstańczy na lewym brzegu Dźwiny i wywołać czynem tym powstanie w Inflantach i Rusi Białej.

Ostrożnie robiła przygotowania. Porozumiała się z dwoma krewnymi, którzy studiowali w szkole podchorążych w Dyneburgu, ci przyrzekli jej, że gdy powstańcy zbliżą się do miasta, szkoła podchorążych chwyci za broń.

W dzień Zwiastowania Pańskiego 1831 roku Juliusz Grużewski wygnał Moskali z Rosień i dał hasło powstania dla Litwy. Ona przygotowała do powstania rezydencję swojego krewnego, Cezara. 29 marca wywiesiła chorągiew narodową, przebrała się po męsku, wsiadła na konia, przemówiła serdecznie do ludu, rozdała broń i naboje i nakazała ostrzyć kósy. Staął oddział 280 strzelców, kilkuset kosynierów i kilkudziesięciu jeźdźców.

Na drugi dzień zdobywa na Moskalach we wsi Dangieli kilkadziesiąt koni i — maszeruje na Dyneburg.

Dnia 2 kwietnia zmusza do ustąpienia kompanię piechoty moskiewskiej, która zagroziła jej drogę, a już 4 kwietnia stacza bitwę z silniejszym wrogiem i zajmuje Jeziorosy.

Dyneburga jednak wziąć nie zdołała, gdyż podchorążych wysłano do obozu Dybicza, a komendant fortecy wystawił przeciw powstańcom wiele piechoty i armat.

Po strasznej walce przyłączyła roztropnie resztę wojska do oddziału stryjecznego brata, Cezara, a sama z Marią Prószyńską poddała się pod rozkazy Załuskiego, który dowodził powstańcami w okolicy Upity.

4 maja brała udział w krwawej bitwie, w której Załuski poniósł klęskę. Została osamotniona, ale przedarła się i połączyła z oddziałem wodza na brzegach Dubisy. Spisała się bohatersko. Będąc u kresu sił, nie wypowiedziała słowa skargi.

Przyjaźniła się z Marią Raszanowiczówną i razem z nią chciała po Perczewskim iść na Wilno.

Generał Chłapowski mianował ją kapitanem dowódcą pierwszej kompanii pierwszego pułku litewskiego, który został odkomenderowany do Kowna. Po bohaterskiej walce, gdy Moskale zaatakowali Kowno, nie cofnęła się, ale przebiła się ze swoją kompanią przez szeregi wroga i stanęła dnia następnego w Rosieniach, gdzie zgromadziły się resztki pułku rozbitego pod Kownem.

Z raportu generała Gielguda wiemy, że w bitwie pod Szawłami odznaczyła się wyjątkową odwagą i zimną krwią.

Osobowość tej kobiety żołnierza, jej zachowanie się tak w walce jak i podczas postojów, wzbudzała poszanowanie i podziw. Pełna godności i prostoty, nie myślała o sobie, ale o potrzebach drugich, wytwarzała wokół atmosferę pokoju i pobudzała do samozaparcia na rzecz Sprawy. Każdy widział, że ten młody żołnierz poświęci wszystko i siebie samego dla Ojczyzny, że nie ustąpi, że będzie walczyć do ostatniego tchu.

Będąc pod dowództwem Chłapowskiego, gdy okazało się, że prowadzi on wojsko nie do Królestwa Polskiego, lecz do Prus, padły z jej ust takie słowa:

„Co do mnie, sto śmierci wolę nad hańbę: nie pójdę jej wlec wśród obcych, zostanę w kraju i walczyć będę za Ojczyznę, dokąd mi starczy życia i krwi”.

Tego wieczoru ten szlachetny żołnierz powstańczy razem z Marią Raszanowiczówną i swoim bratem Cezarym opuścił wojsko Chłapowskiego, by przedostać się do Królestwa, do walczących szeregów.

Przez dziesięć dni ta biedna dziewczyna o sercu bohatera ukrywała się w przebraniu wieśniaczym idąc, „lasem, borem”, głodna, spragniona, zmarznięta, bez chwili odpoczynku, tak, że siły jej wyczerpały się do ostatka. Nogi były jedną raną, a gorączka paliła ją nieustannie. Nie skarżyła się. Chciała za wszelką cenę dojść, niestety, upadła nieprzytomna. Cezary i Maria zanieśli ją do chaty leśnika. Gdy uświadomiła sobie, że są już w Augustowskim, ale że nie ma mowy o dalszej drodze, mężnie powiedziała do Cezara:

„Idź, ty jeszcze możesz służyć Ojczyźnie, ja wkrótce żyć przestanę”.

Właściciele wsi, państwo Ablamowiczowie, nie zdołali jej uratować.

Zakończyła swój bohaterski żywot 23 grudnia 1831 roku w Ustianowie. Pochowano ją w Kopciowie. Dysponował na śmierć i odprowadził na miejsce wiecznego spoczynku ksiądz, który również ukrywał się u Ablamowiczów, nazwiskiem Hellman.

Napisano o niej i o jej druhu-przyjacielu, Marii Raszanowiczównie, gdy wstępowały w szeregi walczących taki wiersz:

Strojne kwiatem młodości, ozdobne urodą,
Jakieś dwie bohaterki mężnych na bój wioda.
Czyż Bóg, któremu walka o wolność tak miła,
W pomoc dzielnym powstańcom dwóch aniołów
zsyła?

I mieczem wybawienia święte zbroi dłonie,
Jak niegdyś Orleankę ku Francji obronie?
Nie — to ziemskie dziewice, córy mężnej Litwy,
Z ciemieżcami wolności wychodzą do bitwy
Ustronia ścian rodzinnych, spokój sercu miły,
Dla bronienia Ojczyzny chętnie opuściły.
I te, co miały tylko walczyć wdzięków bronią
Do pieśczoły stworzoną, miecz chwytają dłonią.
Tyrani świata z duszą zbyt srogą,
Dziki ludzkości poczwary,
Patrzcie, jak wolność musi być drogą,
Gdy dla niej czynią takie ofiary.

Polsko! rozjaśnij uśmiechem lica:
Na twym ołtarzu, żony, matki,
Składają ślubów złote zadatki,
Żelazem walczą dziewice.

Nie zginiesz, Polsko! Poświęceń tyle
Nie zostanie bez nagrody,
Choć Europy zimne narody
Własnej Cię tylko zostawiły sile:
Miłość Ojczyzny ma siłę olbrzyma,
A gdzie walka o wolność —
Tam bezsilnych nie ma!

Mickiewicz tak o niej napisał:

W głuchej puszczy, przed chatą leśnika,
Rota strzelców stanęła zielona,
A u wrót stoi straż Pułkownika
Tam, w izdebce, Pułkownik ich kona.
Z wiosek zbiegły się tłumy wieśniacze.
Wódz to był wielkiej mocy i sławy,
Kiedy po nim lud prosty tak płacze
I o zdrowie tak pyta ciekawy.

Kazał konia Pułkownikowi kulbaczyć,
Konia, w każdej sławnego potrzebie;
Chce go jeszcze przed śmiercią obaczyć,
Kazał przywieść do izby — do siebie.
Kazał przynieść swój mundur strzelecki,
Swoją kordelas i pas, i ładunki;
Stary żołnierz — on chce, jak Czarniecki,
Umierając, swe żegnać rynsztunki.

A gdy konia już z izby wywiedli,
Potem do niej wszedł ksiądz z Panem Bogiem;
I żołnierze od żalu pobledli,
A lud modlił się, klęcząc przed progiem.
Nawet starzy Kościuszki żołnierze,
Tyle krwi swej i obcej wylali,
Łzy ni jednej — a teraz płakali
I mówili z księżami pacierze.

Z rannym świtem dzwoniło w kaplicy;
Już przed chatą nie było żołnierza,
Bo już Moskał był w tej okolicy.
Przyszedł lud widzieć zwłoki rycerza.
Na pastuszym tapczanie on leży —
W ręku krzyż, w głowach siodło i burka,
A u boku kordelas, dwururka.

Lecz ten wódz, choć w żołnierskiej odzieży,
Jakie piękne, dziewicze ma lica!
Jaką pierś? — Ach, to była dziewica,
To Litwinka, dziewica-bohater
Wódz Powstańców — Emilia Plater!

MICHAŁ SMOK

„Piętnastego lutego 1863 roku o godzinie ósmej rano cały oddział stanął pod bronią na Rynku w Staszowie, gdzie Langiewicz miał odbyć przegląd. Oddział uszykował się w czworobok: jeden bok zajęła kawaleria, której komendantem został major Ulatowski, trzy inne boki zajęła piechota, podzielona na trzy bataliony pod komendą Czachowskiego, Koryckiego i majora Pióro.

W pierwszym batalionie na prawym skrzydle, w pierwszej kompanii strzelców i w pierwszym szeregu spostrzegłem stojącego Michała Smoka. Wyglądał bardzo młodo, ale raźnie i dosyć wojowniczo, w szarym kozuszk, w rogatywce czerwonej, stał z dubeltówką przy nodze...

Wśród ogłoszonych nominacji Michał Smok mianowany został adiutantem pierwszego batalionu, przy starym majorze Czachowskim. To stanowisko dawało jemu prawo do jazdy na koniu”.

Pierwszą próbą ogniową Michała Smoka była bitwa pod Małogoszczą. Popłoch zapanował wśród polskich szeregów na widok dobrze uzbrojonego nieprzyjaciela. Zaczęto się wycofywać, ale młody adiutant Smok, na kasztanowym koniu, w czamarze z futrem, a konfederatce na głowie, płazując pałaszem uciekających, krzychał: „A tchórze, a do boju, zwyciężyć lub umrzeć! Wstydzcie się!”.

Zawstydzili się i razem z brawurującymi kosynierami zwyciężyli.

Nie było ani jednej potyczki Langiewiczza, w której by Michał Smok nie odznaczył się męstwem i podziwu godną roztropnością. Trudy wojenne znosił bez skargi. Znał głód, chłód nocy i osiemnastomilowe marsze piechotą. Potrafił przy tym bez reszty poświęcać się dla towarzyszków broni.

Nikt tak jak on nie potrafił, gdy kiszki grały głodowego marsza, postarać się o trochę żywności i nikt nie umiał tak jak on obdzielić wszystkich sprawiedliwie.

Nikt też nie był tak dobrym rozjemcą w trudnych sprawach, jak on. Gdy młodzież pierwszej kompanii, mimo surowego zakazu, rozpałała ogień, Czachowski, który najlepiej zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, krzyknął: „Do szeregu, łajdaki, do łbów strzelać będą”. Młodzi, urażeni w swojej godności, chwycili za karabiny. Jeziorański odprowadził na bok krewkiego wodza, a Michał Smok wystąpił śmiało:

„Pamiętajcie, panowie, o tym, jak Czachowski dzielnie bije się z wrogiem. Wyście jaśnie wielmożni — ja też nie byle skąd pochodzę, ale niechby mnie nazwał jakkolwiek, zniósłbym to, bo wiem, kto to powiedział”.

Chwilowy bunt żołnierza w stosunku do własnego wodza, który mógł zakończyć się bratobójczą walką, został zażegnany.

Nie udało się innym, ale udało się Michałowi uchronić pałac znienawidzonego Wielopolskiego przed grabieżą, gdy maszerowano 17 marca 1863 roku z Langiewiczem, Czachowskim i Jeziorańskim ku Chrobrzowowi w Krakowskiem. Michał Smok cenił mienie i zażytki kultury, niezależnie od ich właściciela. Wiedział, że to stanowi bogactwo ojczyzny, o którą walczą.

Następnego dnia tegoż samego roku, w zaciętej bitwie pod Grochowiskami, Michał zagrzewał do walki kosynierów, wołając do nich: „Nie bójcie się, dzieci, nic wam nie będzie, idźcie naprzód!”. I sam szedł pierwszy.

Młody adiutant starego Czachowskiego zdobył wkrótce ogólny szacunek, podziw i szczerą sympatię. Czuł się doskonale wśród żołnierzy w obozie i w ogniu walki. W dowód zaufania przydzielono go do sztabu Langiewicza z rozkazem dostania się do Galicji. Ze smutkiem, ale mężnie, schodził z placu boju. Wierzył, że po uzyskaniu posiłków, wsiądzie znów na konia, by walczyć w pierwszych szeregach.

Niestety, tuż po przejściu granicy pod Opatowem,

został aresztowany. Dyktatora osadzono w krakowskim Zamku, a Michała w policyjnym więzieniu pod tzw. Telegrafem.

Wierny Langiewiczowi, po uwolnieniu z więzienia, szedł pan Michał Smok jego śladami. Był w Tyrzowicach, bo tam osadzono dyktatora, a potem spod Brna poszedł za nim do twierdzy Josephstadt, starając się usilnie o zwolnienie wodza, w którego wielkość wierzył i któremu ufał. Wrócił do Galicji, do domu hrabiów Romerów, dopiero wówczas, gdy wszelkie nadzieje przyjścia z pomocą Langiewiczowi zawiodły.

Wracał smutny, bo musiał dać słowo honoru austriackim władzom, że po raz drugi nie wystąpi z bronią w rękę.

Holdów i owacji tak Wiednia jak Pragi oraz miast ówczesnej Galicji nie przyjmował, wszak walczył dla sprawy, dla wielkiej sprawy, a nie dla własnej chwały. I wciąż żył nadzieją, że powróci na pole walki.

*

*

*

Młody adiutant starego pułkownika Dionizego Czachowskiego, Michał Smok, był uroczą, liczącą w momencie wstąpienia do oddziału powstańczego 21 rok życia, córką rosyjskiego generała Pustowojtowa. Matka, Kossakowska z domu, przelała w duszę Henryki umiłowanie uciemżonej Polski i dzielnie broniła swoją ojczyznę wobec męża, Rosjanina.

Podczas lubelskiej manifestacji związanych z rocznicą Unii Polski z Litwą, a także podczas procesji z Lublina do Garbowa, Henryka przewodniczyła religijnym i patriotycznym śpiewom, niosła przy tym z Apolinarową Plucińską oraz innymi paniami ciężkie obrazy i chorągwie i szła boso, by ubłagać łaskę zmarłych wstania Polski.

Władze dość długo nie reagowały na wywrotową działalność młodej Pustowojtówny ze względu na wysokie stanowisko ojca. Jednak po lubelskich demonstracjach skazano ją na wywiezienie do monasteru w Moskwie.

Droga dziewiętnastoletniej bohaterki od Lublina, z którego wyruszyła 22 sierpnia 1861 roku, aż do Żytomierza na Wołyń, zamieniła się w patriotyczną manifestację na cześć zesłanej.

Dzięki staraniom rodziny pozwolono Henryce pozostać w Żytomierzu. Spokojny dotąd, a raczej uspiiony i zastraszonego Wołyń, obudził się pod wpływem pięknego śpiewu Henryki, w którym wznosiła modły do Boga o ratunek dla jęczącej w niewoli Ojczyzny. W niektórych miejscowościach, np. w Łucku, po raz pierwszy śpiewano „Boże, coś Polskę”, a w Żytomierzu postawiono krzyż pamiątkowy dla pięciu poległych, zastrzelonych niewinnie przed kościołem Bernardynów na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie 29 lutego 1861 roku.

Pustowójtówna otrzymała za tę działalność powtórny rozkaz wyjazdu do Moskwy do monasteru żeńskiego. Pismo metropolity moskiewskiego, Filareta, który „czuł się dotknięty tym, że właśnie Moskwa wybraną została na uwięzienie osoby tak buntowniczej i nieposkromionej”, oraz zdwojone zabiegi rodziny, sprawiły, że cofnięto ten rozkaz i wyznaczono na rekolekcje dla niej zapadły klasztor Troicko-Bielbożyski w kostromskiej guberni.

Zamknięcie w rosyjskim monasterze miało na celu nawrócenie Pustowójtówny na prawosławie, i to takimi metodami jak głodzenie odpornej, nieogrzewanie wilgotnej celi oraz pracę ponad siły. Henryka — i o tym wiedzieli wszyscy — nie uznawała w sprawach sumienia żadnych kompromisów i nie usłuchałaby rozkazu samego cara, za wierność Ojczyźnie i Kościołowi była gotowa oddać życie.

Rodzina starała się opóźnić wysłanie „buntownicy”. Niestety, wyznaczono nieodwołalny termin wyjazdu na dzień 1 kwietnia. Pod drzwiami chorej Henryki stała dzień i noc warta. W Niedzielę Palmową wartownik poszedł na kolację do kuchni.

„Pustowójtówna, zrobiwszy z futra zawiniątko, przykryła je kołdrą tak, że naśladowało leżącego człowieka, ubrała się szybko i zeszła na ulicę. Tam czekał na nią student kijowskiego uniwersytetu, Bronisław

Żukowski i przeprowadził do domu Kwaśnickich, gdzie wszystko było gotowe do ucieczki. Tu Pustowojtówna przebrała się po męsku, dostała bilet urlopowy ucznia gimnazjalnego, udającego się na święta do domu, wsiadła do powozu, na którego koźle siedziało dwóch studentów uniwersytetu kijowskiego, Niebyłowski i Zaruski. Państwo Kwaśniccy przeżegnali na drogę-tułaczkę, a ubranie kobiece rzucili w nurty wzburzonego Teteru.

Po wieczerzy zajrzał żołnierz do pokoju więzionej i widząc, że śpi, sam do snu się ułożył. Rano dojrzał jej brak, lecz do południa znać nie dawał myśląc, że poszła do kościoła. O godzinie trzeciej sensacyjna wiadomość obiegła całe miasteczko. Wysłano pogoń, ale dzięki upłynionej zwłoce i rozmokłym drogom, spełzła ona na niczym”.

Przekraczając wezbrany Zbrucz, Henryka dotarła do Wróblewskich w Czortkowie, potem do Miłkowskich na Mołdawii, a stamtąd przeniosła się do pana Charety, starego Greka, sympatyka Polaków, który sprowadził do domu swoje synowice, ażeby stworzyć odpowiednie warunki dla uciekinierki.

Henryka posiadała niezwykłą urodę i wdzięk, nie dziwnego, że spotykała się z wieloma zapewniającymi jej wygodny i spokojny byt propozycjami małżeńskimi. Taktownie, ale stanowczo je odrzucała, gdyż była zdania, że dopóki Ojczyzna w niewoli nie ma dla niej miejsca na wesele.

Na wieść o wybuchu powstania Pustowojtówna rzuciła bez namysłu zacisze domu pana Charety i dnia 14 lutego 1883 roku wstąpiła do oddziału Langiewicza pod pseudonimem Michała Smoka.

*
* *
*

Jesienią powstanie zaczęło chylić się ku upadkowi. Pustowojtówna nie wróciła już nigdy na plac boju. Przyczynił się do tego w wielkiej mierze jej wódz, pułkownik Dionizy Czachowski. Radził on swemu żołnierzowi, by bardziej po kobiecemu pomagała powstań-

com. Świadczą o tym jego listy pisane do „Szanownego koleżki”. W jednym z nich, składając wyrazy głębokiego szacunku Henryce jako żołnierzowi, pisze, iż „dosyć dała dowodów dobrej Polki” i że teraz „Twoja rzecz jest taka: Weź od pana Zygmunta nahaję a jeźdź od domu do domu, wyganiaj próżniaków i przeskadzaj w inszy sposób, w tym przysługa nie mała”.

Z chwilą gdy trzeba było opuścić Galicję i pójść na tułaczkę, Henryka udała się do Zurichu w Szwajcarii i zajęła się — jak radził Czachowski — igielką, by zarobić na swoje utrzymanie. Nie podążyła już za Langiewiczem. Był dla niej wielki, dopóki walczył i cierpiał dla Ojczyzny. Z chwilą, gdy siedział w bezpiecznym schronieniu w Konstantynopolu, przestał dla niej istnieć.

Ale nie przestały dla niej istnieć sprawy kraju. Myślała wciąż nad tym, co dzieje się w prześladowanej ojczyźnie, współcierpiała z ofiarami więzionymi po lochach i zsyłanymi na Sybir. Oczyma duszy widziała, jak wróg pali ich mienie i zaoruje wsie całe, byleby zatrzeć ślady polskości. Chciała pomóc. Ale jak? Wrócić nie mogła, bo czekała ją niechybna zsyłka.

Cierpiała nad tym, że Europa, w której roilo się od komitetów pomocy Polsce, patrzyła spokojnie, jak giną ci, którzy nie tylko w obronie własnej Ojczyzny, ale i w imię ogólnoludzkich haseł brali za broń.

W 1866 roku Pustowojtówna zamieszkała w Paryżu u państwa Janowskich. Obozowa przyjaźń z Pauliną Janowską ożyła. Zrozumiały się na nowo. Obie niosły pomoc emigrantom polskim, którzy często byli w nędzy. Staraly się dla nich o lekarstwa, o żywność, wyszukiwały pracę, uzyskiwały zapomogi. Henryka dzieliła się swoimi funduszami, które otrzymała od babki, nocami zaś wyrabiała sztuczne kwiaty, by zarobić na potrzeby rozbitków. Nie mniej, gdy jedna z firm francuskich zaproponowała jej duże dochody pod warunkiem, że pozwoli umieścić na szyldzie napis: „Współwłaścicielką jest Polka, p. Pustowojtówna”, nie zgodziła się na to. Świadomie wiodła życie ukryte i pełne poświęcenia dla wygnańców.

Rodacy uczcili jej zasługi składając w 1866 roku na

jej ręce pismo z wyrazami uznania dla niewiast polskich na wygnaniu. Podpisali ten dokument: Mateusz Gralewski, Aleksander Paradowski, Mikołaj Akielewicz, Aleksander Budzewicz, Adam Bitis, Kazimierz Pietruszak oraz Władysław Zubrawski.

Podczas oblężenia Paryża w 1870 roku Pustowojtówna wywdzięczając się Francji za gościnę, niosła pomoc rannym i chorym jako siostra miłosierdzia. Pracowała tak ofiarnie, że francuskie Towarzystwo Niesienia Pomocy Morskiej i Lądowej odznaczyło ją krzyżem zasługi i dyplomem podziękowania.

Podczas pracy pielęgniarskiej panna Henryka odnowiła znajomość z doktorem Lewenhardem i w trzy lata później została jego żoną. Z gorliwością wychowywała czworo dzieci własnych i dwoje sierot po zmarłej siostrze męża. Dbała o polskość i szczerą religijność domu, z radością przyjmowała w nim każdego potrzebującego. Polacy czuli się w domu tej wygnańczej pary, jak w sercu Polski.

W dniu 1 maja 1891 roku dzieci poszły na „Dzień dobry” do matki ale zastały ją nieżywą. Tylko świeca tliła się na stoliku. Obok leżała otwarta książka, a w szklance pozostało trochę wody.

Przestało bić serce, które mocno czuło, wiernie kochało i po bohatersku wykonywało swoje obowiązki względem Ojczyzny, ludzi i własnej rodziny.

Nazwisko Pustowojtówny należało do najbardziej popularnych tak w kraju jak i za granicą. Dzienniki poświęciły całe szpalty jej życiu i działalności. Fotografie jej widziało się na ścianach wykwintnych salonów, w albumach, broszurach i ulotkach. Najlepsze jednak świadectwo wydał jej dr August Kwaśnicki pisząc w roku 1876:

„I tak jak w roku 1862 i 1869 w Lublinie i Żytomierzu, później na Multanach, czy też w 63 w bitwach pod Małogoszczą, Skałą, Chrobrzem, Grochowiskami i Wałeczu, czy w roku 1864 na obczyźnie, zawsze i wszędzie zachowała jednakową, niepospolitą dzielność, godność niewieścią i sumienną obowiązkowość, tak i na stanowisku żony i matki — gospodyni była prawdziwym wzorem”.

Pochowana została na cmentarzu Montparnasse w Paryżu. Pod medalionem na pomniku umieszczono napis:

„Pełna odwagi, energii, poświęcenia i w kraju, i na wygnaniu, na polu bitwy i w rodzinie”.

HEINRICHÓWNE

Oprócz matki było ich cztery. Najstarsza, Emilia, miała w 1863 roku lat 18, najmłodsza, Helenka, tylko 9, dwie średnie to Julia i Teodora. Należały do związku „Kum”, któremu przewodniczyła Francuska z pochodzenia, a Polka z przekonania, panna Aniela Bonfils. Dom ich matki, pani Heinrich, był miejscem ważnych narad patriotów, zwłaszcza od chwili przyjazdu z Francji jej siostrzeńca, pana Bronisława Szwarce. Gromadzono w nim pismo „Ruch” ścigane przez policję. Wśród pracowników znalazł się zdrajca. Aresztowano więc panią Heinrich i pana Bronisława Szwarcego. Cztery nieletnie córki znalazły się w bardzo trudnej sytuacji.

W skrytce na strychu były nagromadzone stopy „Ruchu”, w innych skrytkach ważne papiery Rządu Narodowego. Gdy kozak podczas pierwszej rewizji zbliżał się do skrytki, szesnastoletnia Teosia przybliżyła się do niego ze świecą, by w wypadku wykrycia „Ruchu” podpalić słomę zgromadzoną na strychu, pod którą był ukryty worek z prochem. Dziewczyna była świadoma, że wówczas wyleci w powietrze razem z rewidującymi. Nie doszło na szczęście do tego, gdyż kozak nie dojrzał desek oddzielających skrytkę od strychu.

W nocy dziewczynki paliły stopy „Ruchu”. Jakże wielkie ogarnęło je przerażenie, gdy zobaczyły, że dach domu z przeciwka jest pokryty olbrzymimi płatami spalonego papieru. Zaczęły się modlić, i zostały wysłuchane: spadł niespodzianie śnieg i grubą warstwą przykrył ślady ich pracy.

Papierów Rządu Narodowego nie można było spalić i nie można było wynieść, gdyż brama domu była

strzeżona przez żandarmów. Biedna Helenka, zwana „Beszkiem konspiracyjnym”, wynosiła je pod osłoną nocy, spuszczana kilkakrotnie na sznurku przez małe okienko od podwórka. Drżała jak listek, ale wytrzymała do końca i właśnie gdy ostatni pakiet oddała, rozpoznała się nowa seria rewizji w ich domu.

Po zamachu na księcia Konstantego, Warszawa żyła pod znakiem rewizji. Pewnego dnia ktoś ostrzegł, że kościoły mają być rewidowane.

Teosia, jako osoba posiadająca pełne zaufanie Rządu Narodowego, miała usunąć ważne dokumenty z kościoła Świętego Krzyża na Krakowskim Przedmieściu. Raniutko wyniosła pod szeroką suknią jedną część papierów, gdy powróciła, nie mogła już wejść do kościoła, gdyż pełno było w nim wojska i żandarmerii. W lot zorientowała się w sytuacji i weszła jednym nieobstawionym jeszcze wejściem od strony swojego domu. Za chwilę, dźwigając znowu cenne dokumenty w fałdach swojej sukni, szła w modlitewnym skupieniu przez szpaler stojących w nawie głównej dygnitarzy policji. Przeżegnała się w kruchcie, zeszła spokojnie z kilkunastu schodów, doszła do rogu ulicy, wsiadła do powozu obok zacnej opiekunki, i — zemdląła.

Panny Heinrichówne oddawały wiele usług Rządowi Narodowemu, narażały swoją wolność, nawet życie, dla sprawy powstania. Czterokrotnie je więziono. Podczas śledztwa, zasypywane mnóstwem pytań, nie zdradziły nikogo, nie wypowiedziały ani jednego niepotrzebnego słowa. Gdy powróciły po którymś z kolei śledztwie, pułkownik Witkowski uwolnił panią Heinrich. Niestety, był to podstęp. Lada dzień miano wywieźć panią Heinrich do Wiatki. Dzielne córki ukryły matkę i z pomocą dobrych ludzi wywiozły na wieś, skąd wyjechała w okolice Poznania.

Po zniknięciu pani Heinrichowej, władze uwięziły trzy starsze córki w cytadeli. „Beszkiem” zaopiekowała się zacna pani Rychter. Ustawiczne przesłuchiwanie wyczerpały siły dziewcząt, mimo to nie zdradziły nic i nikogo.

Butną Teosię osadzono w wilgotnym lochu podziemnym i głodzono o chlebie i wodzie. Szczury, cią-

głe budzenie, kilkakrotne wśród nocy przesłuchiwanie wobec komisji, nie przyniosły rezultatu: nie zdradziła nikogo. Rozchorowała się tylko. Uczyniono wtedy wyjątek i przysłano jej smaczny obiad. Była tak wygłodzona, że wyciągnęła rękę po jedzenie. Cofnęła ją jednak i zapytała spokojnie, czy inni więźniowie siedzący w lochu otrzymali również taki posiłek. Gdy usłyszała, że nie, posmutniała i nie tknęła jedzenia przez dwa dni. Wzbudziła podziw u oprawców. Był to jedyny chyba wypadek, w którym komenda więzienna dała się zwyciężyć, bo trzeciego dnia wszyscy współwięźniowie z lochów otrzymali dobry obiad.

Po dziesięciu dniach przeniesiono Teosię do zwykłej celi. Żołnierz wyprowadzał ją co dzień do ogródka podzielonego deskami, ażeby więźniowie nie mogli się porozumiewać. Raz ujrzała za kratą okienka jednego z lochów więźnia, który wyszeptał: „To ty, dziecko, nikogo nie zdradziłaś, a ja nieszczęsny zdradziłem wszystko”. Zachowała na zawsze w pamięci zmierowaną, zarośniętą twarz nieszczęśliwego, który z jękiem rozpaczy oderwał się od kraty.

Na podstawie wyroku panny Heinrichówny zostały skazane na trzy miesiące więzienia. Na szczęście osadzono je razem. Odzyskały radość, nawet humor, zwłaszcza Teosia uprzyjemniała ponure chwile deklamacją poezji i płatała niewinne figle.

Po odbyciu kary i połączeniu się z „Beszkciem” nie zaprzestały pracy na rzecz powstania, były tylko bardziej przezorne. Zajęły się zbiórką bielizny, ubrań i pieniędzy dla zsyłanych w głąb Rosji więźniów. Spędzały zwykle noce na dworcu, u pani Fałęckiej, a na straszny brzęk kajdan pędzonych zesłańców przedierały się na peron i gdy nieludzko wpychano skazańców do bydłych wagonów, obdarowywały ich czym mogły.

Heinrichównie, nie wyłączając najmłodszej, pełniły inną jeszcze służbę. Na prośbę skazanych na powieszenie członków Rządu Narodowego spędzały noce na miejscach kaźni, aby — jeżeli to było możliwe — odebrać od skazańców słowa pożegnania dla matek i żon,

którym nie pozwolono uczestniczyć w egzekucji, tym bardziej zbliżyć się do skazanych.

Słaniając się z bólu, przeżywały mękę konania na szubienicy najlepszych synów Polski. Wzorem i siłą ich była Maryja stojąca pod szubienicą krzyża, kiedy wisiał na nim Jej i Boży Syn. Były przy egzekucji Traugutta, Toczyskiego, Jeziorańskiego, Żulińskiego Piotrowskiego, Krajewskiego i wielu, wielu innych.

Dzielne i kochające się nad życie siostry Heinrichówny uratowały życie swojemu bratu ciotecznemu, Bronisławowi Szwarcemu, dla którego stawiano już szubienicę. Lotem błyskawicy wynalazły związkowego, który dreżyną udał się do granicy i stamtąd nadał telegram do ks. Napoleona i cesarzowej Eugenii, ażeby ujęli się za swoim poddanym.

Władze rosyjskie traciły cierpliwość dla pań Heinrichównych. Trzykrotnie jeszcze porywano je i zamykano w więzieniu, dręczono, zwłaszcza Teosię, wreszcie wymierzono okrutną karę. Dzięki staraniom „Kum” wyrok uległ zmianom.

Pierwszy ukaz skazywał je na dożywotnie roboty katorżne, drugi do straszego monasteru czernic, trzeci do domu wyrobnego, razem ze zbrodniarkami, w Warszawie, czwarty i ostatni na całe życie do Perm. Nic już nie dało się zmienić. Helenka została u cioci, a trzy wciąż jeszcze nieletnie według ówczesnego prawa „buntownice”, wyruszyły do Permu. Znalazła się osoba pełna poświęcenia, panna Dorota, która za pozwoleniem władz towarzyszyła im jako opiekunka. Z domu rodzinnego wolno im było zabrać jedynie pie-ska. Nie żałowały niczego. Były dumne z tego, że wszystko mogły poświęcić dla Boga i Ojczyzny. Każda z nich mogła śmiało powtórzyć za świętym Pawłem: „W dobrych zawodach wystąpiłem, bieg ukończyłem, wiary ustrzegłem” (2 Tm 4, 7), i dodać: Ojczyzna wstydzić się nas nie będzie.

PRZESTĘPCY

Do dworu państwa Komorowskich w Skrobiszkach przywieziono ciężko rannego wodza Żmudzi, Zygmunta Sierakowskiego, znanego pod zawołaniem „Dołęgi”. Należało wodza ukryć, wywieźć dalej, ale nie było powozu. Zażądano go od sąsiadki, ale dać nie chciała, co więcej, usłużnie zgłosiła sprawnikowi Siesickiemu, dla kogo zabrano pojazd i dokąd pojechano. W pół godziny potem aresztowano dzielnego wodza i powieziono do Wilna.

Było to 9 maja 1863 roku.

Młodą żonę Sierakowskiego, która nie tylko kochała swego męża, ale i uwielbiała za jego prawość, wiedzę i wielkoduszność, uwięziono we własnym mieszkaniu, niedaleko Ostrej Bramy.

Pani Apolonia spodziewała się dziecka. Władze rosyjskie postanowiły — jeżeli urodzi się syn — porwać go i wychować na carskiego poddanego. Strzeżono uwięzioną dniem i nocą.

26 czerwca policmajster zawiózł panią Sierakowską do więzienia, gdzie wolno jej było przez kwadrans rozmawiać z ciężko chorym mężem. Wizycie towarzyszyła specjalna komisja, u drzwi stało sześciu żołnierzy, na korytarzu również sześciu. Klęczącej przy łóżku żonie wódz Żmudzi oznajmił, że nie chcąc zdradzić członków Rządu Narodowego podpisał tym samym wyrok śmierci na siebie. Pani Sierakowska zrozumiała, że widzą się ostatni raz. Zemdląła.

Na drugi dzień pułkownik, który miał ją zawieźć powtórnie do męża, na pytanie, dlaczego rzesza ludzi śpiewa żałośnie pod oknami jej mieszkania, oznajmił chłodno, że najjaśniejszy pan (car) chciał męża po-

wrócić do łaski, ponieważ jednak nikogo nie wyjawiał, ginie w tej chwili na szubienicy.

Życie Apolonii Sierakowskiej stało się odtąd pasmem strasznych cierpień i udręk. Była nadal strzeżona. Oprócz dwóch żandarmów w przedpokoju, wpadał kilkakrotnie w ciągu dnia sam pułkownik, aby zbadać, co się dzieje z uwięzioną i zdać raport Murawiewowi, wieczorem zaś zjawiał się zaufany Kozak i przywoził specjalne rozkazy od Murawiewa.

Rodzeństwo Apolonii Sierakowskiej było również w szponach Murawiewa.

Każdy dzień przynosił złe wieści z placu boju. Nic więc dziwnego, że młoda kobieta rozchorowała się ciężko, aż do utraty przytomności na czas dłuższy.

Po odzyskaniu świadomości nie przestała działać na rzecz powstania. Codziennie, odwiedzając pod ścisłym nadzorem swoją matkę, wręczała pakiet z tajnymi papierami Rządu Narodowego pilnującemu ją żołdakowi, który nie domyślając się niczego, był ich legalną osłoną.

30 września rozległ się — podobnie jak w dniu stracenia jej męża — pod oknami Sierakowskiej dziwne żałosny śpiew ludu: „Witaj, Panie”. Kobiety idące w stronę Ostrej Bramy całowały mury domu, w którym przebywała uwięziona, podnosiły ku niej ręce i kreśliły znak krzyża, gdy ośmieliła się ku nim wychylić. Zapytany żandarm objaśnił spokojnie, że skazano na śmierć jakiegoś Tytusa Dalewskiego, a dla tego, kto go odnajdzie, wyznaczono wspaniałą nagrodę. Pani Apolonia z Dalewskich Sierakowska zamarła, wszak wiedziała, że ukochany jej brat ukrywa się w domu po przeciwnej stronie ulicy.

Na drugi dzień przybył do uwięzionej wysłannik Murawiewa. Wyraził jej współczucie i obiecał zająć się jej losem, zwłaszcza losem syna, który się urodzi, bo należy wychować go na „lepszego obywatela, niż był jego ojciec”. Proponował, by wyjechała w głąb Rosji, „gdyż — jak mówił — własny kraj nie przebaczy nigdy jej mężowi przegranej i... oplwa jego pamięć”. Radził, by wyszła za mąż i obiecywał, że będzie mogła wyjechać za granicę.

Pani Sierakowska kazała wyjść nasłanemu gościowi i ze wzburzeniem dodała, że „wróg już utracił swą moc nad Polakami, doprowadzając ich do uczuć najwyższej wzdargy i nienawiści”.

Za zuchwałą odpowiedź i za to, że kazała się tego dnia zaprowadzić do matki, gdzie znów straciła przytomność, Murawiew osobiście wybrał dla niej miejsce zesłania, błotnisty Białozirsk, w którym nie było żadnego Polaka. Na jego rozkaz żandarmi wpadli do domu pani Dalewskiej, wyciągnęli z łóżka nieprzytomną córkę i zawlekli ją do kibitki.

Dzięki wstawiennictwu wyjątkowo wpływowych osób nie umieszczono Sierakowskiej w prawosławnym monasterze, musiała jednak przebywać kolejno w Nowogrodzie, Borowiczach, Petersburgu, wreszcie wywieziono ją do Samary.

Nadzór nad żoną wodza Żmudzi był nie do zniesienia. Murawiew, jak apokaliptyczny smok, czyhał aż porodzi dziecko. Porodziła, ale córkę. Mała Zygmunta, dziecko, które już w łonie matki przeżyło katorgę, zmarło w Samarze, na wrogiej ziemi.

Pani Sierakowska powróciła do kraju sama. Otrzymała zakaz zatrzymania się na Litwie, osiadła więc w Warszawie.

O tym, kim była Apolonia Sierakowska i jej rodzina, świadczy dobitnie list Murawiewa do Strogonowa, wyjęty z kancelarii wileńskiego wojennego gubernatora:

„J. Wny Panie Sergiuszu Georgiewiczu. W liście zezwolił mi Pan na wypowiedzenie swego zdania o zdrajcy Sierakowskim, którego przyjaciele zwrócili się do Pana z prośbą o pozwolenie wyjazdu żonie jego za granicę. Uważam za obowiązek zawiadomić Pana, że Apolonia z Dalewskich Sierakowska, wysłana pod surowym nadzorem policyjnym na zamieszkanie do gub. nowogrodzkiej, z powodu wyraźnej nielojalności pod względem politycznym nie jest godna zaufania. Z tego też powodu zostały wysłane trzy jej siostry do gub. permskiej, a czwarta, której winę całkowicie dowiedziono, została wysłana do gub. penzeńskiej pod nadzorem policyjnym. Bracia rodzeni, Franciszek

i Aleksander Dalewscy, byli przywódcami występnego w wysokim stopniu spisku zbrojnego w r. 1848 r. Osądzeni w tej sprawie na ciężkie roboty przez sąd wojenny, gdzie młodszy zmarł, starszy, Franciszek, ułaskawiony, wrócił do kraju. Nie odczuwając jednak tej łaski, brał znowu udział w ostatnim polskim powstaniu, za co został skazany na utratę wszelkich praw i 20 lat ciężkich robót. Wreszcie synowiec Tytus (Tu omylił się Murawiew, gdyż Tytus był ich rodzonym bratem), były członek centralnego komitetu powstańczego rozstrzelany w grudniu 1863 r. Z tego wszystkiego zechce J. W. Pan się przekonać, że cała rodzina Dalewskich składa się z osób w wyższym stopniu niegodnych zaufania i osądzonych przestępców politycznych. Stąd wnoszę, że w żadnym razie nie należy wydać Sierakowskiej pozwolenia na wyjazd za granicę, ponieważ tam starałaby się odegrać rolę męczennicy i stałaby się ośrodkiem skupiającym emigrantów polskich, a także innych naszych wrogów, rozpowszechniających o Rosji bezsensowne pogłoski i oszczerstwa. M. Murawiew”.

Cenny to dokument. Zmusza każdego do pochylenia czoła przed rodziną Dalewskich i Sierakowskich. Także do przemyślenia pewnych zagadnień. Wszak żyjemy w wolnej Polsce dzięki bohaterstwu takich właśnie „przestępców”, jak Dalewscy i Sierakowscy.

MATKA BUNTOWNIKÓW

Była żoną właściciela Kunkułki w powiecie lidzkim w ziemi wileńskiej. Wychowywała po spartańsku gromadkę dzieci, późniejszych bohaterów. Za patriotyczną postawę i działalność została wraz trzema córkami zesłana do Kunguru, na rozstaje dróg wygnańczych. Murawiew własnoręcznie umotywowował swój rozkaz:

„Niechże matka, która wychowała tylu buntowników, osiadzie przy drodze wiodącej do miejsc ciężkiej karni i niech stamtąd patrzy, jak jej synowie, krewni, przyjaciele, zakuci w kajdany, pędzeni będą, jak bydło na rzeź”.

Patrzyła, patrzyła na tych sybirskich rozstajach na Polaków-męczenników za wolność swojej Ojczyzny. Ale nie tylko patrzyła. Ona dodawała im otuchy, budziła w nich nadzieję, prorokowała, że ich męka i krew zrodzi wolną Polskę, błogosławiła ich Krzyżem świętym, towarzyszyła im modlitwą, a od nich — czego nie przewidział Murawiew — odbierała dowody czci, uznania i synowskiej miłości. Przesuwający się bowiem przed jej oczami skazańcy wiedzieli, że taki los, jak ich, spotkał też synów i córki tej bohaterskiej matki.

Teklę skazano do penzeńskiej guberni, Tytusa rozstrzelano 31 grudnia 1863 roku w Wilnie, Julia musiała przebywać razem z mężem Barlumanem przez dwa lata w więzieniu wileńskim, skąd zesłano ich do Wiatki, potem do Samary. Franciszek i Aleksander zostali skazani na ciężkie roboty za udział w spisku zbrojnym w 1848 roku. Aleksander zmarł jako katorżnik, Franciszek powrócił do kraju, ale za to, że walczył w powstaniu został ponownie skazany na 20 lat ciężkich robót i pozbawiony wszelkich praw. Ostatnią córkę

pani Dominikowej Dalewskiej, Apolonię Sierakowską, skazano również do Samary.

Miał zatem słuszność Murawiew, gdy pisał do hrabiego Strogonowa, że „cała rodzina Dalewskich składa się z osób w wyższym stopniu niegodnych zaufania i osadzonych przestępców politycznych”.

Duszą tej rodziny była matka, bohaterka, dla której najwyższą wartością był Bóg i Ojczyzna.

ŁUKASIŃSKI

„W czasie, gdy nas wypuszczano na powietrze, dnia jednego uderzyła mnie postać starca z długą brodą, jakkolwiek zgięta, wojskowej postawy. Strzegł go oficer osobno tak, aby się nikt do niego nie zbliżał. Starzec chodził powolnym miarowym krokiem, nie oglądając się na nikogo. Od jednego z oficerów dyżurnych dowiedziałem się w zaufaniu, że ów więzień był to major Łukasiński. Cała moja usilność była odtąd, aby móc go jeszcze zobaczyć, przemówić do niego; ułatwił mi to zacny oficer. Po kilku tygodniach w czasie jego dyżuru znów wyprowadzono Łukasińskiego; sposobem umówionym zawczasu, niespostrzeżony przez współwięźniów, podszedłem blisko do niego i zawołałem: «Łukasiński!». Drgnął na całym ciele, obrócił na mnie współzaciemnione oczy. «Kto?» — zapytał. «Więzień od tego roku» — odrzekłem. «Który rok?» — zapytał. Odpowiedziałem. «Kto w Polsce?» — «Mikołaj». «Konstanty?» — «Nie żyje!». «Co w Polsce?». — «Wkrótce dobrze będzie» — odpowiedziałem. Odwrócił się nagle, stanął, widziałem przyspieszony oddech jego, obejrzał się, po chwili szedł znowu słabym, miarowym krokiem, powoli ze spuszczoną głową. Kiedy znowu nadszedł czas dyżuru oficera tego, pierwsze pytanie moje było o Łukasińskiego. Powiedział, że przez kilka dni był niespokojny, majaczył, przypisywano to powietrzu. Pytałem oficera, czy nie może kiedy przemówić do niešťęśliwego, pomóc mu w czym. Odparł, że do jego celi wchodzi się tylko we trzech, nie wolno inaczej, więc nigdy nie można nic uczynić. Więcej Łukasińskiego nie widziałem”.

Kim był Walerian Łukasiński? Za co został skazany?

3

Był Polakiem. Chciał, by Polska była dla Polaków. Chciał zerwać kajdany niewoli, chciał wywalczyć Polsce wolność. Jego wina — to zorganizowanie Towarzystwa Patriotycznego, kara za to — siedem lat więzienia.

Aresztowany w 1822 roku, został osadzony w więzieniu karmelickim, potem w twierdzy zamojskiej, potem w Warszawie. Po raz ostatni widziano go we Włodawie, ciągnionego na postronku pod strażą konną z dobytymi pałaszami. Na rozkaz samego cara Mikołaja zamknięto go w podziemiach sekretnego zamku w Schlüsselburgu, na odciętej Newą wyspie Ładoga. Umieszczono go na najniższym piętrze kazamatowym w ciemnej i wilgotnej jamie-piwnicy, po prostu pogrzebano go. Straży, która liczyła najmniej trzy osoby, nie wolno było przemówić do więźnia ani słowa, spowiednika, o którego wielokrotnie prosił, odmówiono. Przez ćwierć wieku, przez długich lat dwadzieścia kilka, nie można było natrafić na jakikolwiek ślad jego istnienia. Dopiero powyższe sprawozdanie rosyjskiego rewolucjonisty, więzionego w Schlüsselburgu w latach 1854—1857, ukazało prawdę. Jakże okrutną. Jakże nie-ludzką.

Car Mikołaj I umarł. Aleksander II ogłosił w 1858 roku amnestię, zwolniono wtedy najciężej skazanych, a w sekretnym zamku — mimo czwartej siedmiolatki — dogorywał Łukasiński.

Dopiero w 1862 roku powiadomiono Łukasińskiego „o miłosierdziu Najjaśniejszego Pana” i ulżono jego doli.

„Najjaśniejszy Pan” zdołał się utwierdzić w przekonaniu, że sterany głodem i chorobami, źle słyszący i jakby pochodzący z za grobu „buntowszczyk”, siedemdziesięciopięcioletni już, nie może mu zagrozić, okazał więc „łaskę”. Przeprowadzono więźnia do widnej celi i dano mu nędzne ubranie, stół, przybory do pisania, książki, czasem gazety. Dopuszczono też katolickiego księdza. Starzec dziękował wciąż Bogu za to, co ma i nigdy nie przeklinał doli, która była jego udziałem przez czterdzieści lat.

Od odwiedzających go z ciekawości i litości Rosjan

dowiadwał się o tym, co się działo i dzieje na świecie, zwłaszcza w Polsce. Przeżywał głęboko to, co mu donoszono o prześladowaniu na Litwie i w Polsce oraz o przygotowaniach do powstania. Upadku powstania nie był w stanie znieść: załamał się psychicznie. Mimo to rozpoczął we wrześniu 1863 roku pisanie czegoś w rodzaju pamiętnika. Zakończył „Testamentem”:

„Nie jestem już z tego świata. Wolny od obaw i nadziei, od przesądów, uprzedzeń i namiętności, mało stykając się z terażniejszością, żyję tylko przeszłością... Spodziewam się wkrótce stanąć przed tronem Wszchemocnego i poniosę akt oskarżenia przeciw niesprawiedliwości i tyranii. Prosić będę nie kary, nie zemsty, a nawet nie surowej sprawiedliwości, lecz tylko poprawy dla winnych, pocieszenia i ulgi dla cierpiących, zgody, pokoju i błogosławieństwa dla obydwóch narodów. Głos mój nie będzie słyszany przez żadne żyjące jestestwo. Z urodzenia i wychowania Polak, nienawidziłem Rosji i jej mieszkańców. To były skutki wrażeń, jakie na mój dziecinny umysł wywarły sceny krwawe 1794 roku. Wiek, doświadczenie i lepiej poznana religia umiarkowały moje uczucia. Nie przestając kochać nad wszystko mojej ojczyzny, nie mogę nienawidzić żadnego narodu. Chrześcijaninem jestem w duchu i w prawdzie, szanuję każde wyznanie i jego obrzędy, zwracam tylko uwagę na moralność i dobre uczynki. Ostatnie moje tchnienie będzie poświęcone Ojczyźnie, ostatnia modlitwa za jej pomyślność i za pomyślność tych, którzy w nieszczęściu zostali jej wierni i dzielili z nią cierpienia”.

W zeszycie Łukasińskiego znajduje się też następująca modlitwa, którą odmawiał codziennie:

„Boże wielki! Ty podzieliłeś ziemię między narodami i językami, ażeby każdy naród żył w oznaczonym mu miejscu. Koczujące, a nawet dzikie ludy kochają ziemię, na której żyli i umarli ich przodkowie. Narody osiadłe więcej jeszcze mają przyczyn kochać swoją ojczyznę, gdyż zostawiły na niej ślady swoich trudów i często, broniąc jej, skropiły ją krwią własną. Stracivszy ojczyznę człowiek przestaje być człowiekiem. Żli, chciwi, niesprawiedliwi mieszają ten przyrodzony po-

rządek tak, jak mieszają go we wszystkich społeczeństwach złoczyńcy.

Spółczeństwa wzrastają i kwitną, skoro Opatrzność Twoja daje im zgodę, jedność i dobrą radę, a oddala straszne porywy ludzkich namiętności. Jeśli zaś odmawiasz im swej pomocy, odbierasz radę i jedność, oddajesz na pastwę namiętności ludzkich, chyłą się i upadają. To stało się z nieszczęsną Ojczyzną moją. Opatrzność Twoja zesłała na ziemię bohatera (Napoleona), który część jej wskrzesił i wlał w serca nadzieję, że cierpienia nasze wkrótce się skończą. Niestety, niedługo to omamienie. Potem zjawił się Aleksander, ofiarując nam pomoc i potężne ramię. Ujrzeliśmy jednak wkrótce, że nie może on być ojcem naszym, gdyż odmówił mu swej mądrości i błogosławieństwa, i wytrwania w dobrem. Mikołaj pokazał, że podobnych monarchów dają niebiosa dla ukarania narodów. Za Aleksandra II, który zdawał się lepszą obiecywać nam przyszłość, zlały się na nas największe klęski, jakich mogliśmy doświadczyć. Straciwszy zaufanie do ludzi obracamy serca nasze i umysły do Ciebie, Boże, Ojcie Przedwieczny. Opatrzność Twoja, która nie zapomina o najmniejszym stworzeniu i słyzy głos ptaszyny w gnieździe, wołającej o żywność, usłyszy głos milionów ludzi biednych. Błagamy Cię, Miłosierny Boże! Oddal od nas kielich, z którego ze wstrętem tak długo pijemy. A jeśli chcesz jeszcze nas doświadczać, przedłużając nasze boleści, wlej w serca ufność ku Tobie, a daj nam odwagę, cierpliwość i zachowaj od rozpacz. Uzbrojeni tą ufnością nie boimy się prześladowców, którzy chcą nam wydrzeć religię ojców i zetrzeć nas z powierzchni ziemi. Jęk i płacz żyjących, krew drogich ofiar wylana dla ojczyzny, modły dusz poległych jej cnotliwych synów, które są już przed Twym obliczem, dają nadzieję, że koniec już się zbliża”.

Na taką modlitwę stać tylko świętego.

W czerwcu 1865 roku Łukasieński został tknięty apopleksją i był — według własnych słów — „tylko chodzącą maszyną, myślącą, jakby można najprędzej dostać się do wieczności”.

Ostatnia, przelana na papier przez niego myśl, raz

jeszcze odkrywa tragedię jego wielkiego serca: „Gdzie jestem? Kto jestem? Samotny i obcy, jak tułacz wieczny, bez schroniska i Ojczyzny. Cóż mi po świecie całym, skoro nie mogę odnaleźć Ojczyzny mojej i grobu!”.

Wiosną 1866 roku Łukasiński jeszcze chodził i żył jeszcze nadzieją odzyskania wolności. 27 lutego 1868 roku komendant twierdzy Schlüsselburg złożył „Najjaśniejszemu Panu” Aleksandrowi II następujący raport: „W. C. M. najpoddaniej donoszę, że trzymany w powierzonej mi twierdzy sekretny aresztant, Łukasiński, dnia dzisiejszego z woli Bożej pomarł”.

Udręczone ciało pozostało w Schlüsselburgu, duch spoczął w Polsce i ożywia tych, którzy jak Łukasiński chcą, by Polska była dla Polaków, i tak jak Łukasiński są gotowi oddać za to życie.

DOKTÓR CELINA

Było to dawno. Wtedy, gdy przepiękny rynek miasta Kęty w ziemi krakowskiej świecił „kocimi łbami”. Po tych kocich łbach czy łebkach turkotał wózek na czterech kółkach „zaprzęzony” w aspirantkę. Obok szły dwie postulanki. Młode, radosne, nawet rozbawione szczytną funkcją wózkarzy, szły po „nową” i jej bagaż. Kętczanie, przyzwyczajeni co prawda do takich imprez klasztornych, nie szczydzili uwag.

— Patrz, znowu wybrały najurodzawsze. Jak one je ćwiczą, upokarzają.

— I znowu jakaś głupia rzuca wszystko, by zamknąć się w klasztorze.

— Nigdy bym nie pozwoliła mojej córce...

— Mnie też mój ojciec nie pozwolił. Jestem jedy-naczką — nie wytrzymała idąca bliżej trotuaru.

— To jak mogła siostra pójść?

— Zwyczajnie. Skończyłam studia i poszłam.

— Jak można. Przecież siostra kocha swoich rodziców.

— Naturalnie. I moi rodzice zaczynają rozumieć to, że można zakochać się w Panu Jezusie bardziej, aniżeli w jakimś Staszku, czy Andrzeju. I — że oddanie córki Bogu to zaszczyt i gwarancja, że nigdy nie zostanie opuszczona. Właśnie jedziemy po jeszcze jedną taką, która wybrała Chrystusa Pana. Szczęść Boże!

Wózek zaturkotał głośnie, bo właśnie skręcał w lewo. Za chwilę był już na peronie, wzdłuż którego rozstawiły się „najurodzawsze”.

Zajechał pociąg. Wysiedli podróżni różnego wieku, płci i ubrania. Przy jednej z postulantek stanęła elegancka, młoda osoba. Przez moment były zaskoczone swoim wyglądem: obie były nieprzeciętnie piękne. Nie-

bieskie oczy utonęły w czarnych, czarne w niebieskich, ręce związały się w uścisku i nowo przybyła razem z siostrami pchała wózek z bagażem do domu pod wezwaniem Chrystusa Zmartwychwstałego, który odtąd miał być jej domem.

Od tego momentu często, czarne oczy siostry Marii Kazimierzy Choynackiej spotykały się z niebieskimi oczami tej, która ją „przywiozła” do klasztoru, by razem zatapiać wzrok swojej duszy w tym, który jest źródłem wszelkiego piękna.

Siostra Maria Kazimiera miała siostrę rodzoną, która przyszła na świat 27 grudnia 1915 roku. Ojciec obu, inżynier Stanisław Choynacki, był Polakiem, matka — Maria Sonder — Niemką. Złączyła ich miłość. Mieszkali w Berlinie. Pani Sonder-Choynacka zgodziła się na to, by córki były wychowywane w polskim duchu narodowym. Celinka i Kazia uczęszczały wprawdzie do niemieckiej szkoły podstawowej, ale w domu uczyły się języka polskiego i miłości Ojczyzny swego ojca. Pani Sonder nie pozostawała w tyle. Wraz ze wzrostem jej miłości do męża i córek rozwijała się w niej miłość dla Polski.

W 1924 roku państwo Choynowscy przeprowadzili się do Poznania. Dziewczynki zdały celująco egzamin do gimnazjum im. Dąbrówki.

Celina, zdolna, uczynna i roześmiana, przy tym obowiązkowa, szybko pozyskała serca nauczycieli i koleżanek.

Po zdaniu matury w 1932 roku rozpoczęła studia na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Poznańskiego. Ukończyła je w 1938 roku, pomimo że warunki materialne rodziców układały się w tym czasie nie najlepiej. Razem z siostrą, która po maturze musiała zadowolić się kursami handlowymi, była mocno związana z Kościołem, zwłaszcza z żywym wówczas ruchem odnowy liturgicznej.

W dniu wybuchu II wojny światowej objęła stanowisko lekarza ubezpieczalni społecznej w Poznaniu na Dąbcu. Pacjenci poznali się na młodej lekarce, która nie tylko leczyła ich ciała, ale podtrzymywała na du-

chu dobrym słowem, uśmiechem, modlitwą. Ciężkie to były czasy. Okupant szalał w swej nienawiści do Polaków.

Doktor Choynacka traktowała swój zawód jako powołanie życiowe i oddała się pracy bez reszty. Siły czerpała w modlitwie.

12 grudnia 1940 roku przeżyła nagłą śmierć ukochanego ojca oraz wysiedlenie z mieszkania na Wildzie.

Pani Maria Sonder-Choynacka czuła się Polką i na początku wojny zadeklarowała to oficjalnie. Wstydziała się za swoich rodaków. Cierpiała razem z Polakami, z taktem i serdecznością pomagając pokrzywdzonym. Dom jej był schronieniem dla wielu tropionych przez Niemców, często kaplicą, w której odprawiano dla wtajemniczonych nabożeństwa i szafowano sakramenty święte. Za ołtarz służyła komoda, za konfesjonał krzesło — opowiadała siostra Maria Kazimiera.

W nocy 2 marca 1943 roku aresztowano dr Celinę. Dzięki jej niezwykłemu opanowaniu domownicy, wśród nich poszukiwany od dawna kapłan, zostali uratowani. Oskarżona o dostarczanie „trucizn” do Mosiny, bita i pogrążana przez podstawionego „świadka”, zachowała spokój, a swego fałszywego oskarżyciela usprawiedliwiała zawsze tym, że był to skutek katowania go przez Gestapo, godny litości strzep człowieka.

Podczas śledztwa w osławionym Forcie VII w Poznaniu widziała po raz ostatni swoją matkę w momencie, gdy podrzucając jej paczkę została ujęta przez hitlerowców.

Możliwość uwolnienia córki nie skłoniła matki do skorzystania z propozycji zapisania się na niemiecką listę narodową. Pani Sonder-Choynacka przebywała około 6 tygodni w strasznym obozie w Żabikowie, a opuszczając obóz dziękowała Bogu za to, że mogła chociaż trochę pocierpieć dla Boga i Polski. I nadal, jak mogła, razem z młodszą córką pomagała Polakom.

Dr Celina, zamknięta w celi nr 18, była matką, siostrą i słońcem dla współaresztowanych. Pielęgnowała chore, wynosiła ciężkie wiadra z odchodami, aż wreszcie sama zachorowała na szkarlatynę. Mimo gorączki

pracowała nadal przy chorych. Od tego czasu zaczęła zapadać na serce.

Od października 1943 roku przebywała w Oświęcimiu jako nr 63647. Chorowała ciężko na tyfus plamisty, dwukrotnie na różę i doznała samoistnego złamania lewego podudzia, nie gojącego się z powodu ogólnego wycieńczenia przez pięć miesięcy. Żyła ustawicznie pod groźbą przeznaczania jej do komina.

15 sierpnia 1944 roku przewieziono ją do Ravensbrück. Jako numer 55966 pełniła funkcję lekarki 11 bloku rewirowego. Z narażeniem życia broniła ciężko chore przed groźącym im przy selekcjach kominem i w tej działalności szczęście jej dopisywało. Zdobywała drogą nielegalną leki. W pracy była dokładna, sumienna, posiadała wysokie poczucie odpowiedzialności. Chore darzyły ją zaufaniem. Swoją postawą oddziaływała na nie i na całe otoczenie uspakajająco. W ostatnich dniach kwietnia wobec zbliżającego się frontu część więźniarek ewakuowano przez Szwedzki Czerwony Krzyż. Dr Celina opuściła Ravensbrück z ostatnim transportem ewakuacyjnym 28 kwietnia 1945 roku.

Wyczerpana do ostatka, wiedząc przy tym, że gdy padnie, czeka ją śmierć na miejscu, zaryzykowała ucieczkę. Pragnęła pomóc matce, o której wiedziała, że ciężko choruje. Przez tydzień ukrywała się w lesie ostrzeliwanym przez wojska frontowe. Szła pieszo do Krzyża i wreszcie 17 maja 1945 roku stanęła na progu własnego domu w Poznaniu.

Matki już nie ma. Zmarła 7 stycznia. Jest tylko jej jedyna siostra, Kazia. I są ci, którzy wciąż jeszcze potrzebują pomocy, którym trudno uwierzyć, że koszmar wojny ludobójczej już skończony.

Doktor Celina ma lat 32. Mimo złego stanu zdrowia podejmuje już od 1 czerwca 1945 roku pracę jako lekarz domowy Ubezpieczalni Społecznej w obwodzie Wildy. W liście do siostry i do rodziny z dnia 16 grudnia 1945 r. znajduje się wzruszający fragment: „Ta starsza, z numerkiem na ramieniu, (tj. Celina), nie wie, jak pogodzić zmęczone przygodami wojennymi serduszko z nawąłem pracy zawodowej i kłopotami związanymi z urządzeniem gabinetu, począwszy od zalepiania

dziur w ścianach, a skończywszy na wprawianiu klamek i innych podobnych urządzeń, potrzebnych do szczęścia ludziom kulturalnym”.

Oddana chorym zdobywa uznanie i miłość. Pracuje poza tym przy Katedrze Historii i Filozofii Medycyny Wydziału Lekarskiego, potem w Zakładach Cegielskiego i w poradni przeciwreumatycznej. Wszyscy przyznają, że dr Choynacka jest lekarzem z powołania.

W czerwcu 1951 roku zdobywa tytuł doktora medycyny. Wybija się w dziedzinie reumatologii. Uczestniczy w zjazdach, publikuje artykuły, otrzymuje odznaczenie „Za Wzorową Pracę w Służbie Zdrowia”, ale wyczerpana pracą zapada na kilkumiesięczną chorobę serca.

Potem znów czuje się dobrze. Zawsze jest pogodna, radosna i dobra, dobra, dobra. Nic dziwnego. Żyje zawsze z Bogiem i dla Boga. Teraz już tylko On żyje w niej. Z miłością upodobała ją do swojej Matki, Maryi. A Ona niczego innego nie pragnie, jak tylko tego, by stać się taką, jak Maryja. Pan przyszedł po nią we śnie. Miała 42 lata.

Odszedł człowiek szlachetny, pracowity, sumienny, bez reszty oddany pacjentom, na wskroś ludzki. Jej filantropię dnia codziennego pokrywała niesłychana skromność. Sens swojego życia widziała w służeniu chorym, więc służyła do ostatka sił.

Ci, co się z nią choć raz zetknęli, byli pod urokiem jej osobowości. Są tacy, którzy pozostają pod tym urokiem do dzisiaj. Po prostu żyje w pamięci i zobowiązuje do naśladowania: uczy być słońcem, które świeci dla wszystkich.

W jednym z pierwszych dni października 1955 roku, ulicami Poznania płynęły liczne rzesze robotników Cegielskiego i mieszkańców Wildy na cmentarz Górczyński, by w jego ziemi złożyć zwłoki kochanej „naszej pani doktor”, dr Celiny Choynackiej. Umarła święta, mówiono...

A 19 sierpnia 1961 roku liczne grono zmartwychwstańców z Żoliborza postępowało za wózkiem turkoczącym po alejkach cmentarza powązkowskiego, na któ-

rym spoczywała trumna ze zwłokami siostry Marii Kazimiery Choyneckiej. Jej czarne, aksamitne oczy utonęły raz na zawsze w Bogu. O niej również mówiono: To cudowny człowiek, święta.

Niebieskie oczy tej, która ją przywiozła do klasztoru płowieją jeszcze na tym łożu padole.

DOKTOR KASIA

Była jedną z trzynastorga dzieci lekarza i społecznika Jaremy Wołk-Łaniewskiego i Eugenii z Żywałów. Świat ujrzała 27 kwietnia 1899 roku w Cezarówce na Podolu. Była dobra jak chleb z podolskich czarnoziemów i miód ze stepowych łąk. Żyła melodiami metrowych traw, szumem kukurydzianych lasów i głębią tajemniczych jarów. Do końca życia pozostała Podolanką, mimo że po ukończeniu dziewiętnastu lat życie jej upływało w Warszawie, a po wojnie w Zakopanem.

Któż nie znał w Warszawie dr Łaniewskiej? Była naprawdę doktorem „wszechnauk lekarskich”. Bez przerwy kończyła staże, specjalności, kursy, pracowała jako internista i ftyzjatra, a w sierpniu 1939 roku rozpoczęła 25 dobowy dyżur w „rat-sanie” szpitala Świętego Ducha przy ulicy Elektorskiej 12.

„Ponad siły obarczona obowiązkami ratowała ciągle przybywających rannych i chorych, wśród wybuchów pocisków artyleryjskich i bomb lotniczych poruszając się po podłogach śliskich od galaretowatej krwi... W tym czasie doznała złamania kości śródstopia... przezwyciężając ból pracowała dalej opatrując rannych...”.

Ten swój długi dyżur ukończyła przysypana gruzami bombardowanego szpitala w dniu 25 września 1939 roku.

Wydobyta szczęśliwie spod gruzów pracowała dalej niestrudzenie jako lekarz i włączyła się do pracy konspiracyjnej pod dowództwem Jana Rzepeckiego.

Mąż jej, Mikołaj Wołk-Łaniewski, przybrany syn stryja, działający również w konspiracji, został aresztowany w Kijowie i osadzony w więzieniu przy ul. Łackiego we Lwowie. Dr Łaniewską po ciężkim

śledztwie w gestapo przy alei Szucha również tam przewieziono. Tam nadal torturowano ją w śledztwie wybijając prawie wszystkie zęby, łamiąc żuchwę, powodując pęknięcie bębienka. Nikogo nie wydała. Przeszła szczęśliwie konfrontację ze swoim mężem. Trzymała się tak mężnie, że gestapo uważało ją do końca tylko za kuzynkę „Dacha” (pseudonim męża).

W maszynopisie dr Łaniewskiej „Jak i dlaczego przeżyłam Oświęcim-Brzezinkę” czytamy:

„...Więzienie na Łąckiego we Lwowie było dobrą szkołą przygotowawczą do obozu. Cele bez prycz, spało się na podłodze gołej, odżywienie liche, panował głód, koleżanki tak były osłabione, że mdlały przy apelach. Spacerów nieregularnych wypadały raz na 10—12 dni po podwórku smętnym, wymoszczonym płytami nagrobkowymi z cmentarza żydowskiego. Mycie też było nieregularne, raz na 13—14 dni przechodziło się do pryszniców przez pokój esesmanów już nago, otrzymywało «piękne» uwagi, przezwiska i szturchańce”.

W transporcie do Oświęcimia-Brzezinki w warunkach wprost tragicznych „Łaniewska ani na chwilę nie straciła spokoju, cierpliwości i wyrozumiałości. Udzielała pomocy, pocieszała i uspokajała. Swoją niezwykłą postawą działała kojąco na współtowarzyszki”.

3 października 1943 roku zmarła dr Katarzyna Łaniewska, urodził się jeden więcej numer oświęcimski, nr 64200, w którym nie przestało jednak bić serce kobiety, matki, lekarza, Polki i katoliczki.

Początek był straszny. Sama wyznaje:

„Widok masy nagich kobiet, ogolonych i wygolonych..., było dużo starszych pań..., podziałał na mnie koszmarnie. — Tu ja też nie wytrzymałam. — Dostałam jakiegoś szoku połączonego z histerycznym śmiechem... podskoczyła do mnie kapo (szczęśliwie nie Polka) i zaczęła mnie okładać jakąś laską, a gdy upadłam, kopać... Myślę, że ból podziałał na mnie otępiennie, a także ciche wołanie koleżanek: uspokój się, chodź, przecież będziesz nam potrzebna”.

Koszmarem była też kwarantanna, którą dr Łaniewska przeżyła w bloku śmierci:

„Blok był murowany, podwórko otoczone wysokim

murem. Zamknięto nas, rozmieszczono na pryczach — podobno każda prycza była na cztery osoby — nas umieszczono po dwanaście, tłok straszny! Spałyśmy na zmianę po sześć osób. Blokową była słynna «Cylka» (kochanka Taubego), stale wymyślała nam i tłukła, kazała stać lub klęczeć! Nie otrzymywałyśmy ani menażek, ani łyżek... Blokowa podobno miała tylko 50 sztuk, trzeba było szybko jeść i oddawać. Więźniarek było w tym bloku mniej więcej siedemset, polityczne stanowiły mały procent. Powstawały dantejskie sceny przy kotłach... Po paru dniach pobytu zachorowałam na durchfall (biegunka) — rozpacz... do ubikacji wprowadzano nas tylko kilka razy na dobę...”

Po skończonej kwarantannie dr Łaniewska zaczęła pracować jako pucerka, a potem jako lekarka w bloku durchfallowym.

Inteligencja i odwaga dr Katarzyny Łaniewskiej, zwanej popularnie doktor Kasią, wzbudzały podziw wśród kolegów lekarzy, uwielbienie wśród więźniarek i niejednokrotnie wpływały paralizująco na oprawców. Dr Kasia zajmowała się chorymi nawet podczas tyfusu plamistego, na który zapadał każdy bez względu na wiek, płeć, narodowość, przekonania. Pochylała się jednakowo nad więźniem politycznym, jak i przestępcą. Dla niej istniał tylko człowiek, który potrzebuje pomocy, którego trzeba ratować właśnie dlatego, że jest człowiekiem.

W roku 1944 tzw. „córki oświęcimskie” bloku nr 16 na przekór sytuacji obozowej oraz Niemcom, postanowiły urządzić wigilię z choinką. Z jaką radością rozpakowywano paczkę przysланą dr Kasi! Był w niej chleb, bułka, cebula, 2 jabłka i opłatek. Wigilia objęła cały blok. Choinkę zrobiono z zielonego koca. „Zorganizowano dla wszystkich zupełną kartoflaną. Opłatek pokruszono na proszek i posypano nim małe kostki bułki. Rozległy się kolędy, dr Łaniewska przemówiła do chorych podnosząc je na duchu, budząc nadzieję wyzwolenia i powrotu do Polski”.

Tymczasem zbliżał się front. Dr Łaniewska zaopatrzyła w to, co mogła, ewakuowany w styczniu 1945 roku transport więźniów, sama jednak pozostała z naj-

ciężej chorymi w obozie. Leczyła ich, karmiła, zdobywała opał i starała się utrzymać ład wśród chaosu, jaki ogarnął resztki rewiru. Ukrywała z narażeniem życia Żydówki, które nawet na koniec esesmani usiłowali wyłapać, przerywała druty obozowe, ażeby ułatwić silniejszym wcześniejsze wydostanie się na wolność.

Po wyzwoleniu Oświęcimia-Brzezinki pozostała jeszcze przez kilka dni w obozie, potem zawędrowała do Krakowa i dopiero po zorganizowaniu pomocy medyczno-sanitarnej dla Brzezinki udała się na poszukiwanie swojej matki i jedynej córki. Nie wiedziała, że właśnie wtedy matka jej umierała i że mąż zginął w Buchenwaldzie.

Z ciężko chorą córką zamieszkała w Skarżysku-Kamiennej, ale już w roku 1946 przeniosła się ze względu na zły stan zdrowia córki do Zakopanego.

Po solidnie przepracowanym roku szkolnym młoda nauczycielka z Warszawy stanęła w poradni przeciwgruźliczej w Zakopanem rozglądając się, do których drzwi zapukać. Ktoś oczekujący na przyjęcie zapytał:

— Gruźlica?

— Tak.

— Tylko do dr Łaniewskiej, odezwało się kilka głosów.

— Mam do niej skierowanie.

— To wspaniale. To cudowny lekarz. Na pewno pomoże. Pani taka młoda! Trzeba z miejsca urwać łeb chorobie. Teraz na mnie kolej, ale niech pani wejdzie pierwsza.

Weszła. Za biurkiem siedziała kobieta-słońce.

— Proszę pani doktor, przyjechałam z Warszawy. Mam papiery, klisze. Ale, pani doktor, proszę mnie wysłuchać: ja muszę być zdrowa! Muszę wrócić 29 sierpnia. Muszę. Czeka na mnie młodzież i ta licealna, i ta od św. Anny. Proszę pani, błagam, wszystko jedno co i jak, poddaję się, ale muszę wrócić, muszę być zdrowa.

— Wspaniale! Ze strony chorej — muszę być zdrowa, ze strony lekarza — muszę wyleczyć. Bierzymy się do roboty. Obowiązuje dyscyplina wojskowa. Na to, co

zaordynuję, mogę otrzymać jedyną odpowiedź: Tak jest, pani doktor.

— Zgoda. Dziękuję.

— Co tydzień doktor Łaniewska kontrolowała postępy leczenia. Była wymagająca, ale smaczna jak chleb z miodem. Ten z Podola. W piątym tygodniu leczenia młoda nauczycielka nie zastała swojej pani doktor. Wyjechała do stolicy. Zgłosiła się więc u lekarza, który ją zastępował.

— Tak, wiem o pani wszystko. Wiem, że pani musi być zdrowa na 29 sierpnia. To taki mały szantażyk w stosunku do naszej kochanej doktor Łaniewskiej. Ale to nic, ona lubi ludzi, którzy wiedzą, czego chcą. Wyniki dzisiejszej kontroli mam w obecności pani przekazać telefonicznie. Czy pani jest kimś z rodziny naszej doktor? Troszczy się o panią, jak o rodzoną córkę.

— Nie, jestem przygodną pacjentką, tylko — zrozumieliśmy się.

— Tak, doktor Łaniewska każdego rozumie... Nie pamiętam swojej mamy, ale właśnie tak sobie wyobrażam mamę... Nasza pani doktor wróci za 5—6 dni. Proszę się nie martwić. Zostawiła dla pani specjalny uśmiech i rozkaz: 3 godziny leżakowania i trzy spaceru na przemian po godzinie i 380 uśmiechów w tym czasie, mogą być głośne. No i — łykanie tych smakołyków z apteki plus zastrzyki.

29 sierpnia młoda nauczycielka uczestniczyła jak zwykle w sesji szkolnej i zabierała się energicznie do organizacji roku szkolnego i akademickiego. Dawna asystentka dr Łaniewskiej, dr Irena Górską, co miesiąc zdawała jej sprawozdanie z wyników leczenia pacjentki, która „musiała” być zdrowa.

Po zimowych i letnich wakacjach następnego roku młoda nauczycielka wracała do pracy z zaświadczeniem, że jest zdrowa. W torbie wiozła nagrania Strausowskich walców oraz album Tatr z dedykacją:

Czy masz więcej, czy masz mniej,
ty się zawsze w życiu śmieję:
Śmiech to zdrowie — zapamiętaj sobie to!

I — zmów za mnie czasem Zdrowaś Maryjo
Pacjentce — żołnierzowi
doktor — generał — mama

K. Łaniewska

Zakopane 1962 rok.

W 1975 roku dr Katarzyna Łaniewska została odprowadzona przez rzesze ludzi na zakopiański cmentarz Zasłużonych. Żegnano ją szczerze i serdecznie. Wiele osób odczuło wiadomość o jej śmierci jako osobisty wstrząs. Wiele do dzisiaj ją wspomina i podziwia. Są też tacy, dla których jest przykładem, wzorem.

A nauczycielka z Warszawy rozkaz — receptę dr Katarzyny Łaniewskiej: „Czy masz więcej, czy masz mniej, ty się zawsze w życiu śmieję” przekazuje swoim uczennicom.

MARIA GÓRECKA

Kto słyszał o pani Marii Góreckiej mieszkającej podczas okupacji w Brzeszczach, gdzie mąż jej pracował w kopalni? Nikt, albo bardzo niewiele. Tymczasem pisze o niej Józef Kret, że pozostaje „w pamięci tych, którzy ją znali, jako jasną postać, równą w zasługach i bohaterstwie najbardziej znanym postaciom niezwykłych kobiet w naszych dziejach. Kosztem jej sił i zdrowia przedłużyło się zdrowie i życie wielu dziesiątek ludzi”.

— Czy widział pan przypadkiem małego pieska, który zginął mi gdzieś przed chwilą — pytała czystą niemczyzną jadącego konno Niemca pani Maria.

— Nie, nie zauważyłem żadnego pieska — odrzekł i pojechał dalej.

Boże, dziękuję Ci. Wszak to sam kierownik obozowego biura zatrudnienia, SS-Hauptsturmführer Schwartz. Gdyby był spostrzegł, co niosę w koszu... — myśli drżąca z przeżycia pani Maria i zaczyna się modlić: „Kto się w opiekę odda Panu swemu...”. Dochodzi do zarośli, ukrywa w nich kosz z żywnością, woła pieska, który nie istnieje, i wraca do domu. Udało się. Teraz, żeby udało się im, tym oświęcimskim ceniom, podejść i pożywić się. Boże, pomóż!

Ile razy była w sytuacji bez wyjścia! Zawsze jednak wychodziła cała z paszczyki niemieckich oprawców. Była inteligentna, uroczą, i przede wszystkim przekonana, że służy dobrej sprawie, że spełnia ludzki, chrześcijański i patriotyczny obowiązek: głodnych nakarmić.

A ci zza drutów obozu nie tylko byli głodni, oni umierali z głodu. Byli też bici, szykanowani, trakto-

wani nieludzko, stawali się ofiarami zbrodniarzy i sadystów gestapowskich, umierali, byli okrutnie zabijani, zagazowywani, paleni w krematoriach, żywcem zasypywani...

Może choć kilku uratuje, może choć ktoś, dzięki kromce chleba, którą mu podrzucę, przetrwa, doczeka się wolności... Przecież oni są niewinni. Jedyłą ich winą jest to, że nie urodzili się Niemcami, że nie są hitlerowcami...

Póki mi sił starczy — będę im pomagać! Choćby życie przyszło położyć! — snuła swe rozważania pani Maria...

I pomagała nadal. Udawała się często razem z córką Wandą do odległych miejscowości, ażeby zdobyć żywność, zwłaszcza mięso, o które było najtrudniej. Pracowała z takim poświęceniem, że z wyczerpania mdlała niejednokrotnie.

Niestety — komando lagru zwróciło uwagę na zbyt często pojawiającą się na terenach sąsiadujących z obozem kobietę. Przeprowadzono rewizję w domu Góreckich, kazano się pani Marii meldować dwa razy w tygodniu w Bielsku, a w końcu w kwietniu 1943 roku aresztowano i osadzono ją w obozie w bloku 11.

Zaczęły się przesłuchania i konfrontacje z esesmanami, którzy jako strażnicy wychodzili z grupami więźniów do pracy poza obóz, oraz z samymi więźniami. Nikt nic nie zdradził.

Jesienią 1943 roku przydzielono panią Marię do transportu jadącego do Ravensbrück. Zachorowała jednak na zapalenie płuc. Szpital obozowy był przepełniony. I wtedy stało się coś nieoczekiwanego. Dzięki sugestii lekarzy — więźniów, którzy za wszelką cenę pragnęli uchronić Górecką, zaproponowano, aby na czas choroby umieścić ją w pobliskim domu. Decyzja ta — o dziwo — została przez władze obozowe przyjęta. Codziennie jednak przyjeżdżał dla kontroli esesman.

Pewnego dnia nie zastał chorej. Schroniła się w domu harc mistrzyni Marii Plucianki, w Zatorze. Chciała udać się do ukrywającej się w Generalnej Guberni swojej córki, Wandy. Nie chcąc jednak narażać

rodziny — wszak rozesłano listy gończe — wyjeżdża jako Eugenia Momot do Tyrolu. Rozpoczyna pracę przy kolejce elektrycznej w Ebensee.

Przy budowie kolejki pracują więźniowie. Tak samo wynędzniali, tak samo głodni, maltretowani. Jest nawet grupa Oświęcimiaków. Jeden z nich rozpoznaje Górecką, błaga o ratunek.

Pani Maria, mimo że sama przeszła udręki obozu, nie waha się rozpocząć na nowo akcji dożywiania więźniów. Organizuje żywność sama, otrzymuje posiłki od harcerek: Adeli Korczyńskiej i Wery Cubertówny, pomaga jak może, wyczerpuje swe siły, naraża się.

Ostrzeżona, że pewien strażnik z Oświęcimia śledzi ją, decyduje się na powrót w rodzinne strony do Jabłonkowa, na Śląsku Cieszyńskim.

Zatrzymana przez linię frontu pod Bielskiem, zgłasza się do „leśnych ludzi”, ażeby do końca służyć ojczyźnie, pomagać człowiekowi, wlewać otuchę w zmęczone długotrwałą wojną serca.

Po oswobodzeniu Śląska Cieszyńskiego powraca do Brzeszcz, a potem wraz z mężem przenosi się do Koscuchny na Górnym Śląsku.

— Pani Mario, straciła pani zdrowie w służbie dla drugich, od dwóch lat jest pani ciężko chora, nie ma pani poczucia krzywdy, niedowartościowania? Właściwie zapomniano o pani, a przecież dokonywała pani czynów bohaterskich.

— To prawda, ale nigdy nie liczyłam na „odpłatę”. Widziałam tylko człowieka, któremu muszę pomóc. Nie dziwię się, wszak ludzie mają swoje kłopoty z odbudowywaniem zrujnowanego życia osobistego, a kraj przeżywa trudności, bo jest wyniszczony. Nie można wymagać, i nie trzeba, by wracać do tamtych smutnych dni i do tamtych w nieszczęściu poznanych ludzi. Jestem szczęśliwa, że mogłam pomóc. Teraz też pomagam. Inaczej, ale — pomagam. Nieprawdaż?

Prawda, Pani Mario. Ale też prawdą jest, że twoje imię złotymi literami zostało zapisane w Księdze wieczności. Twoje i podobnych tobie.

DLA BOGA I POLSKI

To było dawno, pierwszego kwietnia 1958 roku. W pośrodku kaplicy św. Jana Kantego przy ul. Krasińskiego na Żoliborzu w Warszawie stały trzy trumny spowite w biało-czerwone sztandary. Na trumnach spoczywał hełm powstańczy. Przed ołtarzem stał poczet sztandarowy uczennic Liceum Ogólnokształcącego Sióstr Zmartwychwstanek. Wartę honorową pełnili harcerze, wojsko i przedstawiciele władz świeckich. Kaplicę rozjaśniał blask świec i zniczy. Kwiatów była moc. I jeszcze więcej było ludzi. Stali na klatce schodowej, na dziedzińcu i ogrodzie klasztornym, na ulicznym chodniku i na jezdni. Przy ołtarzu odprawiała się msza św. Chrystus przez ręce kapłana powstańczego, księdza Truszyńskiego, składał swemu Ojcu siebie oraz ofiarę życia trojga młodych, których szczątki spoczywały w trumnach.

Co to za jedni? Skąd te trumny?

To ziemia-matka, żoliborskie gruzy klasztoru i powstańczego szpitala, tak zwanej „Twierdzy Zmartwychwstańskiej”, po czternastu latach wydała ze swoich uścisków ciała bohaterów.

Pierwszy z nich to Bolesław Marian Pilecki, pseudonim „Pelikan”, żołnierz AK plutonu 218. Urodził się 14 sierpnia 1928 roku w Ostrowi Mazowieckiej. Był harcerzem, uczestnikiem tajnych kompletów I klasy Liceum im. J. Poniatowskiego na Żoliborzu. W sierpniu 1944 r. pełnił służbę łącznika komendy „Żyrafa” przy ulicy Krasińskiego. W miesiącu wrześniu walczył w grupie bojowej przy placu Lelewela w obronie „Znicza”, a 29 września poległ w obronie twierdzy. Miał lat szesnaście, jak pelikan oddał własną krew dla Polski.

W drugiej trumnie — szczątki Alicji Masłowskiej, sanitariuszki AK plutonu 218. Znaleziono przy niej dokumenty i torbę z najbardziej niezbędnymi opatrunkami. Zginęła na poterunku. Miała lat dziewiętnaście.

Trzeci to Gustaw Donat Pawłowski, strzelec plutonu 218 AK, urodzony 21 II 1929 roku. Za niego niech mówi list znaleziony w kieszeni munduru:

„Kochana Mamusiu!

Zdecydowałem się iść do wojska — na to mi nakazują słowa przysięgi: «Będę bronił sztandaru do ostatniej kropli z żył». Trzy tygodnie się namyślałem, modliłem, leżałem krzyżem i po tych modlitwach Bóg mi tak powiedział: Idź, synu, i broń Boga i Ojczyzny. Mamusiu, gdyby ci było bardzo przykro, to uciekaj się do Boga. Leż krzyżem tak, jak ja przeleżałem, a Bóg da ci pocieszenie.

Na tym kończę, całuję ciebie i babcię po tysiąc razy
Twój Gucio”.

W roziskrzonej od świateł i łez kaplicy przemawiał ksiądz Teofil Bogucki:

„Oto słowa piętnastoletniego chłopca, tchnące miłością Boga i Ojczyzny. Najświętszy im cel przyświecał, stawali w obronie najwyższych ideałów: Boga, Ojczyzny i Krzyża — splugawionego przez przemoc teutońską. Przez czternaście lat nowe pokolenie wyrosło. Do dzisiejszej młodzieży płyną te słowa jak zew z za grobu: «Myśmy takimi byli — wy bądźcie nam podobni». Gdy takie dzieci mieć będzie Ojczyzna — nie zginie. Z największych nieszczęść i kataklizmów cało wyjdzie.

Tu zginął syn, a na innym odcinku w posłudze sanitarnej ginęła matka — spotkali się w jednym uścisku Boga i Ojczyzny. Warszawa godnych miała obrońców. W tym szaleńczym zrywie ludu, w tym pochodzie powstańczych oddziałów nikogo nie brakło — ojcowie i matki pospołu ze swymi dziećmi ginęli razem, braterstwem broni zrównani. — Bohaterowie całkowicie nie umierają, bo jak mówi poeta: «Kto w poświęceń padł godzinie, ten się w drugich przelał tylko».

Nie zapomniał o nich Bóg, nie zapomniała Ojczyzna.

Przed kilkunastu laty w tej „Twierdzy Zmartwychwstańskiej” zbrojnej tylko wiarą i miłością składali życie swoje w ofierze dla Boga i Ojczyzny, a dziś w tymże miejscu Bóg składa Najświętszą swą ofiarę za nich, a ojczyzna z całym splendorem odnosi ich na miejsce zasłużonych bohaterów narodowych.

Śmierć ich była modlitwą za żyjących, dziś żyjący modlą się za nich, by Pan za miłość odplacił im miłością a za żywot ofiarny, młody — żywotem wiecznym nagroził”.

Pochowano ich na Powązkach w kwaterze „Żywi-
ciel”. Grobami opiekują się uczennice zmartwych-
wstańskiej szkoły. Uczą się od poległych za Ojczyznę
tej prawdy, że „Jeszcze Polska nie zginęła, póki my
żyjemy”, wszak żyjemy dla tych samych ideałów, dla
Boga i Ojczyzny.

Przemówienie wygłoszone podczas uroczystości
przekazania sztandaru powstańców, który został zna-
leziony obok ciał wydobytych z gruzów — młodzieży
Liceum Sióstr Zmartwychwstania Pańskiego na Żoli-
borzu, dnia 6 maja 1958 roku. Przemawiał uczestnik
powstania:

„Po wielu, bardzo wielu latach przekazujemy wam
w imieniu towarzyszy broni z Batalionu imienia Jaro-
sława Dąbrowskiego i żoliborskiego oddziału Związków
Bojowników o Wolność i Demokrację — kilka pamią-
tek z «Twierdzy Zmartwychwstańskiej».

Może to jakoś dziwnie brzmi, że ta zwykła i co-
dzienna wasza szkoła, w której dostajecie piątki
i dwójki jest przez nas, waszych starszych kolegów,
trochę inaczej nazywana. Nazwa ta jest własnością hi-
storii i tak jak każdy kamień naszego miasta zapisana
jest w kartach wielkiej księgi jego walk. To jest tro-
chę inna historia niż klasówka czy lekcja — jej roz-
działy są pisane walką i śmiercią. Na jej kartach
w cierpieniu tworzyło się nowe życie w wolnej Polsce.

Szkoła ta, to powstańcza reduta — jedna z wielu,
o których Romuald Traugutt, którego imieniem nazwa-
no 8 Żoliborską Dywizję Armii Krajowej — tak pięk-
nie kiedyś powiedział:

«Z którejkolwiek strony podejżdza się do Warszawy — wszędzie leżą kości jej obrońców».

Przekazujemy wam dzisiaj jako starsi koledzy strzępy żywej historii waszej szkoły i waszego miasta. Pochodzą one z czasów, kiedy miałyście zaledwie kilka lat.

Jako symbole naszych walk — na zawsze tu zostaną: bojowa flaga, która wisiała na szkole w czasie walk powstańczych z 1944 r. i hełm strzelca, szesnastoletniego Andrzeja Löwensteina.

Wyciągnięte po latach z gruzów szkoły-twierdzy, są pamiątką po takich jak wy dziewczętach i chłopcach, którzy walczyli i umierali po to, żebyście mogły się uczyć w polskiej szkole. Są świadkami wielkiej ofiary życia i krwi złożonej Ojczyźnie przez waszych rówieśników. Andrzejek zasypany do połowy gruzami przez długie godziny czekał jeszcze, żeby ostatni nabój wystrzelić do wdzierających się Niemców. Z kompanii liczącej 200 chłopców i dziewcząt, którzy wywiesili na waszej szkole tę flagę, wyszło po miesiącu walk kilkanaście ludzkich cieni, zostawiając za sobą przerażające płonące rumowisko, do którego Niemcy bali się jeszcze wejść przez wiele godzin po tej strasznej, ostatniej nocy walki.

Kompania «Żyrafa I» w ogniu decydującego natarcia niemieckiego utrzymała «Twierdzę» i nie pozwoliła czołgom wdrzeć się do serca Żoliborza. Cienie ludzkie, które wyszły z płonącego stosu ofiarnego «Twierdzy Zmartwychwstanek» i ci, których ciała płonęły w pożarze i spoczęły na lata pod gruzami do dzisiaj, mówią nam, że dzieło zniszczenia dla dobrej sprawy jest równie święte, jak dzieło tworzenia. Bezgraniczne poświęcenie załogi «Twierdzy» to życie wielu z nas.

Chcemy, by ten budynek, dla nas będący symbolem walki i ofiary, był szkołą, z której wyjdziecie w życie jako dobre, mądre i świadome obywatelki. Niech wszystko, co się składa na waszą pracę i naukę będzie blaskiem życia rozbłyśniętym nad pamięcią cieniów jej obrońców. Tradycja waszej i naszej «Twierdzy» niech będzie zawsze żywa. Niech staje się z dnia na dzień lepszą, mocniejszą twierdzą wszystkiego tego,

czego dzisiaj tak samo jak kiedyś się domaga: ofiary życia i krwi potrzeba naszej Ojczyźnie.

Niech będzie twierdzą światłych głów, gorących serc i czystych, dobrych młodzieńczych rąk, umiejących pracować dla jej dobra. Zamiast garstki cieniów wychodzących ze zgliszcz domu o wrześnieowym zmierzchu 1944 roku, niech wychodzi z niego co roku pokolenie dziewcząt równie ofiarnych w pracy jak te, które walczyły tutaj obok chłopców. Bądźcie również jak one do końca ofiarne i wierne.

Niech w tradycji waszej szkoły mającej za sobą chlubny chrzest w ogniu walki zachowa się garść wspomnień z dzisiejszej uroczystości i połączy się z wzorową codzienną nauką i pracą ku pamięci tych, którzy w waszym wieku musieli zamienić książkę na karabin.

Każde dobre świadectwo szkolne wyniesione z tych murów niech w imię słów testamentu wieszczą narodu: «...lecz was zaklinam, niech żywi nie tracą nadziei i przed narodem niosą oświaty kaganiec» oddaje stokrotną cześć na chwałę narodu i Ojczyzny, i tym, którzy, «gdy trzeba było poszli po kolei jak kamienie przez Boga rzucone na szaniec»”.

Przemówienie Jerzego Zdrodowskiego (ps. Kwarcianny):

„Przekazując wam ten znak bojowy powstańców walczących na terenie waszej szkoły, zwracam wam uwagę na jego wielką skromność. Jest to po prostu proporzec o barwach narodowych, który w okresie naszych walk był symbolem wolności, honoru, poświęcenia i pracy.

Przekazując go w wasze ręce mam nadzieję, że godnie będziecie go strzec, przejmując jednocześnie w spuściznie honor, poświęcenie i obowiązek pracy. Dając wam ten proporzec, powinienem właściwie wziąć od was przyrzeczenie dochowania wierności jego ideałom, ale głęboka wiara, że będziecie godnymi następcami tych, którzy dla was ginęli, pozwala mi go wręczyć bez przyrzeczenia.

Muszę wam jednak zaznaczyć, że ci, którzy wal-

czyli, przysięgali Bogu Wszechmogącemu w Trójcy Świętej Jedynemu i Matce Bożej Królowej Korony Polskiej, i wiernie przysięgi tej dotrzymani.

Mam więc nadzieję, że od momentu, kiedy proporzec ten znalazł się pod dachem waszej szkoły, życie wasze popłynie nowym nurtem i zarówno zachowaniem swym, jak i nauką będziecie ze wszystkich sił starały się udokumentować, że walka nasza i nasze ofiary nie poszły na marne”.

ALEK

Był dryblasem o niebieskich, śmiejących się oczach, mówił szybko i przy byle okazji wpadał w zachwyty. Uważał, że najistotniejszą sprawą jest praca nad własnym charakterem. Pracował nad opanowaniem siebie, zwłaszcza w momentach zaskakujących. Miał w sobie coś, co przyciągało kolegów. Była to szczerość, bezpośredniość i uczynność tak wielka, że niekiedy aż zenująca. Ci, którym przewodził, marzyli z nim razem o wielkości i sławie.

To on był bohaterem „kopernikowskiej afery”, kupił szablę Kilińskiego, z satysfakcją umieszczał na murach Warszawy antyniemieckie napisy i rysunki, jeździł rikszą, był drwalem, szklil okna, zapisał się do Szkoły Budowy Maszyn im. Wawelberga, wybił się w akcji fotograficznej, dzięki której zdjęcia Niemców zniknęły z wystaw, pierwszy ściągnął z urzędowych budynków olbrzymie flagi ze swastyką i dekorował stolicę w dniu 3 Maja i 11 Listopada parometrowymi flagami narodowymi.

Kiedyś, po złożeniu roty przyrzeczenia na ręce komendanta „Wawra”, spałał — również w obliżu Orła Białego — swoje własne, napisane na kartce postanowienia:

„Obiecuję pracować nad rozwinięciem w sobie silnej woli, dążyć będę do pracy nad sobą bez wytchnienia, zdławię lenistwo, wzmocnię wytrwałość, tępić będę obojętność, unikać będę chaosu i braku skupienia myśli. Silna wola! Silna wola! Tak mi dopomóż Bóg!”.

Postanowienie wprowadzał w czyn. Uczył się pilnie, froterował podłogi, zmywał naczynia po posiłkach, pomagał przy praniu, rąbał drzewo, przynosił węgiel i drzewo i — duszą i ciałem oddany był sprawie.

Pracował w jednej z firm warszawskich. Gdy współpracownicy wstępowali „na jednego” — odmawiał, gdy szli „na dziewczynki” — nie szedł. Nie palił, nie znosił soczystych dowcipów, nie lubił gry w karty.

Głowę miał pełną pomysłów, serce przepelnione czystą miłością. Marzył o wielkich rzeczach i — o kurtce skórzanej. Miał ją zaledwie kilka razy na sobie, bo już w drugim tygodniu była przestrelona, w trzecim przez kogoś rozdarta o druty kolczaste podczas ucieczki, a w czwartym została na stygnącym ciele któregoś z kolejnych jej wielbicieli. Nie żałował, nie zajmował się sobą. Wpatrzony był w swój Ideał, i — zakochany w Basi. Nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, że należał do najodważniejszych ludzi swego czasu:

Złapany i wywożony z Pawiaka w nieznane — umknął. Jako „ubezpieczający” trwał zawsze do końca akcji. Dowodząc oddziałem granatniczym pod Arsenalem pierwszy otworzył więźniarkę, by wydobyć z niej skatowanego nieludzko przyjaciela. I po tej udanej akcji został ugodzony kulą Niemca. Brocząc krwią komenderował nadal i cisnął jeszcze granatem w bramę Arbeitsamtu oraz pod ciężarówkę zagradzającą bohaterom uciekinierom drogę.

Cierpiał straszliwie. Też po bohatersku. Do Basi mówił: „Nie uwierzysz, ale jednym z powodów mego zadowolenia jest to, że wreszcie ja sam cierpię. Dotąd cierpieli inni. Tyle ludzi. Ojciec... Matka... Teraz wszystko w porządku”.

Śmierć? Niech przychodzi. Był gotów. Operacja nie poprawiła stanu zdrowia. Bóle wzrastały. Cierpiał coraz bardziej. Mimo to uśmiechał się nadal. Nie bał się. Był spokojny. Swoją robotę ukończył tak dobrze, jak tylko mógł. I żył w tak przyjaznych stosunkach z Panem Bogiem! Był pewny, że to, co mu napisała kiedyś Basia, jest prawdą, że każdy

„Kto się w opiekę odda Panu swemu
i całym sercem szczerze ufa Jemu,
śmiało rzec może: mam obrońcę Boga,
nie przyjdzie na mnie żadna straszna trwoga...”.

Odchodząc w zaświaty, zapytywał o stan zdrowia odbitego kolegi, jasnym wzrokiem obejmował obecnych przy nim, i — nie przestawał się uśmiechać.

Przestępując razem z kolegą, w obronie którego położył swoje życie, „promienny nieba próg, gdzie żołnierzy swych czeka Wódz-Bóg”, szedł odważnie i z wdziękiem meldował posłusznie:

W dobrej sprawie walczyłem.

Rozkaz wypełniłem.

Ciebie, Boże, i Polskę
ukochałem nad wszystko.

Przynoszę Ci moją młodość,
moje życie, siebie...

Patrz!

Ja, chyba, podobny jestem do Ciebie:

Jak Ty

umarłem z miłości,

I, jak Ty,

nie chcę nic innego

tylko,

by ogień miłości

rozgorzał

w sercu każdego

Polaka...

By ci, co po mnie przyjdą,

budowali Polskę jasną i czystą,

wolną od kłamstwa,

lenistwa i pijaństwa...

By każdy Polak wprzągnął swoje ręce

w pług, maszynę i pióro...,

był uśmiechnięty...

i gotów był wyznać,

że wartością

najdroższą dla niego

jest zawsze

Bóg i Ojczyzna!

Nazywał się Aleksy Dawidowski.

RUDY

Miał piegowatą twarz, płowe włosy, oczy zdradzające wybitną inteligencję. Czasami musiał być ściągany do konkretów przyziemnego życia, np. przez zajęcia kuchmistrza podczas wypraw i obozowisk.

Jego istotnym światem był świat myśli i uczuć, świat życia wewnętrznego. Nurtowały go wciąż problemy społeczne, kulturalne i filozoficzne.

Pochłaniało go zagadnienie pracy nad sobą. Chciał być kimś, osiągnąć doskonałość. Wiedział, że praca nad sobą wymaga przekreślenia siebie, że jest trudna i nużąca, ale też wiedział, że sprawa, której służy, wymaga ludzi zdyscyplinowanych, odważnych, bezgranicznie oddanych, gotowych na wszystko, na mękę, na śmierć.

Był zdania, że tylko pięknie przeżyte „dzisiaj” przygotowuje do trudnych zadań „jutra”. Dlatego żył pięknie.

Brał się do każdej pracy. Zdobył sobie uznanie jako korepetytor. Gdy zachodziła potrzeba, potrafił zablęsnąć w dziedzinie technicznej. Do jego pomysłów należał system blokowy wciągania flag białoczerwonych na latarnie stolicy, pieczątki z trupa główką, „wieczne pióro”, którym można było pisać na wysokości trzech do czterech metrów. Zadziwiał odwagą i odwagą kolegów i dowódców.

Uniknął łapanek spuszczać się na sznurze z drugiego piętra wysokiej kamienicy, ubezpieczał „robotę” pod Kraśnikiem i podczas ewakuacji materiałów wojskowych z mieszkania przy Brackiej, z satysfakcją ozdabiał mury ukochanego miasta odpowiednimi napisami oraz rysunkami.

Nie pozwolił się wyprzedzić w jakiegokolwiek dziedzinie. Mówił, że dni jego nie znają godzin zmarnowa-

nych, że żyje pełnią życia, że życie jest tylko wtedy coś warte, gdy jest służbą. Twierdził, że istota służby polega na jakimś odsunięciu siebie, swojej osoby i swoich spraw na dalszy plan, a na wysunięciu na plan pierwszy umiłowanej idei i dobra wspólnoty.

Pochłaniał dobre książki, bo na byle jakie szkoda mu było czasu. Uczył się z zapałem języka angielskiego, pełnił odpowiedzialnie swą służbę obywatelską, trudne problemy życia rozwiązywał przy kratkach konfesjonału i jako pierwszy student kończył szkołę Wawelberga.

Kochał swoją rodzinę, swój dom, był dobry dla kolegów, wyrozumiały dla każdego. Dla siebie wymagający i nieustępliwy. Spokojnie realizował w sobie odwieczny plan Stwórcy.

Wieczorem rozmawiał, z przyjacielem — ach, jak cenił te rozmowy o formowaniu osobowości przez wzajemne oddziaływanie, a na drugi dzień i w następnę bito go pięściami po twarzy i głowie, zwalano na ziemię i okładano kijem i pejcami, kopano butami w brzuch i podkowami miażdżono mu ręce. Bito bez litości. Bestialsko. Wszak rozkaz brzmiał: Bić aż do śmierci!

On milczał.

Przyjaźń szlachetnych jak i on kolegów pchnęła ich do szaleńczej wprost akcji, dzięki której odbito maltretowanego bohatera w trakcie przewożenia go na kolejne śledztwo.

Po kilku dniach straszliwej męczarni, trzymając w posiniaczonej dłoni rękę „Zośki”, umierał wymawiając szepsem jedną ze zwrotek „Testamentu” Słowackiego:

„Lecz zaklinam — niech żywi nie tracą nadziei

A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei,
Jak kamienie przez Boga rzucające na szaniec!

Drugim kamieniem tego samego dnia rzuconym na szaniec Ojczyzny był jeden z tych, którzy go odbili pod Arsenalem, Alek. Nie wiedzieli, że razem staną do ostatniego raportu. Do raportu przed Bogiem.

W rozświetlonej słońcem kaplicy na Gęsiej, koledzy śpiewali modląc się za nich:

O, Panie Boże, Ojczy nasz,
W opiece swej nas miej.
Harcerskich serc Ty drgnienia znasz,
Nam pomoc zawsze chciej.
Wszak Ciebie i Ojczyznę
Miłując chcemy żyć.
Harcerskim prawom życia, dnia,
Wiernymi zawsze być.

Każdy przysięgał w obliczu Boga, który umierał, ale i zmartwychwstał na ołtarzu, że nie złamie żadnego z tych praw. Że nie tylko nie będzie pił alkoholu, kłamał, palił tytoniu, ale że w zmartwychwstałej Polsce wyteży wszystkie siły, by nie było już nigdy wojny, łez i smutku. Wszak przeznaczeniem człowieka jest szczęście.

„Rudy”, który po zdaniu raportu ze swojego życia, wszedł już „do radości swego Pana”, nazywał się Jan Bytnar.

ZOŚKA

Urodzony organizator — mówili nauczyciele. Urodzony przywódca — stwierdzono w harcerstwie. Co w nim jest? — zapytywała rodzina ulegając bezwiednie autorytetowi chłopca, starając się jednak o to, by przywódcze zdolności ulubieńca szły w parze z umiłowaniem służby drugiemu człowiekowi.

Dziewczęca uroda, pewien rodzaj nieśmiałości, pisanie pamiętnika, przyjaźń z matką, o której pisał, że zastępuje mu kolegów i znajomych, a także z ojcem i siostrą, były powodem nazywania go żeńskim imieniem.

Dzięki wybitnej inteligencji teoretycznej i praktycznej osiągał łatwo sukcesy w nauce i w sporcie. Ambitny, czasami nieprzejednanie uparty, czuł się „raczej sam”, unikał kolegów, ale koledzy nie unikali jego, już więc od piętnastego roku życia rządził otoczeniem, robiąc w zwykły sposób to, co chciał, by robili inni. Podczas okupacji, za kulisami efektywnych akcji — do których wszakże stawał pierwszy w razie potrzeby — on podjął się pracy „sztabowej”. Nikt nie potrafił tak jak on rozplanować akcji w terenie i w czasie, dobrać odpowiednich ludzi, wyznaczyć im robotę i przypilnować jej wykonania. I nikt nie potrafił być tak wiernym przyjacielem, jak on. I wtedy, gdy razem szklił powybijane przez wroga okna, by dzieci nie marzły, i wtedy, gdy zarabiał na życie korepetycjami, rikszą, wyrabianiem marmolady, rąbaniem drzewa na wsi i przede wszystkim wówczas, gdy odpowiadał za reżyserowaną przez siebie „robotę”.

Odbicie skatowanego na Pawiaku przyjaciela, akcja pod Celestynowem i pod Czarnocinem, a przedtem wiele drobniejszych, ale nie mniej niebezpiecznych

i nekających okupanta, siedem długich jak wieczność dni przebytych w więzieniu na Szucha, zrobiły z niego żołnierza „do szpiku kości”. Dlatego postanowił i po wojnie walczyć wykorzystując swoje zdolności w pracy dla człowieka. By lepiej mieszkał i by lepiej się odżywiał. By lepiej pracował. By czuł się bezpieczny i był radosny. I aby był naprawdę wolny. Aby mógł się stawać coraz bardziej człowiekiem. Takim, który służy drugiemu człowiekowi. I to zupełnie bezinteresownie. Nie dla pieniędzy i nie dla orderu, i nie dla samouwielbienia.

Do walki na powojennych frontach: społecznym, gospodarczym, kulturalnym i politycznym — chciał przygotować nie tylko siebie ale też wszystkich odanych sprawie. Toteż dzięki jego i pana Janka inicjatywie powstały własne komplety gimnazjalne i studenckie. Przygotowywały one młodych ludzi do pracy dla umiłowanego narodu w wolnej ojczyźnie.

W pamiętniku jego ojca znajduje się z tego okresu notatka, w której doświadczony profesor stwierdza, że znajduje w swoim synu typ, jaki w najśmielszych marzeniach chciał sobie wyobrazić, jako typ nowej młodzieży, która nową, lepszą Polskę budować będzie. „Widzę w nim — pisał — połączenie głębi duchowej, czystych intencji, czystego życia z umiejętnością brania życia w garść z nieprzeciętnym talentem organizatorskim i wychowawczym”.

W przepiękną, rozjaśnioną księżycową noc, pod Wyszkowem, młody dowódca o dziewczęcym uśmiechu, wzywa Imienia Bożego i wydaje pierwszy rozkaz: „Naprzód”! Pierwszy staje na progu likwidowanego „filipinką” posterunku żandarmerii niemieckiej i pierwszy pada rażony kulą wroga. Pierwszy i jedyny w tej akcji.

Na spotkanie, w poszumie ściętych już przed nim „Buków”, wyszedł mu Rudy i Alek.

Na ojczysty szaniec padł jeszcze jeden kamień. Człowiek, który potrafił pięknie żyć i pięknie umierać.

Nazywał się Tadeusz Zawadzki.

RODEM Z ŻYWCA...

— Oswald, czy to prawda, że zdradziłeś Żydom dzień akcji — pytał przy dokładnie zamkniętych drzwiach swojego biura komendant niemieckiej żandarmerii w Mirze, Heinig. Odpowiedź nie padła od razu. Dopiero po chwili padło słowo:

— Tak.

— Dlaczego to zrobiłeś?

— Ze współczucia. Dzieje im się krzywda. To są też ludzie.

— Czy to prawda, że dostarczyłeś im broń?

— Tak.

— Dlaczegoś to uczynił? Ufałem ci.

— Wyjaśnię, ale pod warunkiem, że pozwoli mi pan skończyć ze sobą.

— Nie mogę pozwolić na to.

— Proszę mi przyrzec, że da mi pan okazję później...

— Dobrze. Zobaczymy.

— Panie komendancie! Ja nie jestem Polakiem. Ja jestem Żydem.

— Co?

— Tak, panie komendancie.

— Oswald, naprawdę?

— Tak.

— Teraz rozumiem wszystko. To tragedia.

— Pan mi obiecał dać okazję — przypomniał Oswald, który był zdecydowany zastrzelić się.

— Masz jeszcze czas. Jesteś sprytny, chłopcze. Może uda ci się uciec.

— Dziękuję, panie komendancie.

Oswald wyciągnął rękę do Niemca. Po chwili wahanania stary komendant uściśnął ją serdecznie.

Rozbrojonego Oswalda aresztowano. O ucieczce nie myślał. Po kilku godzinach przypomniał komendantowi o jego obietnicy. Komendant położył mu rękę na ramieniu i rzekł ojcowskim głosem:

— Jeszcze nie, Oswald... Uciekłeś dwa razy, może ci się i teraz uda...

„Zabiło mi serce... Jak to — on, mój szef, któregom zdradził, komendant żandarmerii, radzi mi ucieczkę, mnie, który sam już uciekać nie chciałem?...” — zapisał Oswald we wspomnieniach.

Oswald pozostał pod opieką kilku żandarmów. Gdy zawołano na kolację, poszedł razem, zjadł szybko i wrócił do sypialni.

„Wtem — opisuje dalej swoje dzieje — sam nie wiem, jak się to właściwie stało, powziąłem zamiar uciezki. Wołając: «Adolf, Adolf!» (imię tajnego) przeszedłem przez jadalnię, następnie szybko, koło kuchni, dokoła domu, do okna majstra. Wspiąłem się, sięgnąłem po swój portfel i skierowałem się do bramy. O pięćdziesiąt metrów z drugiej strony podwórza stało dwóch żandarmów, obróconych do mnie bokiem. Jeden z nich przyjechał właśnie ze Stołpców z trzydziestu policjantami i słuchał prawdopodobnie ciekawej nowiny. Oglądając się lękliwie, podszedłem do bramy, ktoś wyciągał wodę ze studni, ale mnie wszystko migotało przed oczyma, porwałem za klamkę i znalazłem się za bramą”

Biegł przed siebie. Obejrzał się sto pięćdziesiąt metrów za nim biegli żandarmi. Strzelali.

— Jestem zgubiony! O, Boże, ratuj! Boże, ratuj! — wołał całym swoim jestestwem.

Zobaczył kopy zboża. Wczołgał się do czwartej z nich. Snopki rozsuwały się. Stojący obok żandarm wskazywał kierunek, w którym według jego mniemania pobiegł Oswald. Żandarmi popędzili konie galopem. Jeden przeszedł obok. Nastawił karabin w stronę łanu żyta. Snopki rozleciały się. Oswald podczołgał się i ukrył się w łanie żyta. Za chwilę dwóch żandarmów na koniach i czterdziestu pieszych „Przeczesywało” zboże. Oswald błagał Boga o ratunek:

— Wyrwij mnie z rąk niegodziwców...

— Pośpiesz mi na pomoc, Boże Izraela!

— Wyrwij mnie z łwiej paszczyki, a będę Cię chwalił, póki życia stanie!...

Żandarmi byli tuż, tuż... Nie spostrzegli go. Zapadł wieczór. Zaprzestano poszukiwań. Oswald ocalał. Modlił się:

— Boże, obrońco mój, Opoko moja i Skało! Boże, Boże Abrahama, Izaaka i Jakuba! Jak święte jest imię Twoje i jak wielka Twoja potęga! Prowadź mnie, Boże! Ukryj mnie w miejscu bezpiecznym...

Okolo północy poszedł do Adolfa. Rano ukrył się na strychu chlewa. Potem nie został przyjęty przez tego, do którego miał list polecający. Szedł więc i błądził po lesie przez kilkanaście godzin. Był tak wyczerpany, że pragnął, aby go pojmano. Usiadł i usnął. Śniło mu się, że został przyjęty w klasztorze. Nocą nawrócił do Mira.

16 sierpnia o godzinie 4.30 rano stanął przed jedną z sióstr zmartwychwstanek, Nepomuceną Kościuczyk, która szła do obory, aby wydoić krowę. Siostra zamarła z lęku. Obudziła przełożoną, Euzebię Bartkowiak, i pozostałe siostry. Ze spokojem nakarmiły Oswalda i ukryły w stodole.

Boże, daj znak, co zrobić z Oswaldem — modliły się zmartwychwstanki bez przerwy. Zostały wysłuchane. Bóg przemówił do nich następnego dnia, w niedzielę, słowami Ewangelii o miłosiernym Samarytanie. Nakaz: „Idź, i ty czyn podobnie” — był aż nazbyt jasny.

Każda siostra oświadczyła, że jest gotowa ponieść śmierć za ukrywanie Żyda.

Oswald ukrywał się najpierw w stodole, potem na stryszku chlewka. Chciał pomagać, chciał być przyteczny. Możliwości jednak miał bardzo ograniczone, wszak wszędzie mogli zajrzeć żandarmi. Był pogodny, nie mógł tylko zrozumieć, dlaczego siostry narażają się dla niego i wyświadczają mu tyle dobra.

Na strychu odnalazł Stary Testament. Poprosił o Nowy. Zaczął czytać, porównywać, studiować... Był oszołomiony, nie mógł uwierzyć, ale prawda narzucała się w sposób oczywisty. Musiał przyznać, że w Nowym

Testamencie jest wszystko tak, jak w Pismach, tak, jak w Starym Testamencie.

Przecież Stary jest zapowiedzią Nowego. Nowy — wypełnieniem Starego. Przecież to jasne. Trzeba czytać bez uprzedzeń. O, Boże, czy to naprawdę, czy się mylę? — wołał zafascynowany odkryciem Oswald.

Boże Izraela, Izaaka i Jakuba, czy Jezus z Nazaretu to naprawdę Mesjasz, Twój Syn? Wszak wszystkie prooroctwa Starego Testamentu na Nim się spełniają co do „joty”! To Jego widział Izajasz! Na cóż my, Żydzi, czekamy? Na cóż ja czekam? — stwierdzał olśniony łaską Ducha Świętego Oswald.

Przecież to dla Żydów, dla moich przodków, pisał o Mesjaszu Żyd Mateusz, Piotr i Jan. Pozostali, których wybrał sobie Jezus, też byli Żydami, Rabbi Szaweł z Tarsu, uczony, faryzeusz, zacięty przeciwnik Jezusa, też uwierzył, głosił Ewangelię, poniósł śmierć męczeńską...

Nie, nie można żyć w nieprawdzie, tylko dlatego, że inni nie chcą jej przyjąć... nie można... każdy sam za siebie odpowie... Ja, Oswald Rufeisen, przecież widzę i rozumiem i sam stwierdzam, że Mesjasz już przyszedł! To Bóg, to Jahwe, to Najwyższy ulitował się nade mną i nie tylko darował mi życie, ale zdjął mi łuski z oczu, abym przejrzał, abym uwierzył...

Na darmo czekamy. Na darmo czekają Żydzi. On narodził się już 2000 lat temu... Narodził się w Betlejem, jak mówi Pismo. Z dziewicy, której na imię Maryja, jak mówi Pismo. Uzdrawiał, głosił Dobrą Nowinę ubogim i umarł na krzyżu — wszystko, jak mówią Pisma. I zmartwychwstał dnia trzeciego i ukazywał się przez czterdzieści dni... Wszystko, wszystko tak, jak mówili prorocy.

Na cóż czekasz Oswaldzie Rufeisen? Bóg oświeca cię łaską, jak niegdyś Szawła pod Damaszkiem. Nie wolno ci zmarnować Bożego światła, Bożego dotknięcia!

Jezu, Jezu z Nazaretu, Synu Maryi! Wierzę! Wierzę!, że Ty jesteś Mesjaszem, Synem Boga Żywego, który mówił przez proroków! Wierzę, wierzę, wierzę — wołał upadły na twarz Żyd rodem z Żywca, czło-

nek organizacji sjonistycznej, prawowity spadkobierca Tory i Talmudu.

25 sierpnia 1942 roku siostra Euzebia Bartkowiak, modląc się podczas adoracji Najświętszego Sakramentu w intencji Oswalda, usłyszała wewnętrzny głos: „On będzie jeszcze moim kapłanem”. Po powrocie z kaplicy oznajmiła to siostronom, ale one przyjęły tę wiadomość z pobłażliwym uśmiechem.

W kilka godzin potem Oswald, który nie zdradzał swoich przeżyć, poprosił o chrzest.

Siostra Laurencja Domysławska, polewając głowę Rufeisena wodą, wymówiła nad nim słowa: „Oswaldzie — Józefie, ja ciebie chrzczę w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego”. Matką chrzestną była siostra Euzebia Bartkowiak.

Oswald nie chcąc narażać sióstr opuścił klasztor, by szukać gdzie indziej schronienia. Po kilku dniach wrócił i pozostał jeszcze przez piętnaście miesięcy.

Siostry przeniosły go ze stodoły do najbezpieczniejszego według ich mniemania pokoju. Traktowały go jak syna i brata. Modlił się razem z siostrami, jadał i pracował razem z siostrami. Rozmawiał wiele z Bogiem „w ukryciu”, żył w Jego obecności i — jak sam powiadał — czuł się jak dziecko w objęciach matki. Czytał wiele. To, co było. Zainteresowały go stare egzemplarze „Głosu Karmelu”.

Był ambitny. Długie dni przymusowego aresztu wypełniał rzetelną pracą. „Wykonywał zręcznie swetry na drutach, pomagał w gotowaniu, praniu, sprzątanii, a «o szarej godzinie» odmawialiśmy wspólnie różaniec, potem przed kolacją czytaliśmy Stary Testament — Oswald głośno, a my, zajęte pracą na drutach, słuchaliśmy. Czasem niektóre ustępy omawialiśmy sobie szerzej. Po kolacji znów praca, nieraz do bardzo późna, ale wtedy także jedna z nas, najczęściej siostra Andrea Głowacka, czytała jakąś powieść lub żywot święty, inaczej posnęłybyśmy nad tymi robotami. Czasami śpiewaliśmy pieśni religijne. Każdy miał prawo wyboru jednej, według swojego gustu, czasem on nam śpiewał psalmy po hebrajsku, a czasem góralskie piosenki.

To były najmiłsze nasze wieczory” — czytamy w kronice domowej.

Gdy ktoś wchodził do domu, Oswald chował się do szafy. Nieraz musiał długo w niej siedzieć.

Niemcy bardzo często wpadali pod różnymi pozorami. Kilkanaście razy wprost cudownie unikał wykrycia go. Kiedyś — nie udało się. Spotkał się „oko w oko” ze znaną konfidentką, Marysią. Marysia przyrzekła, że nie zdradzi. Nie zdradziła.

Pewnego dnia zawitał do domu sióstr ksiądz Józef Kuryłowicz z Isztóldzi. W największej tajemnicy wyspowiadał Oswalda i udzielił mu pierwszej Komunii świętej.

W lutym 1943 roku zmartwychwstanki musiały przenieść się na Mirankę, poza miasto. W majątku tym Niemcy utworzyli bazę żywego inwentarza, którą policja strzegła przez całą dobę. Siostronom przydzielono tylko dwa pokoje i chlew. Oswald sypiał na stryszku chlewa. W ciągu dnia siedział za parawanem w małym pokoju, a gdy ktoś przychodził, chował się jak dawniej do szafy.

A jak przeszedł na Mirankę? Ubrany w strój zakonny, trzymając na ręku figurę Niepokalanej i bukiet suszonych kwiatów.

Życie sióstr na Mirance było bardzo ciężkie. Oswald pomagał jak mógł. Sprzątał, nakrywał do stołu i ze „śmietanki w małym pokoju Żyd robił masło dla Niemców na śniadanie”. Wartownia była za ścianą mieszkania sióstr. Nie było nigdy spokoju. Pijatyki, gry w karty, wulgarne słowa, kradzieże, dobijanie się do sióstr, wpadanie do mieszkania, wyczerpywały nerwowo i siostry, i przede wszystkim Oswalda.

W kronice domu zapisano:

„Na dzień przeprowadzałyśmy go do mieszkania, a co wieczór chodziłyśmy na strych wrzucać koty i jego. Na korytarzyku pod drzwiami naszego pokoju stała warta niemiecka. Gdyby któryś zechciał zapalić latarkę, by nam poświecić, byłybyśmy zgubione, ale — nie. Pan Jezus chciał go ukryć przed wszystkimi jego nieprzyjaciółmi. Rano pilnowałyśmy odchodzących wartowników. Zamykałyśmy na chwilę drzwi i spro-

wadzałyśmy go na dół. Najgorzej było wtedy, gdy Niemcy odchodzili później, gdy już przyszli stróże. Wtedy było beznadziejnie, ale zawsze Pan Bóg jakoś dopomógł”.

Oswald tak napisał o tym okresie swojego życia: „Trudno wprost pojąć, jakich wybiegów używały siostry, by mi umożliwić pobyt”.

Rewizja! — krzyknęła 1 grudnia 1943 roku Marysia — konfidentka.

Musiano rozstać się z Oswaldem. Poszedł w lasy, by połączyć się ze swoimi. Po różnych nieprawdopodobnych wprost przygodach dostał się do sztabu okręgu baranowickiego, którego dowódcą był pułkownik Dubow. Ktoś doniósł, że Rufeisen był komendantem policji. Groziło mu rozstrzelanie, ale partyzanci żydowscy postarali się wyjaśnić sprawę Oswaldowi generałowi Platonowi. Wyrok unieważniono, a Rufeisena wcielono do oddziału.

„W partyzantce był bardzo skromny, stał na ubożu. Nigdy nie chciał przyjąć ubrania, ani butów, mimo to, że był prawie bosy i nosił rozdarte spodnie” — pisał o nim jeden z jego kolegów w partyzantce.

Był bardzo wyczerpany, nie miał sił, ale nigdy się nie skarżył. Modlił się stale. Praca, operacje bojowe, nie przeszkadzały mu w utrzymywaniu kontaktu z Bogiem.

Koledzy, Żydzi, pytali:

— Dlaczego nie jesteś Żydem?

— Jestem Żydem.

— Ale wierzysz w Chrystusa.

— Tak. Wierzę w Tego, którego oczekiwali prorocy. Uwierzyłem im. Mesjasz przyszedł. Wypełniły się na Nim Pisma i prorocy.

— Skąd wiesz?

— Stąd. Czytajcie! I Oswald podawał im Pismo święte Nowego Testamentu. Ale oni nie chcieli wziąć i odchodzili.

Po siedmiu miesiącach życia partyzanckiego, w Wielki Piątek 1944 roku, przydzielono Oswaldowi do oddziału żydowskiego, którym dowodził Bielski. Został

tam Żydów, którzy uratowali się dzięki niemu podczas likwidacji getta w Mirze. Byli mu wdzięczni, on zaś dziękował Bogu za to, że zechciał użyć go jako swoje narzędzie.

Zmartwychwstanki niepokoiły się bardzo o los Oswalda. Żyły się z nim, odczuwały jego brak, a poza tym uważały go za swoje dziecko, wszak w Chrystusie i dla Chrystusa one go zrodziły. W kronice zapisano:

„Boże Narodzenie 1943 roku było bardzo smutne. Brak było Oswalda, niepewność, czy żyje, gdzie jest, była bardzo ciężka. Najgorzej było w Wigilię”.

Pod koniec lipca zjawił się u sióstr, które już wtedy mieszkały na plebanii. Radości nie było miary. Połały się łzy. Wspólnie śpiewano psalmy dziękczynne, maryjne *Magnificat* oraz *Te Deum*.

Trzynastego sierpnia 1944 roku, przy zamkniętych drzwiach kościoła, ksiądz Kuryłowicz „dopełnił ceremonii chrztu młodzieńca żydowskiego, uprzednio chrztem z wody ochrzczonego przez siostry zmartwychwstanki”.

*

*

*

Furtian wileńskiego klasztoru karmelitów bosych podniósł brwi ze zdziwienia i zapytał:

- Do kogo?
- Do ojca przeora.
- W jakiej sprawie?
- Poufnej.
- Hm... Dobrze.

Za chwilę zaczęła się rozmowa z przeorem.

— Proszę Ojca, jestem Żydem. Uwierzyłem w Chrystusa. Przyjąłem chrzest. Chcę wstąpić do Karmelu.

Krótkie sprawozdanie siostry Bartkowiak i samego Oswalda przekonało przeora. Nie mógł go jednak przyjąć, gdyż w Wilnie nie było nowicjatu. Trzeba było dotrzeć do Czernej koło Krakowa, co na razie było nie do urzeczywistnienia.

Po siedmiu miesiącach pracy na plebanii w Nowej Wilejce, w charakterze służącego, żegnany przez wszystkich ze łzami, Oswald przyjechał do Mira. Wyruszył do Krakowa z transportem repatriacyjnym, któremu przewodniczyła siostra Nepomucena Kościuczyk.

Tuż po świętach wielkanocnych, które spędził u rodziny siostry Nepomuceny, stanął przed Jasnogórską Panią, by podziękować Jej „za wszystkie niezasłużenie otrzymane łaski, oraz by ucałować ręce” przełożonej prowincji warszawskiej Zgromadzenia Sióstr Zmartwychwstanek, Małgorzacie Dąbrowskiej, za uratowanie mu życia przez siostry mirskiego klasztoru. W liście napisanym do niej pisał:

„Niechże Przewielebna Matka raczy przyjąć me najszczerze uczucia wdzięczności. Niech Najświętsza Panna, Królowa Karmelu, obficie wynagrodzi wszystkie trudy dla mnie poniesione i otacza najczulszą opieką całe Zgromadzenie. Obiecuję do śmierci modlić się za tak drogich memu sercu Dobroczyńców, a jeśli Pan Jezus w niezmierzonej łaskawości swojej zechce mię powołać na kapłana swego, obiecuję w każdym „Memento” o czcigodnym Zgromadzeniu pamiętać”.

W dniu 9 czerwca 1948 roku, w uroczystość Zesłania Ducha Świętego, Oswald Rufeisen składał swe pierwsze śluby według reguły karmelitańskiej, jako brat Daniel Maria od Najświętszego Serca Jezusowego.

29 czerwca 1952 roku, stanął po raz pierwszy przy ołtarzu Pańskim, by przez Chrystusa, z Chrystusem i w Chrystusie złożyć Bogu w Trójcy Świętej Jedyńemu dziękczynną Ofiarę.

W 1959 wyjechał do Izraela do klasztoru w Haifie, ażeby pracować wśród Żydów. Z drogi przesłał siostrze Euzebii Bartkowiak list i obrazek z napisem:

„Za życie, za wiarę, za łaskę, za powołanie zakonne, kapłańskie i apostołskie niech płaci całe życie Ten, który dla nas jest Wszystkim. Błogosławieństwo z powietrza —

wdzięczny na zawsze
syn”.

Austria, 9 czerwca 1959 roku.

DOROTA Z MAŁOWÓW

Siódme dziecko Wilhelma i Agaty Szwarce, urodzona w Małowach Wielkich w styczniu 1347 roku Dorota, było trochę odmiennym dzieckiem. Ale — tylko trochę. Ot, po prostu więcej się modliła, pościła i umartwiała, aniżeli pozostałych ośmiorgo. Poza tym czuwała nocami, by do syta nagadać się z Panem Jezusem, unikała także gości i była bardzo miłosierna dla ubogich. Odczuwała też w sposób fizyczny cierpienia i mękę Chrystusa. Nikt się w tym nie orientował, bo Dorota, wprawdzie dziecko jeszcze, potrafiła milczeć. Wiedziała, że królewskich tajemnic Tego, który spojrzał na nią ze szczególnym umiłowaniem, nie można ujawniać nikomu. Jedynie spowiednik, ten zastępca Chrystusa w konfesjonale, ma prawo wiedzieć o wszystkim, sześćdziesięcioletnia więc Dorota powiedziała mu o tym. Nie zdziwił się. Wiedział, że Bóg jest przedziwny w świętych swoich i że Jego myśli oraz Jego dróg nikt jeszcze nie wyszedził. Skoro taką drogą chce Dorotę prowadzić, to do niego należy umacniać ją na niej. Niemniej nie pozwolił Dorocie, choć już się spowiadała, na wcześniejsze przyjęcie Komunii św. Stało się to faktem dopiero w Wielką Sobotę 1357 r. W tym też roku Dorota otrzymała, jako ostatnia z pozostających w domu córek, klucze od spiżarni. Dziesięcioletnia dziewczynka okazała się wyjątkowo inteligentną i skrzętną gospodynią. Skorzystał na tym dom i skorzystali jej ukochani biedacy.

O rękę ładnej i dzielnej dziewczyny zaczęli się starać młodzi ludzie. Matka jednak i zastępujący zmarłego ojca brat Doroty wybrali dla niej starszego o dwadzieścia lat płatnerza z Gdańska, Wojciecha. Ślubu udzielił im w Małowach Wielkich ksiądz Otto, a po-

tem odbyły się przenosiny Doroty do domu męża przy ulicy Długiej 64 w Gdańsku.

Mąż Doroty był człowiekiem zamożnym i ogólnie szanowanym, posiadał liczną służbę, czeladź, przyjmował często kupców oraz gości. Młodziotka Dorota wywiązywała się z roli żony i pani domu, a potem także matki, nad podziw dobrze. Jedyłą przyjemnością, na którą sobie pozwalała, było uczestniczenie w nabożeństwach, zwłaszcza w parafialnym kościele Najśw. Maryi Panny.

Dorota była matką dziesięciorga dzieci. Kochała je i starała się o dobre ich wychowanie. Cóż? Bóg ma swoje plany, których dotąd jeszcze nikt nie pojął. Dorota również nie mogła pojąć tego, dlaczego Bóg podczas zarazy panującej w Gdańsku w 1374 i 1382 roku zabrał jej aż siedmioro dzieci. Pojąć nie mogła, ale jeszcze mocniej uwierzyła w to, że Bóg jest panem i życia, i śmierci. Dziękowała przy tym Bogu za to, że pozostawił przy życiu najstarszą i najmłodszą córkę.

Nielatwe miała życie Dorota. Musiała łączyć realizm dnia powszedniego z umiłowaniem kontemplacji, ze stanami mistycznymi dochodzącymi do zachwyty i ekstazy. Mąż nie rozumiał Doroty, gniewał się na nią, a nawet bił ją i prześladował. Najbardziej denerwowało go zachowanie się żony, która nie tylko nie skarżyła się nikomu, ale zawsze za zło odpłacała mu dobrem. I zawsze była pogodna.

Rozumieli Dorotę spowiednicy: ksiądz Radysław z kościoła św. Katarzyny oraz ksiądz Mikołaj z Pszczółek. Obaj uznawali Dorotę za osobę, którą Duch Święty prowadzi niezwykłymi drogami na szczyty świętości. Podziwiali jej męstwo, wytrwałość w modlitwie i czuwaniach całonocnych, niespotykaną pracowitość, delikatne miłosierdzie oraz pokorę pełną prostoty i radości.

W 1384 i 1385 roku mąż Doroty zabrał ją na pielgrzymkę do Akwizgranu i do pustelni w Finsterwalden. Dorota byłaby najchętniej pozostała tam do końca życia. Musiała jednak wrócić i nadal trwać przy mężu, którego coraz bardziej złościła jej inność, a może to raczej niepokój sumienia z powodu własnych niedo-

ciągnąć był przyczyną jego irytacji. Często znęcał się nad Dorotą i bił ją aż do krwi. Dorota znosiła te udręki spokojnie, owszem cieszyła się, że może współcierpieć z Chrystusem, który za nas był biczowany.

W styczniu 1385 roku przyszedł do Doroty Pan Jezus, „wyjął z niej serce, a na jego miejsce włożył gorący mięsień”. Dokonała się zamiana serc: odtąd biło w Dorocie serce dane jej przez Chrystusa. Stać i na to Boga. Jest przecież Wszechmocny. Dorota nie posiadała się z radości, zdobywała się na heroiczną miłość Chrystusa w ludziach. Udziałem jej były coraz częstsze zachwyty, a ciało trawiła tęsknota za połączeniem się z umiłowanym Zbawicielem na zawsze.

W 1390 roku Dorota wzięła udział w zorganizowanej przez Mikołaja z Pszczółek pieszej pielgrzymce do Rzymu. Przez osiem tygodni odwiedzała chodząc boso kościoły i miejsca uświęcone krwią męczenników. Wyczerpana zachorowała i przez długie tygodnie leżała w szpitalu zapomniana przez towarzyszy pielgrzymki. Do życia powracała z trudem, do Gdańska — z bólem, dowiedziała się bowiem z objawienia, że mąż jej zakończył życie. Jak zakończył? Czy zrozumiał swoje błędy? Czy żałował za grzechy? Czy liczył na miłosierdzie Boże?

Dorota uwolniona od obowiązków rodzinnych przeniosła się na stałe do Kwidzynia. Córka jej, Agata, była już od dawna mężatką, Elżbieta (Gertruda) wstąpiła do benedyktynek w Chełmnie. Ksiądz Jan nie zdziwił się, gdy Dorota oznajmiła mu, że pragnie ukryć się przed światem i żyć w zamurowanej celi, by oddać się tylko modlitwie i umartwieniu. Uznał to pragnienie za wolę Bożą dla swojej penitentki.

Po rocznej próbie dnia 2 maja 1393 roku zamurowano Dorotę w celi przylegającej do prezbiterium katedry. Przez specjalne okienko adorowała Pana Jezusa w Najświętszym Sakramencie, rozmawiała z Nim i śpiewała Mu pieśni. Spowiadała się codziennie u Jana z Kwidzynia lub u Jana Rymara. Im powierzała królewskie tajemnice swojego zjednoczenia z Bogiem i z ich rąk przyjmowała codziennie — co było wręcz niespotykane — Komunię świętą. Nie pragnęła nicze-

go. Zażywała już jak gdyby wizji uszczęśliwiającej, żyjąc nie swoim, ale Chrystusowym życiem. Przepowiedziała dzień swojej śmierci. Nie chciała, by ktoś towarzyszył jej w momencie rozstania się ze światem. Mówiła, że „żaden człowiek nie może być obecny, gdy Pan po nią przyjdzie”. Umarła przed zachodem słońca dnia 25 czerwca 1394 roku.

Odmurowano celę i ciało Doroty złożono w krypcie biskupów. Podczas uroczystości pogrzebowych, które trwały aż 30 dni, przed trumną Doroty przesuwały się rzesze pielgrzymów. Modlono się, odprawiano nabożeństwa, działy się za przyczyną błogosławionej Doroty liczne cuda i nawrócenia.

W związku z wzrastającym kultem Doroty, którą powszechnie nazywano świętą, przeniesiono jej trumnę już we wrześniu 1394 roku do specjalnej krypty w katedrze i ustawiono nad nią ołtarz, na którym odprawiano codziennie dwie msze święte.

Olbrzymia katedra nie mogła pomieścić czcicieli Doroty. Zwłaszcza kobiety widziały w niej wzór żony, matki i wdowy. Ale i niejeden z mężczyzn, rozważając jej życie, zastanawiał się głębiej nad swoim stosunkiem do współmałżonki i postanawiał być lepszym. A Dorota działała. Sława jej cnót, wieści o zdziałanych przez nią cudach biegly z ust do ust i zjednywały jej coraz to nowych czcicieli.

W 1395 roku posłano do Rzymu wnioski biskupów a także spowiedników Doroty o wyniesienie jej na ołtarze. Papież Bonifacy IX upoważnił biskupów chełmińskich i warmińskich oraz opata z Oliwy do przesłuchania świadków i przeprowadzenia procesu kanonizacyjnego Doroty. Cześć kwidzyńskiej pustelnicy wciąż rosła. U jej grobu klękali tak ubodzy, jak i możni tego świata. Modlił się przy nim Władysław Jagiełło po zwycięstwie pod Grunwaldem. Szczególnymi też jej czcicielami byli Wazowie. I byłaby Dorota na pewno oficjalnie wyniesiona na ołtarze, gdyby nie protestantyzm, który przytłumił jej kult. Zniszczono jej grób, ukryto w nieznanym miejscu, kratę otaczającą miejsce jej spoczynku przewieziono do Królewca, jednak sława i cześć oddawana Dorocie nie ustawała. Pielgrzy-

mowali do miejsc uświęconych jej pobytem tak w Gdańsku, jak i w Kwidzynie ludzie z dalekich stron, szczególnie mieszkańcy Pomorza i Warmii. Pojawiały się też publikacje o świętej Pustelnicy. Biskup chełmiński Jan Lipski, korzystając z dekretów Urbana VIII z roku 1625 i 1634, zatwierdził kult Doroty i ustanowił na jej cześć święto.

Radość czcicieli kwidzyńskiej świętej była ogromna. Żadne burze dziejowe nie przerwały oddawanego jej kultu. Nic więc dziwnego, że Stolica Apostolska uwieńczyła w 1976 roku urzędowym potwierdzeniem publiczną cześć oddawaną Dorocie z Mątówów. I nic dziwnego, że wielu modli się do niej następującymi słowami:

Błogosławiona Doroto, orędowniczko ludu nadwiślańskiego i Kwidzyna przez Ciebie umiłowanego, niech Twoje ofiarne życie, pełne miłosierdzia i głębokiej wiary, będzie dla nas zachętą do ohotnego znośnienia trudów życia codziennego i szukania Boga w sercach cierpiących bliźnich. Ty, któraś pałała gorącą miłością do Boga ukrytego w Najświętszym Sakramencie, uproś nam u Boga ofiarną miłość i cierpliwość w znośzeniu krzyży dnia powszedniego. Amen.

Może i ty i ja spróbujemy również wzywać wstawiennictwa Doroty? A może nawet ją naśladować...? Chociażby w tym, by od czasu do czasu zamuroвывать się w celi własnej samotności. Wszak mawiali starożytni, że „samotność to mędrców mistrzyni”. A Pan nasz Jezus Chrystus uczył, że trzeba, gdy się pragnie rozmawiać z Bogiem, „wejść do izdebki swojej i zamknąć drzwi”. Sam robił to samo. W zgiełku nie słyzy się Boga. Trudno też usłyszeć samego siebie.

SANTA POLACCA

Zanim zaczęto ją nazywać błogosławioną, pasła krowy swoich rodziców, obywateli miasta Kęty nad Sołą. Była ładna i dobra, i wesola, i pobożna. Chętnie pomagała matce w jej domowych zajęciach i chętnie wyręczała sąsiadki, gdy musiały odejść od swych dzieci na czas dłuższy.

Ludwika, córka Macieja, kochała dzieci. Sama, niestety, była jedynaczką. Gromadziła je często wokół siebie czy to w izbie blisko trzaskającego w piecu ognia, czy też w ogrodzie, na zielonej murawie pod gruszą. Opowiadała im o tym, co mówił ksiądz na kazaniu, przepytywała z wiadomości katechizmowych. Potem modliła się z nimi i śpiewała pieśni na cześć Bożej Matki i Jej Syna.

Pewnego razu zawitali do domu rodziców Ludwiki pielgrzymi powracający z Rzymu. Opowiadaniem nie było końca. Ludwika słuchała z zapartym tchem to o Ojcu świętym, to o nabożeństwach i procesjach stacyjnych, to znów o śladach męczeństwa w katakumbach, w Koloseum i w wielu innych miejscach. Postanowiła, że gdy dorośnie, pójdzie także z pielgrzymką do Rzymu. Ojciec nie sprzeciwiał się. Miał słabość do swojej jedynaczki. Nawet powiedział, że wybierze się z nią razem.

W 1580 roku wybuchła w Kętach straszliwa zaraza. Zabierała setki ludzi. Szesnastoletnia wówczas Ludwika stanęła z całym poświęceniem do pracy przy chorych. Dwoiła się i troiła, byle pomóc, ulżyć, pocieszyć, wciągała też innych do współpracy. Chorzy, zwłaszcza umierający, z utęsknieniem czekali na nią, gdyż troszczyła się o nich jak matka, jak siostra lub córka. Pamiętała nie tylko o potrzebach ich ciała, ale

i duszy. Zawsze na czas przyprowadziła kapłana. Do swoich rodziców też. Oboje padli ofiarą zarazy.

Ludwika została sama. Nie chciała przenieść się do sąsiadów, nie chciała również objąć korzystnej pracy we dworze. Woląca pozostać sama.

Widywano ją często przed Najświętszym Sakramentem w kęckim kościele. Widywano również, jak nosiła wodę z miejskiej studni do chorej staruszki i jak nadal zwoływała dzieci, by pouczać je o Bogu, nauczyć przędzenia wełny i pobawić się z nimi.

W sercu pieściła tęsknotę za Rzymem. Nie musiała czekać długo. Dowiedziała się, że przez Kęty będą znowu iść pielgrzymi do Wiecznego Miasta. Osadziła więc ubogą rodzinę w swoim domu, przywdziała habit franciszkańskiej tercjarki i przyłączyła się do pobożnych pielgrzymów.

Szła przez Kraków, Wiedeń, Alpy i Wenecję, patrzyła na ślady Bożej potęgi i piękna w przyrodzie. Wielbiła Boga za to, że mogła iść, patrzeć i podziwiać, śpiewać, modlić się i pokutować. Gdy stanęła u bram Piotrowej Stolicy, razem ze wszystkimi rodakami padła na kolana i wołała: *O, felix Roma!* — *O, szczęśliwy Rzymie!*

Pielgrzymi z Polski, po uzyskaniu odpustu i napażeniu się na cudowności Rzymu, powrócili do swoich domów. Ludwika została.

Dlaczego? Nikt nie wie. Wiadomo tylko, że wiodła życie bardzo surowe, że codziennie odwiedzała rzymskie kościoły stacyjne i groby świętych, że najczęściej klęczała z różańcem w ręku w dominikańskim kościele Santa Maria Sopra Minerva.

Z czego żyła? Z pracy i jałmużny. Przyjmowała od tych, którzy posiadali wiele, czasem zbyt wiele i rozdawała tym, którzy przymierali z głodu. A takich nie brakowało. Zresztą — jak zawsze. Troszczyła się o strawę dla nich, o ubranie, o dach nad głową, modliła się za nich i z nimi.

Szczególne względy mieli u niej pielgrzymi przybywający z Polski. Zdawała sobie sprawę, że łatwo można się zagubić — zwłaszcza gdy nie zna się języka włoskiego — w mieście, w którym roi się od ludzi róż-

nego pokroju. Zajmowała się więc nimi. Była dla nich przewodnikiem, pokazywała to, co najważniejsze, najpiękniejsze, czego nie zobaczy człowiek w innym kraju. Dbała o to, aby każdy pielgrzym wyszedł z Rzymu przemieniony, lepszy, bardziej święty. Każdy, kto trafił do niej, lub kogo ona spotkała, znajdował u niej kawałek chleba i miejsc na spoczynek. I znajdował serce, dobroć. A człowiekowi często bardziej o serce, aniżeli nawet o chleb chodzi.

„Święta Polka” mówiono o Ludwice coraz częściej. „Znaną się stała w całym mieście ze świątobliwości swojej, ze skuteczności modlitw i z innych miłosiernych uczynków” — napisała o niej Klementyna z Tańskich Hofmanowa.

Dnia 22 kwietnia 1623 roku ukończyła ziemską pielgrzymkę i przeniosła się do domu Ojca w niebie. Miasto obiegra wieść: „Umarła święta”. „Umarła błogostawiona”. Mieszkańcy Rzymu, i bogaci i biedni, modlili się przy zwłokach „świętej Polki” przez trzy dni. Odchodzili obdarzeni przeróżnymi łaskami. Gdy żegnali jej ziemskie szczątki na zawsze, zapłakali rzewnie i wołali głośno:

*O, beata Ludovica,
O, santa Polacca,
ora pro nobis,
Fateci santi!*

A pielgrzymi z Polski powtarzali:

*O, święta nasza Rodaczko,
O, Ludwiko z polskich Kęt,
módl się za nami
i uczynń nas świętymi!*

Powróciwszy do rodzinnych Kęt rozslawiali imię „świętej Polki” w mieście, po wsiach, doszła o niej sława do Krakowa i do innych dzielnic kraju. Znano ją i za granicą. Wciąż powiadano o tym, że łaskami darzy, że pomaga i w chorobach, i w zmartwieniach, że się opiekuje sierotami, każdym, kto się do niej z prośbą zwróci.

Malowano jej portrety, najpierw w Rzymie, potem

w Polsce, ozdobiano aureolą świętej, rozwożono, rozdawano, bowiem sława jej świętości wybiegała poza Rzym i okolice i ściągała do jej grobu tłumy ludzi.

Kęty tuż nad Sołą i ziemia krakowska dumne były z swej rodaczki. Miały już patrona swego, Jana nazwanego Kantym, teraz i patronkę mają. Do dziś dnia im patronuje z obrazu parafialnego kościoła. Ubrana w habit tercjarski trzyma w lewej ręce krzyż, a w prawej różaniec i przypomina kętczanom, że krzyż Chrystusowy zwycięża i że do zwycięstwa prowadzi Maryja, Matka Zbawiciela.

Będąc w Rzymie, zobaczysz w kościele polskim św. Stanisława Szczepanowskiego przy via delle Botteghe Oscure 15 obraz Ludwiki, namalowany zaraz po jej śmierci, z napisem, który stwierdza, że „ciało Czcigodnej siostry Ludwiki Mathiase (Maciejewskiej) z miasta Kęt, Polki, Trzeciego Zakonu św. Franciszka... między ołtarzem św. Jacka a bramą Hospicjum spoczywa w Panu”.

Gdy uklękiesz tam przy balustradzie wielkiego ołtarza, stopami swymi dotkniesz płyty, pod którą spoczywa „najpobożniejsza niewiasta” Rzymu już przeszło 350 lat. A przecież miejsce to było i jest przeznaczone tylko dla takich ludzi, którzy w wybitny sposób zasłużyli się dla Polski oraz dla Hospicjum Hozjańskiego.

„Cenna jest w oczach Pańskich śmierć Jego świętych”.

JOASIA KRYPAJTIS

„Mam lat osiemnaście — dyktowała swojej matce. Od trzech lat leżę w szpitalu. Jestem sparaliżowana. Mam bezwładne nogi i częściowo ręce. Straciłam zupełnie wzrok. Oddycham sztucznym płucem, przepone mam również porażoną, ale nie narzekam i staram się być pogodna. W miarę możliwości pocieszam i podnoszę na duchu inne chore z otoczenia, nieraz zrozpaczone i przygnębione. Dzięki temu pewna młoda, w moim wieku dziewczyna, pozostająca z dala od Boga, zmarła pogodzona z Nim. Składam to Panu Jezusowi w darze, jako dobry uczynek za sobór i zjednoczenie Kościołów”.

Później zwierzała się, że wielką radość jej sprawia, gdy pewne osoby, zwłaszcza kapłani, proszą ją o modlitwę w różnych intencjach. Mówiła: „Mamo, o ileż teraz lżej przychodzi mi znosić cierpienie i bóle, gdy wiem, dlaczego je Pan Jezus zesłał. Przyjmuję je z radością”.

Któregoś dnia poprosiła, ażeby rodzice złożyli od niej Matce Bożej lampkę wieczną jako dziękczynne wotum za otrzymane łaski. Podyktowała wówczas słowa, które wryto na podstawie lampki: „Maryjo, jestem przy Tobie — czuвам — dziękuję! — Joasia. Warszawa — Szpital, 1963 rok”.

Za co dziękowała osiemnastoletnia Joasia? Za paraliż, za bezwład, za sztuczne płuco i za straszne kalectwo — ślepotę? Tak. Dziękowała za krzyż. Za krzyż, na którym mogła razem z Chrystusem zbawiać świat.

Nie od razu Joasia przylgnęła do krzyża. Nie od razu znalazła się na szczycie heroizmu. Długo i wielokrotnie zadawała sobie pytanie: Dlaczego? Po co? Dlaczego ja, a nie kto inny? Długo szukała odpowiedzi.

Pojęła tajemnicę własnego cierpienia dopiero w tajemnicy Chrystusa, Boga-Człowieka, który cierpiał, umarł, ale zmartwychwstał. Właśnie to, że zmartwychwstał, dodawało jej siły. Zaufała Chrystusowi. Zaczęła żyć Jego życiem. I — zaczęła tęsknić do Niego.

Nic dziwnego, że gdy w uroczystość Królowej Polski w 1964 roku otwierał dla niej bramy domu swego Ojca, zawołała:

— O! Jest już przy mnie, jest!

— Kto Joasiu?

— Pan Jezus.

Przyszedł osobiście, by zaprowadzić ją do swojego Ojca, by pokazać Mu, jak bardzo upodobniła się do Niego przez cierpienie.

Joasia przyszła na świat 23 grudnia 1944 roku w Wilnie, jako trzecia córka Józefa i Jadwigi Krypajtisów. Miała trzy siostry: Marysię, Elżbietkę i Jadwinię; brat zmarł w drugim roku życia.

Dzieciństwo Joasi było ciężkie. Jej mama musiała sama borykać się z losem, gdyż ojca aresztowano i zesłano na koło podbiegunowe, do kopalni, z której zasadniczo się nie wraca.

Pani Jadwiga złożyła losy swojej rodziny w ręce Boże, a Bóg w nadzwyczajny niejednokrotnie sposób spieszył jej z pomocą.

Sama przytacza dowody cudownej wprost interwencji Bożej. „W listopadzie — opowiada — byłam na nabożeństwie Opieki Matki Bożej Miłosierdzia i błagałam o pomoc, bo... zbliżała się zima, a ja nie miałam opału ani ciepłej odzieży dla dzieci... Zobaczyłam pochyloną nade mną kobietę, okrytą dużą chustką, która dając mi coś do ręki powiedziała: «Powinno to wystarczyć na zaspokojenie najpilniejszych potrzeb». Onie miałam z wrażenia, bo trzymałam złotą monetę. Wartość jej była tak duża, że mogłam kupić opał na zimę, ciepłą odzież dla dzieci, opłaciłam zaległe komorne i pozostało mi jeszcze na utrzymanie dzieci przez dłuższy okres czasu”.

Innym razem pani Krypajtis poszła wieczorem błagać Ostrobramską Panią o pomoc, gdyż następnego

dnia nie miała co dać dzieciom do jedzenia. Modliła się pod arkadami, bo kaplica była zamknięta. W pewnej chwili przez oczy pełne łez spostrzegła małe zawiątko. Nikogo przy niej nie było, nikt nie przechodził. Podnosi i stwierdza, że są tam pieniądze. Była to suma, za którą mogła przeżyć kilka miesięcy.

I jeszcze jedno niezwykle wydarzenie. Po ugotowaniu resztek kaszy dla dzieci pani Jadwiga poszła z nimi na procesję, myślała jednak o tym, że nic już nie ma do jedzenia. Rozpłakała się i patrząc na obraz Ostrobramskiej Pani zawołała: „Matko Boża, ratuj, bo ginimy”. Po powrocie do domu, siostra zakonna przekazała jej pieniądze z puszek św. Antoniego przysłane przez księdza, któremu właśnie tej nocy śniły się małe Krypajtisówny.

Bóg był kimś konkretnym w życiu rodziny Krypajtisów. Zajmował u nich pierwsze miejsce, liczone się z nim i nie żałowano dla Niego czasu. Ufano Mu bezgranicznie.

Dziewczynki, chcąc uprosić powrót ojca, postanowiły sypać kwiatki podczas procesji w kościele Świętego Ducha. Ani ulewa, ani mróz nie stanowiły dla nich przeszkody, mimo, że kościół znajdował się daleko, a one nie zawsze były dostatecznie ubrane.

— Smutno byłoby Panu Jezusowi, gdyby nas nie było. Chodźmy szybko, nic nam nie będzie. Zobaczycie, że tatuś wróci — zachęcała siostry Joasia.

I wtedy, gdy nadzieja otoczenia gasła, dzieci rozniecały ją na nowo. A przecież tego tatusia właściwie nie znały.

Mimo niedostatku i biedy, były radosne i jak wszystkie dzieci płatały figle, broiły, przepraszały i zaczynały od nowa pracę nad sobą, a wszystko po to, by mamusia się cieszyła, by tatuś wrócił, by Panu Jezusowi było miło.

Z wielką radością witały co roku maj, w którym „mama przygotowywała kapliczkę w ten sposób, że wyginała z drutu kształt a potem niebieskim jedwabiem obciągała go. Ustawiała tę kapliczkę na komodzie i umieszczała w niej figurkę Matki Bożej. Cały ołtarzyk wraz z kapliczką dekorowałyśmy najpiękniejszy-

mi kwiatami, jakie rosły w ogródku. W domu naszym mieszkali staruszkowie, którzy nie mogli pójść do kościoła, przychodzili więc do nas na majowe nabożeństwo, które przy zapalonych świecach codziennie się odbywało” — opisuje Elżbieta.

Dnia 13 czerwca 1952 roku Joasia, przygotowana przez matkę, przystąpiła do I Komunii świętej. Uradowana posiadaniem niezwykłego Gościa we własnym sercu, wzięła po chwili koszyczek z świeżymi różami i rzucaniem kwiatów pod Boskie stopy dziękowała Mu za to, że zamieszkał w niej.

Dalsze życie Joasi obfitowało wciąż w gesty rzucania pod Boskie stopy kwiatów swojej radości, sukcesów, przekreślania siebie, różnych ofiar, a zakończyło się — wspaniałomyślnym gestem złożenia siebie na całopalną ofiarę. I to wówczas, gdy sama jak przepiękny kwiat zaczęła się rozwijać.

W 1954 roku udało się pani Krypajtis przyjechać do Warszawy i zamieszkać w Moczydle koło Pyr. Wszystkie, i mama i babcia i dziewczynki, wracały powoli do sił, rozkoszując się faktem, że są w Polsce. Brak tylko było ojca rodziny, o którym nie wiedziały nic, a na którego wciąż czekały.

Pierwszego maja tego roku Las Kabacki usłyszał po raz pierwszy wileńską melodię Litanii loretańskiej. Joasi jednak smutno było, że chwali Matkę Bożą tylko Las Kabacki i jej rodzina. Następnego dnia, po dłuższej nieobecności w domu, przybiegła zdyszana pod figurę Matki Boskiej trzymając w ręku dzwonek.

— Joasiu, coś ty robiła z tym dzwonkiem?

— Biegłam mamusiu przez wieś i dzwoniłam, a kiedy pytano dlaczego to robię, mówiłam, że przy naszym domu, przed figurą Matki Bożej moja mamusia odprawia majowe nabożeństwo i bardzo wszystkich zaprasza.

Swoje apostołstwo codziennego zwoływania czcicieli Maryi na nabożeństwo majowe zakończyła Joasia dopiero wówczas, gdy przeprowadzono się do Warszawy. Z mieszkania przy ulicy Dąbrowskiego miała blisko i do kościoła św. Michała, i na Rakowiecką do św. Andrzeja Boboli.

Uczyła się dobrze. Była obowiązkowa, koleżeńska,

wносиła wszędzie wiele radości. Można było na niej polegać, kiedyś jednak na lekcji historii nie mogła zupełnie pozbierać myśli. Zdziwiła się nauczycielka, zdziwiły się jeszcze bardziej koleżanki, które Joasia dokształcała przed lekcją. Joasia również nie umiała wytłumaczyć tego faktu.

W kilka dni później uderzyła wszystkich jak grom z jasnego nieba wiadomość, że Joasia Krypajtis zachorowała na zapalenie rdzenia.

— Mamo, co to za choroba?

— To poważna choroba, Joasiu. Ale jesteś w rękach wspaniałych lekarzy. Oni naprawdę chcą cię wyleczyć.

— Wierzę, mammo. Ludzie są dobrzy.

— Mamo, nie mogę poruszać nogami. Nie mogę ich unieść, nawet jednej.

— Może to chwilowe Joasiu.

— Nie, mammo. Zaczynam się orientować. To bezwład. To paraliż. Nie będę już chodzić. Nie będę biegać..., skakać..., tańczyć...

— Tak, Joasiu, to paraliż.

— Ach mammo! Jak ciężko, jak ciężko! ...Mam przecież tylko 15 lat! Dlaczego muszę tak cierpieć?

— Mamo, moje ręce stają się bezwładne. Żebym mogła choć trochę się nimi posługiwać... Jestem ciężarem dla wszystkich... Mamo, tatusiu, nic a nic nie spełni się z tego wierszyka, który tak bardzo lubiłam:

Jak to będzie radośnie, kiedy Joasia dorośnie
I grosików zarobi miliony.

Kupi więc domek własny, obszerny i jasny
I ogródek płocikiem ogrodzony.

Tatko sobie odpocznie, nowe życie rozpocznie,
Bez kłopotów i starań o grosze,

Matusz nowe ubranie od Joasi dostanie,

Takie piękne i mocne, że proszę.

Dla Jadwini — lalczkę, dla Marysi czapeczkę,

Dla Elżuni — kołnierzyk.

Ach! Jak to będzie radośnie, kiedy Joasia urośnie
I do pracy się z chęcią zabierze...

— Dlaczego tatuś wyszedł? Nie płacz, mamó, nie płacz. Joasia jeszcze nie jest całkiem dorosła..., a już zarabia... Cierpienie to też praca...

— Joasiu, czy ci trudno mówić?

— Tak, pani doktor. Coś się stało znowu, duszę się, nie mogę oddychać. Powietrza! Ratunku!

— Joasiu, zastosowaliśmy tracheotomię. Nie bój się. Masz porażoną przeponę płucną. Podłączyliśmy aparat do tchawicy, takie sztuczne płuco.

— Dobrze. Nie duszę się. Dobrze. Ale... dlaczego to wszystko... Po co? Komu to potrzebne?

— Panie doktorze, nie chcę mówić o tym rodzicom, bo może to nie jest prawda, może mi się tylko wydaje, ale ja nie widzę dobrze, coś się dzieje z moimi oczami... Boże, czy zabierzesz mi wzrok? Nie, to straszne! Bezwładna i — niewidoma... a świat taki piękny. Nawet ten, w tym małym pokoiku szpitalnym. I ten, który skrawkiem nieba zagląda w moje okno... I świat ludzi, którzy mnie odwiedzają... To straszne. To — okrutne, panie doktorze.

— Tak Joasiu. Choroba jest nieubłaganie konsekwentna. Może jednak uda się nam uratować jakiś procent widzialności. Zobaczymy.

— Mamó, niech przyjdą wszyscy. Chcę ostatni raz zobaczyć tatusia, Marysię, Elżunię i Jadwinę. Ostatni raz... I niech przyjdzie ciocia. Proszę, by ksiądz codziennie przynosił mi Pana Jezusa. Muszę być z Nim. Sama nie dam rady. To ponad siły ludzkie... A więc i bezwładna i — ociemniała.

— Dobrze Joasiu.

— Niech pani nie płacze, nie rozpacza. Są bardziej chorzy od nas. Zobacz pani, że będzie lepiej, że wróci pani do domu podleczone. Zresztą, proszę pani. Bóg ma prawo do nas. Jesteśmy Jego własnością. On wie,

co robi, a my zrozumiemy to wszystko, co nas spotyka, dopiero po śmierci.

— I to ty mówisz, Joasiu, ty, taka młoda...

— Dziwi się pani, że nie płaczę, nie narzekam? Płakałam i długo prosiłam, by Bóg oddalił ode mnie ten „kielich goryczy” — ślepotę. Teraz pogodziłam się. Nie jest mi łatwo... nie. Ale wierzę, że moje cierpienia są potrzebne Panu Jezusowi. Ktoś musi dawać Panu Jezusowi..., być podobnym do Niego.

— Joasiu, czy ty wiesz, co się dzisiaj stało?

— Co takiego?

— Ta nowo przywieziona, która ma tę samą co ty chorobę, odwróciła głowę, gdy ksiądz pomylił się i wszedł do jej pokoju z Komunią świętą. Ona nie chce znać Boga. Zacięła się.

— Biedna! Bardzo biedna! Muszę wyprosić dla niej łaskę nawrócenia. Jezu, Joasia chce zdobyć dla Ciebie Alę. Ofiaruję Ci wszystko — co zechcesz, będę się jeszcze więcej modliła, będę się starała być pogodna, cicha, serdeczna dla tych, którzy nie rozumieją, czasem ranią... Spraw, by Ala zamieszkała razem z Tobą w domu Twego Ojca.

— Alu, jesteśmy jednakowo chore. Jednakowo cierpimy. Ludzie, nawet ci najbliżsi, nie domyślają się jak bardzo... Tylko ty możesz rozumieć mnie, a ja — ciebie.

— Tak. Ale ja chcę żyć, chcę być zdrowa! Miałam takie cudowne plany życiowe. Moi rodzice są zamożni, mają ogromne możliwości. I — mają mnie jedną...

— Rozumiem. Myślę tylko, że Bóg o tym wszystkim wiedział i wie. Powiem ci wierszyk, który streszcza moje życiowe plany. Bo, widzisz, moja rodzina wiele, wiele przeszła wskutek wojny... Posłuchaj:

Jak to będzie radośnie, gdy Joasia dorośnie

I grosików zarobi miliony:

Kupi więc domek własny, i obszerny i jasny,

I ogródek płocikiem grodzony.

Tatko sobie odpocznie, nowe życie rozpocznie,

Bez kłopotów i starań o grosze,

Matusz nowe ubranie od Joasi dostanie,

Takie piękne i mocne, że proszę.

Dla Jadwini laleczkę, dla Marysi — czapeczkę,
Dla Elżuni kołnierzyk,
Ach! to będzie radośnie, kiedy Joasia urośnie
I do pracy się z chęcią zabierze...

— A Joasia jest przykuta do łóżka, niewidoma, potrzebuje opieki, pomocy, naraża rodziców na kosztą... Moje siostry się kształcą, studiują... Cieszę się ich sukcesami..., ja też chciałam studiować... Modłę się, by im w życiu było dobrze. Chcę wykorzystać cierpienie. Niech inni coś z niego mają...

— Ja nie potrafię. Nie chcę takiego Boga, który zsyła cierpienia. Mam żal do Boga. Nie chcę, nie chcę...

— Ten Bóg też cierpiał. On przeszedł na sobie to wszystko, co my przechodzimy. On też miał Matkę. Był Jej jedynym Synem... I był Jednorodzoną Synem Ojca Przedwiecznego. Nie musiał, ale chciał z miłości ku nam cierpieć...

— Nie mogę tego pojąć!

— Nie trzeba. Wystarczy wierzyć, wierzyć.

— Joasiu, u Ali nastąpiło zakażenie odleżynowe. Nie ma dla niej ratunku.

— Módlmy się. Przyjdźcie na różaniec. Wszystko za Alę, za Alę... O Jezu, przyjmij Alę!

— Joasiu, Ala sama poprosiła o księdza. Spowiada się.

— Módlmy się. O mój Jezu, przebaczenia i miłosierdzia przez zasługi Twoich świętych Ran... Matko dobrej śmierci, uproś dla Ali łaskę zgodzenia się na wszystko... Zdrowaś Maryjo... Zdrowaś Maryjo...

— Joasiu, Ala już nie żyje. Odeszła spokojna. Powiedziała, że jest szczęśliwa, że się nie boi. Prosiła, aby ci podziękować za wyproszenie łaski dobrej śmierci i powiedzieć, że czeka na Ciebie.

Na święta Bożego Narodzenia 1963 roku wypisano Joasię na pewien czas ze szpitala, gdyż nastąpiło pewne polepszenie i zamiast sztucznego płuca wystarczył

mały aparat do oddychania. Oczywiście zarezerwowano dla niej miejsce na każdą chwilę.

„Był to chyba jeden z najszcześniejszych wieczorów wigilijnych, jaki kiedykolwiek przeżywalismy. Joasia z rozpromienioną twarzą starała się uczestniczyć w śpiewaniu kolęd, mimo że przychodziło to jej z wielką trudnością z uwagi na tracheotomię”

Sparaliżowana i niewidząca Joasia stała się sercem i motorem domu. Interesowała się sprawami rodziny, znajomych, przy pomocy radia знаła wypadki zachodzące w świecie i Kościele. Obejmowała wszystko modlitwą, służyła dziwnie dojrzałą radą, pocieszała, dawała otuchy, zachęcała do pracy nad sobą, do wspinięcia się wzwyż...

Twierdziła szczerze, że życie jest piękne i że warto cierpieć, bo cierpienie jest jedyną wartością, za którą kupuje się dusze dla nieba. Chrystus płacił za nas cierpieniami, a więc ona, Joasia, chce Mu pomagać, tym bardziej, że wciąż ją o to proszą. Jest potrzebna misjonarzowi, ojcu Czesławowi Białkowi, swojemu katechecie i ksiądz Jan Twardowski prosi ją o modlitwę, koleżanki liczą na jej pacierze. A więc pomaga, jedynym — głosić Słowo Boże, spowiadać, uczyć..., drugim — uczyć się, być dobrym..., to takie niepojęte, ale rzeczywiste. W mistycznym Ciele Chrystusa każdy ma swoją rolę do spełnienia. Każdy jest ważny, potrzebny, dowartościowany, i kochany.

Joasia wie, że jest kochana i wie, że cierpieniem daje dowody swojej miłości Panu Jezusowi.

— Mamo, to już chyba koniec. Czwarte zapalenie płuc... Błagam, nie oddawajcie mnie do szpitala. To nic nie pomoże. Chcę umrzeć w domu, wśród was.

Modlą się do niej. Wysłuchuje. Spróbuj — może i ciebie wysłucha.

LALKA

Z niepokojem spojrział pan Jakub Kluzek na wchodząca do pokoju położną, która trzymała noworodka w poduszce. Wiedział, że córeczka, siódme jego dziecko, jest mała i wątła. Czyżby jej coś groziło?

— Przyniosłam lalkę...

— Tak. Mała jest wyjątkowo mała i słaba.

— Ależ pan jej jeszcze nie widział! Ta wczorajsza, to okaz w porównaniu do tej — dzisiejszej.

— Bliźniaczki?

— Tak.

— Rzeczywiście, że to lalka! Jakież to maleństwo, kruszyna! Ale — ładna, przyzna pani...

— O, tak! Dlatego nazwałyśmy ją lalką.

I tak już zostało. Ósme dziecko państwa Kluzeków, Anieli, bliźniaczka, siostra Heleny, była znana wszystkim jako Lala. Nikt zresztą nie dziwił się temu. Drobna, ładna, zawsze pogodna, często rozświergotana jak ptak i żywa jak srebro, przypominała lalkę, ową czarodziejkę, która ociera łzy z oczu nawet najbardziej smutnego dziecka.

Była to jednak lalka „prawdziwa”, z krwi i kości, co prawda kruchych fizycznie, ale duchowo mocnych jak stal. Mówiono o niej, że ma kręgosłup.

Moralny kręgosłup Lali nabierał sił przede wszystkim dzięki atmosferze domu rodzinnego, w którym panowała miłość i dobroć, niezależnie od tego, jak układały się warunki bytowe rodziny.

— Lalu, kochasz swojego Anioła Stróża?

— Odmawiam codziennie „Aniele Boży”. Wiem, że mnie strzeże od złego...

— To dobrze, ale czy nie chciałabyś wejść z nim w bliższy kontakt?

— Ja, z aniołem? Przecież to duch! Nie widzę go!

Wielu rzeczy nie widzisz, a one istnieją. Na przykład miliardów gwiazd, słońc, planet... Ameryki też nie widzisz...

— Tak, to prawda. A co siostra ma na myśli?

— Stowarzyszenie Aniołów Stróżów, które istnieje przy naszej szkole. Ma ono swój regulamin i program pracy. Pomaga dziewczynkom żyć w obecności swojego Anioła, słuchać jego poleceń, liczyć się z nim, stawać się lepszymi.

— Być lepszą? Chcę być lepszą, ale nie bardzo mi się to udaje. Może..., może Anioł Stróż zrobiłby coś ze mnie?

— Na pewno. Musisz tylko bardzo chcieć.

— Chcę! Zapisuję się do Stowarzyszenia Aniołów Stróżów przy szkole św. Andrzeja u sióstr Klarysek w Krakowie!

— Aniele mój, nie gniewaj się, dzisiaj znowu muszę przeproszać Ciebie, muszę się wstydzić. Cały dzień przeszedł mi na niczym, na gadaniu, ledwie jako-tako lekcje odrobiłam. Mów do mnie głośniej, pilnuj mnie.

— Zawsze jestem przy tobie. I mówię głośno. Nie słyszysz mnie, bo w tobie jest zbyt głośno. Jesteś jak aparat radiowy. Bez przerwy chwytasz jakieś fale i bez przerwy nadajesz. Tak nie można. Przestanieś być sobą. Musisz się uciszyć. Wtedy usłyszysz głos Boga. Przepróż Pana Jezusa za swoje rozgadanie. Przytul się do Jego cichego Serca i śpij spokojnie.

— Jezu, cichy i pokornego serca, uczyni serce moje według Serca Twego. Panno cicha i rozmodlona, wstawiaj się za mną, bo chcę się podobać Twojemu Synowi — kończyła swój dialog z Aniołem Stróżem Lala — uczennica, a potem Lala-studentka, Lala-nauczycielka i Lala-człowiek dojrzały do nieba.

— Proszę księdza, zapytała Janka na lekcji religii, proszę nam powiedzieć, kto się podobał najbardziej Panu Jezusowi? Ja też chcę podobać się Jemu.

— Dobrze. Spróbujcie jednak same na to pytanie odpowiedzieć.

— Jan Chrzciciel!

— Jan Apostoł!

— Maria Magdalena!

— Mała Tereska z Lisieux!

— Oczywiście, Bóg ma upodobanie w każdym świętym, ale Kościół w swojej liturgii tylko do jednej osoby stosuje takie słowa: *Sine exemplo placuit Domino nostro, Iesu Christo*. Kto przetłumaczy?

— Wszystkie! Znamy już łacinę!

— Dobrze, a więc, Zosiu...

— Bez przykładu podobał się (albo podobała się) Panu naszemu Jezusowi Chrystusowi — tłumaczyła powoli, ale pewnie Zosia.

— Brawo!

— Kto to mógł być? Który święty, czy święta? Chwila milczenia i odpowiedź Lalki Kluzek:

— To proszę księdza, Matka Boża, Maryja. Tylko Ona, jak nikt, *sine exemplo*, mogła podobać się Panu Jezusowi, bo tylko Ona mogła Mu się podobać najbardziej. Święci też — jako słudzy, rycerze, bracia, dzieci, sodaliści... Maryja podobała Mu się tak, jak oni wszyscy razem wzięci i podobała Mu się tak, jak nikt, bo jak nikt była niepokalanie poczęta, nie miała grzechów i była pełna łaski... Ale to jeszcze nie o to chodzi, proszę księdza, zaraz, zaraz... już wiem! Maryja podobała się Panu Jezusowi jeszcze jako Jego Matka. Świętych jest wiele, ale Matkę miał Bóg tylko jedną — Maryję z Nazaretu.

— Brawo. Brawo Lalu! Teraz będzie chwila ciszy, by każdy mógł pomyśleć nad tym, co tu zostało powiedziane.

W klasie było cicho, cichutko. Jedne zamknęły oczy, inne ukryły je w dłoniach. Po dwóch, trzech minutach ksiądz zapytał:

— Jaki wniosek?

— Trzeba być takim, jak Maryja, ażeby podobać się Panu Jezusowi, tylko jak to zrobić?

— Macie rację, tylko ten podoba się Bogu, kto jest

podobny do Matki Jego Syna. A jak to zrobić — niech każda pomyśli nad tym sama.

— Helu, jutro lekcja religii, wymyśliłaś coś na zadany temat?

— Tak, mam myśl. Ale, wiesz co, Lulu? Zróbmy tak: napiszmy na kartce odpowiedź, osobno, bez porozumiewania się, oddajmy mamie i razem z mamą porozmawiajmy o tym.

— Zgoda.

— Dzisiaj po kolacji zwołuję rodzinne zebranie; jest sprawa do rozpatrzenia, zapowiedziała pani Józefa Kłuzek robiąc tajemniczą minę.

Kolacja, jak kolacja, ale po niej każdy otrzymał olbrzymie jabłko w cieście i herbatę w filiżance — zapowiedź uroczystej chwili. Dziesięć par oczu — była też babcia — patrzyło na panią Józefę, która trzymała w ręku dwie różnego koloru kartki i zaczęła:

— Otwieram tajne wypowiedzi obojga naszych najmłodszych na zadany im do przemyślenia temat: Co zrobić, ażeby być podobnym do Matki Boskiej? Czytam:

— Kartka biała: Trzeba się modlić, uważnie słuchać kazań, zwłaszcza na nabożeństwach ku czci Matki Bożej, a najlepiej to zapisać się do Sodalicji Mariańskiej.

— Kartka seledynowa: Myślę, że najlepiej to zapisać się do Sodalicji Mariańskiej. Tam nauczą nas, pomogą.

— Obie wypowiedzi zmierzają do jednego: zapisać się do Sodalicji. Co wy na to? Głos ma „kartka biała”.

— Myślę, że to najwłaściwsze wyjście, jeżeli pragnie się na serio iść w ślady Najświętszej Panny, mówiła Hela.

— Teraz oddaję głos „kartce seledynowej”.

— Ja też tak sędzę. Same nie poradzimy sobie, a razem z innymi będzie różniej. Mnie brak systematyczności, a tam, będzie człowiek musiał być systematyczny, skoro się do tego zobowiąże, snuła swe myśli Lala.

— Areopag rodzinny?

— One za młode na to.

— Właśnie, czy naprawdę poważnie podchodzicie do tej sprawy? Przecież to sprawa z Bogiem. Pan Jezus, gdybyście nie były wierne temu, co obowiązuje w Sodalicji, będzie się upominał o prawa swojej Matki.

— Macie rację. Weźcie jednak pod uwagę, że w Sodalicji jest długi okres próby. Wiem, bo sam jestem w tym okresie.

— A nic nam o tym nie mówiłeś!

— Wam nie — ale mama i tato wiedzą o tym.

— Tak, my wiemy. Mnie się wydaje, że czego nie nauczycie się za młodu, tego nie będziecie umieli później. Nasze dzieci, to znaczy Hela i Lala, są dosyć odpowiedzialne. Pamiętajcie, małe, że próba rozciąga się i na dom, i że ja i mama też wydamy wam świadectwo przed przyjęciem do Sodalicji. Warunek pierwszy: punktualność i zjadanie bez słowa wszystkiego, co mama daje. Przyjmujecie?

— Tak, odpowiedzieli wszyscy.

— O, to widzę, że się tworzy rodzina sodalicyjna. A czy jest Sodalicja dla dorosłych, dla ojców i matek?

— Jest, tato. Przy kościele Mariackim, u jezuitów...

— A więc zapiszcie się do Sodalicji, Szczęść wam Boże. Zebranie skończone.

— Mamo, a może ja na zakończenie zaśpiewam nasz hymn? Ale trzeba wstać.

I Władek zaczął pięknym głosem:

„Błękitne rozwińmy sztandary,
Czas strząsnąć zwątpienia już pleśń,
Niech w sercach zagorze znicz wiary
I gromka niech ozwie się pieśń.

Spod znaku Maryi rycerski my huf,
Błogosław nam, Chryste, na bój!
Stajemy, jak ojce, by służyć Ci znów,
My, Polska, my naród, lud Twój!

Już świta, już grają pobudki!
Już Jezus przybliżył się k'nam!
Żyj święta radości! Precz smutki!
Pan idzie i pierzcha w cień kłam!

Pan idzie! Słoneczność rozlewa się w krąg!
Pan idzie na świata siać tron!
Drży szatan, wysuwa mu berło się z rąk!
Słyszycie? Zwycięstwa gra dzwon!

O Bogarodzico Dziewico!

Tchnij siłę w mariański ten zew!

Z otwartą stajemy przyłbicą

I serca Ci niesiem i krew.

Siać miłość będziemy wśród burzy i słońca,

W zwycięski Ty powiedz nas szlak,

A gdy tchu będzie i mocy już brak,

Do nieba pokieruj nasz lot!

Spod znaku Maryi...

— To wobec tego, my zaśpiewamy hymn Sodalicji
Żeńskich. I popłynął miły śpiew:

Królowej swej ja wierność przysięgałam

I odtąd służyć tylko będę Jej.

Ja sobie też za Matkę swą obrałam

I całą ufność swą złożyłam w Niej.

Przysięgałam Jej, przysięgałam Jej

U stóp ołtarza przysięgałam ja Jej,

Że dla Niej żyć, Ja kochać czcić,

Ja kochać, czcić, przez całe życie będę.

Ja dzieckiem Jej, Jej serce swe oddałam!

Zwodniczy świat już ten nie nęci mnie,

Matuchnę swą nad życie ukochałam,

z Nią cierpieć chcę i z Nią weselić się.

Przysięgałam Jej...

O Matko ma, więc prowadź dziecię swoje,

Na każdym kroku je od złego chroń,

A kiedyś otwórz nieba mi podwoje,

Tam, Matko, uwieńcz dziecka swego skroń.

Przyjmij mię tam, przyjmij mię tam,

Jak Matka dziecię, racz przyjąć mię tam,

Bo z Tobą żyć, kochać Cię, czcić,

Kochać Cię, czcić, przez całą wieczność pragnę.

— Idę na studia polonistyczne, oświadczyła Hela.

— Ja na medycynę, mówiła Lalka.

Tak się jednak złożyło, że znalazła się na biologii.

Studiowała z zapalem. Interesował ją świat przyrody, zwłaszcza roślinność wysokogórska, a w niej mchy, które systematyzowała w nadziei, że przydadzą się do pracy doktorskiej. Zbierała je rok rocznie, tak zimą jak latem, po szczytach wschodnich Karpat.

W Sodalicii Akademiczek wybrała sekcję misyjną. Żyła pragnieniem, by Dobra Nowina dotarła wszędzie. Wspierała misje modlitwą, ofiarami i usilną pracą nad sobą. Napisała w dzienniczku, że Sodalicja przekształciła jej życie, że rozbudziła w niej pragnienie, by na wzór Maryi służyć Chrystusowi.

Okazji, by służyć, miała wiele. Była potrzebna i w domu, i w studenckim gronie, i wśród tych, z którymi uprawiała sport kolarski, narciarski i pływacki, ba, nawet żebrakom, którzy poznali się na jej dobrym sercu. Chciała być potrzebna. Nie żałowała siebie. Uważała, że trzeba być dobrym jak chleb, że ktoś musi wykonywać prace, których inni wykonać nie chcą, że ktoś musi zajmować ostatnie miejsce, i to cicho, niezauważenie, nawet tak, jak gdyby ono było najbardziej zaszczytne.

Miała własną filozofię życia, własną logikę. Właściwie — nie własną, ale Chrystusową. Pozwalała Chrystusowi rozrastać się w sobie i czuwała, by własne „ja” ustępowało Mu miejsca.

Kończę studia. Za miesiąc egzamin magisterski. Co zrobić? Janka Splichal wstępuje do zmartwychwstańek.. Maryla Czerska też... Mogłabym tam uczyć. Siostry prowadzą gimnazja, licea, szkoły zawodowe. Młodzież garnie się do nich. Byłabym zakonnicą i nauczycielką... To zgromadzenie zrodziło się z krwi i trudu najlepszych synów Polski dla Emigracji... dla Polski... dla Słowiańszczyzny, dla Kościoła powszechnego. Jest już w Ameryce, we Włoszech, w Bułgarii. Tkwi w centrum tajemnicy chrześcijaństwa, bo siostry zdążają przez krzyż i śmierć do zmartwychwstania i chwały... Służą w szczególny sposób Niepokalanej... jestem przecież sodaliską!

A może pójść do klarysek? Albo do karmelu? Za

kratę? Nie... Boża Matka nie żyła za kratą, za klauzurą. Żyła wśród ludzi, chociaż tylko dla Boga...

— Lalu, jutro przyjdą goście, trzeba coś kupić, może więc...

— Lalu, rozdarłem spodnie...

— Moje też są w strzępach, napraw...

— Lalu, czy lekcje masz już na jutro, na ten twój egzamin?

— No, ale te moje spodnie...

— Nie bój się, na rano będą jak nowe, mówi Lalka i myśli, że musi zostać na razie, bo wciąż jest potrzebna. Może jak trochę dojrzeją, może jak wyjdą z domu, wtedy ona zrobi coś ze sobą.

Matka, jakby odgadując jej myśli, mówi:

— Widzisz, Lalusiu, bez ciebie nic. Ja się starzeję. Wszyscy liczymy na ciebie, nasz ty Beniaminku.

W 1937 roku będzińskie gimnazjum zaangażowało Anielę Kluzek jako nauczycielkę biologii. Postawiło jej warunek, że wstąpi w szeregi harcerskie, by oddać się tej pracy w charakterze instruktorki. Lalka zgodziła się.

Idealy skautingu polskiego pokrywały się w dużym stopniu z sodalicyjnymi. Lalka była wzorową nauczycielką, wychowawczynią, harcerką. Wszystkimi siłami służyła Bogu i ojczyźnie. A były to czasy, które — zwłaszcza na Śląsku — wymagały nie byle jakiej służby.

Wojna. Okupacja. Lalka wraca do Krakowa. Przeżywa razem ze wszystkimi tragedię narodu. Przeżywa mobilizację braci i wysiedlenie z rodzinnego domu przy ul. św. Sebastiana do mieszkania przy ulicy Ks. Kordeckiego 5. Szuka pracy. Jest ekspedientką w sklepie, który nie chce sprzedawać towaru, bo zarabia na tym okupant. Jest potem pracownicą preparatorni w instytucie Dr Weigla, gdzie wielu Polaków i Polek mimo strasznych warunków pracy — karmienie wszy — znajdowało zabezpieczenie przed wywozem. Podobnie jak wiele innych osób zapada na „wołyńkę”, rodzaj tyfusu, jest osłabiona, gorączkuje, ma dość tej pracy nę-

dzarza. Skarży się: „Wszy, wszy, wszy, wszędzie — w herbacie, w zupie, na stole i poduszce, na ludziach, ubraniach, podłodze... ruszają się, duże i małe, są ze mną wszędzie: mam je pod powiekami, gdy zasypiam, śnię o nich i z ich obrazem się budzę. Nic to, to tylko pierwsze wrażenia pracy w Instytucie Bakteriologicznym, pierwszy tydzień”. Lalka nie chciała narzekać ani na tempo pracy, ani na przedłużenie godzin pracy, ani na brak przyrządów. Rozumiała, że ludzie nie wytrzymują, że muszą biadać i narzekać. Postanowiła ćwiczyć się w cierpliwości i wysłuchiwać ze spokojem tego, co mówią. Sama zapisała w dzienniczku: „Po co wciąż narzekać? Czyż nie lepiej uśmiechnąć się i radośnie znosić przykrości? Przecież życie zawsze obfituje i w to, co niesie radość, i w to, co sprawia cierpienie. To takie proste”.

Nie ustaje w pracy. Jest wciąż komuś potrzebna. Przyzwyczajono się do tego, że wszystko robi, załatwi, że nie ma wymagań, że jest jakby nie była, ale jest. Przywykli do tego i wysiedleńcy z Pakości, którym odstąpiono pokój, i znajomi i nieznajomi, którzy często szukają schronienia lub gościny w domu Kluzeków, i nowy członek rodziny, Lucjan Czerski, mąż Heli, i panie Stamirowskie z Warszawy. Nie zwracają uwagi na to, że Lala ostatnia udaje się na spoczynek, że śpi zwykle na podłodze przy drzwiach balkonowych, przez które przeraźliwie wieje, że pierwsza wstaje, bo chce być na mszy św., a poza tym musi zdobyć chleb oraz inne produkty, że nie zjada lecz łyka śniadanie i pędzi do pracy. Prawda, jeszcze przynosi wiadra z węglem z piwnicy na trzecie piętro. I po południu nie zawsze jest w domu. O to, dokąd wychodzi i co robi nikt nie pyta. Lepiej nie wiedzieć. Jest przecież nauczycielką, sodaliską i harcerką. Ma swoje sprawy.

— Panno Lalo, obserwuję panią co dzień od kilkunastu miesięcy, podoba mi się pani, cenię panią. Czy nie chciałaby pani zostać moją żoną? — zapytał syn państwa R. z Pakości.

— Ja? Cieszę się, że pan jest dobry. Ale — nie

mam zamiaru wychodzić za mąż. Proszę pomyśleć o kimś innym.

Mój Boże! Za mąż nie chcę, to nie dla mnie.

Klasztor? Też nie wiem, czy to dla mnie. Jedno wiem: chcę Cię kochać, kochać nade wszystko, chcę po prostu Ciebie, Boże! Ciebie samego! Zrobię wszystko, by Ciebie posiadać. Pomóż mi. Wprowadź na drogę dla mnie przewidzianą przez Ciebie. Maryjo, pomóż — modliła się Lalka co dzień, a zwłaszcza podczas dni skupienia, rekolekcji oraz ważniejszych wydarzeń w rodzinie, ojczyźnie i świecie. Bóg jak gdyby poprzestawał na ustawicznym wysiłku z jej strony, by Go szukać, miłować i posiadać pełniej — i nie spieszył się z wprowadzeniem jej na jakąś określoną wyraźnie drogę. Pozostawił ją na szerokim gościńcu, którym szła do Niego większość Jego dzieci. Była Mu tam potrzebna. Jako znak. Jako kompas, który wskazuje drogę, prowadzi, ostrzega, sprzeciwia się i nadal nieustrudzenie wskazuje właściwy kierunek i jedyny cel — Boga.

Lalka, szukająca pilnie woli Bożej dla siebie, uwierzyła w końcu, że ma żyć dla Boga na tym gościńcu, który zowią światem. Kochała zresztą świat. Kochała ludzi. I dobrych i złych. Pomagała im. Zwłaszcza młodzieży, którą uczyła i wychowywała. Kochała przyrodę. Kiedyś, np. pisała: „Lipy kwitną! Sliczne drzewa. Owady rojem jej obsiadły, uwiłają się wokół kwiatów, a za przysługę im wyrządzoną drzewo hojnie sokiem ich obdarza. Słodycz dają i cień, i zapach i radują oczy ludzkie. Lipy przypominają mi zawsze kobiety, które wiele dają z siebie. Mają w sobie słodycz, ale i moc, są ukojeniem i radością, są spokojem i pięknem. Każde z drzew przypomina mi jakiś typ człowieka, ale zawsze typ raczej dodatni. Lubię czasami porównywać ludzi do drzew”.

Urzeczona pięknem śladów Stwórcy w przyrodzie, zdumiewająca się często nad pięknem obrazu Bożego w człowieku, wołała jednak z całych sił: „Boże, ja Ciebie chcę, Ciebie samego”.

Dziwna natarczywość cechowała życie Lali, jakiś pośpiech i zachłanność w stosunku do Boga. On był osią jej życia, motorem i celem. Dlatego nie zagubiła

się w świecie, w codziennych jego drobiazgach, nie znużyła się szarzyną dnia powszedniego, nie upadła pod ciężarem obowiązków, ani też nie dała się unieść mamiłom laickiej cywilizacji.

Nie miała łatwego życia. Starła się nie okazywać na zewnątrz tego, co przeżywa. Przeżywała głęboko tragedię lat okupacyjnych, ze łzami patrzyła na zaplanowaną zagładę Polaków i współ z innymi wołała: „Jak długo, Panie..., ulituj się!”.

Przeżywała trudne problemy dydaktyczno-wychowawcze doby pookupacyjnej, bo tak bardzo chciała, ażeby Polska była silna Bogiem, ażeby budowała swoją przyszłość na fundamencie prawd ewangelicznych.

Przeżywała tragedię własnej rodziny, zwłaszcza bliźniaczej siostry, Heleny, którą obezwładniała *sclerosis multiplex*. Z troską patrzyła na jedyne go jej synka i opiekowała się nim jak matka. Zresztą nie tylko nim. Dla wszystkich miała siostrzane, matczyne serce. Była naprawdę jak chleb, który sam się dzieli, i chlebnym zapachem zaprasza do posilenia się aż do sytości.

Stwierdzają to wszyscy: rodzina, spowiednicy, koleżanki. I te z gimnazjum przy ulicy Franciszkańskiej, i te ze studiów uniwersyteckich, i te z sodalicji, harcerstwa, i z pracy. Także ludzie przygodni, np. z targu, ze sklepu, z miejscowości, w których odpoczywała. Nawet żebracy, zwłaszcza młody kaleka spod kościoła Dominikanów. Niektórzy żyją i mimo wielu lat pamiętają Lalkę Kluzek dobrze. Gdy mówią o niej — rozjaśnia im się twarz, stają się młodszy, radośniejsi. To, co mówią, można ująć w lapidarne zdanie: Lalka, to piękny człowiek.

Ach, jak boli, jak boli, jęczała cicho Lala w nocy z 14 na 15 października 1950 roku. A więc to znak, ostrzeżenie, że odejść muszę właśnie teraz, gdy Polska wolna, gdy pokochałam pracę wychowawczą, gdy — jak zdaje mi się — jestem potrzebna, jak nigdy, mamie, Heli, Jackowi... i przede wszystkim Markowi.

Dziękuję Ci, Boże, za ten znak. To łaska. Jestem gotowa. Ale daj mi łaskę takiej gotowości, na jaką Ty

z mojej strony czekasz. Znasz mnie i wiesz, że kocham życie, że tak bardzo wrosnięta jestem w doczesność. Ale Ty wiesz, że mimo wszystko tylko Ciebie chcę. Dziękuję Ci za to, że i Ty pragniesz już mieć mnie na wieczność.

Szpital w Gliwicach. Operacja. Cierpienie. Ciche, pogodne, apostołskie. Znowu tyle nowych serc ludzi cierpiących w cierpiącym sercu Lalki Kluzek. I z powrotem praca w szkole, jak gdyby nic się nie stało. I znowu choroba — łóżko, ale już w domu przy Kordeckiego 5, w pokoju, z którego widać obraz Czarnej Madonny.

Lekarze, pielęgniarki, lekarstwa, zabiegi i cierpienie, ból, który dusi i rozsadza klatkę piersiową, ból nie do opisanania... ból, na który otoczenie patrzeć nie mogło...

Lekarze, pielęgniarki, lekarstwa, mama, księży, Heła, Jacek, Marek, Lucjan, koleżanki, znajomi, rozmowy, nawet uśmiech i dowcip — i ból, ból nie do opisanania. Nie do zniesienia. Chyba, że w łączności z Tym, który już ten ból przecierpiał na krzyżu. Bo On wszystkie choroby nasze i bóleści nasze nosił... Dlatego tylko On wart cierpienia, tego nieklamane go sprawdzianu miłości.

Boże, przyjmij moje cierpienia — modli się Lala. Przyjmij to, że nie umiem cierpieć. Przyjmij moje pragnienie posiadania Ciebie... moje życie... oddaję Ci z miłości. Maryjo — nie zamykajcie drzwi, chcę wciąż patrzeć na Bożą Matkę i chcę, by Ona na mnie patrzyła — podtrzymuj mnie, stój ze mną pod krzyżem, uproś mi łaskę wytrwałości. Ty, któraś jak nikt, *sine exemplo*, podobała się Panu... uproś jeszcze łaskę dla Jacka..., niech się przełamie..., niech z Tobą idzie w życie... tak, jak ja — w wieczność.

Rodzina, koleżanki, znajomi, nie mogą patrzeć na nieopisane męczarnie Lali, modlą się, by Pan je skrócił, by już ją zabrał.

„Chcę już umrzeć” — wypowiedziała Lalka wyraźnie i utkwiała wzrok w obraz Częstochowskiej Madonny z Dzieciątkiem. Twarz jej się rozjaśniła uśmiechem zachwyty, rozprostowało się skurczone z bólu

ciało, opadła na poduszki, zamknęła oczy, na zawsze, na wieki. Posiadła Boga.

Dyżurujące koleżanki oraz rodzina trwała długo na modlitwie uczestnicząc w tym najważniejszym momencie życia człowieka, w spotkaniu z Bogiem.

Ksiądz Kurowski wychodząc z pokoju powiedział: „Umarła święta. Macie Anioła w niebie”.

*

*

*

„Panie, Ty widzisz, krzyża się nie lękam,
Panie, Ty widzisz, krzyża się nie wstydzę.
Krzyż Twój całuję, pod krzyżem uklękam,
Bo na tym krzyżu Boga mego widzę”.

K. Antoniewicz

...A co mówią dzisiaj ci, którzy pamiętają Lalkę?
Mówią, że Lalka swoje przeciętne życie przeżyła nie-
przeciętnie.

DRUHNA ZOSIA

— Druhna Zosia — przedstawiła nauczycielka wchodzącą do klasy harcerkę.

— Przyszłam z polecenia komendy chorągwi. Powiedziano mi, że wiele dziewczynek z waszej klasy, z innych zapewne też, pragnie być harcerkami.

— Tak, proszę pani.

— Jestem harcerką, proszę mówić do mnie *per* „druhna”. A dlaczego chcecie być harcerkami?

— Proszę druhnny, widzimy harcerzy, spotykamy zuchów, podoba się nam ich postawa, oni są trochę inni, tacy bardziej „na serio”, wiedzą, czego chcą, śpiewają ładnie... Na wczorajszej defiladzie trzecio-majowej szli równo, skandowali „hop—hop—hop”, chwyciło nas to za serce...

— Nie tylko nas. Mój tato powiedział, że łyzy miał w oczach, że poczuł się młodszy, a gdyby był młodszy — zaraz zapisałby się do harcerstwa.

— U mnie w domu to samo. Wszyscy zachwycają się harcerzami. Mówią że idea, która przyświeca harcerstwu, porywa cały młody świat. Cieszą się, że chcą zostać harcerką.

— Ja też się cieszę, że harcerze zdobywają w Polsce dobrą opinię. Które z was chcą być harcerkami?

Podniósł się las rąk. Druhna Zosia popatrzyła na zgłaszające się z miłością i powiedziała:

— Dwie trzecie klasy, wspaniale! Czy możecie przyjść jutro o godzinie 17 na pierwszą zbiórkę?

— Możemy!

Pierwsza zbiórka. Na sali gimnastycznej wrzało jak na jarmarku. Z chwilą, gdy weszła druhna Zosia, nastąpiła cisza. Oczy wszystkich utkwily wzrok w poważ-

nej, ale pogodnej twarzy młodej studentki I roku Uniwersytetu Jagiellońskiego, w harcerskim mundurze.

Padła komenda:

- Baczość! W dwuszeregu zbiórka!
- Cześć!
- Cześć!

Zaśpiewajmy:

Choć burza huczy wkoło nas,
Do góry wzniesmy skroń!
Nie straszny dla nas burzy, burzy czas,
Bo silną przecież, mamy, mamy dłoń!
Weselmy, druhny, się, weselmy,
Choć wicher żagle rwie.

— Spocznij. Przedstawimy się sobie. Jestem Zofia Krukowska. Po kolei podamy sobie dłonie, potem usiądziemy tak, abyśmy się widziały nawzajem i — porozmawiamy.

— Harcerstwo — zaczęła druhna Zosia — jest światową organizacją, związkiem, do którego należą tylko ci, którzy chcą całym sercem kochać, służyć oraz być wiernymi Bogu i Ojczyźnie. Harcerstwo stawia wysokie wymagania swoim członkom. Są one ujęte w 10 praw. Każde prawo obowiązuje. Odczytam wam Prawo harcerskie. Wstańcie. Baczość!

Prawo harcerskie:

1. Na słowie harcerza polegaj jak na Zawiszy.
2. Harcerz służy wiernie Ojczyźnie i dla niej spełnia sumiennie swe obowiązki.
3. Harcerz jest pożyteczny i niesie pomoc bliźnim.
4. Harcerz w każdym widzi bliźniego, a za brata uważa każdego innego harcerza.
5. Harcerz postępuje po rycersku.
6. Harcerz miłuje przyrodę i stara się ją poznać.
7. Harcerz jest karny i posłuszny rodzicom oraz wszystkim swoim przełożonym.
8. Harcerz jest zawsze pogodny.
9. Harcerz jest oszczędny i ofiarny.
10. Harcerz jest czysty w myśli, mowie i uczynkach, nie pali tytoniu, nie pije napojów alkoholowych.

— Spocznij! Usiądźcie. Otrzymacie Prawo harcerskie, wypisane na arkuszach, do domu. Każda pomyśli, czy ono jej odpowiada i sama zadecyduje o tym, czy wstąpi do harcerstwa. Odpowiedź na następnej zbiórce. A teraz posłuchajcie dalej, co powiem.

Droga do momentu, w którym składa się przyrzeczenie i zostaje w pełni harcerką, jest długa. Wymaga wysiłku, poznania siebie, pracy nad sobą, również pracy dla innych, wymaga ustawicznego pięcia się wzwyż, „by zdobyć szczyt ideałów, gdzie błyszczy harcerski krzyż”. Tej pracy będziecie się uczyły na zbiórkach zastępu.

Zastęp — to najmniejsza komórka Związku Harcerstwa Polskiego. Zastępy tworzą drużynę, drużyny — hufiec, hufiec — chorągiew, a na czele wszystkich chorągwi stoi naczelnik ZHP.

Harcerstwo posiada swoje własne pieśni i swój hymn. Ma także własne gry, zabawy, organizuje imprezy, wycieczki i obozy, na których harcerka zdobywa różne sprawności i stopnie. Przede wszystkim jednak zapamiętajcie sobie dzisiaj to, że harcerka jest wyjątkowo obowiązkowa i radosna, dlatego już na dzisiejszej zbiórce zaśpiewamy i zabawimy się wesoło. Napisałam słowa pieśni, posłuchajcie:

Płonie ognisko i szumią knieje,
Drużynowa jest wśród nas.
Opowiada starodawne dzieje,
Bohaterski wskrzesza czas.
O rycerstwie znad kresowych stanic,
O obrońcach naszych polskich granic,
A ponad nami wiatr szumi, wieje
I dębowy huczy las...
Już do odwrotu głos trąbki wzywa,
Alarmują ze wszech stron.
Staje wiara w ordynku szczęśliwa,
Serca biją w zgodny ton.
Każda twarz się uniesieniem płoni,
Każdy laskę krzepko dzierży w dłoni,
A z młodzieńczej się piersi wrywa
Pieśń potężna, pieśń jak dzwon.

— Podoba się wam ta pieśń?

— Bardzo! Proszę nas nauczyć...

— Dobrze, ale nie dzisiaj. Dzisiaj — zabawa. Zobaczymy, czy potraficie tak maszerować, jak zuchy na defiladzie. Schodzimy na dziedziniec. Ale zostawiamy idealny porządek na sali. Kazia i Stasia zamykają okna i drzwi, oddają klucze woźnemu.

Na dziedzińcu — chwila odprężenia, swobodnej rozmowy, potem komenda:

— Baczność, w dwuszeregu zbiórka! Odlicz! Dwójki w tył! Wyrównać! Za mną marsz!

Druhna Zosia, uderzając w blaszane pudełko drewnianą pałką, skandowała:

Hop, dziś, dziś, uśmiechnij się!

Hop, dziś, dziś, uśmiechnij się!

Gromada dziewcząt postępowała za nią, ale plątały im się nogi, skandowały niezbyt równo, za głośno. Druhna nie mówiła nic. Szła wytrwale, wybijała takt, patrzyła wzwyż, w zachodzące słońce. Dziewczętom wydawało się, że jest promieniem, że idąc za nią — dojdą do słońca. Kroczyły coraz bardziej zwarcie, skandowały coraz lepiej, rytmiczniej, wreszcie — zupełnie poprawnie.

— Stój! Stwierdzam, że mogą z was być harcerki. Jesteście karne, wytrwale i pogodne. Każda ma w tej chwili buzię, jak słoneczko. To dobra zapowiedź. Na dzisiaj wystarczy. Utworzymy kołokrąg, podamy sobie ręce, ja zaśpiewam, a wy będziecie się wsłuchiwać, potem — nucić bez słów.

Zaczęło się niezapomniane:

Idzie noc, słońce już

Zeszło z gór, zeszło z pól, zeszło z mórz.

W cichym śnie spocznij już:

Bóg jest tuż... Bóg jest tuż...

— Nie pójdziecie jeszcze spać. Musicie odrobić na jutro lekcje. Ale od dzisiaj będziecie odrabiać je inaczej. Pamiętajcie:

Bóg jest tuż... Bóg jest tuż... zanuciła druhna Zosia i podała komendę:

— Rozejść się do domu!

To było w maju 1924 roku w Krakowie.

A 19 sierpnia 1928 roku prasa podała wiadomość, że zginęły dwie najwybitniejsze pionierki taternictwa kobiecego, Zofia Krukowska i Jadwiga Honowska, mimo że do ataku na południową ścianę Ostrego Szczytu były najzupełniej dorosłe i przygotowane.

S. K. Zaremba, podając charakterystykę Zofii Krukowskiej, stwierdza, że „w taternictwie, poza zupełną samodzielnością, poza niezwykłym zapalem, cechowały ją takie zalety, jak opanowanie i spokój w obliczu niebezpieczeństwa, wytrzymałość na wysiłki fizyczne, a nadto tak cenne i sympatyczne dla wszystkich — pogodne i miłe usposobienie, owoc usilnej pracy nad sobą i głęboko etycznego światopoglądu”.

Szereg drużyn harcerskich przed i po wojnie obrało Zofię Krukowską za patronkę — bohaterkę (np. Kraków, Zakopane, Trzebinia). Nic dziwnego, wszak pisano o niej:

„Kto z nią nawet przez krótki czas obcował, musiał zdumieć się bogactwem jej duszy i pokochać ją za jej radosny pęd ku wyżynom, za jej wiarę w lepsze jutro zdobywane pracą i miłością, za dobroć serca, którą umiała budzić w drugich, szlachetne uczucia i świeże porywy. Jej dobroć nie była to cnota nieruchoma, lecz siła twórcza, krzepiąca i ujmująca każdego. Najlepsza córka i siostra, najwzorowsza uczennica w gimnazjum i na uniwersytecie, gdzie właśnie miała zdawać egzamin nauczycielski z filologii klasycznej, pierwszorzędna taterniczka, była przede wszystkim pionierką polskiego harcerstwa wśród uczennic szkół średnich i słuchaczek uniwersytetu” (IKC 12 IX 1928 r.).

„Harcerką była zawsze i wszędzie, także w taternickiej ścianie. Obrazuje to fotografia: W harcerskim mundurze, z plecakiem i liną taternicką. Jej koleżanki i koledzy ze studiów czy AZS wiedzieli, że Zosia wszystkie wolne chwile poświęca drużynie harcerskiej. Wierzyła bowiem, że w harcerstwie łatwiej niż gdzie

indziej wykrzesać można zapał do pracy nad sobą i dla innych, zwalczać ospałość i obojętność i nieść radość. Dlatego też niezmiernie pracowała nad wyrobieniem w sobie przymiotów potrzebnych instruktorom młodzieży: wytrwałości, wnikliwości psychologicznej, wyrozumiałości, pogody, uczynności.

Gdy dzisiaj, po 50 latach od jej śmierci, postanowiłam przedstawić jej sylwetkę żywą, prawdziwą, na próżno starałam się przypomnieć sobie, czy wyszukać w zachowanych kronikach drużyny, pojedyncze wypadki w jej postępowaniu, świadczące o chwilach słabości lub ujemnych cechach charakteru. Czyżby naprawdę pozostała wzorem realizowania w całym życiu przyrzeczenia i Prawa harcerskiego?"

Takim pytaniem kończy swe wspomnienia Zofia Rymarówna i sama, a z nią wiele innych osób, odpowiada:

Tak. Druhna Zofia Krukowska pozostanie na zawsze wzorem godnym naśladowania! Harcerka w pełnym znaczeniu tego słowa.

SŁODKA JÓZIECZKA

Umarła 10 lat temu, a poznałam ją 20 lat temu w Kościelisku koło Zakopanego.

Wychodziłam z kościoła nieswoja i spłoszona faktem, że znalazłam się na obcym terenie samiuteńka, gdy podeszła do mnie starsza, o zupełnie białych włosach pani, i z uśmiechem dobrej babci zaproponowała:

— Czy siostra nie zechciałaby zjeść ze mną śniadania? Mieszkam sama, nikt nam nie będzie przeszkadzał, a dla mnie to honor gościć zakonnicę. Nazywam się Józefa Misielak, popularnie „Słodka Józieczka”.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, wchodziliśmy do starego domu, w którym mieszkała. Najpierw kuchnia. Kuchnia — oranżeria i kuchnia — cukiernia, bo jak się okazało, pani Józia zarabiała na swoje utrzymanie wypiekaniem nieprzeciętnej jakości ciastek. Stąd — „Słodka Józieczka”.

Czy tylko dlatego „słodka”, że jej ciastka były słodkie? Nie. Ona sama była słodka tym gatunkiem słodyczy, o której mówi Pismo święte o Bogu: „Skosztujcie i zobaczcie, jak słodki jest Pan”.

W kuchni idealny porządek. Wszystkie gary, garnki i garnuszki błyszczą, stolik przykryty czystą serwetką dla tych, którzy chcą zjeść ciastko gawędząc z gospodynią. Ale takich jest niewiele. Raczej pakują ciasteczko od razu do buzi, lub zabierają ze sobą. A poza tym pani Józieczka nie ma czasu, bo piecze na wesela, na chrzciny, imieniny i na inne okazje. No i jest już niemłoda, ma po siedemdziesiątce.

Pokój pełen mebli i różnych rzeczy, co najmniej z dwóch pokoi, ale wszędzie ład i czystość, i kwiaty. Na werandzie również kwiaty. Pod werandą i pod oknami również kwiaty. A wśród tego wszystkiego naj-

piękniejszy biały kwiat o niezapominajkowych oczach i wiosennym uśmiechu — pani Józia.

W rozmowie przy śniadaniu okazało się, że pochodzimy z tego samego miasta, z tym, że pani Józeczka wyjechała z niego 20 lat przed moim urodzeniem. Doszukałyśmy się wspólnych znajomych: kościoły, szkoły, gmachy urzędów, koszary, dyrekcja kolejowa, wreszcie ulica i sklepy. Wszystko ożyło, jak na filmie.

Zobaczyłam nagle starego Herszka z wnuczką Gizą przed wielkim sklepem i rudego Treisera, jak szarpiąc brodę tłumaczył swojemu Moszkowi, że porządny Żyd nie bierze w szabat ołówka do ręki. Zjawił się i Sipser za ladą pełną mięsa, i Weisman, i Majorko, i Fridman — osobistości, które moja dwunastoletnia pamięć zarejestrowała na różowej karcie konta „ma”. Nie wiem, czy to byli ludzie naprawdę zacni, czy też moi rodzice nauczyli mnie tak na nich patrzeć. A może i jedno i drugie. Wszak w momentach krytycznych tapczan, na którym spałam, wyładowany był świętymi księgami. Co się z nimi stało po likwidacji getta? Nie wiem, bo i nas wydalono z terytorium ukochanego miasta.

Pani Józia stanęła od razu na słusznych, według jej mniemania, pozycjach: ma siostra poważnie zagrożone płuca, wygląda chuchrowato, zlecono siostrze tu poważne zadanie, wraca siostra do ciężkiej pracy, a więc trzeba zadbać o siebie: od dzisiaj będzie siostra przychodziła do mnie na obiady. Stołuję dwie siostry i księdza. Oni przychodzą o 12.30, a siostra przyjdzie o godz. 14, wtedy spokojnie zjemy obiad we dwie, **babcia** z wnuczką — zakończyła z uroczym uśmiechem.

Wymawiałam się, ale nic nie pomogło. Przychodziłam. Były to chwile miłe, tym bardziej, że mieszkałam zupełnie samotnie. Modliłyśmy się jak w klasztorze, jadłyśmy z apetytem, a potem było czytanie Pisma świętego z komentarzem, wymianą myśli i chwilą cichego rozważania.

Wychodziłam od mojej dobrodziejki nakarmiona i co do ciała, i co do duszy. Podziwiałam głębię jej myśli i działającą w niej łaskę. Bóg był dla niej tak bliski, jak powietrze, którym oddychała, i tak kon-

kretny, jak produkty, z których wydziwiała smakołyki, i jak kwiaty w jej mieszkaniu. Karmiła się Nim codziennie podczas rannej mszy świętej, rozważała Jego tajemnice w różańcu i często adorowała Go w kościele, a zawsze — w swoim sercu.

Powiedziała mi kiedyś, że dziękuje Panu Jezusowi za to, że nie wyszła za mąż, że tylko z Nim szła przez życie.

To była i jest moja droga, moje powołanie — snuła swe myśli — nie wiązać się z nikim, być całkowicie oddanym narzędziem, tylko narzędziem, w rękę Boga. Dobre narzędzie jest zawsze do dyspozycji, może być użyte wtedy, kiedy Bóg chce, i do takiej pracy, którą On chce, by była wykonana, i — najważniejsze — narzędzie wykonuje wszystko tak, jak Bóg chce, według Jego woli i Jego upodobania.

— A więc nie myśli, nie pragnie, nie posiada swojej woli...

— O, nie! Człowiek — narzędzie myśli i posiada swoją wolę, ale tak kocha Pana Boga, tak się z Nim jednoczy, że myśli tak, jak On, i chce tylko tego, co On.

— Jak pani to robi?

— Zwyczajnie. Na przykład: Poszłam na rentę. Przeniosłam się tu, blisko kościoła, bo jestem coraz starsza. Piekę ciastka, bo chcę mieć kontakt z ludźmi, choćby przez uśmiech, a poza tym lubię pomagać drugim, a na to renta nie wystarczy. Zawsze, chociaż na ogół dobrze jest dziś ludziom, są tacy, którym trzeba dodać. I to cichutko, dyskretnie. Na przykład w seminarium duchownym, albo w nowicjacie zakonnym, albo w rodzinie, gdy choroba dom nawiedzi. Zawsze jest okazja, trzeba tylko chcieć i trzeba widzieć przez Pana Jezusowe okulary.

Wyjeżdżałam z Kościeliska pełna sił i radości. Korrespondowałam z panią Józią.

Po kilku latach spędziłam znowu tam wakacje, ale w zorganizowanym już domu zakonnym. Kluta zastrzykami leżakowałam na plebanijnej werandzie. Pani Józia przysyłała mi codziennie świeże ciasto, czasem przynosiła trochę miodu lub śmietany, a rano po mszy świętej obdarowywała mnie łagodnym uśmiechem i cy-

tatem z Pisma świętego, który dla mnie — otwierając je na „chybił — trafił” — Duch Święty na dany dzień przeznaczył.

Przychodziłam czasem do jej mieszkania. Wspominałyśmy starą kolegiatę, w której odbył się pogrzeb Wołodyjowskiego, kościół Jezuitów, dom, w którym mieszkała, mnie znany już jako dom Panien Zytek, park Romaszkana ze stawem, na którym tak ona, jak i ja ćwiczyłyśmy piruety na łyżwach... Czasem wybiegałyśmy w przyszłość.

— Nie boi się pani starości?

— Nie. Jestem stara już od 20 lat. Jesień i zima mogą być i na pewno są też piękne, trzeba tylko siebie dostosować do tych pór swego życia. I trzeba wierzyć w wiosnę, która po tym nastąpi. W wiosnę, która się nie kończy i jest pełna owoców przeżytej łaski.

*
* *

W ostatnim liście pani Józia pisała:

„Siostrzyczko droga, pozałatwiałam — wydaje mi się — wszystko, a zarazem wszystko zdałam na Pana. Znaleźli się ludzie, którzy zobowiązali się zająć mną, gdy już sobie sama nie poradzę. A ja tulę się w Sercu Jezusowym, jak kiedyś w łonie matki i cichutko czekam na swój dzień narodzenia się do wieczności, na ową wiosnę, o której mówiłyśmy. Proszę modlić się, bym nikomu nie zamąciła ani chwili swoim przejściem do domu Ojca.

I proszę wciąż dziękować Bogu za to, że był dla mnie tak bardzo dobry. Niech siostra zapamięta, że Bóg z a w s z e jest Miłością. I — że kocha siostrę. Do zobaczenia w niebie”.

*
* *

Chcesz coś więcej wiedzieć o „Słodkiej Józeczce”?
Zapytaj w Kościelisku.

KUNDUSIA

Na szlaku z Suchej Beskidzkiej na Babią Górę, jest górski amfiteatr. Zza kulis tego teatru wypływa rwący potok Stryszawka — niemilknący nigdy fortepian w wielogłosowej orkiestrze. Prym w niej wie dzie poszum świerków i chór ptaków, zwłaszcza kosów i słowików. Czasem wiatr halny włącza wszystkie instrumenty iglasto-liściaste w koncert na cześć wszechmocnego Stwórcy. Słyszać wtedy modrzewiowe smyczki, harfę brzozy i gitary osik, flety i fujarki różnych krzewów, traw i łąk. Czasem milknie wszystko, bo — gra Stwórcza na organach gór... Wtedy się ucisza nawet pyszna wiolonczela o tysiącu smykach wierzby, która płacze, a bukowe i dębowe lasy głośzą szybko echa swych melodii... Drżą gitary osik tylko... Stwórcza gra... i gra... i — nie przestaje. On melodię swej Miłości tu wygrywa. Tej Miłości, która powołała świat z niebytu... i melodię gra upodobania, gdy sam „lepił” praczłowięka... i melodię gniewu, gdy grzech zjawił się na ziemi..., miłosierdzia, gdy posyłał Syna na ten padoł płaczu... i melodię troski, którą świat obmywa, leczyc i uświęca... i melodię groźby za niewierność... i nadziei i oczekiwania na dzień, w którym przyjdzie sądzić żywych i umarłych.

Amfiteatr, pełny lasów, ptaków, długo potem nie gra. Zasluchany w koncert Stwórcy milczy, kontemplanuje i uwielbia Mistrza,

„...co wszystkie duchy wziął do chóru
I wszystkie serca nastroił do wtóru,
Wszystkie żywioły naciągnął jak struny:
A wodząc po nich wichry i pioruny,
Jedną pieśń śpiewa i gra od początku:
A świat dotychczas nie pojął jej wątku.

Mistrz, co malował na niebios błękiecie
I malowidła odbił na tle fali,
Kolosów wzory rzezał na gór szczycie
I w głębi ziemi odlał je z metali:
A świat przez wieków tyle, z dzieł tak wiele
Nie pojął jednej myśli twórcy.

A. Mickiewicz

Potem tylko wody Stryszawki usiłują na klawiszach kamieni, które pospadały spod Bożych palców, uwiecznić fragmenty Jego utworu. Dlatego każdy, kto przechodzi przez mostek dzielący Stryszawę od amfiteatru zwanego Siwówką przystaje, by zapisać na pięciolinii swego serca jakąś frazę koncertu, którego kompozytorem i wykonawcą jest Bóg.

Na scenie amfiteatru „Siwówka” od wieków ta sama sztuka. Jej tytuł: „Życie”. Aktorów niewielu. Młodzi i starzy. Mężczyźni i kobiety. Mieszkają w chatkach. Najpierw kurnych, potem z kominami od kafłowych pieców. Bo rzecz dzieje się lat 100, 80 i 20 temu. 100 lat temu — chat nie wiele, siedem tylko. Jedna duża, stara, co nie miała ani ojca, ani matki, bo tu była pierwsza.

W niej, jak w Betanii za Jordanem, żyje troje młodych ludzi: Kunegunda i Zofija, i brat obu — Michał. Było ich tam więcej, ale poszli na swoje. A ci — iść nie chcieli z chaty. Żyli z wiary i uczciwie dla wiary, tak jak Bóg kazali. Bo to On gazdował nad ich chatą i duszami.

A Kundusia, ta „od Siwca”, jak ją nazywano, tak jak wiele dziewczyn, ani ładna ani brzydka, pracowała w gospodarstwie tydzień cały, a w niedzielę biegła w takt Stryszawki w dół do środka wsi, by zatrzymać się w kościele i przeżyć tajemnicę nad tajemnicami razem z Panem, który nieustannie ją odprawia. Nie wiedziała i nie rozumiała wiele, bo to było po łacinie, ale sercem, wiarą, była blisko Pana. On ją wtedy był już dojrzał — zresztą znał ją już od wieków — i wziął w dłonie, by przedstawić Ojcu. Tylko ona o tym nie wiedziała.

Aż raz wczesną wiosną 1896 roku zjechał do Stryszawy kulawy misjonarz, ojciec Bernard Lubieński. Jak to było — nie wiadomo. Fakt jest faktem, że Kundusia odtąd powiedziała sobie: Będę służyć tylko Bogu. Gdzie? W Stryszawie, na Siwcówce, w swoim domu. Jak? Zwyczajnie. Tak, jak dotąd, ale — inaczej, aniżeli dotąd. A dlaczego? Bo Bóg tego pragnie. Ona, Kundusia Siwiec, przylgnie do Niego i będzie Mu sprawiać radość każdym uderzeniem serca.

W takt Kundusowego serca bić zaczęło także serce siostry jej, Zofii, i Michała, brata obu.

Bóg zakochał się w melodii tego „trio”. Sam palcami swymi wydobywał ze strun duszy tony, których aniołowie ani święci nie słyszeli, sam zestrajał instrumenty, by nie było fałszów, i by utwór, zwany życiem, był wspaniały.

Kundusine serce było czułe, jak skrzypcecki wyciosane z lipy. Pan grał na nich chętnie, nawet wtedy, gdy jęczały z bólu. O, bo Pan potrafi obdarować czasem kogoś tym, co przeżył tu, na ziemi. A Kundusia chciała być podobna do swojego Oblubieńca, chciała przeżyć to, co On, i tak jak On. Wciąż zgadzała się na więcej łaski, która zamieniała życie jej na życie Jego. Że bolało, i to bardzo, to nieważne. Boleć musi, gdy się ma coś rodzić. Radość zawsze jest po jakiejś śmierci. Takie prawo. Przyjął je i Pan, gdy żył na ziemi.

Cóż to zresztą znaczy wobec tego, że Pan mówi do niej, że miłuje ją tak bardzo, że objawia jej samego siebie? Ona słucha, słucha tak, że nic innego już nie słyszy i nie czuje, chociaż cierpi. Nieraz — strasznie.

A co słyszy?

Słyszy jak Pan mówi do niej:

„Wybrałem cię na miejsce mego miłosierdzia i mego odpoczynku”.

Mnie? — pyta Kundusia, mnie, która ani czytać, ani pisać nie potrafię, mnie, biedną wiejską dziewczynę?

„Tak” — Pan odpowiada — „Zajmij się tylko miłowaniem mnie i zbawianiem dusz”.

„Tak umiłowalem grzeszników, że cierpiałem do ostatniej kropli krwi. Tobie oddałem serce moje, byś

mnie moim sercem kochała... Córkę moja najmilsza, schowaj mnie do serca swego przed grzesznikami. Miłość wzgardzoną ofiaruj Ojcu Niebieskiemu, aby wyprosić miłosierdzie Boże. I łzy moje ofiaruj Ojcu Niebieskiemu przez Matkę moją, dla wyjedna-
cia miłosierdzia. Wiele, dużo dusz można zbawić przez to. Swoje krzyże i cierpienia łącz z miłością moją. Ładość mi sprawia także ofiarowanie miłości wzgardzonej — i wynagradza”.

Kundusia pragnie wynagradzać Bogu za grzechy innych ludzi, ale martwi się swoimi. Mówi o tym Panu Jezusowi. On jej odpowiada:

„Upadki twoje giną, jak krople wody rzucone na ognisko w Bożym Miłosierdziu moim”.

„Nie należy przejmować się ani przeszłością, ani przyszłością, bo to stwarza niepokój”.

„Bądź cierpliwa, łagodna, uprzejma wobec wszystkich. Ja jestem zawsze z tobą, z tobą się modłę, pracuję, cierpię i zawsze z tobą pozostaję. Bądź spokojna i ćwicz się w pokorze i cierpliwości... Pamiętaj o obecności Bożej... Wstrzymuj się od wielomówstwa... Każdy dzień uważaj jakby był ostatnim...”.

„Obierz Matkę moją najmilszą jakby za rodzoną i we wszystkim do Niej się udawaj”.

„Pragnę takich dusz, które by zapełniały miejsca opróżnione w niebie. Za wzgardę mojej niepojętej miłości jest w piekle kara niepojęta. Gdy przyjdiesz do nieba, zobaczysz miejsca opróżnione. Za jeden akt żalu, miłości, można się zbawić, a przecież wiele dusz idzie na potępienie, pomimo łatwego sposobu”.

Wszystkie struny serca Kundusi zamarły. Na potępienie idą ludzie, którzy gardzą miłością Boga... Więc trzeba, by ktoś kochał za tych ludzi. Trzeba kochać za drugiego, za dziesięciu, za stu, za miliony. Trzeba dawać dowody tej miłości. Jak? Przez co?

„Przez miłość w cierpieniu” — słyszy Kundusia.

Rozdźwięczały się wszystkie struny Kundusinej duszy, i Kundusia wyśpiewała Bogu najwspanialszy utwór — tak jak Maryja w Nazarecie — swoje „tak” na wszystko, co Bóg ześle.

Bóg je przyjął, bo mniej pustych miejsc będzie już w niebie.

A Kundusia? Modli się, pracuje, myśli, wreszcie pyta: „Czy nie zechciałbyś, o Jezu, przyjść tu na Siwcówkę?”

Pan nie odpowiada zrazu, ale potem sam — Kundusia widzi to wyraźnie — schodzi na siwaczańskie wzgórze, obejmuje wzrokiem „amfiteatr” i powiada, że nie tylko przyjść, ale i pozostać pragnie tu na zawsze.

„Tu jest miejsce mego spoczynku i stąd szerzyć będę moje miłosierdzie na cały świat” — przekazał Pan Kundusi, zalał cały „amfiteatr” światłem z nieba i pozostał w jakiś nadzwyczajny sposób, aby razem z siwczanami wybudować sobie dom. Stał dom. Drewniany, duży. I kaplica. Także duża, jak na owe czasy. A w niej ołtarz, tabernaculum dla Pana, z dachem jak siwaczańskie chaty, nad nim obraz duży — możesz tam pojechać i zobaczyć na nim to, co pojawiło się w Kundusi oczach po widzeniu Pana: święta Teresa od Dzieciątka Jezus, zrzucająca róże łask na wzgórze i domostwa Siwcówki.

Co w tym domu będzie?

Klasztor. A w nim zakonnice, które zajmą się młodzieżą, dziećmi, zwłaszcza sierotami. Będą dla Siwcówki, dla Stryszawy, bo tu wiele biedy, nędzy, grzechu, brudu.

Kto by jednak chciał zamieszkać i pracować za górą, za lasami, tam gdzie ani drogi, ani sklepu, ani światła, gdzie dzik częstym gościem, wycie wilków w nocy słychać, śnieg po głowę?

Oj, nie było chętnych. Z czego żyć? Czy z uprawy roli? Ależ tu się nic nie rodzi, nawet grule marne.

Jednak przyszły. Zmartwychwstanki. Na początku było jak na misjach: głodno, chłodno, pusto. Potem rozświergotał się dom cały głosem dzieci, było coraz cieplej, ludniej, a już raj zaistniał na Siwcówce, gdy Pan Jezus przybył i zamieszkał w domku z dachem jak siwaczańskie chaty. Mieszka tam i dzisiaj gazduje „se” jak dawniej. To Kundusi sprawa. Ona czuwa nad

tym, by innego gazdy tu nie było. Czuwa nad domami i polami, czuwa nad zakładem, który ją kosztował wiele, bo płaciła nie pieniędzmi, lecz cierpieniem. Tak chciał Pan, który także za nas płaci Ojcu krzyżem.

Pan tak mówił wówczas do Kundusi:

„Im więcej cierpisz, tym większą radość mi sprawiasz. W sercu twym obrałem tron, aby z tego tronu szerzyć miłosierdzie, i to na cały świat, bo ja jestem potęgą. Ile zapragniesz dusz zbawić, tyle możesz zbawić. Mów z innymi o mojej miłości i pragnieniu zbawienia dusz, o wierności nigdy się nie kończącej.

Umiłuj cierpienie. Ucałowałem krzyż, tak i ty umiłuj cierpienie, którym nawiedzam cię dla twego dobra i dla mej chwały. Żal mi ciebie, że cierpisz, ale złączone cierpienia twoje z moimi zbawiają dusze”.

Cierpienia Kundusi były wielkie. Przez 14 lat nie opuszczała łóżka — swego krzyża. Medycyna zawodziła i często pogarszała stan choroby. Kundusia leżała bez ruchu, cichutko, nie skarżyła się. Nie mogła jeść, nie mogła spać, miała krwotoki wewnętrzne, nie mogła zmienić pozycji, mogła tylko zbawiać dusze. Tym, którzy do niej przychodzili, a było ich wielu, odpowiadała na pytania, dawała rady, o sobie nie chciała mówić. Zapytana o to, czy bardzo cierpi, uśmiechała się zwykle, potem mówiła z prostotą, że tak, że cierpi bardzo.

Byłam u Kundusi. Nic nadzwyczajnego, chociaż tyle „cudów” usłyszałam o niej. Leżała w śnieżnej pościeli, w swojej chacie, przy niej siostra z różańcem w ręku. Uśmiechnęła się do mnie, jakby była najszczęśliwszą osobą na świecie, i wypowiedziała przedziwne słowa. Spełniają się teraz. Dopiero teraz po 20 latach je rozumiem. Oby spełniły się do końca. Wysłam od niej, jakbym się dotknęła Boga.

Umarła 27 czerwca 1955 roku w dniu Matki Bożej Nieustającej Pomocy, której obraz czciła w szczególny sposób. Zwłoki złożono na stryszawskim cmentarzu, a duch pozostał wśród swoich.

Kundusia żyje w pamięci starych i młodych, niektórzy modlą się do niej. Siostry też. Ja także, czasem.

Mówią o niej, że pokazuje świętej Teresie, patronce siwczańskiej osady, gdzie, kiedy i na kogo na ziemi ma spuścić deszcz swoich róż. Może to i prawda, bo święta nigdy się nie myli.

O, Kundusia znała i zna swoich!

I dobrze odegrała rolę swoją na deskach siwczańskiego amfiteatru w niekończącej się sztuce życia.

PIOTR I MARIA

„Było to rodzeństwo niespotykane. W naszej grupie nazywano ich «świętymi»” — pisze koleżanka z ławy licealnej.

Marysia i Piotr byli bliźniętami i jedynymi dziećmi w rodzinie lekarskiej. W roku 1963 ukończyli 17 rok życia i X klasę w liceum pedagogicznym. Uczyli się celująco.

Piotr pisze do księży werbistów w Pieniężnie 5 maja 1963 r.: „Już po trzecim okresie, po wywiadówce... Na trzeci okres mieliśmy te same stopnie z Marysią. W nagrodę za te stopnie wysłał nas tatuś do Wisły na 6 dni. Zrobiliśmy kilka zdjęć, ale nie wyszły. Wysłałyśmy jedno, najlepsze jeszcze ze wszystkich. Teraz będzie nas miał Wielebny Ojciec razem”.

Marysia dopisuje w tym liście: „Bardzo dziękuję za wiadomości misyjne o siostrze Bernardynie. Zachęcający przykład! Siostra Bernardyna była jednak artystką malarką, a ja najchętniej pracowałabym wśród trędowatych. Mówiłabym im o Bogu, o Matce Najświętszej i świętych. Dzieciom urządzałabym przedstawienia o malutkim Jezusku, a w maju odtwarzałabym z dziećmi dla wszystkich ludzi „Żywy różaniec”.

Miesiąc później — 6 VI 63 r. pisze Piotr: „Już tylko 17 dni „czystej nauki” pozostało nam do końca roku, oby dobry Bóg zechciał pobłogosławić! Na początku lipca chcieliśmy odprawić rekolekcje zamknięte. Bardzo prosimy o kilka rad i wskazówek na ten czas. Czy i jak można odprawić spowiedź z całego życia. Czy może czekać, aż przyjdziemy do Was...?”.

Po przeczytaniu wiadomości misyjnych, mówiących o wielkim braku misjonarzy na misjach, Piotr odpisu-

je: „Teraz będziemy wiedzieli, o co się modlić przede wszystkim. Jak dotychczas — modliliśmy się za misjonarzy i misjonarki, ale nade wszystko, żeby bardzo dużo dusz odnalazło Chrystusa. Teraz będziemy prosić przede wszystkim o «robotników na żniwo»... Muszę jeszcze odmówić nieszpory i kompletę”.

Trzy tygodnie później 25 VI 1963 r. Piotr pisze znowu: „Rok szkolny kończy się dopiero 29 VI, ale my z Marysią wyjeżdżamy już 27 VI do Nowego Sącza na ćwiczenia szybowcowe. Nigdy nie byłem leniwy, ale w tym roku nie chce mi się jakoś jechać na ten kurs. A będzie to już ostatni odcinek, ponieważ jesteśmy w kl. «B» i w tym roku idziemy do klasy «A». Ukończenie tej klasy daje dyplom pilota samolotu handlowego lub pasażerskiego.

Wczoraj odbyła się w naszym liceum konferencja klasyfikacyjna. Mamy z Marysią tę samą sumę ocen, tj. na 15 przedmiotów 14 punktów, z tym, że Marysia ma stopień «dobry» z PW, a ja mam stopień «dobry» z rysunków. Reszta stopni są «b. db». W nagrodę mieliśmy pojechać do Lipska do NRD na dwutygodniową wycieczkę od 2 do 20 sierpnia 1963 r., ale grzecznie odmówiliśmy. Rodzice nagradzają nas za wyniki w nauce, a my przecież mamy cel, dlatego nauka jest nam przyjemnością, idzie nam dobrze. Rodzice widać domyślają się o naszych zamiarach, bo czynią tak, jak by chcieli powiedzieć «patrzcie, świat jest taki piękny, a wy macie zamiar zrezygnować z tytułu przyjemności, jakie on wam dać może». Dlatego też starają się nas zająć różnymi światowymi zajęciami, choćby te szybowce... W domu nic nie możemy robić, bo zaraz słyszymy: «A to gosposia robi». Ale my robimy swoje. Rodzice są ciągle zajęci, więc nie widzą, czy my zmywamy naczynia, czy gosposia. Przecież to będzie nam potrzebne na misjach!

Jeszcze jedna sprawa nas dręczy. Z obecnego pokolenia naszego zostaliśmy tylko w dwójkę. Z dziada pradziada są w naszej rodzinie lekarze. Co do nas, rodzice również mają nadzieję, że pójdziemy na studia medyczne... Może, zresztą na pewno, z Bożą pomocą i z pomocą Przewielebnego Ojca zdołamy rodzicom

wytłumaczyć, że wolimy zostać «łowcami dusz» i ich pasterzami.

Mamy z Marysią świetnego spowiednika. On nas zna od podszewki i mamy u niego «mir». To nam bardzo pomaga. Chodzi mianowicie o książki o tematyce religijnej. Nie było od kogo pożyczać i właśnie ostatnio Marysia zakomunikowała mi, że nasz ks. X. będzie nam pożyczać książki. Marysia dostała książkę pt.: «Mały kwiatusek misyjny». Płacze, czytając tę książkę. Ja natomiast dostałem maszynopis «Alumn na wakacjach». Miałem kiedyś powieść o tym samym tytule, ale to jest coś innego. Pierwsza część nosi tytuł: «Niebezpieczeństwo», druga «Środki zaradcze», trzecia: «Cnoty», czwarta: «Święty». Robię z tego notatki, na pewno się przydadzą...

Teraz właściwie nic nie robimy, jeździmy na skuterach, gramy w ogrodzie w siatkówkę, czytamy książki. Teraz mamy wiele czasu na modlitwę. Modlimy się dużo za misje, misjonarzy i misjonarki, za to, by było kogo nauczać i by było gdzie nauczać...

Proszę dopiero wtedy do nas napisać, gdy podamy adres z Nowego Sącza.

Piotr i Marysia”.

To był ostani list Piotra z domu rodzinnego. Po trzech tygodniach bliźniacy przysyłają pierwszą wiadomość z Nowego Sącza. Jest to widokówka — fragment zamku z około 1350 r. — tej treści: „Serdeczne pozdrowienia z lotniska N. Sącza zasyłają Piotr i Marysia”. Data 18 VII 1963 r.

Odpowiedź z dnia 20 lipca brzmiała: „Pocztówka z N. Sącza jest dla mnie wyraźnym dowodem, że jeszcze żyjecie i nie złamaliście skrzydła ani szybowcowego, ani własnego z kości. Bo moralne skrzydła waszej duszy są mocne — o nie się nie obawiam, byście je mogli uszkodzić. Właśnie mocne skrzydła waszych młodzieńczych dusz pomagają wam w tym, że potraficie się wyżej unosić w przestworzu, bliżej Boga, niż to szybowiec potrafi osiągnąć. Zazdroszczę wam, że możecie się odrywać od ziemi i sunąć drogą powietrzną w skupieniu, duszą rozmodloną, jak w świątyni, któ-

rej sklepieniem jest niebo, szybowiec wasz jest ołtarzem, świecami na tym ołtarzu gwiazdy, a kapłanem jesteście wy, ofiarą jest wasza radość i wdzięczność serca wobec Boga, którego dobroć nie ma granic.

W sprawie Waszej przyszłości, która z tradycji przeznaczona jest na lekarza, to właśnie w Waszym powołaniu misyjnym osiągniecie wasz ród swój wspaniałą rozwoj i ukoronowanie. Będziecie lekarzami dusz, co jest więcej, niż być lekarzem ciała. O tyle więcej, im dusza przewyższa ciało. Ale na misjach potrzebna jest i wiedza medyczna dla ciała. Tego się jeszcze nauczycie w trakcie studiów u nas. Na misjach będziecie lekarzami duszy i ciała. Zatem bądźcie spokojni! W modlitwach polecajmy sprawę Bogu. On się upomni o was u waszych kochanych Rodziców i wzmocni Ich, aby mogli ofiarę ze swoich dzieci złożyć na ołtarzu misyjnym”.

Piotruś odpisuje już 24 lipca:

„Mój pobyt tu należy do bardzo przyjemnych chwil w moim życiu. Dzień wypełniony jest różnymi zajęciami i wykładami z mechaniki, pilotażu itp. Oprócz tego bardzo blisko jest kaplica, do której chodzę codziennie na mszę św. o godzinie 7 rano, a o godzinie 19 na nabożeństwo wieczorne, w wolnej chwili na drogę krzyżową i rozmowy z Panem Jezusem. Tam zapominam o wszystkim i o wszystkich sprawach dnia i tam jest mi tak dobrze z moim Jezusem. Czuję się wówczas taki bardzo szczęśliwy. Okolica i cały Nowy Sącz jest bardzo piękny. Przyroda tak bardzo zbliża do Boga. Najlepiej rozmawia się z Jezusem w lesie, wśród tej ciszy, z dala od ludzi i gwaru miasta.

Kiedy pomyślę, a myślę bardzo często, że jeszcze tylko dwa lata na tej światowej wolności, to aż mi się wierzyć nie chce. Nie wyobraża sobie Przewielebny Ojciec, jak bardzo chciałbym już być w klasztorze, w tym upragnionym miejscu! Jak dobrze, że to jeszcze tylko dwa lata! Ale przez ten czas muszę wiele nad sobą popracować, muszę się wyzbyć tego, co Panu Bogu jest niemiłe, muszę pokonać wiele moich słabości — a to nie jest tak łatwo...

Bardzo dziękuję za wiadomości o ojcu Henryku.

Tragiczna wiadomość, zginął w Nowej Gwinei, ale jakże realna! Ilu z nas wsiada do maszyny, by już z niej nie wyjść. Dopiero wczoraj odwieźli kolegę do szpitala. Przyjechało nas tu dziesięciu, a jest dziewięciu...

Marysia nie pisze tym razem, bo coś tam pierze. Tu w kasynie są dobre warunki, nie głodzą nas, dbają o nas, ale sama praca ciężka. Ja tylko podziwiam dziewczęta, jak one podołają! Aby już być w Pieniężnie! Z miłym pozdrowieniem!

Piotr i Marysia”.

Z początkiem sierpnia widokówka ze Szczyrku, pow. Bielsko-Biała, donosi:

„Korzystając z urlopu wyjechaliśmy do Szczyrku, gdzie odpoczywają nasi rodzice. Stąd też przesyłamy moc pozdrowień... Listy prosimy kierować pod znanym adresem. Piotr i Marysia — 5 VIII 1963 r.”.

Jest to ostatnia poczta, na której figuruje podpis Marysi. Na tej widokówce kończy się nagle korespondencja z przyczyn niewiadomych. Dopiero trzy miesiące później list Piotra wyjaśnia grozę całej sytuacji.

Piotr pisze ze szpitala 18 XI 1963 r.

„Proszę mi wybaczyć tak długie milczenie, ale obawiam się, że zamilknę na zawsze. Przypomina mi się list Ojca pisany do mnie do Nowego Sącza: «Nie połamcie skrzydeł!». Nie zdawało mi się to realne, ale teraz stało się. Uległem ciężkiemu zranieniu: przez wiele tygodni leżałem w gipsie. Niedawno zdjęto mi gips i zaraz pospieszyłem napisać do mego Ukochanego Ojca. Tu w szpitalu, na tym okropnym łożu boleści, ufam, ufam tak, jak nigdy dotąd, że moi Rodzice, moi biedni, kochani Rodzice, wrócą do Boga.

Muszę się przyznać, że długo modliłem się o cierpienie i teraz je mam. Jestem taki szczęśliwy. Lekarze się dziwią, że nie narzekam, nie płaczę, nie krzyczę. Ale to przecież łatwe: powiem: Jezuniu, przyjmij moje cierpienie, nawróć moich Rodziców — a bólu nie czuję

w ogóle! Dobry Bóg zesłał mi te krzyżyki, które dają mi tyle szczęścia. Cieszę się ogromnie, że moi kochani Rodzice nie są już przeciwni wierze katolickiej. Obiecali mi, że jeśli wyzdrowieję, to po ukończeniu liceum będę mógł wstąpić do Waszego Zgromadzenia, które jest przecież i moim. Ale ja wiem, że już... Choć zdjęto mi gips, jest coraz gorzej i wiem, że Bóg chce mnie mieć u siebie... Dobrze, że teraz, kiedy tak bardzo ukochałem moje dobro, Dobro Nieskończone! Cały dzień jestem z moim Zbawicielem. Trzy razy miałem sen — nie chcę powiedzieć, że widzenie, bom niegodny tej łaski! Sen taki słodki i jasny. Długo nie byłem obecny wśród świata. Moi Rodzice biedni bali się o moje życie. Nie chcę Im powiedzieć o tym, że Pan Jezus zawołał mnie do Siebie, gdyż wielka byłaby ich żalność po mnie, ich niegodnym synu... Wielce się ucieszyłem propozycją mojego Tatusia, by mieć stałego kapłana dla siebie. Przychodzi do mnie dwa razy dziennie O. Kamilianin. Rano odmawiamy modlitwy, a najważniejsze, że przychodzi z Panem Jezusem. Wieczorem przychodzi mnie spowiadać, a właściwie na rozmowę ze mną, po czym daje mi błogosławieństwo. Boi się, że mogę umrzeć w nocy. Ja jednak wiem, że Bóg zabierze mnie dopiero 8 grudnia w święto Matki Bożej lub 24 grudnia. Tak się cieszę, że zobaczę z bliska mego Ukochanego Pana Jezusa. Będę mógł zawsze patrzeć na to Najpiękniejsze, Święte Oblicze i serce moje raduje się ogromnie. Boję się czyścić. Na pewno jest to okropne, a ja tam posiedzę za to głównie, że kiedyś bardzo niegrzecznie zachowałem się wobec pana nauczyciela. Och! nieszczęsny grzesznik! Bóg niech mi będzie miłosierny! Proszę się pomodlić za duszę Marysi! Mnie Bóg raczył w sierpniu zachować, a ona umarła nie odzyskawszy przytomności. Leciała ze mną. Marysia zostawiła taki obrazek, który kochanemu Ojcu przesyłałam. Mieliśmy jedną wspólną książeczkę do nabożeństwa i tam znalazłem obrazek z napisem: «Jeśli taka wola Twoja, Ojczy mój Niebieski, weź mnie, ale natchnij Twoją łaską mych Rodziców, wskaż Im swą drogę! — Twoja najnędzniejsza sługa, Marysia. 1 VII 1963 r.».

Zdziwiło mnie to, bo ja uczyniłem to samo, nie wiedząc, że pierwsza zrobiła to Marysienka. To była dobra dziewczyna! Na pewno Pan Jezus powołał ją do Siebie, bo tak chciał. Trudno, cieszę się, że umarła na kolanach Jezusowych, w Jego objęciach... Jak bardzo chciałbym kiedyś zostać misjonarzem! Bardzo dużo modłę się za misje i za moich Rodziców. U Ojca Niebieskiego będę zawsze pamiętał o Werbistach. Przesyłam Kochanemu Ojcu obrazek Marysi i mój, oraz „złamane skrzydła” — naszywkę z munduru, w którym złamałem skrzydła. Zostaję na zawsze oddany, naj-nędzniejszy z nędznych — dziecko Boże, Piotruś.”.

Obrazek Piotra przedstawia z jednej strony Oblicze Chrystusa cierniem ukoronowanego, a po drugiej stronie akt ofiarowania swego życia: „Ofiaruję Ci Boże, moje nędzne życie za nawrócenie mych Rodziców. Sługa Piotr, 1 XI 1963 r.”.

To jest ostatni list Piotrusia. Marysia umarła w święto Wniebowzięcia Matki Boskiej, 15 sierpnia 1963 r., a Piotr 8 grudnia, w święto Matki Boskiej Niepokalanej, jak sam przepowiedział trzy tygodnie naprzód.

Blizsze szczegóły o śmierci Piotrusia i o jego rodzicach podaje koleżanka szkolna pod datą 19 grudnia 1963 r.

„Z Piotrem i Marysią zetknęłam się dwa lata temu na lotnisku w Nowym Sączu. Było to rodzeństwo niespotykane. W naszej grupie nazywano ich «świętymi». Marysia była na ogół małomówna, a Piotr mówił tyle, ile potrzeba, bardzo mądrze. Na lotnisku Piotr odznaczał się żyłką do lotnictwa. Marysia należała do klubu, bo Piotr ją o to prosił. W stosunku do rodziców byli posłuszni i usłużni. Oni nie nawracali rodziców słowem lecz czynem i wzorowym zachowaniem. Wypadek zdarzył się 15 sierpnia (Wniebowzięcie Matki Bożej). Mieliśmy na lotnisku ćwiczenia lotów ślizgowych. Miałam lecieć na SP „Żółw”, była godzina 12.05, Piotr prosił mnie, by mógł on lecieć zamiast mnie. Po dłuższej przerwie i po naradzie z instruktorem, zgodziłam się. Gdy startowali, ogarnął mnie lęk, jakiego nie odczu-

wałam w takich sytuacjach. W 3 minuty po starcie instruktor zauważył: «Jakie dziwne oni mają ślizgi!». Rzeczywiście, prawe skrzydło zwisało w dół. Po chwili przeszli w korkociąg i runęli na ziemię. Marysia przeżyła jeszcze trzy godziny i nie odzyskawszy przytomności — zmarła.

Przy śmierci byli rodzice, nawet kapłan był, tylko nie wiem, skąd się wziął. Piotrowi dane było jeszcze wiele przecierpieć. Byłam częstym jego gościem w szpitalu, jak sam sobie tego życzył. Bardzo często mówił o werbistach. Powoli wracał do zdrowia. W piątek 6 grudnia lekarz powiedział: «Święta spędzisz w domu, kawalerze!». W sobotę czuł się bardzo dobrze, temperatury nie miał. Dużo mówił o werbistach. Kazał mi przeczytać listy od Ojca. Pytał o misjonarzy i o wiele innych rzeczy. Odpowiadałam na wszystkie jego pytania. Potem powiedział: «Jeśli taka Wola Boża, to i moja niech będzie taka!». A po chwili szeptem: «Boże, daj mi siły podjąć...».

Niedziela była dniem odwiedzin. Święto Matki Boskiej Niepokalanej, 8 grudnia. Rodzice jego i ja przyszliśmy o godzinie 14. Piotr czuł się dobrze. O godzinie 15 powiedział rodzicom o werbistach. Przyjęli to bardzo spokojnie. Piotr mało mówił. Patrzył w niebo albo na swoich rodziców. O godzinie 16 koniec odwiedzin. Rodzice wyszli — pożegnał ich tak, jakby żegnał ich ostatni raz. Powiedział tylko «poddajcie!». Ja również wyszłam, ale po chwili wróciłam, coś mi tak kazało! Piotr miał oczy zamknięte. Usiadłam obok niego, po chwili otworzył oczy, ucieszył się na mój widok. «Chciałbym się pożegnać z Wami i z moim Ukochanym Ojcem. Odchodzę». Zostawił dwie koperty, a potem rzekł: «Pozostań z Jezusem!». Przeżegnał się głośno i dodał «Jezu, weź mnie w swoje objęcia». Umarł spokojnie: ręce, które przed chwilą wyciągnął, opadły. Twarz miał uśmiechniętą, oczy — tych oczu nie zapomnę — były przepełnione blaskiem i miłością. Nie wiem, jak to się stało, ale rodzice Piotrusia byli przy jego śmierci. Być może, że wrócili, wyczuwszy tak ważną dla nich chwilę. Piotr był zaopatrzony św. sakramentami. Na jego pogrzebie był ksiądz, a na niebie

kolumna samolotów krążyła nad cmentarzem. Oboje mają śmigła na grobach.

Najważniejszą i najpiękniejszą rzeczą jest to, że rodzice Piotrusia i Marysi w poniedziałek rano przystąpili do spowiedzi i Komunii św., czyli następnego dnia po śmierci Piotra”.